

Skłaniająca do refleksji, sugestywna i świeża,  
książka Guskin to spektakularny debiut.

**JODI PICOULT**



SHARON GUSKIN

**Czas  
zapominania**

Wzruszająca historia matki, której syn  
pamięta swoje poprzednie życie.

SHARON GUSKIN

Czas  
zapominania

przekład  
Dorota Pomadowska

WYDAWNICTWO CZARNA OWCA  
WARSZAWA 2016

## Spis treści

Okładka Strona tytułowa Strona redakcyjna Rozdział pierwszy Rozdział drugi  
Rozdział trzeci Rozdział czwarty Rozdział piąty Rozdział szósty Rozdział siódmy  
Rozdział ósmy Rozdział dziewiąty Rozdział dziesiąty Rozdział jedenasty Rozdział  
dwunasty Rozdział trzynasty Rozdział czternasty Rozdział piętnasty Rozdział  
szesnasty Rozdział siedemnasty Rozdział osiemnasty Rozdział dziewiętnasty  
Rozdział dwudziesty Rozdział dwudziesty pierwszy Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci Rozdział dwudziesty czwarty Rozdział dwudziesty  
piąty Rozdział dwudziesty szósty Rozdział dwudziesty siódmy Rozdział  
dwudziesty ósmy Rozdział dwudziesty dziewiąty Rozdział trzydziesty Rozdział  
trzydziesty pierwszy Rozdział trzydziesty drugi Rozdział trzydziesty trzeci  
Rozdział trzydziesty czwarty Rozdział trzydziesty piąty Rozdział trzydziesty szósty  
Rozdział trzydziesty siódmy Rozdział trzydziesty ósmy Rozdział trzydziesty  
dziewiąty Rozdział czterdziesty Rozdział czterdziesty pierwszy Rozdział  
czterdziesty drugi Rozdział czterdziesty trzeci Rozdział czterdziesty czwarty  
Epilog Podziękowania Przypisy końcowe

*Tytuł oryginału:*

*THE FORGETTING TIME*

—

Redakcja

Anna Właźnik

*Projekt okładki*

Izabella Marcinowska

*Zdjęcia na okładce*

© Christie Goodwin / Arcangel

*Korekta*

Maciej Korbański, Beata Wójcik

*Redaktor prowadzący*

Małgorzata Głodowska

Text Copyright © 2016 by Sharon Guskin

*Published by arrangement with Flatiron Books.*

All rights reserved.

*Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016*

*ISBN 978-83-8015-195-6*

*![[logo-czarna-owca]*

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

*Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.*

*Dla Douga, Eli i Bena*

## Rozdział pierwszy

*W przededniu swoich trzydziestych dziewiątych urodzin, w najbardziej smętny dzień najbrzydszego lutego, jaki sobie przypomiwała, Janie podjęła decyzję, która miała okazać się najważniejszą decyzją w jej życiu. Postanowiła wziąć urlop.*

Może i Trynidad to nie był najlepszy wybór. Jeśli już posunęła się tak daleko, to powinna pojechać na Tobago albo do Wenezueli, ale spodobał jej się dźwięk tego słowa, Try-ni-dad, jego melodyjność, która brzmiała niczym jakaś obietnica. Kupiła najtańszy bilet, jaki udało jej się znaleźć, i dotarła tam akurat wtedy, kiedy wszystkie karnawałowe lekkoduchy wracały już do domu, a rynsztoki pełne były najpiękniejszych śmieci, jakie kiedykolwiek widziała. Ulice opustoszały, ludzie odsypiali imprezę. Ekipa sprzątająca poruszała się powoli, mozolnie brnąc w wodzie. Zgarnęła z krawężnika garść konfetti oraz poniewierających się, błyszczących piór i plastikowej biżuterii i wepchnęła je sobie do kieszeni, próbując poddać się beztroskiemu nastrojowi.

W hotelu, gdzie się zatrzymała, trwało właśnie wesele, Amerykanka brała ślub z mężczyzną z Trynidadu i większość gości hotelowych przybyła z tej okazji. Przyglądała się, jak kręcili się wokół siebie, te ciotki, wujkowie i kuzyni opadający z sił w upale, z policzkami wypacykowanymi czerwonymi plamami opalenizny sprawiającymi, że wyglądali na szczęśliwszych, niż byli w rzeczywistości, i deprymowali Trynidadczyków, którzy stali w grupkach, śmiejąc się i rozmawiając szybko w lokalnym dialekcie trini.

Panowała tam bardzo duża wilgotność powietrza, ale wynagradzały ją ciepłe objęcia morza, niczym nagroda pocieszenia dla niekochanych. Plaża wyglądała identycznie jak na zdjęciu, ze wszystkimi tymi palmami, turkusową wodą i zielonymi wzgórzami, z moskitami muskającymi skórę i wbijającymi żądła w kostki u nogi, żeby przypomnieć ci, że to wszystko naprawdę istniało, i małymi budkami rozsianymi tu i ówdzie, w których sprzedawano rekina w cieście – rekina smażonego w głębokim oleju, zawiniętego w świeży, upieczony placek, smakującego lepiej niż wszystko, co do tej pory jadła. W hotelowym prysznicu raz leciała woda gorąca, raz zimna, a innym razem w ogóle nie było wody.

Dni miały leniwie. Leżała na plaży z jednym z tych ilustrowanych magazynów, na które na co dzień nigdy sobie nie pozwalała, a jej nogi chłoneły promienie słońca i morską bryzę. Zima była taka długa, śnieżyce atakowały jedna po drugiej, jak seria klęsk żywiołowych, na które Nowy Jork nie był w ogóle przygotowany. Miała zająć się łazienkami w muzeum, projektowanymi przez jej firmę, ale często zasypiała przy swojej desce kreślarskiej, śniąc o niebieskich płytkach, albo po północy wracała samochodem do swojego zacisznego mieszkania

i padała na łóżko, zanim zdążyła się zastanowić nad tym, jak to się stało, że jej życie tak się ułożyło.

W przedostatnią noc w Trynidadzie skończyła trzydzieści dziewięć lat. Siedziała sama przy barze na werandzie, słuchając odgłosów przyjęcia zaręczynowego, które dobiegały przez otwarte drzwi sali balowej. Była szczęśliwa, że uniknęła obowiązkowego „urodzinowego brunchu” w domu, tej chmary przyjaciółek ze swoimi mężami i dziećmi i ich entuzjastycznych kartek zapewnających ją, że „To właśnie jest ten rok!”.

Rok na co? – zawsze miała ochotę zapytać.

A przecież wiedziała, co miały na myśli – rok na mężczyznę. Brzmiało nieprawdopodobnie. Odkąd zmarła jej matka, straciła serce do chodzenia na randki, których potem we dwie nie mogły już analizować, chwila po chwili, przez telefon. Te niekończące się, niezbędne rozmowy czasem trwały dłużej niż same randki. Mężczyźni zawsze pojawiali się w jej życiu i znikali. Wyczuwała, jak odchodzili niepostrzeżenie, zanim jeszcze to zrobili. Jednak mama zawsze była, ze swoją miłością tak fundamentalną i niezastąpioną jak siła przyciągania, aż pewnego dnia jej zabrakło.

Teraz Janie zamówiła drinka i rzuciła okiem na barowe menu – wybrała curry z koziego mięsa, ponieważ jeszcze nigdy tego nie jadła.

– Czy jest pani tego pewna? – powiedział barman. Był chłopcem, naprawdę, nie miał więcej niż dwadzieścia lat, szczupłe ciało i ogromne, śmiejące się oczy.  
– Jest ostre.

– Dam sobie radę – odparła, uśmiechając się do niego i zastanawiając się, czy mogłaby przeżyć nieoczekiwaną przygodę w swoją przedostatnią noc i jak by to było znowu dotknąć czyjś ciało. Ale chłopak po prostu skinął głową i wkrótce potem przyniósł danie, nawet nie patrząc, jak jej poszło.

Kozie curry zaczęło palić ją w usta.

– Jestem pod wrażeniem. Chyba nie dałbym rady zjeść czegoś takiego – stwierdził mężczyzna siedzący o dwa stołki dalej. Był w sile wieku, kawał chłopca, klata i bary, z wianuszkami sterczących jak szczecina blond włosów, które otaczały jego głowę niczym wieniec laurowy Juliusza Cezara, i z nosem boksera poniżej zuchwałych, niezwykniętych oczu. Wraz z nią należał do jedynych gości, którzy nie zostali zaproszeni na przyjęcie weselne. Widziała go już w pobliżu hotelu oraz na plaży i nie doznała olśnienia na widok jego czasopism biznesowych ani ślubnej obrączki.

Skinęła do niego głową w odpowiedzi i nabrała sobie wyjątkowo dużą łyżkę curry, czując, jak ze wszystkich porów sący się gorąco.

– Smakuje?

– Właściwie tak – przyznała – na swój szalony, wypalający usta sposób.

Wypiła łyk rumu z coca-colą, który zamówiła. Był zimny i zaskakujący po



całym tym ogniu.

– Tak?

Spojrzał na nią znad talerza. Jego kości policzkowe i czubek głowy miały jasnoróżowy kolor, jakby doleciał do samego słońca, po czym rzucił się prosto do ucieczki.

– Czy mógłbym skosztować?

Utkwiła w nim spojrzenie, nieco skonsternowana, i wzruszyła ramionami. Co u diabła.

– Proszę bardzo.

Szybko przeniósł się na miejsce obok niej. Wziął do ręki jej łyżkę i przyglądała się, jak zawisł nad jej talerzem, po czym dał nura i nabrał całe usta curry, pozostawiając je między wargami.

– Je-zuu – powiedział.

Wyłopał szklankę wody.

– Jezu Chryste.

Ale mówił to, śmiejąc się, a jego brązowe oczy nad brzegiem szklanki były pełne szczerego podziwu dla niej. Zapewne zauważył, jak uśmiechała się do tego chłopaka za barem, i uznał, że ma na coś ochotę.

Ale czy naprawdę miała? Spojrzała na niego i natychmiast wszystko zrozumiała – to zainteresowanie w jego oczach, ten gładki, powolny ruch jego dłoni, która przesunęła się nieco za koszyk na indyjski chlebek roti, chwilowo zasłaniający palec ze ślubną obrączką.

Przyjechał do Port of Spain w interesach, człowiek korporacji, który podpisał jakąś intratną umowę w sprawie franczyzy i postanowił zrobić sobie małą labę, żeby uczcić dobry interes. Powiedział dokładnie tak, „labę”, i musiała powstrzymać się od grymasu twarzy – kto mówi takie rzeczy? Nikt, kogo znała. Pochodził z Houston, gdzie nigdy nie była i nigdy nie odczuwała potrzeby, żeby tam pojechać. Miał rolexa z białego złota na opalonym nadgarstku, był to pierwszy rolex, który widziała z bliska. Kiedy mu o tym powiedziała, zdjął go i założył na jej drobny, wilgotny nadgarstek – i zwisał tak, ciężki i lśniący. Spodobało jej się to uczucie, spodobała jej się ta obcość na tej samej piegowatej dłoni, która zawsze do niej należała, spodobało jej się obserwowanie, jak unosił się w powietrzu niczym diamentowy helikopter nad jej kozim curry.

– Ładnie na tobie wygląda – powiedział i przesunął wzrok z nadgarstka na jej twarz z tak wyraźną intencją, że oblała się rumieńcem i wręczyła mu z powrotem zegarek. Cóż ona wyprawiała?

– Chyba powinnam się zbierać.

Te słowa zabrzmiały niepewnie nawet w jej uszach.

– Zostań i porozmawiaj ze mną jeszcze trochę.

W jego głosie słychać było nutę błagania, ale w oczach nadal miał

zuchwałość.

– Daj spokój. Od tygodnia nie rozmawiało mi się z nikim tak miło. A ty jesteś taka...

– Jestem taka... jaka?

– Niezwykła.

Rzucił jej uśmiech, przymilny szeroki uśmiech mężczyzny wiedzącego, jak i kiedy użyć swoich wdzięków; jedną z broni w tym całym arsenale, która jednak nie doprowadziła do wybuchu, gdy tak na nią patrzył; uśmiech jak metal w słońcu, autentycznie jaśniejący – prawdziwym uczuciem, które spadło na nią w porywie gorąca.

– Och, jestem bardzo zwykła.

– Nieprawda.

Przyjrzał się jej.

– Skąd pochodzisz?

Wypiła kolejny łyk drinka. Nieco ją zamroczył.

– A kogo to obchodzi?

Miała chłodne i rozpalone usta.

– Mnie.

Kolejny szeroki uśmiech – szybki, przyciągający. Pojawił się i zniknął. Ale... był skuteczny.

– Dobrze, wobec tego mieszkam w Nowym Jorku.

– Ale nie jesteś rodowitą mieszkanką Nowego Jorku.

Powiedział to tonem stwierdzającym fakt.

Najeżyła się.

– Dlaczego? Sądzisz, że nie jestem wystarczająco nieustępliwa jak na mieszkankę Nowego Jorku?

Poczuła jego spojrzenie ślizgające się po jej twarzy i próbowała powstrzymać oznaki ciepła, które coraz bardziej rozgrzewało jej policzki.

– Zgoda, jesteś nieustępliwa – powiedział, przeciągając samogłoski – ale widać, że jesteś wrażliwa. A to nie jest cecha mieszkanki Nowego Jorku.

Widać jej wrażliwość? To była dla niej nowość. Chciała zapytać, gdzie ją było widać, żeby mogła wetknąć ją z powrotem tam, gdzie jej miejsce.

– A więc?

Pochylił się bliżej w jej kierunku. Pachniał emulsją do opalania o zapachu kokosowym, curry i potem.

– Skąd tak naprawdę jesteś?

To było podchwytliwe pytanie. Zwykle unikała na nie odpowiedzi. Ze środkowego wschodu, powiedziałaaby. Albo z Wisconsin, ponieważ spędziła tam najwięcej czasu, wliczając w to studia. Jednak od tego czasu tam nie była.

Nigdy nie powiedziała nikomu prawdy. Może z wyjątkiem tej chwili,

z jakichś powodów.

– Pochodzę znikąd.

Pokręcił się na swoim miejscu, marszcząc brwi.

– Co masz na myśli? Gdzie się wychowałaś?

– Ja nie... – Potrząsnęła głową. – Nie chcesz tego wszystkiego usłyszeć.

– Właśnie słucham.

Podniosła na niego wzrok. Naprawdę. Słuchał.

Ale słuchanie nie było tutaj właściwym słowem. A może było – to słowo zwykle określa postawę bierną, sugeruje pewnego rodzaju powściągliwą otwartość, akceptację dźwięków, które dochodzą od innej osoby – słyszę cię – podczas gdy to, co właśnie z nią robił, odczuwała jako przerażająco dynamiczne i intymne – wytężone słuchanie, jak zwierzęta nasłuchujące, żeby przeżyć w leśnej gęstwinie.

– Cóż...

Wzięła oddech.

– Mój tata był jednym z tych przedstawicieli regionalnych, których rzucają to tu, to tam. Cztery lata tu, dwa lata tam. Michigan, Massachusetts, stan Waszyngton, Wisconsin. Było nas tylko troje. Potem zaczął... ciągle się przenosić... Nie mam pojęcia, dokąd pojechał. W jakieś miejsce bez nas. Mieszkałyśmy z mamą w Wisconsin, dopóki nie skończyłam studiów, a potem ona przeprowadziła się do New Jersey i mieszkała tam aż do śmierci.

Nadal dziwnie się czuła, kiedy to opowiadała. Próbowwała uciec przed jego uważnym wzrokiem, ale to było niemożliwe.

– W każdym razie potem przeniosłam się do Nowego Jorku, ponieważ większość ludzi, którzy tam mieszkają, też nie przynależy do żadnego miejsca. A więc nie jestem szczególnie przywiązana do żadnego miejsca. Jestem znikąd. Czy to nie jest zabawne?

Wzruszyła ramionami. Te słowa wylały się z jej wnętrza. Tak naprawdę wcale nie miała zamiaru ich wypowiedzieć.

– Brzmi to cholernie samotnie – powiedział, nadal marszcząc brwi, a to słowo niczym mała wykałaczką ukuło tę miękką część jaźni, której nie miała zamiaru odsłaniać.

– Masz gdzieś rodzinę?

– No, jest jakaś ciotka na Hawajach, ale...

Co ona wyprawia? Dlaczego mu o tym mówi? Przestała mówić, przerażona. Potrząsnęła głową.

– Nie robię tak. Przepraszam.

– Ale my nic nie zrobiliśmy – odparł.

Nie było wątpliwości, że na jego twarzy pojawił się cień drapieżcy. Przyszedł jej do głowy wers z Szekspira, coś, co matka szeptała, kiedy przechodziły obok nastoletnich chłopców w centrum handlowym: „Spójrz na

Kasjusza: chudy, jakby głodny”<sup>1</sup>. Matka nieustannie mawiała takie rzeczy.

– Mam na myśli to – wyjąkała Janie. – Zwykle o tym nie mówię. Nie mam pojęcia, dlaczego ci teraz o tym opowiadam. To pewnie przez ten rum.

– A dlaczego nie powinnaś mi o tym opowiadać?

Spojrzała na niego. Nie mogła uwierzyć w to, że przed nim się otworzyła – że ulegała temu bez wątpienia ogromnemu urokowi biznesmena z Houston, który nosił obrączkę.

– No, jesteś...

– Kim?

Nieznajomym. Ale to brzmiało nazbyt dziecinnie. Uchwyciła się pierwszego słowa, które przyszło jej na myśl.

– Republikaninem?

Zaśmiała się niewyraźnie, próbując zrobić z tego dowcip. Nawet nie wiedziała, że to była prawda.

Irytacja rozlała się na jego twarzy jak pożar w zaroślach.

– A to czyni mnie kim? Rodzajem jakiegoś filistra?

– Co? Nie. Wcale nie.

– A jednak tak myślisz. Masz to wypisane na twarzy.

Siedział teraz wyprostowany jak struna.

– Myślisz, że nie czujemy tego samego co wy?

Jego brązowe oczy, które były tak pełne podziwu, przewiercały ją na wylot z wyrazem urażonej wściekłości.

– Możemy wrócić do rozmowy na temat curry?

– Myślisz, że nikt nie łamie nam serc albo nie wybuchamy płaczem, kiedy rodzą nam się dzieci, ani nie zastanawiamy się nad naszym miejscem w całej tej wielkiej układance wszechświata?

– Dobrze, dobrze. Rozumiem. „Ukłujcie nas – czyż nie będziemy krwawić?”<sup>2</sup>. To z *Kupca*...

– Pojmujesz to, Shylocku? Naprawdę pojmujesz? Bo nie jestem pewien, czy to prawda.

– Zważ, kogo zwiesz Shylockiem.

– Dobrze. Shylocku.

– Hej.

– Cokolwiek sobie życzysz, Shylocku.

– Hej!

Teraz oboje uśmiechali się do siebie szeroko.

– A więc...

Spojrzała na niego z ukosa.

– Jakież dzieci, co?

Odgonił od siebie to pytanie machnięciem ogromnej, różowej dłoni.

– W każdym razie – dodała – jakie to ma znaczenie, co ja myślę na jakiś temat?

– Oczywiście, że ma.

– Doprawdy? A dlaczego?

– Ponieważ jesteś bystra, jesteś istotą ludzką, jesteś tu i teraz i właśnie ze sobą rozmawiamy – odparł, pochylając się w jej kierunku gorliwie i dotykając delikatnie jej kolana w sposób, który powinien być być oślizgły, ale w żaden sposób nie był. Poczwała, jak szybko przebiegł po niej dreszcz – jego siła przewyższała wolę stłumienia go.

Spuściła wzrok na swój spustoszony talerz.

Zapewne mieszka w MacRezydencji i ma trójkę dzieci oraz żonę, która gra w tenisa, pomyślała.

Znała takich mężczyzn, oczywiście, ale do tej pory nigdy z żadnym nie flirtowała – mężczyzna z klubu, gdzie spotyka się miejscowa śmietanka towarzyska, mężczyzna, który ma smykałkę do sprzedaży. I do kobiet. Jednocześnie poczuła, że miał w sobie jeszcze coś, co ją pociągało – coś, co wiązało się z szybkością spojrzenia, niestałością emocji i wrażeniem, że myśli przebiegają mu przez głowę z prędkością miliona kilometrów na minutę.

– Posłuchaj. Mam zamiar sprawdzić jutro Rezerwat Przyrody Asa Wright – powiedział. – Chciałabyś się przyłączyć?

– A co to jest?

Machnął nogą z niecierpliwością.

– To rezerwat przyrody.

– Czy to daleko?

Wzruszył ramionami.

– Wynajmę motocykl.

– Sama nie wiem.

– Jak chcesz.

Gestem dłoni poprosił o rachunek. Poczwała, jak jego energia nagle zmieniła kierunek, odrywając się od niej. Chciała, żeby powróciła.

– Dobrze – powiedziała. – Dlaczego nie?

\* \* \*

*Rezerwat znajdował się o kilka godzin drogi od ich hotelu, ale nie przeszkadzało jej to. Na motorze przyłgnęła kurczowo do jego pleców i rozkoszowała się prędkością, ogarniając wzrokiem obfitość krajobrazu oraz chaotyczne kłębowisko miasteczek, nowe betonowe domy graniczące bezpośrednio z rozpadającymi się, starymi drewnianymi chatami z metalowymi dachami połyskującymi w słońcu jeden obok drugiego. Dotarli tam w południe i zanurzywszy się w kojącej ciszy, ruszyli za przewodnikiem przez tropikalny las, chichocząc z nazw ptaków, które im pokazywał – cukrzyka i tłuszczaków,*

*dzwonnika brodatego i pilodzioba wspaniałego, rudzianki wielkiej i bentewiego wielkodziobego. Zapanowała cisza, kiedy pili herbatę na podwieczorek na szerokiej werandzie dawnego domu właściciela plantacji i obserwowali szmaragdzuki rudorzytne unoszące się przy karmnikach zawieszonych na werandzie – cztery, pięć, sześć szmaragdzików, które wlatywały w górę i brzęczały w powietrzu jak jakaś magiczna sztuczka.*

– Klimat czasów kolonializmu – powiedziała Janie, przechylając się do tyłu w swoim fotelu z wikliny.

– Stare dobre czasy, co?

Spojrzał na nią spod przymrużonych oczu, zagadkowo.

– Stroisz sobie żarty, prawda?

– Sam nie wiem. Pewnych ludzi traktowali dobrze.

Przez chwilę zachował obojętny wyraz twarzy, po czym wybuchnął śmiechem.

– Za jakiego dupka ty mnie uważasz? Wiesz, byłem stypendystą Rhodesa.

Powiedział to lekko, ale wiedziała, że próbował zrobić na niej wrażenie.

I udało mu się.

– Naprawdę?

Powoli skinął głową, w jego bystrych oczach zaczął pojawiać się zachwyty.

– Uzyskałem tytuł magistra e-ko-no-mii na Bal-li-ol College. Oksford, Anglia.

Przeciągał sylaby, zgrywając prostaka.

Chciał usłyszeć śmiech i mu go podarowała.

– Nie powinieneś wyklądać na Harvardzie albo czymś takim?

– Po pierwsze, zarabiam dwadzieścia razy tyle, ile zarabiałbym, ucząc na Harvardzie. I nie jestem od nikogo uzależniony. Od jakiegoś tam dziekana wydziału albo rektora uniwersytetu, albo innego rozpuszczonego matoła, syna głównego sponsora.

Potrząsnął głową.

– Samotny wilk, co?

Zrobił udawaną nadąsaną minę.

– Samotny wilk.

Roześmiali się razem. Śmiech współwinnych. Poczują, jak coś jej się rozluźnia między łopatkami, jakiś mięsień, który pomyliła z kością, i ogarnęła ją lekkość. Babeczka rozpadła się na kawałki w jej dłoniach i zaczęła zlizywać oderwane okruszki ze swoich palców.

– Jesteś po prostu zajebicie urocza – powiedział.

– Urocza.

Zrobiła minę.

Szybko się poprawił.

– Piękna.

– Jasne.

– Naprawdę.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiesz o tym, prawda? – Potrząsnął głową. – Wiesz mnóstwo rzeczy, ale tego nie wiesz.

Gwałtownie szukała jakiejś sardonicznej riposty i postanowiła zamiast niej powiedzieć prawdę.

– Nie – przyznała, wzdychając. – Nie wiem. Niestety. Bo teraz...

Chciała powiedzieć, że miała prawie czterdziestkę i była na najlepszej drodze, żeby stracić wszystko, cokolwiek posiadała, była już prawie gotowa przyznać się do trzech siwych włosów i pogłębiającej się zmarszczki między brwiami, ale odgoniła te myśli od siebie machnięciem dłoni.

– Choćbyś miała sto lat, to nadal będziesz piękna – powiedział, jakby naprawdę tak myślał, i nie mogła się już powstrzymać, to była taka dobra kwestia – uśmiechnęła się do niego, zanurzając się w tym wywołującym mdłości poczuciu, że została zepchnięta w stronę jakiegoś brzegu, którego się nie spodziewała, i musiała teraz ostro wiosłować w przeciwnym kierunku, jeśli miała zamiar bezpiecznie dotrzeć do domu.

W drodze powrotnej znowu trzymała się go kurczowo w pasie. Było zbyt głośno, żeby cokolwiek mówić, za co odczuwała wdzięczność; żadnych decyzji, które trzeba podjąć, nic, czym należało się martwić, tylko palmy i blaszane dachy zostające za nią w tyle, wiatr smagający włosami jej twarz i bliskość ciepłego ciała. Jedna chwila za drugą. Szczęście zaczęło szemrać u podstawy kręgosłupa i płynąć, w zawrotnym tempie, w górę ciała. A więc tak to wyglądało – bycie tu i teraz. Poczula to jak objawienie.

Czyż nie było to właśnie tym, czego tak szukała – tą beztroską, która nagle przybywa galopem, chwyta cię w pasie i porywa za sobą? Jak można jej nie ulec, choćby było wiadomo, że skończysz, siedząc zraniona na ziemi? Przepuszczała, że musiał istnieć jakiś inny sposób doświadczania tej zawrotnej pogoni za życiem – może coś w naszym wnętrzu? – ale nie wiedziała, co to było ani jak się tam dostać o własnych siłach.

Potem przejażdżka się zakończyła i stali tak z zakłopotaniem przed hotelem. Zrobiło się późno, byli zmęczeni. Jej włosy pokrywał pył niesiony przez wiatr. Niezręczna chwila i nic, co pozwoliłoby im szybko przejść nad nią do porządku dziennego. Powinnam wejść do środka i spakować się, pomyślała, ale w sali balowej nadal trwało przyjęcie, a teraz było słychać, jak zaczęli grać na *steel pan*<sup>3</sup>, których dźwięki rozbrzmiewały pośród nocy, niosąc ze sobą charakterystyczne, głucho bębnienie – instrument skonstruowano wiele lat temu z beczek

wyrzuconych przez firmy naftowe, muzyka ze śmieci. Kim ona była, żeby się oprzeć? Wilgotne powietrze tuliło ją niczym ogromna, wilgotna dłoń.

– Chcesz pójść na spacer?

Powiedzieli to jednocześnie, jakby tak właśnie miało być.

Kłopoty, kłopoty, kłopoty, mówiła do siebie w myślach, gdy tak szli, ale czuła ciepło jego dłoni w swojej i pomyślała, że może to sobie podaruje. Może wszystko było w porządku. Żona to zapewne jedna z tych kobiet o surowej, doskonałej twarzy i blond włosach, które błyszczały wokół ogromnych, diamentowych kolczyków. Nosiła krótkie, białe spódniczki i flirtowała z trenerem tenisa. Więc dlaczego by Janie miała się tym przejmować? Ale nie, to nie w porządku, prawda? Oczy tego mężczyzny były ciepłe, a nawet szczerze, oczywiście jeśli można być jednocześnie wyrachowanym i szczerym, co wydaje się niemożliwe. I podobała mu się, ta Janie, ze swoją niedoskonałą twarzą, ładnymi niebieskimi oczami, nieco haczykowanym nosem i kręconymi włosami. A więc zapewne... zapewne żona była śliczna. Miała długie, brązowe, pofalowane włosy i przyjazne spojrzenie. Kiedyś pracowała jako nauczycielka, ale teraz zajmowała się domem, opiekując się maluchami, cierpliwa i łagodna, zbyt elegancka jak na brutalność życia. Wysysało to z niej życiowe soki, a jednak jednocześnie ją karmiło – była kochająca, tak właśnie było, tego mężczyznę bardzo kochano (widać to po swobodnym sposobie poruszania się, blasku na twarzy). Teraz jego żona spała ze wszystkimi maluszkami w ich dużym łóżku, bo tak łatwiej i lubiła ciepło wtulonych w nią drobnych ciał. Tak bardzo za nim tęskniła i być może przychodziło jej na myśl, że podczas tych długich, długich podróży coś kombinował, ale ufała mu, ponieważ chciała mu ufać z powodu tej zuchwałości w jego oczach, tej żywotności...

Dlaczego ma to robić samej sobie? Czy nie może pozwolić sobie na to, żeby cokolwiek mieć?

On pokazywał muszelki rozrzucone po plaży, podczas gdy ona była pogrążona we własnych myślach.

Skinęła głową z roztargnieniem.

– Nie. Spójrz – powiedział, biorąc jej twarz w swoje duże, ciepłe dłonie i kierując ją w stronę brzegu. – Musisz popatrzeć.

Muszelki toczyły się po piasku w kierunku wody, jakby morze przyciągało je siłą swojego uroku.

– Ale... jak?

– Kraby pływające – wyjaśnił.

Nadal trzymał jej twarz w swoich dłoniach, więc bez trudu odwrócił ją do siebie i pocałował raz, dwa razy, tylko dwa razy, myślała sobie, zaledwie przedsmak i potem od razu będą wracać, ale wtedy pocałował ją po raz trzeci i tym razem poczuła, jak wezbrało w niej pożądanie, niczym dzin zamknięty w butelce



przez sto lat w postaci wonnej smugi dymu, krążąc wokół tego mężczyzny, którego ledwie знаła – chociaż znało go jej ciało, owinał się ciasno wokół niego i pocałował je, jakby było najukochańszym z kochanych. Zasięki opadły podobnie jak ich ubrania. Być może zadziałała jakaś mieszanka związków chemicznych pobudzających feromony, a może byli parą kochanków z czasów faraonów i właśnie się odnaleźli, kto to wiedział tak naprawdę? Kto to, do cholery, wiedział?

– Je-zuuu – jęknął.

Odsunął się od niej nieco, a ona z przyjemnością zauważyła, że pewność siebie zniknęła z jego twarzy i był tym podobnie oszołomiony jak ona – siłą tej pasji, której w ogóle nie powinno tam być, ale była tam tak po prostu, niespodziewanie wydobywając z nich obojga okrzyki zaskoczenia, jak gdyby podczas jakiejś zabawy z planszą ouija<sup>4</sup> na domowej imprezie z noclegiem dla dzieci wywołano prawdziwego ducha.

Seks na plaży (Czy to nie był drink? Czy to naprawdę jej życie – tandetny koktajl?) z nieznanym mężczyzną, który zabawiał się z kobietami, bez prezerwatywy, to bardzo, bardzo, bardzo zły pomysł. Ale jej ciało było innego zdania. W swoim życiu nigdy nie poddała się niczemu w pełni i może właśnie teraz nadszedł ten czas. Słyszała *steel drums*, które brzęczały jak metaliczne bańki zataczające pętlę w powietrzu, szczęśliwe okrzyki tańczących imprezowiczów oraz śmiech panny młodej i pana młodego, którzy też tańczyli pod tym wysokim, krytym strzechą dachem. A ona miała prawie czterdziestkę na karku i mogła już nigdy nie wyjść za mąż. I była jeszcze śliczna żona śpiąca w ogromnym łóżku z tymi wszystkimi dziećmi o różowych policzkach, a ona nie miała nikogo, do kogo mogłaby wrócić, żadnego domu, żadnych dzieci i żadnego męża, nikogo, kto by ją kochał z wyjątkiem tego ciepłego ciała z jego szybkim, miarowym biciem serca i płonąca wolą życia. Czuła się tak, jakby stronę, na której żyła, nagle wyrwano z okładki, i teraz znalazła się na tej luźnej kartce, na oderwanej, uwolnionej kartce opadającej łagodnie na piaszczysty brzeg, a wysoko na niebie unosił się księżyc.

Kiedy ich ciała w końcu doznały spełnienia, przywarli do siebie na plaży, ciężko dysząc.

– Ty...

Potrząsnął głową, uśmiechając się ze zdumieniem, te pełne życia i podziwu oczy chłonęły jej białe, otarte od piasku ciało, które płonęło na plaży. Nie dokończył tej myśli. Powstrzymał się, zanim dokończył, przez całe dorosłe życie przyzwyczajony do takiej właśnie samodyscypliny, i nie wiedziała, co miał zamiar o niej powiedzieć, chociaż wiedziała, że ma resztę życia na to, żeby rozważać różne możliwości. Ogarnęła ją nagła chęć, żeby mu coś wyznać... żeby wyznać mu wszystko, wszystkie sekrety, szybko, teraz, zanim ciepło zacznie stygnąć, w nadziei, że może znalazłoby się tam coś, czego mogłaby się uchwycić, jakiś

związek, który mogłaby utrzymać...

Utrzymać? Prawie roześmiała się z samej siebie. Nawet pomimo tego tu i teraz, które rozkwitło uśmiechem na jej twarzy, nie mogła się powstrzymać, żeby nie odwrócić się w drugą stronę.

Koniec szybko się ujawnił. Nadal przetwarzała to, co się wydarzyło, nadal odtwarzała wszystko w myślach, kiedy powoli wracali spacerem do hotelu, w ciszy, ramię w ramię, gdy tak szli, jego dłoń dotykała lekko jej pleców gestem, który częściowo był troską, a częściowo popychaniem jej do przodu.

– Zdaje się, że to tyle.

Stał przed drzwiami do swojego pokoju.

– Naprawdę przyjemnie było spędzić z tobą czas.

Jego twarz miała poprawny łagodny i ponury wyraz, ale wyczuwała, że targał nim wiatr, przebiegał po nim ten pośpiech, który był przeciwieństwem tego, co przebiegało przez nią, i wiedziała bez słów, że jej pragnienie uwikłania się i zwlekania nie miało żadnych szans w obliczu jego potrzeby, żeby jak najszybciej zjeżdżać z tego korytarza i znaleźć się znowu sam na sam.

– Może powinniśmy... wymienić się adresami mailowymi albo czymś takim? Hej, przyjeżdżasz czasem w interesach do Nowego Jorku?

Chciała, żeby jej głos zabrzmiał bez troski, ale on spojrzał na nią smutnym wzrokiem.

Przygryzła usta.

– Wobec tego w porządku – powiedziała.

Mogła to zrobić. Naprawdę to zrobiła. Pochylił się i pocałował ją beznamietnym mężowskim pocałunkiem, który jednak zabrał niewielką część jej samej.

Nie знаła jego nazwiska. Uświadomiła to sobie później. Nie potrzebowała go znać, ograniczenia tej sytuacji były tak jasne, że z pewnością nie trzeba ich opisywać. Jednak później żałowała, że go nie poznała – nie na potrzeby aktu urodzenia ani z powodu chęci dotarcia do niego i skomplikowania mu życia, ale po prostu dla samej historii, żeby mogła kiedyś powiedzieć do Noaha: „Pewnego wieczoru spotkałam tego mężczyznę i to był najpiękniejszy wieczór w moim życiu. Nazywał się...”.

Jeff. Jeff jakiś tam.

A może właśnie tak chciała. Może tak to zaplanowała. Ponieważ nie było żadnych poszukiwań Jeffa jakiegoś tam z Houston, to jeszcze bardziej związało ją z Noahem, sprawiło, że stał się jeszcze bardziej jej.

## Rozdział drugi

*– Ale nie jestem skończony. – Takie słowa wymknęły się nieopatrnie z ust Jerome’a Andersona, kiedy neurołożka oznajmiła mu, że jego życie pod względem sprawności funkcjonalnej było skończone.*

– Oczywiście, że nie. Panie Anderson, to w żadnym wypadku nie oznacza wyroku śmierci.

I bynajmniej nie miała na myśli jego życia. Mówiła o jego pracy. Która była jego życiem, kiedy się temu lepiej przyjrzeć.

– Doktorze Anderson – poprawił ją.

Opanował swój strach, obserwując neurołożkę, która siedziała naprzeciw niego przy stole, przebierała nerwowo swoimi wypielęgnowanymi palcami, kiedy zaczęła wyjaśniać mu istotę jego choroby.

W ciągu roku po śmierci jego żony każda spotkana kobieta po prostu Nie Była Sheilą, i po sprawie. Ale nagle zaczął sobie na nowo uświadamiać te szczegóły charakterystyczne tylko dla żyjących kobiet – sposób, w jaki oczy pani doktor zwilgotniały ze współczucia, podnoszące się i opadające miękkie, krągłe kształty, które ledwo co dostrzegał pod białym fartuchem, kiedy oddychała. Zauważył jej czarne, błyszczące włosy skapanne w świetle słońca, kiedy siedziała przy swoim biurku, wdychał jej zapach, który był połączeniem mydła antybakteryjnego z czymś lekkim, dobrze znanym – cytrusowym zapachem perfum.

Coś się w nim przewracało, kiedy tak na nią patrzył, jakby budził się z długiej drzemki. Teraz? Naprawdę? Cóż, nikt nie twierdził, że ludzki umysł jest prosty, a tym bardziej ciało. W połączeniu mogły spletać jakiegoś psikusa. Potencjalny temat badania naukowego. Czy pacjenci w obliczu poważnego upośledzenia albo śmierci doświadczają pobudzenia organów płciowych? Powinien wysłać e-mail do Clarka na ten temat. Zajmuje się ciekawymi badaniami nad związkiem umysłu z ciałem. Mogliby to nazwać: „Dochodzenie w sprawie Erosa i Tanatosa”.

– Doktorze Anderson?

Zegar na biurku tykał, słyszała też pulsowanie ich oddechów.

– Doktorze Anderson. Czy pan rozumie, o czym mówię?

Oddychanie, słowo oznaczające wdech i wydech. Kiedy tracisz takie słowo, tracisz wszystko.

– Doktorze...

– Czy rozumiem? Tak, nie jest ze mną aż tak źle. Jeszcze nie. Wygląda na to, że nadal potrafię odczytać znaczenie podstawowych struktur zdania.

Czuł, że głos zaczyna wymykać mu się spod kontroli, z trudem nad nim panował.

– Dobrze się pan czuje?

Wyczuł swój puls. Wydawał mu się prawidłowy, ale nie ufał swojemu wrażeniu.

– Mogę pożyczyć pani stetoskop?

– Słucham?

– Chcę zbadać sobie tętno. Sprawdzić, jak się naprawdę czuję. – Uśmiechnął się, co trochę go kosztowało, musiał sięgnąć do słabnących zasobów. – Proszę. Zaraz go pani oddam.

Mrugnął okiem. Co do cholery. Zaraz wezwie do niego psychiatrę.

– Obiecuję.

Ściągnęła stetoskop ze swojej smukłej szyi i podała mu go. Miała zdumione, badawcze spojrzenie. Czyżby w tej ruinie człowieka była nadal jakaś iskra seksapilu? Zerknął na swoje odbicie w szybie za jej plecami, ledwo widoczne z za rażącego, metalicznego blasku samochodów na parkingu – czy ten upiór z zapadniętymi policzkami to była jego twarz? Nigdy nie dbał za bardzo o swój wygląd, choć wiedział, że czasem pomagał mu on w pracy z uczestnikami eksperymentów, a jednak teraz odczuwał ukłucie żalu z powodu tej straty. Nadal miał włosy, ale loki, które kobiety tak lubiły, dawno zniknęły.

Stetoskop pachniał równie zniewalająco jak ona. Uświadomił sobie, dlaczego te perfumy były mu tak dobrze znane. Sheila używała ich, kiedy wychodzili do jakiegoś przyjemnego miejsca na kolację. Prawdopodobnie sam je kupił. Nie miał pojęcia, co to były za perfumy. Zawsze pisała na kartce, co chciała, a on posłusznie dawał jej to w prezencie na Boże Narodzenie i urodziny, nigdy nie przywiązywał uwagi do szczegółów, miał myśli zajęte innymi sprawami.

Tętno było nieco za wysokie, chociaż nie tak szybkie, jak przypuszczał.

Sheila by się z niego śmiała, „Daj spokój, przestań się badać, po prostu to poczuj, dobrze?” – sposób, w jaki śmiała się z niego w czasie nocy poślubnej (czy to już było czterdzieści cztery lata temu?), kiedy zarzucał ją pytaniami, w samym środku stosunku, „a tak jest dobrze, o tak? A tak, w tym miejscu, nie jest?”, w swoim pragnieniu, żeby dowiedzieć się, co działało, w ciekawości, która go nakręcała, tak silnej jak samo pożądanie. I co w tym złego? Seks, podobnie jak śmierć, był ważny, a jednak dlaczego nikomu nie zależy na tyle, żeby zadawać pytania, które są ważne? Kinsey zadał i Kübler-Ross (i on też, przynajmniej próbował), ale należało to do rzadkości i często spotykało się z wrogością ograniczonego, zacofanego środowiska naukowego... „Odpuść to, Jer”, słyszał słowa Sheili. „Po prostu odpuść”.

Powinien być zakłopotany – panna młoda śmiała się z niego podczas nocy poślubnej, czysta komedia – ale to jedynie potwierdziło słuszność dokonanego

wyboru. Śmiała się, ponieważ wiedziała, z jakim gatunkiem miała do czynienia, akceptowała jego potrzebę dociekania razem z całą resztą, z całym tym ludzkim bagażem dziwactw i uczuć.

– Doktorze Anderson – wyszła zza biurka i położyła rękę na jego ramieniu.

Nigdy o tym nie myślał, lata temu, kiedy był lekarzem rezydentem, który przekazywał złe wieści – o mocy dotyku. Czuł delikatny nacisk jej paznokci przez bawełniany podkoszulek. Zaczął oblewać się potem na myśl, że miałyby zabrać dłoń, więc brutalnie wyszarpał rękę, zauważając, że przestraszyła się, instynktownie marszcząc brwi, kiedy przeżywała odrzucenie. Wycofała się za swoje biurko, otoczone po obu stronach dyplomami przypominającymi oddanych żołnierzyków w łacińskich mundurach.

– Czy dobrze się pan czuje? Czy mogę odpowiedzieć na jakieś pytania?

Powrócił z trudem myślami do tego, co mówiła. Do chwili, gdy wypowiedziała to słowo – afazja. Słowo niczym ładna dziewczyna w letniej sukience, która dzierży w dłoni sztylet wymierzony prosto w jego serce.

„Afazja”, pochodzi od greckiego słowa *aphatos*, oznaczającego „niemy”.

– Czy diagnoza jest pewna?

Korytarzem na zewnątrz gabinetu przejechał wózek, pobrzękując szklankami z napojami.

– Diagnoza jest pewna.

Na pewno były jeszcze jakieś pytania.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. Nie miałem żadnego urazu mózgu ani udaru.

– To rzadziej występująca postać afazji. Afazja pierwotna postępująca to demencja o charakterze progresywnym, uszkadza ośrodek mózgu odpowiedzialny za mowę.

„Demencja”. To dopiero było słowo, którego najchętniej by się pozbył.

– Tak jak w... – Zmusił się do powiedzenia tego na głos. – Chorobie Alzheimera?

Czy uczył się o tym na studiach medycznych? Czy to było znaczące, że tego nie pamiętał?

– PPA to rodzaj zaburzenia mowy, ale tak. Można powiedzieć, że są kuzynami.

– Cóż za rodzinka. – Roześmiał się.

– Doktorze Anderson? – Patrzyła na niego, jakby był stuknięty.

– Proszę się wyluzować, doktor Rothenberg. Nic mi nie jest. Po prostu... przewijam sobie film, jak to mówią. W końcu to moje życie... – Westchnął. – Takie, jakim było. „Jakie mogą nas nawiedzić sny w drzemce śmierci, gdy ścichnie za nami doczesny zamęt? Niepewni, wolimy wstrzymać się chwilę”<sup>2</sup>.

Uśmiechnął się do niej, ale wyraz jej twarzy pozostał niezmienny.

– Och, dobry Boże, kobieto, nie bądź taka przerażona – czy na Yale już nie uczą Szekspira?

Zerwał z siebie stetoskop i wręczył go jej. Rozumiesz, co muszę stracić? W środku się w nim gotowało. Istnieją rzeczy, o których nigdy nie myślałem, że je stracę. Czy jest jakieś życie poza Szekspirem? Teraz to jest pytanie, które warto zadać.

Czy istnieje jakieś życie poza pracą?

Ale przecież nie był skończony.

– Może chciałby pan z kimś porozmawiać – z pielęgniarką – albo, jeśli pan woli, z psychiatrą...

– Jestem psychiatrą.

– Doktorze Anderson. Proszę posłuchać. – Zauważył to, ale nie poczuł, tę troskę w jej spojrzeniu. – Wiele osób cierpiących na afazję pierwotną postępującą radzi sobie samodzielnie przez sześć albo nawet siedem lat. W niektórych przypadkach dłużej. A pana choroba jest w bardzo wczesnym stadium.

– Więc będę mógł sam się karmić i... podcierać, i robić całą resztę? Przez najbliższe lata?

– Najprawdopodobniej.

– Tylko nie będę mógł mówić. Ani czytać. Ani porozumiewać się w jakikolwiek sposób z resztą rodzaju ludzkiego.

– Choroba ma charakter postępujący, jak już wspominałam. Tak, przyjdzie taki czas, że komunikacja werbalna i pisemna stanie się wyjątkowo trudna. Ale występuje duże zróżnicowanie przypadków. U wielu pacjentów upośledzenie postępuje dość powoli.

– A potem?

– Mogą się rozwinąć objawy przypominające chorobę Parkinsona, którym towarzyszy pogorszenie pamięci, umiejętności oceny sytuacji, zdolności poruszania się et cetera. – Przerwała. – Może to często wpływać na długość życia.

– Przedział czasowy? – Te dwa słowa były wszystkim, co zdołał powiedzieć.

– Wiedza konwencjonalna mówi, że od momentu postawienia diagnozy do śmierci upływa od siedmiu do dziesięciu lat. Ale według najnowszych badań...

– A leczenie?

Znowu zamilkła.

– Na dzień dzisiejszy nie istnieją żadne metody leczenia PPA.

– Ach tak. Rozumiem. Cóż, dzięki Bogu to nie jest wyrok śmierci.

A więc tak to się czuje. Zawsze się nad tym zastanawiał. Wiedział, jak to jest być po tej drugiej stronie biurka. Minęło od tamtej pory tyle lat, miesiącami zmuszano stażystów na oddziale psychiatrii do przekazywania najcięższych diagnoz, nazywając to „praktyką”, chociaż bardziej przypominało to sadyzm. Pamiętał ten lęk wprawiający dłonie w drzenie przed wejściem do tamtego

gabinetu, gdzie czekał pacjent (ręce w kieszeniach, tak wyglądała wtedy jego mantra – ręce w kieszeniach, opanowany ton głosu, maska profesjonalisty, która nikogo nie była w stanie oszukać). A potem to uczucie głębokiej ulgi, że już po wszystkim. W łazience na oddziale psychiatrii trzymali sobie pod umywalką butelkę wódki na takie okazje.

Tymczasem ta lekarka, ta postępową neurołożka, do której go wysłano (misternie ułożona fryzura, wytworna – sam jej makijaż był swego rodzaju brawurą), musiała odbywać ponad tuzin takich rozmów miesięcznie (w końcu to jedna z jej specjalizacji), a jednak wyglądała tak, jakby była na skraju wytrzymałości nerwowej. Miał nadzieję, że kiedy będzie już po wszystkim, czeka na nią gdzieś jakaś butelka.

– Doktorze Anderson...

– Jerry.

– Czy jest ktoś, po kogo możemy zadzwonić? Może jakieś dziecko? Rodzeństwo? Albo... żona?

Ich spojrzenia się spotkały.

– Nie mam nikogo.

– Och. – To współczucie w jej oczach było nie do zniesienia.

Przyjął to wszystko i jednocześnie od siebie odepchnął. Nie był skończony. Nie pozwolił sobie na to, żeby być skończonym. Nadal mógł jeszcze napisać tę książkę. Będzie szybko pisał. Tyle może zrobić. Mógłby skończyć ją w ciągu roku lub dwóch lat, zanim proste rzeczowniki, a potem sam język staną się dla niego czymś niezrozumiałym.

Wiedział, że był coraz bardziej zmęczony. Przypuszczał, że to się właśnie okaże. Dlatego czasem nie potrafił znaleźć właściwych słów na określenie różnych rzeczy, chociaż przecież wiedział, że je znał. Nie mogły przejść mu przez usta albo wyjść spod pióra i sądził, że to z powodu wyczerpania. Lata przecież leciały, a on zawsze pracował do późna. A może złapał jakąś zarazę podczas swojej ostatniej podróży do Indii, więc poszedł zrobić sobie badania kontrolne, i tak po nitce do kłębka, od jednego lekarza do drugiego, ale nie obawiał się niczego. Był człowiekiem, który nie bał się śmierci i nigdy nie pozwalał sobie na to, żeby ból go zatrzymał, człowiekiem, który przeżył żółtaczkę, malarię i był w stanie pracować normalnie podczas łżejszych chorób, na które prawie nie zwracał uwagi, więc nie miał się czego bać – a jednak teraz jakimś zbiegiem okoliczności znalazł się w tym miejscu, na skraju przepaści. Ale w nią nie wpadł, przynajmniej na razie.

Tak wiele słów. Och, nie był gotowy na to, żeby rozstać się z żadnym z nich. Kochał je wszystkie. Szekspir. Solniczka. Sheila.

Co powiedziałyby mu Sheila, gdyby tutaj była? Zawsze była bardziej bystra niż on, chociaż ludzie śmiali się, kiedy tak mówił – nauczycielka przedszkola bardziej inteligentna niż psychiatra? Ale ludzie byli idiotami. Naprawdę.

Dostrzegali jedynie burzę jej blond włosów i jego tytuły naukowe, tymczasem każdy półgłówek mógł dostrzec, jaka była mądra, jak wiele rozumiała, jak wiele pozwalała sobie zrozumieć.

Gdyby Sheila tutaj była...

A może była? Czy mogła do niego przychodzić w trudnych chwilach? Czuł jej zapach. Nie miał żadnych szczególnych doświadczeń z duchami, ale także nie zaprzeczał ich istnieniu. To przedmiot badań z niewystarczającą ilością danych, pomimo że tu i ówdzie podejmowano śmiałe próby ich zdobycia, choćby przypadek ducha pani Butler opisany przez C.J. Ducasse'a albo zjawa z Cheltenham opisana przez Myersa, nie wspominając już o pracach Williama Jamesa i jemu podobnych z początku dziewiętnastego wieku na temat mediów spirytystycznych.

Zamknął na chwilę oczy i próbował wyczuć jej obecność. Poczł albo chciał poczuć, coś. Pobudzenie. Och, Sheilo.

– Jerry. – Głos doktor Rothenberg był niski. – Naprawdę sędzę, że powinieneś z kimś porozmawiać.

Otworzył oczy.

– Proszę, nie wzywaj psychiatry. Wszystko ze mną w porządku. Naprawdę.

– Dobrze – powiedziała miękkim głosem.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, patrząc na siebie nawzajem z dwóch stron biurka, jakby siedzieli na dwóch przeciwległych brzegach wzburzonej rzeki. Jakimi dziwnymi stworzeniami są inne istoty ludzkie, pomyślał. To zadziwiające, że ludzie w ogóle się porozumiewają.

Dość. Pochylił się do przodu, złapał oddech.

– A zatem to już wszystko?

Potraktuj to jako przysługę, pomyślał. Niniejszym jesteś uwolniona od zezowatej uwagi mężczyzny w stanie rozpadu.

– Masz jeszcze jakieś pytania? Coś na temat... przebiegu choroby?

Czego ona od niego chciała? Nagle ogarnęła go fala paniki. Chwycił się kurczowo krawędzi krzesła i dostrzegł, że w końcu się rozluźniła na widok jego słabości. Zmusił się do tego, żeby zwolnić uścisk.

– Żadnych, na które możesz mi odpowiedzieć. Żadnych, na które można by udzielić odpowiedzi na czas.

Zdołał wstać, nie chwiejąc się na nogach. Zasalutował jej słabo.

Obserwował, jak przyglądała się, gdy zbierał swoją aktówkę i kurtkę, dostrzegł zmieszanie spowodowane przez jej dezorientację. W sumie nie takiej reakcji się spodziewała.

Niech to będzie dla ciebie lekcja, pomyślał, kiedy zamknął za sobą drzwi i oparł się o ścianę, próbując złapać oddech w tym zbyt jasnym, oświetlonym światłem lamp fluorescencyjnych korytarzu, pośród narastającego, nieprzerwanego



krzyku zdrowych i chorych. Nigdy nie wiadomo.  
To była jego życiowa lekcja.

## Rozdział trzeci

*Janie klęczała na różowej terakocie w swojej najlepszej małej czarnej i próbowała wyciszyć umysł. Brudna woda z kąpeli sączyła się po podłodze, mocząc pończochy na jej kolanach i plamiąc brzeg aksamitnej sukienki. Zawsze lubiła tę sukienkę z powodu wysokiego stanu, który współgrał z jej sylwetką, a aksamit nadawał jej wesoly, artystyczny styl, ale teraz, poplamiona żółtkiem i pieniącymi się pasmami szamponu, świeącymi jak ślina, zamieniła się w jej najwytworniejszą szmatę.*

Z trudem stanęła na nogach, rzuciła okiem do lustra.

Wyglądała jak nieboskie stworzenie, to prawda. Tusz do rzęs poczercił miejsca pod jej oczami, jakby ktoś podbił jej oko. Cienie do oczu pozostawiły błyszczące, brązowe pasma w poprzek skroni, a lewe ucho krwawiło. Jednak włosy nadal wyglądały dobrze, falami i lokami układając się wokół twarzy, jakby nie dostała żadnej wiadomości.

Należy jej się za to, że myślała o tym, by na jedną noc uwolnić się od Noaha. No i była taka podekscytowana.

Janie zdawała sobie sprawę z tego, że to zapewne irracjonalne ekscytować się jakąś randką z kimś, kogo właściwie nie знаła. Ale spodobało jej się zdjęcie Boba, wyraz otwartości na jego twarzy i miłe, zmrużone oczy, i podobał jej się jego żartobliwy ton głosu przez telefon, sposób, w jaki głęboko wibrował w jej ciele, budząc je. Rozmawiali przez ponad godzinę, zadowoleni z tego, że tak wiele ich łączyło – oboje wychowali się na Środkowym Zachodzie i po studiach ruszyli do Nowego Jorku. Oboje byli jedynymi dziećmi budzących szacunek matek. Oboje wyglądali przyzwoicie i byli ludźmi umiejącymi funkcjonować w towarzystwie, zaskoczonymi tym, że żyli samotnie w mieście, które uwielbiali. Trudno im było nie zastanawiać się nad tym (nie powiedzieli tego na głos, ale dało się to wyczuć w tonie ich głosu, w ich niewymuszonym śmiechu), czy cała ta ekscytacja nagle gdzieś nie zniknie.

I umówili się na kolację! Kolacja była stanowczo obiecująca.

Musiła tylko jakoś przeżyć ten dzień. To był męczący poranek, który przypominał bardziej terapię par niż pracę architekta, ponieważ państwo Ferdinand wahali się, czy trzecia sypialnia miała być pokojem do ćwiczeń czy męską jaskinią, a Williamsowie w ostatniej chwili przyznali, że chcieli przedzielić pokój dziecięcy na pół, ponieważ właściwie będą potrzebowali dwóch głównych sypialni w domu, a nie jednej, co na pewno da się zrobić. Nie obchodziło jej to, czy będą spali razem czy osobno, tylko dlaczego nie powiedzieli jej o tym, zanim skończyła projekt. W ciągu dnia, pomiędzy spotkaniami, przyłapała się na tym, że ciągle sprawdzała

telefon, ponieważ Bob wysyłał do niej ekscytujące, naładowane emocjami wiadomości: „Już nie mogę się doczekać!”. Wyobrażała go sobie (wysoki czy może niski? zapewne wysoki...), jak siedział w swoim boksie (albo w jakimś innym miejscu, gdzie pracowali programiści) i ożywiał się, kiedy brzęczenie telefonu oznajmiało, że doszła odpowiedź od niej: „Ja też!” – oboje wysyłali sobie esemesy, jak para nastolatków, brnąc przez ten dzień, bo przecież każde z nich potrzebowało czegoś, co pozwoliło im przetrwać, prawda?

I szczerze mówiąc, nie mogła się już doczekać wolnego wieczoru bez Noaha. Prawie od roku nie była na żadnej randce. Kolacja z Bobem zaintrygowała ją, uzmysławiając jej, że nie wiodła życia, jakie sobie zaplanowała.

Poświęcenie samotnej matki stanowiło mantrę, którą matka powtarzała przez całe jej dzieciństwo, nieodmiennie z tym samym, nieco smutnym uśmiechem, jakby złożenie ofiary z reszty swojego życia było ceną, którą należało zapłacić za tę jedyną rzecz mającą znaczenie. Chociaż starała się z całych sił, Janie nie potrafiła przywołać sobie innego wizerunku swojej matki niż tego w fartuchu pielęgniarki, schludnie wyprasowanym i ściągniętym ciasno paskiem, w białych butach i z włosami koloru grafitowego ostrzyżonymi na boba, bystrymi, mądrymi oczami, bez śladu upływu czasu, makijażu ani wyraźnego żalu (nie wierzyła w to).

Nie można było zadzierać z Ruthie Zimmerman. Nawet chirurdzy, z którymi pracowała, najwyraźniej nieco się jej obawiali, mrugając nerwowo oczami, kiedy wpadały na nich razem z Jane w supermarkecie, a wzrok Ruth wędrował wyraźną ścieżką od jej wózka wyładowanego po brzegi warzywami i tofu do ich sześciopaków piwa i opakowań boczku i chipsów. Podobnie trudno było sobie wyobrazić, że poszłaby na randkę albo spałaby w czymś innym niż we flanelowej piżamie w kratę.

Kiedy Janie postanowiła, że urodzi Noaha, zdecydowała, że ona będzie robić to wszystko inaczej. Zapewne dlatego tamtej nocy trzymała się swojego planu, nawet wtedy, gdy sprawy potoczyły się w zupełnie innym kierunku.

Przyjechała o dziesięć minut za wcześnie do szkoły Noaha i spędziła ten czas, na przemian sprawdzając esemesy od Boba i wypatrując Noaha przez szybę sali czterolatek. Pozostałe dzieci robiły coś, co wymagało naklejania pomalowanego na niebiesko makaronu na papierowe talerzyki, podczas gdy jej synek, jak zwykle, stał tuż przy boku Sondry, przerzucając z ręki do ręki kulkę ciastoliny Play-Doh i obserwując, jak dogląda jego rówieśników. Janie zduśiła w sobie ukłucie zazdrości. Od pierwszego dnia w przedszkolu Noah, w niewytłumaczalny sposób przyklejony do tej pogodnej, pochodzącej z Jamajki nauczycielki, chodził za nią krok w krok jak szczeniak. Gdyby tak chociaż w połowie lubił jedną ze swoich opiekunek, byłoby jej o wiele łatwiej wychodzić z domu...

Marissa, dyrektorka przedszkola, kobieta pełna naturalnej radości albo

pobudzona kofeiną, dostrzegła ją przy oknie i pomachała rękami, jakby naprowadzała samolot, mówiąc bezgłośnie: „Możemy porozmawiać?”.

Janie westchnęła – znowu? – i klapnęła na ławkę w korytarzu pod rzędem wiszących lampionów w kształcie dyni z kolorowego papieru.

– Jak tam idzie mycie rączek? Jakież postępy? – Marissa rzuciła dodający otuchy uśmiech.

– Niewielkie – odparła, co było kłamstwem, ale lepsze to, pomyślała, niż „nie ma żadnych”.

– Bo dzisiaj znowu musiał opuścić zajęcia plastyczne.

– To niedobrze. – Janie wzruszyła ramionami w sposób, który – jak miała nadzieję – nie umniejszał wartości makaronowego obrazka. – Ale wygląda na to, że mu to nie przeszkadza.

– I robi się trochę... – Zmarszczyła nos, zbyt uprzejma, żeby dokończyć zdanie. Powiedziała to, pomyślała Janie. Brudny. Jej syn był brudny. Każdy widoczny centymetr jego skóry był poklejony albo poplamiony atramentem, kredą lub klejem. Przynajmniej od dwóch tygodni miał na szyi czerwoną smugę od magicznej markerki. Robiła, co mogła, wycierając go mokrymi chusteczkami i smarując jego dłonie i nadgarstki środkiem do dezynfekcji dłoni, który wydawał się utrzymywać ten pył, jakby pokryła go warstwą laminatu.

Niektóre dzieci bez przerwy myły rączki. Jej dziecko nie zbliżyło się do kropli wody bez walki. Dzięki Bogu, że jeszcze nie wszedł w okres dojrzewania, bo przypominałby bezdomnego mężczyznę w metrze, którego smród czuć z sąsiedniego wagonu.

– A, hm, będziemy piec. Jutro? Muffiny z jagodami? Nie chciałabym, żeby to przegapił!

– Porozmawiam z nim.

– Dobrze. Bo... – Marissa przechyliła głowę na bok, a jej brązowe oczy wypełniły się troską.

– O co chodzi?

Nauczycielka potrząsnęła głową.

– Byłoby mu przyjemnie, to wszystko.

Przecież to tylko muffiny, pomyślała Janie, ale nie odezwała się słowem. Wstała. Widziała Noaha przez małe okienko. Był w części sali z przebraniami i pomagał Sondrze zbierać kapelusze. Żartobliwie wrzuciła fedorę na jego głowę i Janie skrzywiła się. Wyglądał na zachwyconego, ale ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowali, były wszy.

Zdejmij ten kapelusz, Noah, prosiła go po cichu.

A głos Marissy dzwonił jej w uchu.

– I proszę posłuchać... Czy mogłaby pani poprosić go, żeby nie opowiadał tyle o Voldemorcie na zajęciach? Niektóre dzieci się tym niepokoją.

– Dobrze. – Zdejmij. To. Z głowy. – A kto to jest Voldemort?

– Postać z książek o Harrym Potterze. Chodzi o to, że całkowicie rozumiem, że chce mu pani czytać te książki. Sama je uwielbiam, ale rzecz w tym... że oczywiście Noah jest rozwinięty ponad swój wiek, ale te książki nie są odpowiednie dla pozostałych dzieci.

Janie westchnęła. Zawsze snuli błędne przypuszczenia co do jej syna. Miał fenomenalny mózg chłonący informacje z powietrza – kto wie, być może była to jakaś luźna uwaga, którą kiedyś usłyszał? – ale oni zawsze próbowali doszukać się w tym innego znaczenia.

– Noah nie ma pojęcia o istnieniu Harry’ego Pottera. Sama nigdy nie czytałam tych książek. I nigdy nie pozwoliłabym mu oglądać takich filmów. Może jakieś inne dziecko mu o nich opowiedziało, jakieś, które ma starsze rodzeństwo?

– Ale... – Nauczycielka zamrugała brązowymi oczami. Otworzyła ponownie usta, żeby coś powiedzieć, ale potem najwyraźniej zmieniła zdanie. – Cóż, niech pani mnie posłucha, po prostu proszę mu powiedzieć, żeby dał sobie spokój z tymi mrocznymi tematami, dobrze? Dziękuję bardzo... – powiedziała, otwierając drzwi do dzikiego kłębowiska czterolatków oblepionych niebieską farbą i makaronem.

Janie stanęła w drzwiach i czekała, aż Noah ją dostrzeże.

Ach, to zawsze była najmiłsza część jej dnia – to, jak się rozpromieniał, kiedy już ją wypatrzył, i ten szelmowski uśmieszek pojawiający się na jego twarzy, kiedy gnał na łeb na szyję, robił salto z rozbiegu i rzucał się w jej ramiona. Zaplatał nogi wokół jej talii jak małpka i przyciskał swoje czoło do jej czoła, patrząc na nią z jedyną w swoim rodzaju żartobliwą powagą, jakby chciał powiedzieć: „Ach tak, poznaję cię”. Patrzył na nią oczyma, w których kryło się spojrzenie jej matki, a także jej własne, przejrzysty błękit, który dzięki Bogu wyglądał całkiem nieźle na jej twarzy, ale na buzi Noaha, otoczonej przez burzę blond loczków, nabierał całkiem innego wymiaru i ludzie zawsze ukradkiem spoglądali na niego jeszcze raz, jakby to nieziemskie piękno, które znalazło wyraz w tym chłopcu, było jedynie jakimś złudzeniem.

Pokłady jego radości zawsze ją zadziwiały, było to coś, czego uczył ją samym swoim spojrzeniem.

Tymczasem wyszła z Noahem na zewnątrz, zanurzając się w zmierzchu październikowego popołudnia, i poczuła, jak cały wszechświat skupił się chwilowo na tej małej postaci podskakującej na paluszkach u jej boku. Szli pod drzewami, trzymając się za ręce, a brązowe kamienie jak okiem sięgnąć leżały rzędami wzdłuż krawędzi chodnika.

Telefon zabrzęczał jej w kieszeni, nagle ściągając jej uwagę w kierunku Boba, tego niewidzialnego zbioru charakterystycznych cech (głęboki głos, rozkoszny śmiech), która jeszcze nie połączyła się w całą istotę ludzką.

– Czuję się tak, jakbym już cię znał. Dziwne?

– Nie! – odpisała. – Mam tak samo! (Czy to prawda? Może). Czy powinna napisać „x”? Czy to byłoby zbyt poufałe? Postanowiła napisać jedno „x”. Odpowiedział natychmiast: „XXX!”<sup>6</sup>.

Och! Poczowała, jak wezbrała w niej fala gorąca, jakby wpłynęła w akwen ciepłej wody w zimnym jeziorze.

Przechodzili obok kafejki na rogu ich domu i przyciągnął ją ten zapach. Postanowiła wzmocnić się przed rozmową, która ją czekała. Wciągnęła do środka Noaha.

– Dokąd idziemy, mamusiu-mamo?

– Potrzebuję wypić kawę. Pośpieszę się.

– Mamo, jeśli teraz wypijesz kawę, nie będziesz mogła spać do rana.

Roześmiała się. Było to zdanie, które mógłby wypowiedzieć jakiś dorosły.

– Masz rację, Noey. Wezmę sobie bezkofeinową. Dobrze?

– A mogę dostać bezkofeinowego, kukurydzianego muffina?

– Dobrze.

Oczywiście to było tuż przed jego porą obiadową, ale co tam u licha?

– A bezkofeinowe smoothie?

Zmierzyła mu włosy.

– Bezkofeinowa woda dla ciebie, mój przyjacielu.

Kawa pachniała zniewalająco, kiedy w końcu usiedli ze wszystkimi smakołykami na podeście pod drzwiami wejściowymi do ich domu. Słońce chowało się za budynkami. Światło – różowe i łagodne – wywoływało rumieniec na zbudowanych z cegły domkach jednorodzinnych w zabudowie szeregowej, a także na budynkach z czerwono-brunatnego piaskowca, i rzucało blask na liście opadłe z drzew. Latarnia gazowa przed wejściem migotała. To okazało się decydującym czynnikiem i skłoniło ją do wynajęcia tego mieszkania, pomimo że było drogie, w suterenie i bez dostępu do światła dziennego. Ale stolarka z drewna mahoniowego wewnątrz, przyjemne żywopłoty i latarnia gazowa przed wejściem sprawiały, że czuła się przytulnie, jakby mogli się razem z Noahem bezpiecznie tam schować, z dala od świata i poza czasem. Nie wzięła pod uwagę tego, że nieustannie mrugające światło przed frontowym oknem będzie ściągało jej wzrok w różnych dziwnych porach dnia, a w nocy będzie odbijało się w oknach kuchni na tyłach domu, wywołując w niej nieraz strach i wrażenie, że dom się palił.

Wyczyściła brudne ręczki Noaha antybakteryjną chusteczką i podała mu muffina.

– Wiesz, jutro w przedszkolu będą piec muffiny. Co ty na to?

Ugryzł kawałek, wyzwalaając całą lawinę okruchów.

– Czy potem będę musiał się umyć?

– Cóż, przy gotowaniu człowiek się brudzi. Jest mąka i surowe jajka...

– Och. – Oblizął swoje paluszki. – Wobec tego nie.

– Nie możemy tak robić do końca świata, robaczku.

– Dlaczego nie?

Nie starała się odpowiedzieć mu na to pytanie – ciągle to wałkowali, a były jeszcze inne rzeczy, o których musiała mu powiedzieć.

– Hej. – Szturchnęła go lekko.

Był zajęty – zawzięcie zajadał swojego kukurydzianego muffina. Jak mogła pozwolić, żeby to sobie zamówił? To ciastko wydawało się ogromne.

– Posłuchaj, wychodzę dzisiaj wieczorem.

Utkwił w niej wzrok. Odłożył muffina.

– Nie wychodzisz.

Wzięła głęboki oddech.

– Przykro mi, dzieciaku.

W jego oczach pojawił się błysk wściekłości.

– Ale ja nie chcę, żebyś gdzieś szła.

– Wiem, ale mamusia musi czasem gdzieś wychodzić, Noah.

– To zabierz mnie ze sobą.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

Ponieważ mamusi nic złego się nie stanie, jeśli przynajmniej raz będzie uprawiać seks, zanim wyjedziesz na studia.

– To sprawy dla dorosłych.

Spiorunował ją rozpaczliwym, krzywym uśmiechem.

– Ale ja jestem rozwinięty ponad swój wiek.

– Wszystko to pięknie, ale nie, kolego. Wszystko będzie dobrze. Lubisz Annie. Pamiętasz? Przyszła w zeszły weekend do mamusi do biura i bawiła się z tobą klockami Lego?

– A jak będę miał zły sen?

Wzięła to pod uwagę. Często miewał złe sny. Kiedyś przyśniło mu się coś strasznego, kiedy była na branżowym spotkaniu networkingowym. Wróciła i zastała go ze szklistymi oczami, trzęsącego się, jak oglądał puszczone z płyty bajkę *Dora poznaje świat*, podczas gdy opiekunka (która wydawała się taka uduchowiona i która przyniosła ciasteczka czekoladowe własnej roboty!) ledwo uniosła do góry kilka palców, słabo machając z miejsca, gdzie leżała na sofie, wycieńczona i zszokowana. Ta też już nigdy więcej nie przyszła.

– Wtedy Annie cię obudzi, przytuli i zadzwoni po mamusię. Ale nie będziesz miał złych snów.

– A jeśli będę miał atak astmy?

– Wtedy Annie poda ci nebulizator, a ja natychmiast wrócę do domu. Ale od dawna nie miałeś ataku.

– Nie idź, proszę. – Ale jego głos drżał, jakby Noah wiedział, że było już po

zawodach.

Była już ubrana, poprawiając włosy i kątem oka śledząc film na YouTube, na którym jakaś chichocząca nastolatka pokazywała, jak prawidłowo nakładać cienie do oczu – co właściwie okazało się zaskakująco pomocne – kiedy usłyszała piskliwy głos Noaha wzywający ją z salonu.

– Mamusiu-mamo! Przyjdź tutaj!

Czyżby SpongeBob już się skończył? Nie emitowali tych odcinków w kółko?

Poszła do pokoju po cichu, stąpając stopami odzianymi w czarne pończochy. Wszystko stało tak, jak to zostawiła, miska minimarchewek nietknięta na stoliku kawowym obitym skórą, wyjący SpongeBob, który spacerowym krokiem szedł sobie przez ekran na swoich dziwnych, pałakowatych nogach, ale nigdzie w zasięgu wzroku nie było Noaha. Coś mignęło w przejściu do kuchni. Czyżby to refleks migoczącej latarni gazowej?

– Hej, popatrz na to!

Nie była to migocząca latarnia gazowa.

Kiedy wyjrzała za róg pokoju i dostrzegła go, jak stał przy ladzie kuchennej obok otwartego opakowania brązowych jajek wzbogaconych organicznymi kwasami omega-3 i uderzał jednym za drugim w głowę z burzą blond loczków, poczuła, że ta noc wyslizguje jej się z rąk.

Nie. Nie może na to pozwolić. Nagle znikąd pojawiła się złość – to jej życie, jej życie, jedyne życie, czyż nie mogła mieć choć trochę radości, tylko w ten jeden wieczór? Czyżby to zbyt wiele, żeby o to prosić?

– Widzisz, mamusiu? – powiedział, odpowiednio słodko, ale nie było wątpliwości, że na jego twarzy wyraźnie malował się upór. – Robię sobie ajer-Noah. Rozumiesz? Jak ajerkoniak?

Skąd w ogóle wiedział, co to był ajerkoniak? Skąd wiedział o rzeczach, o których nikt wcześniej mu nie mówił?

– Spójrz. – Wziął kolejne jajko, zamach, zamachnął się ręką i cisnął nim w sam środek ściany, wydając okrzyk radości, kiedy się rozprysło. – Szybka piłka.

– Co jest z tobą nie w porządku? – zapytała.

Wzdrygnął się i przerzucił jajko do drugiej dłoni.

Próbowała modulować głos.

– Po co miałbyś to robić?

– Nie mam pojęcia. – Wyglądał na lekko przestraszonego.

Usiłowała się uspokoić.

– Będziesz musiał teraz wziąć kąpiel. Wiesz o tym, prawda?

Wzdrygnął się na to słowo. Jajko spływało mu po twarzy, zbierając się w zagłębieniu szyi.

– Nie idź – powiedział, a spojrzenie jego niebieskich oczu przyszpilało ją do



ściany swoim żądaniem.

Nie był głupi. Oceniał, że warto zaakceptować to, czego nienawidził najbardziej na świecie, po to, żeby zatrzymać ją w domu. Tak bardzo chciał, żeby została. Czy Bob, który nawet jej jeszcze nie poznał, mógł być dla niego konkurencją?

Nie, nie, nie. Pójdzie tam! Na miłość boską, tego już za wiele! Nie będzie ulegać takiemu szantażowi, szczególnie ze strony dziecka! Mimo wszystko to ona była dorosła – czyż nie tak mówiono w jej grupie wsparcia dla samotnych matek? To ty ustalasz zasady. Musisz być twarda, szczególnie dlatego, że jesteś jedyną dorosłą osobą w tej rodzinie. Nie wyświadczacie im żadnej przysługi, poddając się.

Wzięła go na ręce (był lekki, przecież to tylko dziecko, czterolatek). Zniosła go do łazienki i trzymała mocno w swoich ramionach jego wijące się ciało, kiedy odkręciła kran i sprawdziła temperaturę wody.

Rzucił się i wrzeszczał jak zwierzę, które wpadło w pułapkę. Podeszła do brzegu wanny i umieściła go na macie (przebierającego nogami i wymachującego rękami), i jakoś zdołała zdjąć z niego ubranie i włączyć prysznic.

Ten wrzask zapewne dało się słyszeć na całej Eighth Avenue. Walczył tak, jakby od tego zależało jego życie, ale ona to zrobiła, trzymała go tam pod strumieniem wody i wycisnęła mu szampon na głowę, powtarzając sobie przez cały czas, że nikogo nie torturowała, a jedynie robiła synowi tak bardzo potrzebną mu kąpiel.

Kiedy było już po wszystkim (kwestia kilku sekund, choć wydawały się wiecznością), on leżał na stercie rzeczy na dnie wanny, a ona krwawiła. W samym środku tego zamieszania wyciągnął szyję i ugryzł ją w ucho. Próbowwała zawinąć go w ręcznik, ale wyrwał jej się, wygramolił się z wanny i poszedł do swojej sypialni, ślizgając się po podłodze. Wyjęła z szafki na lekarstwa jakiś antybiotyk i posmarowała nim ranę, jednocześnie słuchając wycia, które rozbrzmiewało echem w całym domu, napełniając każdą komórkę jej ciała rozpaczą.

Spojrzała w lustro.

Kogokolwiek tam zobaczyła, nie była to kobieta, która właśnie wybierała się na pierwszą randkę.

Poszła do pokoju Noaha. Siedział na podłodze, goły, kołysał się, rękami obejmując kurczowo kolana – wyglądał jak siedem nieszczęść, blada skóra błyszczała w zielonym świetle rzucanym przez świecące w ciemności gwiazdki, które nakleiła na suficie, żeby ten małeńki pokójek wydawał się większy, niż był w rzeczywistości.

– Noey?

Nie spojrzał na nią. Płakał po cichu w kolana.

– Chcę do domu.

Powtarzał to zawsze w chwilach cierpienia, odkąd zaczął chodzić. Było to

pierwsze pełne zdanie, które wypowiedział. Zawsze odpowiadała w ten sam sposób: „Przecież jesteś w domu”.

– Chcę moją mamę.

– Jestem tutaj, kochanie.

Odwracał od niej wzrok.

– Nie ciebie. Chcę tę moją drugą mamę.

– Ja jestem twoją mamusią, skarbie.

Odwrócił się. Utkwił w niej swoje przepelnione smutkiem oczy.

– Nie. Nie jesteś.

Przebiegł po niej dreszcz. Była świadoma swojego istnienia, jakby przyglądała się sobie z dużej odległości, stojąc nad tym trzęsącym się chłopcem w przedziwnym blasku fałszywych gwiazd. Czuła szorstką, drewnianą podłogę pod stopami, z sękami przypominającymi dziury, w które można wpaść i znaleźć się poza czasem.

– Tak. Twoją jedyną matką.

– Chcę moją drugą matkę. Kiedy przyjdzie?

Wzięła się z trudem w garść. Biedny dzieciak, pomyślała. Jestem wszystkim, co masz. Jesteśmy dla siebie wszystkim, co mamy, nas dwoje. Ale zrobimy tak, żeby wszystko się udało. Będę sobie radzić lepiej. Obiecuję. Przykucnęła obok niego.

– Nigdzie nie pójde, dobrze?

Wysłała do Boba esemesa z przeprosinami i na tym się skończy. No bo co mogła powiedzieć? Pamiętasz tego uroczego synka, o którym ci wspominałam? Cóż, jest trochę nietypowy... Nie, to, co ich łączyło, było jeszcze zbyt nietrwałe, żeby mogło wytrzymać próbę takich komplikacji, a poza tym w Nowym Jorku zawsze jakaś samotna kobieta czekała w gotowości. Odwoła opiekunkę i zapłaci jej mimo wszystko, ponieważ to była ostatnia chwila i nie mogła sobie pozwolić, żeby stracić kolejną.

– Nie pójde – powtórzyła. – Odwołam Annie. Zostanę z tobą.

Odczuwała wdzięczność, nie po raz pierwszy, że nie było w pobliżu żadnej dorosłej osoby, która byłaby świadkiem tej słabości.

Ale kto by się przejmował tym, co myślą inni? Twarz Noaha nabrała kolorów, róż rozkwitł na lepkiej skórze, a jego szelmowski półuśmiech zwałił ją z nóg i przesłonił cały pokój. Jakby patrzyło się na słońce. Może jednak jej matka miała rację, pomyślała. Może istniały siły, którym nie można się było oprzeć.

– Chodź tutaj, głuptasie.

Rozłożyła ręce, rzucając to wszystko na jedną szalę – sukienkę, randkę, ekscytującą noc i być może wszystkie ekscytujące noce, jakie jej jeszcze pozostały, kobietę, która właśnie się starzała, dokładnie w połowie swojego jedyne go życia.

Tutaj, w jej ramionach było to, co naprawdę miało znaczenie. Pocałowała

jego słodkie, wilgotne czoło. Pachniał ładnie, chociaż raz.

Podniósł buzię do góry.

– Czy moja mama wkrótce przyjdzie?

## Rozdział czwarty

*Anderson otworzył oczy i z przerażeniem rozejrzał się po pokoju.*

Jego kartki. Gdzie były? Co, u diabła, z nimi zrobił?

W pokoju panował półmrok, w powietrzu wirował kurz. Wzdłuż ścian stały pudła do połowy zapakowane teczkami, które wznosiły się wokół niego tak, jakby zapadł się na dwa metry pod ziemię, a nie znowu zapadł w sen na łóżku połowym w swoim gabinecie. Okno było wysokie i wąskie jak otwór strzelniczy w fortecy. Teraz rzucało smugę światła na drewnianą podłogę, pięttrzące się tu i ówdzie stosy książek oraz kartki maszynopisu porozrzucane tam, gdzie cisnął je ze złością poprzedniego wieczoru. Szybko wstał z łóżka i pozbierał wszystko strona po stronie. Kiedy skończył, znowu usiadł, trzymając maszynopis na kolanach – opasył niczym kot. Wygładził brzegi kartek, przesuwając po nich dłońmi, a rogi łaskotały je od środka. Nie wyglądało to na zbyt wiele, a jednak ten plik zawierał kwintesencję pracy całego jego życia. Odłożył na bok stronę tytułową i spojrzął na dedykację.

*Dla Sheili.*

Próbował poczuć ją teraz, ale nie potrafił. Była przyczepiona do tej strony, jak przyszpilony motyl. Przyszło mu na myśl, że śmierć Sheili, która była najgorszą rzeczą, jaka spotkała go w życiu, nie zmieniła w sposób znaczący biegu jego dni. Z drugiej strony w ciągu pięciu lat, odkąd zdiagnozowano u niego afazję, choroba prawie go zrujnowała.

Otworzył pierwszą stronę. Ach, tutaj były – jego słowa.

*Chociaż trudno w to uwierzyć, być może istnieją dowody na to, że życie po śmierci naprawdę istnieje.*

Myśl, że te zdania mogły same się wymazać w nocy tylko dlatego, że mu się to przyśniło, była irracjonalna, jednak nie bardziej irracjonalna niż wszystko to, co go spotykało. Wczoraj rozmawiał przez telefon z bibliotekarką Towarzystwa Odkryć Naukowych w Londynie – z nią omawiał sposób przechowania kartotek, które im podarował. Chciał się upewnić, czy pomimo tego, że zamykał praktykę, wyniki jego badań naukowych będą dostępne dla wszystkich poważnych naukowców, którzy mogliby je uznać za przydatne. Chciał jej opowiedzieć o nowych przypadkach z Norwegii, o których informacje przesłał mu Amundson, upewnić się, że zostaną wpisane do odpowiednich kartotek, ale kiedy doszedł do tego miejsca w zdaniu, gdzie powinno pojawić się nazwisko jego starego kumpla, nazwisko po prostu zniknęło.

– Kartoteki stamtąd, z góry. – To żenujące zdanie wyszło z jego ust zamiast tamtego. Oczywiście bibliotekarka była zdziwiona.

– Co ma pan na myśli? Z jakiej góry?

Anderson ujrzał fiordy i lasy, i norweskie kobiety. Przyszła mu na myśl twarz Amundsena, kartoflowaty nos i włoski na podbródku, radosne, sceptyczne, ale nigdy cyniczne spojrzenie.

– Te nowe kartoteki na temat znamion, wie pani.

– Ach. Ma pan na myśli wyniki badania od tego profesora ze Sri Lanki?

– Nie, nie, nie.

Poczuł, jak ogarnęła go nagła rozpacz, i chciał się rozłączyć, ale wziął oddech i siłą woli zmusił się do tego, żeby mówić dalej.

– To nowe badanie na temat znamion, wyniki badań od tego faceta – tego faceta z góry. Z północy. Wie pani, kogo mam na myśli – warknął na biedną kobietę. – W Europie. Te góry pokryte lodem... te... fiordy!

– Ach. Upewnię się, czy wyniki badań Amundsona zostaną umieszczone we właściwych kartotekach – powiedziała w końcu, oziębła, a on poczuł blask zwycięstwa w związku z tym, że ona teraz uważała go za całkowitego dupka, a nie za człowieka upośledzonego umysłowo.

Tydzień wcześniej ściągnął z półki w swojej sypialni *Burzę* i przekartkował ją do końca, ale kiedy doszedł do kwestii „Nasza zabawa skończona”<sup>2</sup>, słowa wydawały się drzeć w jego ściśniętym umyśle, niczym chwila, która nawet teraz przemijała. Jak mógł nie znać tego słowa, „zabawa”? On, który przeczytał tam i z powrotem tę sztukę, tę przemowę, ze sto razy? Musiał odszukać to słowo w cholernym słowniku. Powinien był przepisać całą swoją bibliotekę, pomyślał, zanim spuchłyby mu dłonie, przepisać każde słowo z każdej książki tak, żeby mógł w swoich rękach zachować fizyczną pamięć o tych wszystkich słowach, na których stratę nie wyrażał zgody.

Przewertował maszynopis na kolanach. Oczywiście wysłał go e-mailem do swojego agenta (przecież to już nie był świat słowa drukowanego), ale wydrukował także dla siebie kopię, żeby poczuć jego wagę. Dzieło całego życia. Najważniejsze przypadki wydobyte z populacji. Dziesiątki lat pracy z pacjentami w ramach opieki społecznej, lata pisania raportu za raportem, nieustanne dążenie do przejrzystości, przejrzystości ponad wszystko. Ostatnia jego szansa, żeby coś zmienić – pracował jak wariat przez cztery i pół roku, żeby skończyć to, dopóki jego umysł był do tego zdolny, zanim zasnęła go mgła. Czasem zapominał zjeść.

Środowisko akademickie zawsze będzie uważać Andersona za pomyłkę. Wiedział o tym. Był taki moment, kiedy po raz pierwszy porzucił pracę w szkole medycznej i jego koledzy nadal go cenili, kiedy jego książki recenzowano – dwa razy w „The Journal of the American Medical Association” i raz w „The Lancet”. Ale kiedy jego koledzy stali się starsi, zapomnieli o nim, a ściślej rzecz biorąc, zapomnieli o tym, że kiedyś go szanowali. Nikt z tego środowiska od dziesiątek lat nie poświęcił mu żadnej uwagi. Oczywiście cieszył się sławą w środowisku

badaczy zjawisk paranormalnych. Był zapraszany na odczyty wszędzie, gdzie tylko prowadzono badania na temat percepcji pozazmysłowej, doświadczeń śmierci klinicznej albo mediów. Ale nigdy nie miał zostać ponownie zaakceptowany przez środowisko naukowe, jedyne środowisko, do którego tak naprawdę kiedykolwiek należał. W końcu zaprzestał tej walki, dziesiątki lat po tym, jak namawiała go do tego Sheila. Było po wszystkim.

Ale teraz napisał coś dla zupełnie innej publiki – kierował to ni mniej, ni więcej, tylko do całego świata.

– Jeśli ludzie będą mogli zrozumieć twoje wyniki badań – nie akademicy, mam na myśli zwyczajnych ludzi – może to być dla nich początkiem zmiany.

Sheila mówiła mu o tym więcej niż raz, ale dopiero z czasem zaczął sobie uświadamiać siłę jej rozumowania, kiedy już walczyła z chorobą serca, która miała ją zabić.

Gdy teraz zastanawiał się nad swoimi przyszłymi czytelnikami, wyobraził sobie człowieka, jakim sam był, zanim jeszcze to wszystko się zaczęło, kiedy wykładał na medycynie. Zobaczył siebie w chłodny, piątkowy wieczór wracającego ze swojego biura przez plac i zastanawiającego się nad badaniem nad zaburzeniami somatoformicznymi. Przyciąga go ciepło i światło księgarni, wchodzi, żeby szybko się rozejrzeć, spogląda na książki na stole, szukając czegoś, co zwróci jego uwagę – i ta książka woła do niego. Bierze ją do ręki i otwiera na pierwszej stronie. „Chociaż trudno w to uwierzyć, być może istnieją dowody na to, że życie po śmierci naprawdę istnieje”.

Dowody? Wyobraża sobie tego człowieka, który się nad tym zastanawiał. Niemożliwe. Ale pomimo to siada w skórzanym fotelu tuż obok i zaczyna czytać...

Anderson wiedział, że to fantazja. Ale kiedyś sam był takim człowiekiem. On też potrzebował dowodów. A teraz mógł je dostarczyć. Mógł pozostawić swój ślad. Miał co do tego całkowitą pewność. Do wczoraj. Dopóki nie porozmawiał ze swoim agentem literackim i nie dowiedział się, że wszyscy wydawcy go odrzucili. Kiedy skończył rozmowę, kopnął w maszynopis nogą, rozrzucając kartki po całym pokoju, niczym popiół.

Teraz znowu patrzył na te słowa.

*Chociaż trudno w to uwierzyć, być może istnieją dowody na to, że życie po śmierci naprawdę istnieje.*

Nie. Nie pozwoli, żeby go to powstrzymało. Pomyślał o tym Amundsenie, Norwegu, który odkrył biegun południowy, a jego zwycięstwo zostało przyćmione przez szlachetną porażkę jego rywala, Roberta Falcona Scotta. Scotta, który zginął wraz ze swoimi towarzyszami w mroźnej tundrze. Odważnego człowieka, który umarł, walcząc, a zimno zabierało mu życie palec po palcu, stopa po stopie. Kolejna ofiara *terra nova*, wielki nieznany.

## Rozdział piąty

*Była spóźniona.*

Dzień zaczął się fatalnie. Noah znowu obudził się w nocy, wytrącony z równowagi przez koszmary senne i zalany moczem od stóp do głów. Rano próbowała wyczyścić jego cuchnące ciało mokrymi chusteczkami, podczas gdy on wykręcał się i skomlał, ale w końcu dała sobie spokój, posypała go zasypką dla niemowląt i odstawiła nadąsanego i wydzielającego charakterystyczną woń kuwety do Małych Strączków.

A więc była spóźniona. Nic by się nie stało, gdyby nie chodziło o Gallowayów. Remont domu rodziny Galloway należał do tych zleceń, przy których wszystko wychodziło na opak. Wprowadzili się dwa tygodnie temu i od tamtej pory niemal codziennie tam jeździła, łącznie z wizytą w poranek Święta Dziękczynienia.

Dzisiaj mieli listę usterek. Zaczęli od urządzeń w kuchni, a skończyli w łazience dla gości.

Cała trójka stała w małej łazience ze wzrokiem utkwionym w wąskiej strużce wody, która sączyła się z wyłożonego drogimi kafelkami brodzika z prysznicem na nową podłogę z terakotą ułożoną w szachownicę.

– Widzi pani? – Sarah Galloway wskazała błyszczącym, czerwonym szponem na niewielką strużkę wody. – Cieknie.

A dlaczego właściwie bierzecie prysznic w łazience dla gości? – miała ochotę zapytać, ale tego nie zrobiła. Zamiast tego wystrzeliła swoją taśmę mierniczą i zmierzyła podmurowanie brodzika, mające – z tego, co jej wiadomo – standardowe wymiary.

– Hm. Ma standardowe wymiary.

– Ale WIDZI pani WYCIEK.

– Tak... Zastanawiałam się...

Sarah spojrzała z góry na Janie z wyrazem twarzy zdziwionej sowy, który, jak w końcu zrozumiała Jane, był spowodowany zmarszczeniem brwi wywołanym przez botoks.

– Nad czym się pani zastanawiała?

– Chodzi o to, czy jest to kwestia brodzika czy ilości wody? Ponieważ przy dużej ilości wody to zupełnie rozumiałe... – Janie przerwała i dokończyła zdanie jednym tchem. – Czy to pierwszy prysznic, który ktoś tutaj brał, czy też drugi? Czy państwo biorą wyjątkowo długie prysznice?

Boże, nienawidziła tej części swojej pracy. Równie dobrze mogła ich zapytać, czy uprawiają tam seks. A jeśli tak, to powinni jej byli o tym powiedzieć,

żeby mogła dostosować rozmiar...

Frank Galloway chrząknął.

– Sądzę, że nasze użytkowanie prysznic jest dość, hm, normalne... – zaczął mówić, kiedy w kieszeni Janie rozległ się dźwięk telefonu.

– Sekundkę.

Spojrzała na swój telefon komórkowy. Opieka dzienna Małe Strączki. Och, na miłość boską.

– Proszę posłuchać, przepraszam, ale muszę odebrać telefon. To zajmie tylko chwilkę.

Weszła do sąsiedniego pokoju. Czego tym razem chcieli ci nauczyciele? Pewnie poskarżyć się, że Noah dzisiaj śmierdział. Tak, zgoda, śmierdział, ale...

– Mówi Miriam Whittaker.

Grobowy głos dyrektorki przedszkola zazgrzytał jej w uchu.

W ciągu sekundy wstrzymała oddech, kolana trzęsły się jej jak galareta... czy to jest ta chwila pomiędzy przed i po, ta, której każdy się obawia? Zadławienie ogryzkiem od jabłka, upadek ze schodów? Oparła się o ścianę.

– Czy z Noahem wszystko w porządku?

– Czuje się dobrze.

– Och, dzięki Bogu. Proszę posłuchać, jestem w trakcie spotkania, czy mogę do pani oddzwonić?

– Panno Zimmerman. To bardzo poważne.

– Och. – Ten ton głosu wytrącał z równowagi. Przycisnęła telefon do ucha.

– Co się stało? Czy Noah coś zrobił?

Cisza, która potem zapadła, sączyła się powoli do jej świadomości, mówiąc jej wszystko i nic, o czym potrzebowała się dowiedzieć. Słyszała oddech tej kobiety po drugiej stronie słuchawki, Sarah Galloway wygdakała do swojego męża po cichu, ale nie aż tak po cichu.

– Nieuważna – sądziła, że to usłyszy.

– Czy płakał w czasie drzemki? Ciągnął kogoś za włosy? Co zrobił?

– Właściwie, panno Zimmerman... – Usłyszała gwałtowny wdech. – To rozmowa, którą musimy odbyć osobiście.

– Będę tak szybko, jak tylko dam radę – powiedziała Janie energicznie, ale słysząc było drżenie w jej głosie, strach przebijał się przez powłokę jej profesjonalizmu jak kość.

Dyrektorka Małych Strączków była jednocześnie lwem, czarownicą i starą szafą. Kwadratowej postury, ubrana na czarno, począwszy od okularów w stylu modnej babuni, aż po szpiczaste botki do kostek, Miriam Whittaker nosiła srebrzystą burzę długich włosów, muskających jej szerokie ramiona z zaskakującą lubością, jakby chciała pokazać środkowy palec upływowi czasu. Od piętnastu lat prowadziła w tej dzielnicy pionierskie przedszkole dla dzieci rodziców ogarniętych



obsesją edukacji i stąd miała wygórowane mniemanie o swojej ważności na tle wielkiego planu wszechświata. Janie zawsze uważała władczość panny Whittaker w stosunku do dorosłych za zabawną, wyczuwając pod jej maską rodzaj smutku i krytycznej serdeczności.

Jednak teraz, wciśnięta naprzeciw panny Whittaker w małe, pomarańczowe, plastikowe krzeselko pomiędzy roślinę doniczkową i plakat z Molem Książkowym, Janie dostrzegła na twarzy starszej kobiety coś daleko bardziej niepokojącego niż jej powszedni autorytet na pokaz – dostrzegła niepokój. Kobieta była niemalże równie zdenerwowana jak ona sama.

– Dziękuję za przybycie – powiedziała kobieta, chrząkając – w tak krótkim czasie.

Janie panowała nad tonem głosu.

– A więc o co chodzi?

Pauza się przedłużała, a Janie w tym czasie próbowała utrzymać równy oddech – na tyle, na ile to było możliwe, usłyszeć każde tykanie bijącego serca przedszkola, dźwięk odkręcanego kranu w pracowni plastycznej, nauczycielkę śpiewającą „myjemy się, myjemy się, wszyscy się myją”, jakieś dziecko, nie jej, które krzyczało.

Panna Whittaker podniosła głowę, wpatrując się w punkt nieco na lewo od ramienia Janie.

– Noah opowiadał nam o broni.

– Pewnie mówił o pistolecie nerfa – odparła, a panna Whittaker spojrzała na nią. W jej wzroku było coś dziwnego.

– Strzelba Renegade kaliber 54, tak powiedział, jeśli chodzi o ścisłość. Powiedział, że proch śmierdział jak zgniłe jajka.

Poczuła przebłysk dumy. Jej syn miał wiedzę – zawsze tak było z Noahem, jakiś wybryk mózgu, jak u sawantów, tylko zamiast wyników równań liczbowych znał losowe fakty, które musiał gdzieś przypadkowo podsłuchać. Czy mózg Einsteina właśnie tak działał? A Jamesa Joyce’a? Być może, kiedy byli dziećmi, też ich nie rozumiano. Ale pozostawała jeszcze jedna kwestia – co odpowiedzieć tej kobiecie, która siedziała po przeciwnej stronie stołu i spoglądała na nią groźnym wzrokiem.

– Naprawdę nie mam pojęcia, skąd on to wszystko bierze. Powiem mu, żeby nie mówił o broni.

– Próbuje mi pani powiedzieć, że nie wie, gdzie on używał tej strzelby? Albo skąd wie, że pachnie jak siarka?

– Nie używał żadnej strzelby – powiedziała cierpliwie. – A jeśli chodzi o siarkę... Nie wiem. Czasem opowiada zabawne rzeczy.

– A więc pani zaprzecza? – Nie patrzyła na Janie.

– Może zobaczył coś w telewizji?

– Ogląda telewizję, prawda?

Ach ta kobieta.

– Ogląda Diego i Dorę, i SpongeBoba, i mecze baseballu... Może puścili jakąś reklamę w ESPN na temat polowania na lisy albo czegoś takiego?

– Jest jeszcze coś. Noah opowiada bardzo często o książkach o Harrym Potterze. A jednak pani twierdzi, że ich mu nie czyta ani nie pozwala mu oglądać filmów.

– To prawda.

– A jednak najwyraźniej doskonale je zna. Chodzi dookoła i powtarza jakieś zaklęcie, które zabija.

– Proszę posłuchać, taki właśnie jest Noah. Opowiada o wszystkim.

Przełożyła nogę. Tyłek zaczynał jej drętwieć w tym małym krzeselku. Skróciła wizytę u Gallowayów. Prawdopodobnie pani Galloway właśnie wydzwaniała do wszystkich swoich przyjaciół, żeby powiedzieć im, że jednak się myliła i ostatecznie nie może polecić firmy Jane Zimmerman Architektura. Traciła klientów z powodu tych bzdur.

– A więc dlaczego wezwała mnie pani tutaj z ważnego spotkania zawodowego? Ponieważ pani zdaniem mój mały synek mówi za dużo na temat broni i Harry’ego Pottera?

– Nie.

Przełożyła jakieś dokumenty na swoim biurku, przeczesła gruzłowatą dłonią z pierścionkami swoje srebrne włosy.

– Dzisiaj w przedszkolu mieliśmy pogadankę o dyscyplinie. Miał miejsce przykry incydent... ale mniejsza z tym. Dyskutowaliśmy o naszych zasadach, o tym, że wyrządzanie sobie nawzajem krzywdy nigdy nie jest dopuszczalne. Noah opowiedział – z własnej woli – że kiedyś był tak długo pod wodą, że stracił przytomność. Użył dokładnie słów „straciłem przytomność”, zaskakujący dobór słów jak na czterolatka, nie sądzi pani?

– Powiedział, że stracił przytomność? – Janie próbowała to sobie przetworzyć.

– Panno Zimmerman. Przepraszam, ale muszę panią zapytać.

W końcu utkwiała wzrok w Janie, a jej oczy były dwoma ogniskami lodowatej furii.

– Czy kiedykolwiek trzymała pani głowę syna pod wodą, aż stracił przytomność?

– Co?

Mrugnęła okiem do tej drugiej kobiety. Te słowa były tak okrutne i nieoczekiwane, że przyswojenie ich zajęło jej chwilę.

– Nie! Oczywiście, że nie!

– Rozumie pani, dlaczego mam trudności z tym, żeby w to uwierzyć.

Nie mogła usiedzieć na miejscu ani chwili dłużej. Zerwała się na równe nogi, zaczęła chodzić szybkim krokiem.

– On nienawidzi kąpielni. Pewnie o to chodzi. Myłam mu włosy. To moje całe przewinienie.

Milczenie tej kobiety było pogardliwe. Panna Whittaker śledziła ją czujnym wzrokiem, kiedy chodziła tam i z powrotem po pokoju.

– Czy Noah powiedział coś jeszcze?

– Powiedział, że wołał swoją mamusię, ale nikt mu nie pomógł i został wepchnięty pod wodę.

Janie zamarła.

– Wepchnięty pod? – powtórzyła.

Panna Whittaker oschle skinęła głową.

– Proszę usiąść.

Była zbyt skonsternowana, żeby dłużej stać na nogach. Opadła z powrotem na małe krzeselko.

– Ale... przecież nic takiego nigdy mu się nie przydarzyło. Po co miałby to mówić?

– Powiedział, że został wepchnięty pod wodę – powtórzyła dobitnie panna Whittaker – i nie mógł się wydostać.

W końcu Janie oświeciło.

– Ale... to przecież jest jego sen – powiedziała szybko. – Koszmar nocny, który miewa. O tym, że zostaje wepchnięty pod wodę i nie może się stamtąd wydostać.

Przyszła jej na myśl poprzednia noc – Noah okładający ją zaciśniętymi mocno pięściami i krzyczący: „Wypuście mnie stąd, wypuście mnie stąd, wypuście mnie stąd!”. Ich nocny dramat, który błędnie o poranku. Niewiarygodne, jak całkowicie zniknęło to z jej świadomości, do kolejnej nocy.

– Śni mu się ten sam koszmar od lat. Po prostu jest dezorientowany.

Podniosła wzrok, ale twarz panny Whittaker była jak ciężkie metalowe drzwi. Można walić do upadłego, ale nic nie było w stanie ich otworzyć.

– A więc musi pani zrozumieć mój dylemat.

Panna Whittaker mówiła powoli.

– Pani dylemat? Nie, nie rozumiem. Przykro mi.

– Panno Zimmerman. Spędziłam wiele lat z małymi dziećmi i z mojego doświadczenia wynika, że nie opowiadają o swoich snach w taki sposób. Ten rodzaj... dezorientacji... nie jest powszechnie spotykany.

Powszechnie spotykany, nie. Nic, co dotyczyło Noaha, nie było powszechnie spotykane, prawda? Janie próbowała się zastanowić. Nie chodziło tylko o to, że miał wiedzę. To coś więcej, prawda? Kiedy po raz pierwszy zorientowała się, że Noah był inny niż pozostałe dzieci? Kiedy przestała chadzać na spotkania grupy

samotnych matek? W pewnym momencie, kiedy tematy rozmów ewoluowały od spania w nocy i gazów u noworodków do kąpieli i przedszkola, rozejrzała się o jeden raz za dużo po zebranych po tym, jak podzieliła się z nimi (jego koszmarami nocnymi i lękami, jego długimi, niewyjaśnionymi napadami płaczu), i zobaczyła puste spojrzenia zamiast kiwania głową. Na tym między innymi polegała wyjątkowość Noaha – przynajmniej tak sobie zawsze powtarzała, ale teraz...

Panna Whittaker chrząknęła, paskudny dźwięk.

– Małe dziecko z hydrofobią opowiada o tym, że ktoś je trzymał pod wodą... i uczepia się ze wszystkich sił młodszej nauczycielki i godzinami zanoszą się od spazmatycznego płaczu, kiedy tej nie ma w pracy...

– Tamtego dnia odebrałam go w południe.

– ...a potem jeszcze inne dowody na to, że w domu nie wszystko jest w porządku, fakt, że chłopiec śmierdzi... cóż, sama pani rozumie? Spoczywa na mnie obowiązek. Na jego nauczycielkach i na mnie spoczywa obowiązek...

– Podniosła głowę, błysk srebra, miecza, cięcie. – Zgłoszenia jakichkolwiek oznak narażenia na szwank zdrowia dziecka do służb interwencyjnych zajmujących się dziećmi...

– Służb interwencyjnych?

Te słowa wpadły do studni bez dna. Miała uczucie gorąca i mrowienia, jakby ktoś mocno uderzył ją w oba policzki. Rodzina Gallowayów. Problemy finansowe. Wszystko, co wcześniej zaprzętało jej umysł, przestało mieć znaczenie.

– Chyba pani żartuje.

– Zapewniam panią, że nie żartuję.

Przecież to niemożliwe. Prawda? Była dobrą matką. Prawda?

Odwróciła od niej wzrok, spojrzała na plac zabaw za oknem i usiłowała się pozbierać. Nie mogli go zabrać. Prawda?

Wrona przysiadła na huśtawce, przykuwając jej uwagę swoimi bystrymi, przenikliwymi ślepiami. Z trudem zdołała opanować strach dławiący ją w gardle.

– Proszę posłuchać – powiedziała Janie, zachowując spokojny ton głosu. – Czy kiedykolwiek dostrzegła pani jakiś ślad na jego ciele? Albo jakiś dowód stosowania przemocy? Mam na myśli to, że on jest szczęśliwym dzieciakiem. – I to była prawda, pomyślała. Czuła radość Noaha, każdy ją czuł. – Proszę porozmawiać z jego nauczycielkami... – dodała.

– Już to zrobiłam. – Panna Whittaker westchnęła, pocierając palcami skronie.

– Proszę mi wierzyć. Nie traktuję tego lekko. Kiedy jest się w systemie...

– Noah jest ekscentryczny – powiedziała nagle Janie, przerywając jej. – Ma bogatą wyobraźnię. – Rzuciła wzrokiem za okno. Wrona nastroszyła pióra, podnosząc na nią łebek. Odwróciła wzrok z powrotem w stronę pokoju i stawiała czoła swojemu adwersarzowi. – Kłamie.

Panna Whittaker uniosła brew do góry.

– Kłamie?

– Wymyśla historie. Przeważnie chodzi o drobiazgi. Tak jak kiedyś w ogrodzie zoologicznym dla dzieci powiedział: „Dziadek Joe miał świnię, pamiętasz? Była taka hałaśliwa”. Ale on nie ma żadnego dziadka, a tym bardziej takiego, który ma świnię. Albo w szkole – jedna z nauczycielek mówiła, że Noah opowiedział grupie o wycieczce nad jezioro latem i jak bardzo mu się tam podobało. Jak skakał z pontonu do wody. Była dumna z niego, że tak przemawiał w grupie, kiedy siedzieli w kręgu.

– Tak?

– Cóż, widzi pani, nie istnieje żaden domek nad jeziorem. A jeśli chodzi o pływanie... Nie mogę go nawet zmusić do mycia rąk. – Roześmiała się, głuchy dźwięk odbił się echem w pokoju. – A w nocy, zanim zasypia, mówi, że chce pójść do domu, i pyta, kiedy przyjdzie jego druga matka. Tego typu historie.

Panna Whittaker utkwiała w niej wzrok.

– Od jak dawna mówi takie rzeczy?

Zastanawiała się nad tym. Słyszała głos Noaha, kiedy uczył się chodzić, ten jęk skargi. „Chcę do domu”. Czasem śmiała się z niego. „Jesteś w domu, głuptasku”. A wcześniej, kiedy był bobasem, był taki czas (który pamiętała, jak przez mgłę, a jednak zadreżczała się, kiedy to się działo), kiedy płakał godzinami, wołając „Mamo! Mamo!”, wyrywając się z jej objęć.

– Nie wiem. Od jakiegoś czasu. Ale czyż wiele dzieci nie ma wyobrażonych przyjaciół?

Dyrektorka patrzyła na nią podejrzliwie, jak na dziecko, które zrobiło jakiś głupi błąd w podstawowym działaniu arytmetycznym.

– To przekracza jakiegokolwiek wyobrażenia – powiedziała, a to stwierdzenie zadzwoniło w uszach Janie, odbijając się echem w najdalszych zakątkach jej umysłu, który czekał na nie – z czego zdała sobie sprawę – od dłuższego czasu.

Janie poczuła, jak cała wola walki zaczęła ją opuszczać.

– Co pani mówi?

Ich spojrzenia spotkały się. Cała surowość zniknęła. W oczach kobiety malował się smutek, przed którym Janie nie była w stanie się obronić.

– Myślę, że powinna pani zabrać Noaha na wizytę do psychologa.

Janie wyrzała za okno, jak gdyby wrona mogła mieć inne zdanie na ten temat, ale ptak zniknął.

– Zrobię to natychmiast – odparła.

– Dobrze. Mam listę, z której może pani wybrać. Prześlę ją pani e-mailem wieczorem.

– Dziękuję. – Próbowwała się uśmiechnąć. – Noah jest tutaj szczęśliwy.

– Tak. Cóż. – Panna Whittaker potarła oczy. Wyglądała na wyczerpaną,

każdy włos na jej srebrzystej głowie stanowił świadectwo sprawowania pieczy nad cudzymi dziećmi. – Będziemy czekać na jego powrót.

– Powrót?

– Po tym, jak przez jakiś czas będzie na terapii. Skontaktujemy się przed rozpoczęciem semestru letniego i wtedy na nowo ocenimy sytuację. Dobrze?

– Dobrze – wyszeptała Janie i niepewnym krokiem ruszyła w kierunku drzwi, zanim ta kobieta zdążyła powiedzieć coś jeszcze, czego nie mogłaby już słuchać.

Kiedy wyszła na zewnątrz, osunęła się ciężko na ławkę pełną małych bucików i płaszczyków. A więc nikt nie zadzwoni do służb interwencyjnych. Zapobiegła katastrofie. Pociemniało jej przed oczami z ulgi. A w odległym kącie tej ciemności błyskała iskierka, która gdzieś się zabłąkała, a teraz zaczęła się tlić – niepokój (cały czas tam był) – co było nie tak z Noahem?

## Rozdział szósty

### „AFAZJA U MAURICE’A RAVELA”, BIULETYN TOWARZYSTWA NEUROLOGICZNEGO W LOS ANGELES

*W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat Ravela dotknęła afazja, która zdusiła całą jego twórczą aktywność. Najbardziej uderzające było to, że artysta zachował zmysł muzyczny, ale nie umiał zapisać swoich kompozycji ani ich wykonać. Lateralizacja półkul mózgu odpowiedzialnych za funkcję mowy (językową) i umiejętności muzyczne stanowi wyjaśnienie dysocjacji zdolności Ravela do tworzenia i wprowadzania w życie twórczych koncepcji...*

– Jerr!

Anderson przesunął talerz z resztkami jedzenia na artykuł, który właśnie próbował przeczytać, i podniósł wzrok. Mężczyzna, stojący przed nim, korpulentny gość z kocią bródką tkwiącą niczym wyspa na samym środku jego podbródka, trzymał wysoko tacę i patrzył na niego z góry dociekliwym wzrokiem. Już gorzej być nie mogło.

Wiedział, że kawiarnia na akademii medycznej to zapewne kiepski pomysł, ale myślał, że uczelniany zgiełk i długi spacer do dobrze znanego budynku może mu dobrze zrobić. Teraz skinął głową w kierunku mężczyzny i ugryzł kęs jabłka. Poczul w ustach zimno i mączysty smak.

– Jesteś tutaj! – powiedział mężczyzna. – Kilka dni temu mówiłem Helstrickowi, że z pewnością przeprowadziłeś się do Bombaju albo Kolombo. – Machnął dłonią z wypielęgnowanymi paznokciami. – Albo czegoś takiego.

– Nie. Nadal tutaj jestem. – Anderson podniósł wzrok na swojego kolegę i oblał się potem. Znał tego człowieka od dziesiątków lat, ale nie mógł sobie przypomnieć jego imienia.

Ten mężczyzna był wschodzącą gwiazdą, kiedy obaj byli na stażu, przyjaźnili się ze sobą i rywalizowali, o jednym i drugim mówiono. Pracowali w tej samej instytucji od dwudziestu lat, ale najwyraźniej obaj byli zaskoczeni rozbieżnymi kierunkami, w które rzucił ich los i zaprowadziły własne zainteresowania. Teraz ten mężczyzna był dziekanem jego wydziału na akademii medycznej, a Anderson był... Anderson był...

Anderson zmuszał się, żeby zrobić miejsce, pozwalając temu bezimiennemu mężczyźnie zająć przestrzeń obok siebie. Obserwował z zadziwieniem, jak wiele skumulowanej energii miały niektóre ciała. Para z jego jedzenia podrażniła nozdrza Andersona. Pomyślał, że za chwilę chyba zwymiotuje. To położyłoby kres jedzeniu posiłku w pośpiechu.

– Wobec tego gdzie się ukrywasz? Nie widziałem cię od miesiący! Słyszałeś

najnowsze wieści?

Anderson starannie ważył odpowiedź.

– Wątpię w to.

– Mówią, że Minkowitz ubiega się o... no wiesz. To słowo na „N”.

– Słowo na „N”? – Anderson utkwiał w nim spojrzenie.

Mężczyzna wyszeptał.

– Nobel. To tylko gadanie, ale... – Wzruszył ramionami.

– Ach tak.

– Jego najnowsze badania są naprawdę przełomowe. Właściwie zmieniają nasze obecne rozumienie mózgu. Wszyscy jesteśmy bardzo dumni.

– Ach tak – powtórzył Anderson. Mężczyzna popatrzył na niego z ukosa i Anderson mógł dokładnie powiedzieć, co myślał – mogłeś stać się częścią tego wszystkiego, mogłeś czegoś dokonać, gdybyś tylko nie zboczył z tej drogi w tak niewytłumaczalny sposób. Mogłeś zmieniać ludzkie życie.

Wszyscy tak myśleli, uświadomił sobie Anderson. Zawsze tak myśleli, ale był wtedy zbyt zajęty, żeby poczuć ten ciężar. Rozejrzał się teraz po wszystkich swoich kolegach – ucinali sobie pogawędki i przeżuwali, dzwoniąc sztucami. W większości lekarze. Roztropni, nieświadomi ludzie. Wyczuwał ich próżną pewność nawet w sposobie, w jaki wbijali widelce w swoją zapiekankę z ziti<sup>8</sup>. Niektórych znał od dziesiątków lat i zawsze myślał o nich jako o społeczności, do której należał – o tych obcych ludziach, których nazwiska zapomniał, a którzy nie chcieli mieć z nim nic wspólnego.

– A jak tam się miewa biznes dusz? Odkryłeś ostatnio jakieś nowe przypadki? Czy masz tylko te stare? – Bezimienny mężczyzna zachichotał sam do siebie. – Właściwie myślałem o tym, żeby do ciebie zadzwonić. Corrine przysięga, że na naszym strychu coś straszy, więc powiedziałem jej, że może cię odszukać. „Jerry dotrze do sedna problemu”, powiedziałem. „Oczywiście zapewne są to wiewiórki”.

Mrugnął okiem. Człowiek zadowolony z siebie pod każdym względem. Pewien, że jego praca jest wartościowa w przeciwieństwie do pracy Andersona.

Gdyby to było kiedy indziej, Anderson pokiwałby głową z nieobecny wrokiem i pozwoliłby, żeby szyderstwo tego mężczyzny odbiło się od skorupy grzeczności, pod którą się schował. Zwykle udawał, że nie słyszy ironii ukrytej pod tymi stwierdzeniami, i odpowiadał zupełnie poważnym omówieniem swoich badań, jakby ich wyniki kogokolwiek interesowały, jakby jeszcze był w stanie zmienić ich sposób myślenia.

– Cóż, właściwie miałem ostatnio ciekawy przypadek na Sri Lance – mógłby wtedy powiedzieć i mówić dotąd, aż ich drwiny ustąpiłyby miejsca nudzie.

Jednak teraz spojrzał prosto w znajome, małe, błyszczące oczka tego bezimiennego mężczyzny i do głowy przysły mu słowa, które powiedział na głos:



– Pieprz się.

Najbardziej dobitne i treściwe zdanie, jakie zdarzyło mu się wypowiedzieć od dłuższego czasu.

Mężczyzna zmrużył oczy. Otworzył usta, po czym je zamknął. Nabrał łyżką trochę zupy do ust, na szyi i policzkach wyszły mu czerwone plamy. Wytarł usta w serwetkę. Przez kilka chwil nie odezwał się ani słowem. A potem:

– O mój... Czy to Ratner? Próbuję się z nim skontaktować od wielu tygodni!

Dźwigając tacę z porozrzucanymi resztkami zjedzonego do połowy lunchu, czmychnął od stolika Andersona w poszukiwaniu bardziej sprzyjających klimatów.

Anderson wyciągnął artykuł o Ravelu spod swojego talerza, wygładził go i zaczął czytać dalej. Pochylił głowę nisko nad tekstem w geście, który – jak miał nadzieję – był uniwersalnym sygnałem mówiącym „spadaj”. W tym tygodniu podjął już trzy próby przeczytania tego artykułu i odkrył, że jego umysł w dziwny sposób opierał się ukończeniu tego zadania.

*...Lateralizacja półkul mózgu odpowiedzialnych za funkcję mowy (językową) i umiejętności muzyczne stanowi wyjaśnienie dysocjacji zdolności Ravela do tworzenia i wprowadzania w życie...*

Może stosował metodę wyparcia i dlatego nie potrafił przez to przebrnąć. A może objawy afazji utrudniały jego próby zrozumienia różnych aspektów postępu choroby. Gdyby nie był tak zdesperowany, ironia choroby mogłaby go drażnić.

*Pływając w Saint-Jean-de-Luz, Ravel, który był doskonałym pływakiem, nagle uświadomił sobie, że nie potrafił „skoordynować swoich ruchów”...*

Saint-Jean-de-Luz. Był na tej plaży, lata temu, podczas miodowego miesiąca. Podróżowali z Sheilą samochodem wzdłuż francuskiego wybrzeża. Wziął dwa tygodnie urlopu i obiecał, że nie będzie rozmawiał o laboratorium ani o szczurach. Pozbawiony swoich standardowych tematów czuł się jednocześnie skołowany i wolny. Jedli i rozmawiali o jedzeniu. Pływali i rozmawiali o wodzie i świetle.

Zatrzymali się w ogromnym, białym hotelu przy plaży. Grand Hotel jakiś tam. Łodzie rybackie kołyszące się na wodzie. Blask światła w wodzie, w powietrzu, który odbijał się od białych ramion Sheili. Nie ma nic piękniejszego od takiego światła, o czym wiedzą wszyscy malarze.

Próbował znowu skupić się na tych słowach.

*...Ravel, który był doskonałym pływakiem, nagle uświadomił sobie, że nie potrafił „skoordynować swoich ruchów”...*

Jakie to było uczucie – ta chwila, kiedy nagle uświadomił sobie, że nie był w stanie kontrolować własnego ciała? Czy pomyślał sobie, że to już koniec? Czy wymachiwał rękami, topił się?

*Ravel cierpiał na afazję Wernickiego o umiarkowanym nasileniu... Rozumienie mowy pozostaje na znacznie lepszym poziomie niż funkcja mówienia*

*lub pisania... Język muzyczny jest jeszcze bardziej upośledzony... z widoczną rozbieżnością pomiędzy utratą zdolności ekspresji muzycznej (zapisywanie nut i wykonanie instrumentalne) i zmysłem muzycznym, który zostaje relatywnie dobrze zachowany.*

Widoczna rozbieżność, pomyślał. Powinni umieścić taki napis na moim nagrobku. Zmusił się, żeby przebrnąć przez ten akapit raz jeszcze.

*...z widoczną rozbieżnością pomiędzy utratą zdolności ekspresji muzycznej (zapisywanie nut i wykonanie instrumentalne) i zmysłem muzycznym, który zostaje relatywnie dobrze zachowany...*

Co oznaczało – te słowa w końcu zaczęły docierać do świadomości Andersona, jakby rozpoznawał znaczenie słów, które sam napisał – co oznaczało, że Ravel mógł nadal tworzyć utwory muzyczne na orkiestrę, mógł je słyszeć w swojej głowie, ale nie mógł ich z niej wydobyć. Nie potrafił zapamiętać nut. Były na zawsze zamknięte w jego głowie i wykonywane dla jednego widza.

*Pomimo afazji Ravel bez trudu rozpoznawał nuty, szczególnie własne kompozycje, i potrafił z łatwością wskazać fałszywe nuty albo rytm. Rozpoznawanie dźwięków i nut pozostało bez zmian... Afazja właściwie uniemożliwiła analityczne odcyfrowanie – granie z nut a vista, dyktowanie i nazywanie nut – utrudnione szczególnie przez niemożność przypomnienia sobie nazw nut, podobnie jak zwykli śmiertelnicy cierpiący na afazję „zapominają” nazw pospolitych przedmiotów...*

Odgłosy stołówki, rumor głosów, brzdęk kasy fiskalnej, stukot tacek – te wszystkie dźwięki ucichły, a pod nimi usłyszał nieprzerwane staccato bębna, które go czekało w przyszłości i przypuszczało atak prosto na niego. Może Ravel skomponował kolejne arcydzieło, jakąś udoskonaloną wersję *Bolera*. Może stworzył ją w swoim umyśle, takt po takcie, a jednak okazało się, że nie był w stanie zapisać ani jednej nuty, zapamiętać pojedynczej melodii. Te melodie całymi dniami krążyły po jego umyśle, splatając się ze sobą i rozdzielając z precyzją, którą tylko on opanował do perfekcji i nikt inny o niej nie wiedział. Całymi dniami melodie parowały z jego filiżanki kawy, przelewały się z kranu do wanny, gorące i zimne, splecione i rozdzielone – uwięzione, niepowstrzymane.

Czyż to nie wystarczyło, żeby doprowadzić człowieka do szaleństwa?

Czyż nie byłoby lepiej, gdyby zginął gdzieś tam w oceanie?

Gdyby nie krzyczał – gdyby go nie zobaczyli – zacząłby się topić. W końcu przestałby wymachiwać kończynami, naturalny instynkt walki powoli by go opuszczał, unosiłby się na spokojnych falach, a blask światła sączyłby się w głąb wody. Wtedy mógłby się rozluźnić, pozwolić, żeby ciało pociągnęło go w dół – zabierając ze sobą także wszystkie te niezapisane koncerty... Wszystkie zniknęłyby naraz.

Nie zajęłoby to zbyt dużo czasu, pomyślał Anderson. Mógł po prostu przestać tak kurczowo trzymać się życia. Mógł się poddać.

Przez chwilę Anderson poczuł, jak ogarnia go uczucie ulgi, chłodząc jego rozpalony umysł. Nie musiał przecież czytać tego artykułu, pomyślał. Niczego nie musiał robić.

Mógł po prostu odpuścić.

Ale pokusa, żeby iść dalej, toczyła z nim wewnętrzną walkę, niczym bokser, który stracił kontrolę na macie, ale nie mógł się z tym pogodzić na tyle, żeby uciec w cholerę z tego ringu. Rozłożył przed sobą strony, skupił się i zaczął znowu czytać.

## Rozdział siódmy

*Latarnia gazowa mrugała w mokrej, marcowej szarudze, niczym latarnia morska mającego w oddali zdrowego rozsądku, kiedy Janie ciągnęła Noaha, częściowo na siłę, częściowo przypochlebiając mu się, wzdłuż ulicy. Zgubił gdzieś po drodze rękawiczkę i ścisnął jej dłoń swoją lodowatą rączką, ciągnąc ją w dół, jakby taszczyła jakiś straszny ciężar.*

Wyciągnęła stertę zawilgłej, nieciekawej korespondencji ze skrzynki na listy (w większości rachunki i awiza) i szybko zatrzasnęła drzwi przed śniegiem.

W środku było ciepło i panowała niemalże irytująca cisza, po pędzie metra i białym szumie wiatru. Stali oboje, zagubieni, w pokoju. Noah wydawał się oszołomiony, przygnębiony. Opuściła drewniane żaluzje, zamykając ich w potrzasku żółtego, przyćmionego światła lampy podłogowej, i posadziła go na sofie przed DVD („Popatrz, skarbie, to Nemo! Twój ulubiony”), kładąc mu na kolanach jego album z kartami przedstawiającymi graczy baseballu. Ostatnio coraz częściej tak wyglądał, jego radość przygasła. Jakby do szpiku kości przesiąkł posępną atmosferą gabinetu lekarskiego, który odwiedzali. Siadał i oglądał pokazy doktora bez słowa komentarza. Nie chciał się bawić ani rzucać piłką w jego gabinecie.

Nie mogła otrząsnąć się z zimna. Nadal dzwoniła zębami. Wiązała takie nadzieje z tym lekarzem. Była pewna, że to właśnie on zmieni wszystko w ich życiu.

Włączyła czajnik i zrobiła herbatę dla siebie i kajmakowe gorące kakao dla Noaha, napełniając kubek tyłoma piankami cukrowymi, że ledwo było widać napój. Przyglądała się przez chwilę malutkim słodyczom podskakującym wesoło na spienionej, brązowej powierzchni niczym małe, białe ząbki, po czym pochyliła się poniżej parapetu okienka do podawania posiłków wychodzącego na salon i przykucnęła, żeby Noah nie widział, jak płacze. Pozbieraj się, Janie. Przypominało to wpychanie miauczącego kota do torby, ale udało się. Zdławiła łzy, pozwoliła, żeby potoczyły się do jej żołądka, i wstała. Za tylnym oknem podwórce było przykryte śniegiem, który nadal padał.

Kiedy przyniosła gorącą czekoladę, Noah siedział cichutko i oglądał film z rączkami płasko ułożonymi na albumie i blond główką opartą o sofę. Ostatnie cztery miesiące były wymagające pod względem emocjonalnym i katastrofalne, jeśli chodzi o pracę, ale musiała przyznać, że przyzwyczała się do tego, że zawsze kątem oka widziała tę blond główkę, do tego komfortu, jaki dawała świadomość, że był tuż obok. Trzy nianie i dwa przedszkola nie sprawdziły się, a po ostatnim fiasku (Noah, który wypadł jak strzała przez drzwi Natalie's Kids i pobiegł wzdłuż

Flatbush Avenue, niecały metr od pędzących samochodów), poddała się i zaprosiła jego i najnowszą nianię, żeby bawili się w jej biurze. Siedzieli odpowiednio cicho (zbyt cicho!), budując różne rzeczy z klocków Lego, podczas gdy jej asystentka rzucała gniewne spojrzenia i robiła szkice, a Janie próbowała posunąć do przodu te projekty, którym brakowało jeszcze kilku kroków do ukończenia.

Usiadła obok niego na sofie, tuląc w dłoniach kubek z herbatą i próbując się rozgrzać. Nie miała nawet nic przeciwko jego zapachowi – temu przyprawiającemu o mdłości słodkiemu, lekko zwarzonemu zapachowi, który teraz Noah zabierał ze sobą wszędzie, gdzie szedł.

Uważała, że doktor Remson był dostatecznie miły, ale też powinien być, za trzysta dolarów za godzinę. I znalazł czas dla Noaha i dla niej. Ale w końcu okazał się taki sam jak cała reszta. Nie miał dla niej żadnych odpowiedzi. Doradził jej, żeby zaczekała.

Ale czekanie było dokładnie tym, czego nie mogła zrobić. Kiedy mu to wyjaśniła, zasugerował nazwisko innego psychiatry na wypadek, gdyby chciała sama się leczyć... jakby wydanie jeszcze większej ilości pieniędzy na jeszcze większą ilość terapii było jedyną odpowiedzią, jaka przyszła mu do głowy.

– Mamy za sobą trzy miesiące sesji – powiedziała. – I to wszystko, co ma pan mi do powiedzenia? W nocy dręczą go koszmary, a w dzień dostaje ataków płaczu. Kąpiele są niemożliwe.

Stukający swoimi czarnymi skórzanymi tenisówkami po perskim dywanie, z grubymi okularami, które sterczały radośnie na łysiejącej głowie, doktor Mike Remson nie wyglądał na jednego z najbardziej wziętych psychiatrów dziecięcych w Nowym Jorku, niezależnie od tego, co na ten temat napisano w „New York Timesie”. Siedział w tym swoim skórzanym fotelu, z dłońmi połączonymi opuszkami palców w kształt wieżyczki i z kudłatymi, przypominającymi gąsienice brwiami uniesionymi nad oczami, z opadającymi powiekami i baczny spojrzeniem. Pomimo że odpowiadała na jego pytania po każdej sesji, nadal miała wrażenie, że nie potrafił powiedzieć, czy to jednak nie ona stanowiła tutaj problem.

– Noah zaczyna mi ufać – zaczął ostrożnie. – Opowiada mi więcej o swoich fantazjach.

– O swojej drugiej matce? – Na zmianę ścisnęła i rozluźniła palce. Położyła je płasko na kolanach.

– O tym i o innych rzeczach.

– Ale dlaczego on sobie wyobraża inną matkę?

– Często takie życie w wyimaginowanym świecie jest skutkiem tego, co dzieje się w domu.

– Tak się mówi, ale już to przerabialiśmy i nic takiego nie ma miejsca.

– Żadnego niecodziennego stresu?

Wydobyła z siebie stłumiony, chrapliwy śmiech. Żadnego poza tym, który

pan generuje, doktorze.

– Nic, co poprzedzałoby tę sytuację.

Fakty były takie, że kończyły jej się oszczędności. Spieniężyła już swoje konto emerytalne i wydała niewielką sumę, którą odziedziczyła po matce, odłożoną dla Noaha na studia. (Teraz jej celem było jedynie umieścić go bezpiecznie w przedszkolu). Tylko w tym miesiącu musiała odwołać cztery spotkania z potencjalnymi klientami, ponieważ nie mogła zabrać Noaha na spotkania i wizyty w terenie, a poza tym i tak nie miała zbyt wiele czasu z powodu tych wszystkich lekarzy. Nie miała na oku żadnego zlecenia, żadnego sposobu, żeby zapłacić za rachunki, nie pracując, i żadnych odpowiedzi.

Od wielu miesięcy chodziła z Noahem po różnych lekarzach – neurologach, psychologach, neuropsychologach. Oboje tego nienawidzili, tych długich podróży metrem, tego niekończącego się czekania w zatłoczonych poczekalniach, tego, że Noah kartkował ospale *Słonia, który wysiedział jajko*, a ona w tym czasie robiła to samo z egzemplarzem „Time’a” sprzed roku. Lekarze rozmawiali z nim, robili mu badania mózgu, ponownie badali jego płuca (tak, ma astmę, tak, łagodną postać), potem wysyłali go do pokoju obok, żeby z nią porozmawiać, a na koniec odczuwała jednocześnie ulgę i frustrację, kiedy dowiadywała się, że nic nie znaleźli i nie mieli nic do zaproponowania, z wyjątkiem zapewnienia o potrzebie większej liczby badań. A przez cały czas czekała na sesję z doktorem Remsonem, który podobno był najlepszy.

– Do tej pory odwiedziłam już trzech specjalistów – dwóch psychologów i pana. I nikt nie potrafi mi nic powiedzieć. Nikt nie ma nawet widoków na diagnozę.

– Dziecko ma cztery lata. To niewiele jak na postawienie trafnej diagnozy, jeśli chodzi o zdrowie psychiczne.

– Doktorze, ja nawet nie jestem w stanie wykąpać syna. – Ostatnio, kiedy próbowała, tydzień temu, doprowadził się do takiego stanu, że wywołał atak astmy.

Był to pierwszy atak od osiemnastu miesięcy. Kiedy przyłożyła maskę nebulizatora do jego twarzy, a jego nierówny oddech dźwięczał jej w uszach niczym odgłos porażki, przysięgła sobie, że przestanie czekać, aż jego stan się poprawi. Zrobi wszystko, co tylko będzie trzeba, żeby pomóc mu tu i teraz.

– Terapia behawioralna mogłaby pomóc...

– Już przez to przeszedł. Nie działa. Nic nie działa. Doktorze... Proszę. Pracuje pan w zawodzie od dawna. Czy nie spotkał się pan z takim przypadkiem jak Noah?

– No cóż. – Doktor Remson odchylił się do tyłu i położył dłonie na dużych, sztruksowych kolanach. – Może jeden.

– Czy to był podobny przypadek? – Janie wstrzymała oddech. Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy i zamiast tego skupiła wzrok na czubku jego buta.

Doktor Remson śledził wzrokiem jej spojrzenie, ze ściągniętymi brwiami, i oboje przyglądali się jego obutym na czarno stopom, stukającym w ciemnoszkarłatne kwadraty na perskim dywanie.

– Było to w czasie mojego stażu w szpitalu Bellevue, wiele lat temu. Spotkałem tam dziecko, które często opowiadało o swoich traumatycznych przeżyciach z czasu wojny. Rysowało brutalne obrazki nabijania na bagnety, gwałty.

Wzdrygnęła się. Widziała te rysunki, jakby przed nią leżały, krew narysowaną czerwoną kredką, zarys bagnetu z szeroko otwartym wylotem lufy.

– Pochodził z małego miasteczka w New Jersey, z kochającej, pełnej rodziny, jak wynikało z raportów. Przyrzekali na wszystko, że nigdy nie widział żadnych scen, które rysował. To było wstrząsające. Miał zaledwie pięć lat.

Przypadek zupełnie jak Noah. Puzzle Noah w końcu do siebie pasowały, tworząc jeden obraz. Poczowała ulgę i dreszcz złego przeczucia.

– A jaką postawiono diagnozę?

Psychiatra się skrzywił.

– Był trochę starszy od Noaha. I nadal zbyt młody na taką diagnozę.

– Taką diagnozę?

– Schizofrenia dziecięca. – Naciągnął sobie sweter na brzuch, jak gdyby te słowa spowodowały ochłodzenie. – Oczywiście to rzadko spotykane, u tak małego dziecka.

– Schizofrenia? – To słowo zawisło na chwilę gdzieś wysoko w świeżo ochłodzonym powietrzu, błyszcząc jak ostry sopel lodu, zanim opadło zrozumienie.

– Sądzi pan, że Noah ma schizofrenię.

– Tak jak powiedziałem, jest za mały, żeby postawić trafną diagnozę. Ale musimy rozważyć taką możliwość. Nie możemy jej wykluczyć. – Przyglądał jej się bacznie wzrokiem spod ciężkich powiek. – Z czasem dowiemy się więcej.

Wbiła spojrzenie w dywan. Wzór kwadratów był gęsty, niezmierny, kwadraty w innych kwadratach, a te w następnych kwadratach.

Przerwał na chwilę.

– Czasem ma znaczenie czynnik genetyczny. Mówiła pani, że nic nie wie o rodzinie jego ojca?

Żałośnie potrząsnęła głową. Po latach sporadycznego szperania w Google, które do niczego nie doprowadziło, próbowała potraktować bardziej poważnie ściganie Jeffa z Houston. Tydzień wcześniej posunęła się o jeden krok do przodu. Spędziła prawie całe dwa dni na przeszukiwaniu listy absolwentów Rhodesa z ostatnich dwudziestu lat. Zwracała uwagę na każdego Jeffa i Geoffreya, na każdego stypendystę z Teksasu, a potem z pozostałych stanów i nie znalazła nikogo, kto choćby trochę przypominał tego mężczyznę, który przedstawił się jej jako Jeff. Zadzwoiła do hotelu w Trynidadzie, ale teraz należał do sieci Holiday

Inn.

Tak więc Jeff – jeśli w ogóle tak miał na imię – nie był stypendystą Rhodesa. Zapewne nie studiował też na Oksfordzie. (Szukała go także na stronie Balliol College, ale niczego nie znalazła). Może nawet nie był żadnym biznesmenem. Zmyślił to wszystko – ale po co? Myślała, że chciał na niej zrobić wrażenie, ale teraz zastanawiała się, czy nie zmagał się przypadkiem z psychozą w pełnym rozkwicie?

Janie poczuła uważne spojrzenie doktora, które zawisło nad nią jak jakiś nietoperz pokryty brązowym futerkiem, ale nie była w stanie podnieść wzroku, żeby spojrzeć mu w oczy. Popatrzyła na swoje kolana, obleczone w szare pończochy, i nagle wydały jej się absurdalne, ich szarość, ich krągłość.

– Wiem, że chce pani odpowiedzi – mówił Remson. – Ale to najlepsze, co możemy zrobić. Dokonamy ponownej oceny w miarę postępów leczenia. Tymczasem możemy spróbować różnych leków przeciwpsychotycznych. Możemy ustawić Noahowi bardzo małą dawkę, jeśli pani zechce. Wypiszę pani receptę.

Słowa powoli przepływały przez jej umysł, jakby po cichu, sennie pograżała się w niebycie, ale na dźwięk tego słowa – leki – Janie nagle oprzytomniała.

– Leki? – Podniosła głowę. – Ale przecież on ma dopiero cztery lata!

Lekarz skinął współczująco głową, rozkładając ręce.

– Leki mogą mu pomóc prowadzić bardziej normalny tryb życia. Będziemy ponownie oceniać sytuację co kilka miesięcy, aż dobrze dobierzemy dawkę. I, oczywiście, nadal będzie przychodził do mnie na wizyty. Dwa razy w tygodniu.

Wyciągnął pióro kulkowe z kubka na stoliku, który stał obok, i wypisał receptę.

Oderwał kartkę z bloczka i wręczył jej receptę, jakby to była zwykła rzecz. Wyraz bezbarwności na jego twarzy był okropny.

– Proszę sobie dać czas, żeby to przemyśleć – powiedział – i porozmawiajmy w przyszłym tygodniu.

W wyciągniętej ręce nadal trzymał receptę na lek przeciwpsychotyczny. Janie miała dziwną, przemożną chęć, żeby zgnieść ją i rzucić mu w twarz. Zamiast tego wzięła ją i schowała do kieszeni.

Teraz Janie wygodnie umościła się na sofie obok swojego syna, opierając się pokusie, żeby wziąć go na kolana i obsypać jego główkę pocałunkami.

– Wszystko w porządku, robaczku?

Noah skinął niewyraźnie głową, z wąsami z kakao i oczami wlepionymi w ekran telewizora.

Telefon zabrzączał – ale nie była to wiadomość od psychiatry, który oferował właśnie odkrytą cudowną dawkę chińskich ziół i kwasów tłuszczowych omega-3. Była to wiadomość od Boba, obiektu jej niegdysiejszego flirtu przez internet, sprzed wielu miesięcy.



„Cześć! Coś się poprawiło? Chcesz spróbować jeszcze raz?”

Zaśmiała się półgębkiem z wycucia czasu tego biednego mężczyzny, wydając z siebie głośny i wymuszony dźwięk, niczym szczekanie smutnej foki. Potem zatrzasnęła klapkę telefonu, nie odpisując na esemesa, i małymi łydkami wypila herbatę. Jednak nic jej to nie pomogło. Potrzebowała czegoś mocniejszego.

Tego wieczoru Janie położyła Noaha wcześniej do łóżka. Był w nastroju do przytulania, przyciągał na dół rączkami jej głowę, żeby pocałowała go w usta, a jego paluszki delikatnie dotykały jej twarzy w ciemności.

– Jaka to część ciała? – wyszeptał.

– To mój nos.

– A to?

– To moje ucho.

– A to twoja mózgowica.

– Tak. Dobrej nocy, robaczku.

– Nocy, mamó-mamusiu.

Ziewnął. Potem (wiedziała, że to nadchodzi, zawsze działo się w tym momencie, kiedy był na wpół śpiący i myślała, że może tym razem będzie inaczej, może tym razem tego nie powiedział):

– Chcę do domu.

– Jesteś w domu, skarbie.

– Kiedy przyjdzie moja druga mama?

– Nie wiem, robaczku.

– Tęsknię za nią. – Wtulił głowę w poduszkę, odwracając się od niej. – Naprawdę, naprawdę za nią tęsknię. – Jego ciało zaczęło drżeć.

Nawet jeśli to było tylko złudzenie, to jego rozpacz była prawdziwa. Znała rozpacz wystarczająco dobrze, żeby o tym wiedzieć.

– To boli, prawda? – zapytała cicho.

Odwrócił się do niej z drżącymi ustami. Zarzucił jej rączki na szyję, a ona przycisnęła do siebie jego główkę, kiedy płakał i wycierał nos w jej bluzkę.

– Tak mi przykro, kochanie – wyszeptała. Pogłaskała go po głowie.

– Tak bardzo za nią tęsknię.

Teraz rozplakał się na dobre, zanosząc się spazmatycznym szlochem, który wydawał się wydobywać z jego klatki piersiowej niczym w pełni ukształtowane kłęby czarnego dymu. Każdy pomyślałby sobie, że to jakieś zrozpaczone, porzucone dziecko. Jak dotąd przenigdy nie zostawiła go nigdzie na noc.

– Postaraj się, mamó.

Nie miała żadnego wyboru w tej kwestii.

– Postaram się.

Janie wyszła z pokoju bardziej przygnębiona niż po śmierci swojej matki. Zabrała komputer do kuchni i wyciągnęła receptę na risperidon. Potem wyjęła

kubek i butelkę burbona, którą lata temu dostała od klienta, i wypła duży haust.

Na kubku był obrazek kotka ścigającego motyla. Prezent od kolegi, który myślał, że miała kota. Tego wieczoru wydawało jej się to pocieszające, jak optymistyczna wróżba w ciasteczku – nikt w nią nie wierzy, a jednak wkłada się ją do kieszeni. Bourbon falował ciepłem w brzuchu Janie i wirował w mglistym, deszczowym tańcu wokół jej spanikowanego mózgu.

Sięgnęła do komputera i otworzyła okno wyszukiwarki.

Wpływ środków przeciwpotnych.

Nie.

Wpływ leków przeciwpsychotycznych u dzieci.

*Psychiatrzy przepisują te leki niektórym dzieciom w przypadku poważnej choroby, kiedy uznają, że korzyści są większe niż ryzyko... Jednocześnie lawinowo rośnie liczba przypadków śmiertelnych i niebezpiecznych efektów ubocznych związanych ze stosowaniem tych leków. Dziennikarze „USA Today” wykonali opracowanie danych zebranych w latach 2000–2004 przez Agencję Żywności i Leków (FDA), w którym odnotowano przynajmniej czterdzieści pięć przypadków śmiertelnych u dzieci, a jeden z nietypowych leków przeciwpsychotycznych figuruje w bazie FDA jako „główny podejrzany”. Zanotowano również 1328 przypadków wystąpienia efektów ubocznych, które czasem stanowiły zagrożenie dla życia.*

Boże. Nie.

Szybko wyszła z tej strony i otworzyła nową.

*Przyjmując leki przeciwpsychotyczne, człowiek traci poczucie własnej tożsamości, ma zaćmiony umysł, rozstrojone nerwy, traci pamięć na skutek leczenia.*

Szybko zamknęła okno, otworzyła kolejne, potem następne. Otwierała okno po oknie, a każde z nich rzucało światło na jakieś nowe okropieństwo, dopóki cała zawartość butelki burbona nie trafiła do kubka i nie miała uczucia, że jej oczy krwawią.

Trzymała alkohol w ustach i czuła, jak piekł ją w język. Kociak na kubku wyglądał demonicznie, albo raczej pospolicie. W każdej chwili mógł skoczyć i zębami rozerwać piękne skrzydła motylka na strzępy.

Wyszukała risperidon i przebiegła wzrokiem po liście skutków ubocznych: senność, zawroty głowy, nudności... Lista nie miała końca. Kiedy skończyła czytać, poczuła się senna, pobudzona, spocona, rozdrażniona, rozgorączkowana, otyła i zrobiło jej się niedobrze. Miała zawroty głowy, chociaż mogła być to kwestia drinka.

Tak bardzo starasz się podawać dziecku zdrowe jedzenie, pomyślała. Pizzę z serem sojowym. Organiczny zielony groszek, brokuły i minimarchewki. Koktajle owocowe. Mleko bez hormonów. Warzywa liściaste. Ograniczasz wysoko przetworzone produkty do minimum, wyrzucasz cukierki z Halloween po tygodniu.

Nigdy nie pozwalasz mi jeść lodów sprzedawanych w parku, ponieważ zawierają czerwone i żółte barwniki. A potem masz mi dać coś takiego?

Porwała receptę i zmięła ją w kulkę, po czym rozprostowała ją na stole i gapiła się na nią. Po dłuższej chwili wstała i wstawiła butelkę burbona z powrotem do barku.

Myślała o tym, żeby zadzwonić do jakiejś przyjaciółki i poprosić, żeby wpadła ją pocieszyć albo udzielić tak bardzo potrzebnej rady, ale nie była w stanie powiedzieć nikomu o tej diagnozie, usłyszeć swojej paniki, która odbiłaby się echem i wróciła do niej przez słuchawkę.

Zawsze uważała, że odniosła sukces. Ciężko pracowała, budując swoją własną firmę od zera, i przetrwała nawet w trudnej sytuacji rynkowej. Sama wychowywała Noaha, tworząc dla nich obojga przytulny dom. A teraz miała ponieść porażkę w jedynej sprawie, która się liczyła.

Otworzyła nowe okno w swoim laptopie. Przez chwilę gapiła się na mrugający kursor, a potem wystrzeliła flarę do bogów internetu: „Help”. Miała pewność, że nie była ani pierwszą, ani ostatnią osobą, która wpisała to słowo w Google.

The Beatles, *Help*, YouTube

The Help<sup>9</sup>, *dramat, dozwolony od trzynastu lat. Akcja rozgrywa się w Missisipi, w latach 60., dziewczyna z wyższych sfer Południa USA wraca z college'u i postanawia zostać pisarką, ale zmienia swoje...*

*Help.com. Jestem członkiem stowarzyszenia płaskiej Ziemi i muszę zrobić prezentację na temat tego, dlaczego inni ludzie nie wierzą, że Ziemia jest płaska...*

Położyła głowę na klawiaturze. Znowu ją podniosła. Przesuwała palcami po podkładce na myszkę, rozmawiając z duchem w tej maszynie.

Nawet nie wiem, o co mam zapytać...

*Jak zaprosić dziewczynę na domówkę?*

*Mój syn chce mieć inną matkę...*

*Czy mamom wolno karcić cudze dziecko?*

*Drugie życie...*

*Veronicas – In Another Life<sup>10</sup> – Teksty piosenek – YouTube*

*Drugie życie, film dokumentalny o reinkarnacji, w tym darmowa transmisja strumieniowa wywiadów nagranych na wideo...*

Ha. Film dokumentalny w duchu New Age. Naoglądała się o wiele za dużo takich filmów w trakcie ostatniego roku życia swojej matki. Jej matka należała do osób praktycznych, miała szeroki krąg praktycznych przyjaciół, ale kiedy postawiono jej diagnozę (białaczka, najgorsza postać), wyrzuciła to wszystko przez okno ku zaniepokojeniu znajomych. Wpadali jeden za drugim z paczuszkami z brązowym proszkiem od chińskich homeopatów, z kryształami, filmami dokumentalnymi i broszurami o metodach leczenia w Meksyku, a Janie i jej matka

staraly się ich zadowolić najlepiej, jak potrafiły. Godzinami siedziała przy łóżku matki, trzymając ją za rękę, kiedy oglądały te filmy i zaśmiewały się z nich, jeden po drugim, bzdura za bzdurą. Filmy dokumentalne o spirytyzmie, uzdrawianiu alchemicznym i szamańskiej grze na bębnach. Janie chichotała przez rześiste łyzy, ponieważ jej umierająca, bezkompromisowa matka angażowała ostatnie pokłady swojej niespożytej energii na drwiny z tandetnej grafiki, z tych filmowych plaż i tęcz, które niosły coś, czego zapewne nie mogły dać – nadzieję. Była to jasna strona tych najciemniejszych w życiu Janie dni, drwiny matki sprawiły, że uwierzyła w to, że matka nie potrzebowała żadnej z tych stukniętych rzeczy. Przetrwa dzięki czystej sile woli i nowoczesnej medycynie. Podjęli próbę leczenia kolejną eksperymentalną metodą, lepszą od tej, która spowodowała u niej tak bolesne zatrzymanie wody w organizmie. I to by było na tyle.

Ależ tak (teraz klikała link na YouTubie, spragniona tego, żeby oderwać myśli zarówno od koszmarnej terażniejszości, jak i równie trudnej do zniesienia przeszłości, żeby znaleźć coś, co rozjaśni jej stroskany, a do tego jeszcze obciążony nadmierną ilością burbonu umysł), tak, tutaj też to było – to ckliwe ujęcie fal oceanu. Słońce i wodospad... I flet, oczywiście! – i ten sam lektor o głębokim głosie... Czy to był ten sam facet? Czy tym właśnie zajmował się w życiu, podkładaniem głosu w newage'owych filmach dokumentalnych?

„Majestatyczny cykl życia i śmierci, i życia, które zaczyna się na nowo, a każde z nich czegoś uczy...”.

Majestatyczny cykl życia...

Och, jej matka pewnie by się w tym miejscu zakrztusiła.

– Co o tym sądzisz, mamó? – powiedziała na głos, recytując te słowa udawanym stentorowym głosem:

– MAJESTATYCZNY CYKL ŻYCIA!

Przerwała, jakby chciała zostawić matce czas na odpowiedź, ale przecież nikogo tam nie było, o czym bardzo dobrze wiedziała.

„W Stanach Zjednoczonych niektórzy uznani badacze zgłębiają temat reinkarnacji...”.

– BADACZE, MAMO! – krzyknęła, świadoma, że nikogo tym nie rozbawi, nawet zmarłych, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie spróbować. Miała do wyboru to albo płacz, a wiedziała, że z tego drugiego nic dobrego nie wyjdzie.

– Są BADACZAMI!

„Najbardziej znanym spośród tych badaczy jest doktor Jerome Anderson...”.

– Założę się o STÓWĘ, że jest lekarzem! Co on ma, doktorat z szarlataństwa?

Czknęła i zaśmiała się głośno.

„...Od dziesiątek lat prowadzi on badania naukowe nad małymi dziećmi, które wydają się przypominać sobie szczegóły z poprzedniego życia. Dzieci, często

mające zaledwie dwa albo trzy lata, opowiadają z najdrobniejszymi szczegółami o swojej tęsknocie za poprzednim domem albo rodziną...”.

Janie nacisnęła przycisk PAUZA. W pokoju zapadła cisza.

Najwyraźniej źle usłyszała. Przewinęła kawałek do tyłu.

„...doktor Jerome Anderson. Od dziesiątek lat prowadzi on badania naukowe nad małymi dziećmi, które wydają się przypominać sobie szczegóły z poprzedniego życia. Dzieci, mające często zaledwie dwa albo trzy lata, opowiadają z najdrobniejszymi szczegółami o swojej tęsknocie za poprzednim domem albo rodziną...”.

Znowu nacisnęła PAUZĘ i wtedy wszystko się zatrzymało – przesuwane się obrazy, myśli, oddech, który na w pół uformowany utknął jej w piersiach.

Na ekranie widziała profil głowy – musiała należeć do doktora Andersona. Miał czarne, kręcone włosy i urodziwą twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych. Rozmawiał z jakimś małym chłopcem, który wyglądał na mieszkańca południowej Azji, miał jakieś trzy lata i nosił obdarte spodnie. Zza pleców chłopca, z czerwonego błota, wznosił się mur z cegły. Obraz wydawał się ziarnisty, jakby nakręcony dziesiątki lat wcześniej. Wpatrywała się w niego, dopóki, jak wszystko, na co patrzy się wystarczająco długo, nie stał się czymś innym – Mężczyzną. Chłopcem. Miejscem. Czasem.

Ależ to było... absurdalne.

Na ekranie ten mały chłopiec stał twarzą w twarz z dorosłym mężczyzną. Wyglądał na bardzo skrępowanego. Prawdopodobnie miał czerwonkę, pomyślała.

Przewinęła do tyłu jeszcze raz.

„Doktor Jerome Anderson od dziesiątków lat prowadzi badania naukowe nad małymi dziećmi, które wydają się przypominać sobie szczegóły z poprzedniego życia...”.

Ona wiedziała lepiej. Wszystko przez ten burbon, który zmaćił jej zdrowy rozsądek.

Zatrzymała film na tym ujęciu.

Doświadczyła na własnej skórze tego, jak naiwni padają ofiarą manipulatorów. Wiedziała, że ludzie na skraju rozpaczycy mogą zrobić wszystko. Czyż Janie nie była właśnie w takiej sytuacji?

A potem to usłyszała.

Jednak nie było sensu, żeby iść do pokoju Noaha albo próbować go obudzić. Znała tę procedurę. Po dziesięciu minutach kwilenie stanie się wrzaskiem, a wrzask zamieni się w słowa: „Mamo! Mamo!”.

Znajdzie go wijącego się w pościeli, machającego rękami i nogami, wrzeszczącego. „Wypuście mnie stąd! Wypuście mnie stąd! Wypuście mnie stąd!”.

Nie ma nic gorszego niż przyglądanie się, jak własne dziecko pograża się

w ciemności i nie można nic na to poradzić. Wszystko jest od tego lepsze.

Nawet leki? Nawet to? Spojrzała na obraz na ekranie.

Kwilenie stawało się teraz coraz bardziej rozdzierające, a ton coraz wyższy. Wkrótce ją zawoła, a ona usiadzie przy nim i podejmie próbę, nieskuteczną, żeby go ukoić. Śpiący, zlany potem, będzie rzucał się w jej ramionach.

Doktor i chłopiec nadal tam byli, zastygli na ekranie komputera. Wzięła do ręki receptę i trzymała ją na otwartej dłoni.

Niech ktoś mi powie, co ja mam robić – pomyślała.

Usiadła przy stole kuchennym, przed laptopem, z receptą w dłoni i synem płaczącym przez sen. Wpatrywała się w obraz na ekranie i zastanawiała się, kiedy zgaśnie.

*Wielu badanych w naszych studiach przypadków urodziło się ze znamionami albo wrodzonymi wadami, pokrywającymi się z ranami na ciele ich poprzedniego wcielenia, które zazwyczaj były ranami śmiertelnymi. Jedyнным przypadkiem, w którym wystąpił jednocześnie proroczy sen i wada wrodzona, był Süleyman Çaper z Turcji. Jego matka w trakcie ciąży miała sen, w którym jakiś mężczyzna, którego nie rozpoznała, powiedział do niej: „Zostałem zamordowany uderzeniem łopaty. Chcę zostać z tobą i z nikim innym”. Süleyman urodził się z częściowo zapadniętą tylną częścią czaszki, gdzie miał również znamię. Kiedy zaczął mówić, wyznał, że kiedyś był młynarzem, który zginął, gdy rozzłoszczony klient uderzył go w głowę. Poza innymi szczegółami podał również imię młynarza i nazwę wioski, w której tamten mieszkał. Faktycznie jakiś rozzłoszczony klient zabił kiedyś młynarza o tym imieniu, w tej wiosce, uderzając go łopata w tył głowy.*

dr Jim B. Tucker, *Życie przed życiem*

## Rozdział ósmy

*Taśma do pakowania zawyla w proteście. Anderson odciął ją zębami i zamknął pudło, mając uczucie, jakby klapy kartonu zamykały się nad jego głową. Wewnątrz, z dziełem jego życia, byłoby cicho.*

Zajął mu to wiele miesięcy – wyciąganie kartotek tych przypadków, jednej po drugiej, żeby jeszcze raz je przejrzeć, znacznie spowolniło jego pracę – ale dokumentacja instytutu była teraz w całości spakowana i gotowa do wysyłki.

Niech następne pokolenie naukowych poszukiwaczy odnajdzie jego dzieło i zrobi z nim, co będzie chciało. Miał nadzieję, że będzie chciało. Ostatnio dostał list od kolegi ze Sri Lanki, gdzie podobno było tak wiele przypadków, że można je było zgarniać jak ryby do sieci.

Wszystkie dowody, które opracował. Kiedyś był przekonany, że redaktorzy czasopism medycznych nie mogli ich zignorować. Jakby dowody same w sobie były niepodważalne. Pomylił się co do ludzkiej natury. Schrzanął sprawę, zapominając o zdolności człowieka do odrzucania wszystkiego, co zechce... Sam Galileusz powinien był go chociaż tyle nauczyć.

Gdzieś w oddali albo w pokoju rozległ się dźwięk telefonu.

\* \* \*

– *Ale nie rozumiem. Sądziłem, że ją odrzuciła. Dlaczego chce porozmawiać?*  
– *Jego agent literacki mówił coś przez telefon, ale to nie miało dla niego żadnego sensu. – To w końcu ją chce czy nie chce?*

– Waha się. Chciałaby wprowadzić trochę zmian i chce się upewnić, czy macie takie samo zdanie w tej kwestii. Należy do najlepszych redaktorów w tej dziedzinie. Ma na swoim koncie wiele bestsellerów. To bardzo dobre wieści.

Takie samo zdanie – pomyślał. Najlepsza w tej dziedzinie. Bestseller. Ten żargon go bawił. Wyobraził sobie ogromną, białą kartkę papieru, wznoszącą się niczym góra, na której szczycie stał on i ta redaktorka wymieniający uścisk dłoni. Nigdy nie musiał radzić sobie z ludźmi, którzy działali w branży zarabiania pieniędzy. W wydawnictwie akademickim, które opublikowało kilka jego książek, rzadko dyskutowało się na temat wynagrodzenia, ale też nikt ich nie czytał, poza wąskim środowiskiem naukowców o podobnych przekonaniach. To, pomyślał, był całkiem inny świat. Trzydzieści lat temu słowo „bestseller” wywołałoby jego drwiny. Teraz przyspieszyło jego oddech. Jak to wszystko się u niego zmieniło.

Redaktorka odebrała telefon natychmiast, gdy jej asystentka zapowiedziała jego nazwisko.

– Nie mogę przestać myśleć o tej książce – powiedziała redaktorka. Jej głos



był jednocześnie ostry i radosny. Potęga w branży, jak stwierdził jego agent, cytując pokaźną liczbę odnoszących sukcesy książek, o których on nigdy nie słyszał. Próbował ją sobie wyobrazić – ciemnowłosa, z porcelanową twarzą w kształcie serca, tryskająca energią Królowna Śnieżka, która owija sobie wokół palców kabel od telefonu, kiedy rozmawia... co on sobie myślał? Przecież teraz już nikt nie ma telefonów z kablem. Oblewał go pot, jak uczniaka na pierwszej randce.

– Myślę, że wielu ludzi będzie nią zainteresowanych. Ale wymaga jeszcze trochę pracy.

– Wymaga?

– Szczególnie przypadki amerykańskie.

– Przypadki amerykańskie?

– Tak. Nieaktualne, z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, i o wiele mniej... dramatyczne. Mimo wszystko to amerykańska publika. Tak wiele pozostałych przypadków jest umiejscowionych w egzotycznych miejscach, i to jest dobre, ale musimy się także bardziej skupić na historiach z naszego kraju. Aby ludzie czuli się z nimi związani.

Chrząknął, zyskując na czasie.

– Ale ludzie czują się związani – powiedział powoli, ostrożnie, powtarzając słowa jak dziecko, które uczy się mówić, albo jak sześćdziesięcioośmiolatek, który właśnie zapomina słów. – To nie jest historia dla Amerykanów... To... – Jakiego słowa szukał? Jakiegoś pojemnego, które mieściło w sobie wszystkie planety i układy słoneczne. Nie mógł przypomnieć sobie tego słowa, więc zmienił strategię.

– To historia dla wszystkich.

Wykonał szeroki, nieokreślony gest dłońmi, jakby chciał nim ogarnąć wszystko, co miał na myśli, a czego nie potrafił powiedzieć.

– Zgoda. Ale jedynym aktualnym przypadkiem, który pan tutaj opisuje, jest... no wie pan, ten, w którym dziecko przypomina sobie o tym, że jest własnym dziadkiem wujecznym?

– Tak.

– Cóż, pozostałe przypadki wydają się bardziej przekonujące.

– Cóż, to jasne.

– Dlaczego to jasne?

– Kiedy uczestnik badania należy do tej samej rodziny, nie da się zweryfikować faktów w ten sam sposób.

– Dobrze. Chcę tylko powiedzieć, że potrzebujemy jednego lub dwóch nowych, przekonujących przypadków. Amerykańskie. Żeby zakotwiczyć tę książkę.

– Och. Ale...

– Tak?

Otworzył usta. Narastały w nim obiekcje: „Mój gabinet jest zamknięty. Od sześciu miesięcy nie pracowałem nad nowym przypadkiem... W każdym razie nie ma tak wiele przekonujących przypadków w Stanach Zjednoczonych. Nie jestem nawet pewien, czy jestem w stanie napisać logiczne zdanie, a co dopiero rozdział...”.

– Dobrze – powiedział. – Niech będzie. Przypadek z Ameryki.

– Przekonujący. A więc dogadaliśmy się?

Stłumił śmiech. Był uradowany, beztroski. Zsuwał się teraz z tej góry, koziółkując, wywijając orły.

– Tak.

*Purnima Ekanayake, dziewczynka ze Sri Lanki, urodziła się ze skupiskiem jasnych znamion po lewej stronie klatki piersiowej i w dolnej części żeber. Pomędzy tym, kiedy miała dwa i pół roku, a trzecim rokiem życia zaczęła opowiadać o poprzednim życiu, ale początkowo jej rodzice nie przywiązywali wagi do tych opowieści. Gdy miała cztery latka, zobaczyła w telewizji program o świątyni w Kelaniya, słynnym miejscu kultu znajdującym się ponad dwieście kilometrów od jej domu, i powiedziała, że je rozpoznaje. Później jej ojciec, dyrektor szkoły, i jej matka, nauczycielka, zabrali grupę uczniów na wycieczkę do świątyni Kelaniya. Purnima także pojechała z nimi. Kiedy znaleźli się na miejscu, powiedziała, że kiedyś mieszkała po drugiej stronie rzeki przepływającej przez teren należący do świątyni.*

*Purnima, zanim skończyła sześć lat, wspomniła jakieś dwadzieścia razy o poprzednim życiu i opisała mężczyznę, który robił kadzidelka i zginął w wypadku. Wymieniła nazwy dwóch marek kadzidełek – Ambiga i Geta Pichcha. Jej rodzice nigdy o nich nie słyszeli i... [w żadnym] sklepie w ich miasteczku... nie można było kupić kadzidełek tych firm.*

*W rodzinnym miasteczku Purnimy rozpoczął pracę nowy nauczyciel. Weekendy spędzał w Kelaniya, gdzie mieszkała jego żona. Ojciec Purnimy opowiedział mu o tym, co mówiła jego córka, i nauczyciel postanowił sprawdzić, czy w Kelaniya kiedyś zginął ktoś, kto pasowałby do opisu Purnimy. Nauczyciel powiedział, że ojciec dziewczynki poprosił go o sprawdzenie następujących faktów:*

*– Mieszkała po drugiej stronie rzeki przepływającej przez tereny należące do świątyni Kelaniya.*

*– Robiła kadzidelka o nazwie Ambiga i Geta Pichcha.*

*– Sprzedawała kadzidelka, dostarczając je na rowerze.*

*– Zginęła w zderzeniu z dużym pojazdem.*

*Potem pojechał wraz ze swoim szwagrem, niewierzącym w reinkarnację, żeby sprawdzić, czy da się odnaleźć informacje o osobie, do której pasują te fakty. Udali się do świątyni Kelaniya i przeprawili się promem na drugą stronę rzeki. Tam zapytali o osoby zajmujące się wytwarzaniem kadzidełek i dowiedzieli się, że w okolicy działają trzy rodzinne firmy trudniące się tym rzemiosłem. Właściciel jednej z nich nazwał swoje marki Ambiga i Geta Pichcha. Jego szwagier i wspólnik, Jinadasa Perera, został śmiertelnie potrącony przez autobus, kiedy wiozł kadzidelka na targ swoim rowerem, dwa lata przed urodzeniem Purnimy.*

*Niedługo potem rodzina Purnimy odwiedziła dom właściciela firmy. Tam Purnima wymieniła różne fakty dotyczące życia członków rodziny i działalności firmy, które okazały się prawdą, i rodzina zaakceptowała ją jako kolejne wcielenie Jinadasy.*

*dr Jim B. Tucker, Życie przed życiem*



## Rozdział dziewiąty

*Janie zamknęła książkę trzymaną w ręce i spod zmarszczonych brwi spojrzała w czeluści baru. Czekala na mężczyznę, którego prace wprawiały w osłupienie albo były kompletną bzdurą, a który teraz dzierzył w garści przyszłość Noaha. I nawet nie mogła przebrnąć przez jego książkę.*

Próbowała. Książka wyglądała na poważną pozycję – musiała zamówić ją przez internet, ponieważ wydawnictwo akademickie, w którym wydano ją dwadzieścia lat temu, już nie istniało, wersja w papierowej okładce kosztowała ją pięćdziesiąt pięć dolarów. Zabierała się do niej nieustannie od dwóch tygodni, kiedy zaplanowała to spotkanie. Jednak gdy tylko świadomie skupiała się na jednym z przypadków opisywanych przez Andersona, miała taki zamęt w głowie, że mózg jej parował.

Książka była pełna opisów studiów przypadków – dzieci z Tajlandii i Libanu, Indii, Birmy i Sri Lanki podawały fakty na temat swoich drugich matek i drugich domów. Dzieci zachowywały się w sposób sprzeczny ze zwyczajami ich rodziny albo wioski, a czasem łączyły je silne więzy z obcymi osobami, które mieszkały w odległości wielu godzin drogi od nich, a które najwyraźniej pamiętały z poprzedniego życia. Często cierpiały na fobie. Te przypadki były przekonujące i dziwnie znajome... A jednak jak mogły być prawdą?

Złapała się na tym, że czyta w kółko o tych samych przypadkach i nadal nie ma jasności, czy w to wierzyć, czy nie. W końcu w ogóle nie była w stanie o nich czytać, ale spowiło ją, niczym lepka mgła, wrażenie czegoś głęboko niepokojącego. Istniały dzieci, które pamiętały, że spędziły swoje życie na sprzedawaniu jaśminu albo sadzeniu ryżu w jakiejś wiosce w Azji, zanim nie zostały potrącone przez motocykl albo zginęły w pożarze – dzieci, które nie miały nic wspólnego (albo wszystko) z Noahem.

Janie przecesała palcami miękkie włosy swojego synka, chociaż raz odczuwając wdzięczność za telewizor wiszący na ścianie nad ich głowami. (Kiedy to restauracje dołączyły do lotnisk, jeśli chodzi o założenie, że klienci potrzebują nieustannie być przyklejeni do ekranu?). Wyciągnęła wydruk z komputera, który włożyła do segregatora, i spojrzała jeszcze raz na kwalifikacje tego doktora.

Jerome Anderson

Doktor nauk medycznych: Harvard Medical School

Licencjat w dziedzinie nauk humanistycznych: Yale University, Literatura angielska

Staż specjalistyczny z psychiatrii w szpitalu Columbia Presbyterian, Nowy Jork

Profesor psychiatrii, Akademia Medyczna, University of Connecticut

Robert B. Angsley, profesor psychiatrii i nauk neurobehawioralnych w Instytucie Studiów nad Poprzednimi Wcieleniami, Akademia Medyczna, University of Connecticut

Znaczenie tych słów było wystarczająco jasne i uczepliła się go – człowiek wykształcony. Miała po prostu zasięgnąć opinii kolejnego eksperta. Tylko tyle. I naprawdę nie miało znaczenia, jakie stosował metody, pod warunkiem że miał wyniki. Może tego lekarza cechowało swego rodzaju szczególnie kojące podejście do dzieci, takie, za pomocą którego pewni ludzie uspokajają konie. To była metoda eksperymentalna. Ciągłe czyta się takie doniesienia. Nie miało znaczenia, na co cierpiał Noah albo co o tym sądził Anderson, pod warunkiem że go wyleczy.

Przekartkowała zawartość segregatora, który dla niego przygotowała. Takich samych segregatorów używała, kiedy zabiegała o nowych klientów, jednak zamiast miejskich domów i mieszkań każda część miała kolorowe przekładki – zaznaczyła na nich poszczególne lata życia Noaha. W segregatorze znajdowały się wszystkie informacje na temat chłopca, te dziwne rzeczy, które powiedział lub zrobił – wszystko, z wyjątkiem kluczowej kwestii. Janie nie wspomniała ani słowem o doktorze Remsonie ani o jego prawdopodobnej diagnozie, obawiając się, że Anderson może odmówić pracy z dzieckiem, które może być umysłowo chore.

Spotkanie z nim w restauracji było osobliwe. Doktor Anderson sugerował, żeby spotkać się u niej w domu – tak zwykle postępował, dzięki temu dzieci czuły się bardziej komfortowo, jak powiedział – ale ona potrzebowała najpierw wyczuć tego mężczyznę, szybko sprawdzić, czy to nie jakiś świr, więc znaleźli kompromis i umówili się w tym barze na rogu. A poza tym który lekarz przychodził na wizyty do domu? Może jednak był konowałem...

– Panna Zimmerman?

Stał nad nią mężczyzna o wysokiej, szczupłej sylwetce, ubrany w obszerny granatowy, wełniany sweter i spodnie khaki.

– Pan jest doktorem Andersonem?

– Jerry.

Uśmiechnął się lekko, jego zęby błysnęły w zatłoczonej sali, wyciągnął rękę do niej, potem do Noaha, który odwrócił wzrok od telewizora na tyle, żeby musnąć ogromną dłoń Andersona swoją drobną rączką.

Czegokolwiek się spodziewała (jakiegoś profesjonalisty, może nieco ekscentrycznego, o ostrych rysach twarzy i ciemnych, kręconych włosach, które przez moment widziała na filmie), to nie był ten mężczyzna. Był to człowiek sprowadzony do istoty swojej natury, z wysokimi kośćmi policzkowymi, błyszczącymi oczami egipskiego kociego bóstwa i ogorzałą skórą rybaka. Kiedyś musiał być przystojny (miał surową, klasyczną urodę), ale teraz wyglądał jakoś zbyt ascetycznie, jakby zostawił przystojność przy drodze wiele lat temu jak coś,

dla czego nie znalazł zastosowania.

– Przepraszam, jeśli to zabrzmiało niegrzecznie. Po prostu na tym filmie wideo wydawał się pan...

– Młodszy? – Pochylił się nieco w jej kierunku i powiało od niego jakąś wonią – miała wrażenie, że pod tą elegancką, pełną rezerwy powierzchnią kłębi się coś nieujarzmionego. – To wpływ czasu.

Po prostu wyobraź sobie, że to klient, powiedziała do siebie w myślach. Przełączyła się na inny styl działania, uśmiechnęła się profesjonalnie.

– Jestem troszkę zdenerwowana – wyjaśniła. – Nie znam się za bardzo na tych sprawach.

Usiadł naprzeciwko niej w boksie.

– To dobrze.

– Tak?

Jego szare oczy były naprawdę nienaturalnie jasne.

– Zazwyczaj oznacza to, że dany przypadek jest poważniejszy. Inaczej nie byłoby tutaj pani.

Mówił rzeczowo, wymawiając wyraźnie każde słowo.

– Rozumiem.

Nie przywykła do myślenia o chorobie Noaha w kategoriach „przypadku”, który może być „poważny”. Mogła zaprotestować, ale kelnerka (o fioletowych włosach, znękana) podawała im właśnie karty dań. Kiedy odwróciła się w kierunku kuchni, na bladej skórze jej ramion odznaczało się słowo YOLO, wytatuowane gotyckimi literami.

YOLO. Slogan, wezwanie, takie *carpe diem* subkultury deskorolkarzy: *You Only Live Once*<sup>11</sup>.

Ale czy to prawda?

Na tym właśnie polegał problem, nieprawdaż? Nigdy głębiej się nad tym nie zastanawiała. Nie miała czasu ani ochoty, żeby snuć rozważania na temat życia po życiu – to tutaj okazało się wystarczająco trudne do ogarnięcia. Wszystko, co była w stanie zrobić, to zapłacić za jedzenie, mieszkanie i ubrania, spróbować dać Noahowi miłość i zapewnić mu edukację oraz dopilnować, żeby mył zęby. A ostatnio i z tym ledwo dawała sobie radę. Nie miała innego wyjścia poza leczeniem farmakologicznym swojego czterolatka. Ale o czym ona myślała?

No dobrze. Życie po życiu. W które nie była pewna, czy wierzyła.

A jednak – była tutaj.

Anderson rzucił jej wyczekujące spojrzenie przez stół. Noah oglądał telewizję, bazgrołąc coś na swojej podkładce pod talerz. Kelnerka, która żyła tylko raz, nadeszła i przyjęła zamówienia – jak fioletowa chmura opryskliwości.

Janie wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła ramienia syna, jakby chciała ochronić go przed stłumioną intensywnością emocji tego mężczyzny.

– Posłuchaj, Noey, a może staniesz sobie przy barze na minutkę i stamtąd pooglądasz ten mecz? Tam jest o wiele bliżej.

– Dobrze. – Ześlizgnął się z krzesła, jakby był szczęśliwy, że został wypuszczony.

Kiedy Noah znalazł się poza zasięgiem słuchu, jej ciało opadło z sił na krzesło.

Na ekranie telewizora tuż obok baru jakiś zawodnik zaliczył wszystkie mety i zdobył punkt. Noah wiwatował razem ze stałymi bywalcami.

– Rozumiem, że lubi baseball – powiedział Anderson.

– Kiedy był mały, była to jedyna rzecz, która go wyciszała. Nazywałam to ambientem<sup>12</sup> dla dzidziusiów.

– Pani też ogląda baseball?

– Tylko przypadkiem.

Wyjął żółty notes z aktówki i nagryzmołił jakąś notatkę.

– Jednak nie rozumiem, pod jakim względem jest to nietypowe – dodała Janie. – Wielu małych chłopców lubi baseball, prawda?

– Z pewnością tak. – Chrząknął. – Zanim zaczniemy. Na pewno ma pani do mnie jakieś pytania?

Spuściła wzrok na swój segregator z tymi wszystkimi kolorowymi przekładkami. Segregator, który był jej synkiem.

– Jak to działa?

– Procedura? Cóż, zadaję pani pytania, a potem przeprowadzam wywiad z pani synkiem...

– Nie, mam na myśli... reinkarnację. – Wzdrygnęła się na samo słowo. – Jak to działa? Nie rozumiem. Twierdzi pan, że wszystkie te dzieciaki przechodzą... reinkarnację i pamiętają te fakty z poprzedniego życia, tak?

– W niektórych przypadkach wydaje się to najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem.

– Najbardziej prawdopodobnym? Ale ja myślałam...

– Jestem naukowcem. Zbieram fakty od dzieci, weryfikuję je i sugeruję rozwiązania. Nie wyciągam pochopnych wniosków.

Ale to właśnie z tymi wnioskami wiązała swoje nadzieje. Wzięła do ręki segregator i przycisnęła go do klatki piersiowej, ukojona jego namacalnością.

– Ma pani sceptyczne nastawienie – stwierdził.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, a on uciszył ją, podnosząc rękę do góry.

– Wszystko w porządku. Moja żona z początku też była sceptyczna. Na szczęście nie pracuję w branży wierzeń. – Wykrzywił cierpko usta. – Zbieram dane.

Dane. Uczepiła się tego słowa, jak śliskiej skały we wzburzonej rzece.

– A więc już przestała być sceptyczna?



– Hm? – Wyglądał na zmieszanego.

– Powiedział pan... że żona z początku też była sceptyczna. Wobec tego teraz wierzy w pana pracę?

– Teraz? – Zerknął na nią. – Ona...

Nie dokończył zdania. Miał otwarte usta przez chwilę, która wydawała się nie mieć końca, wprawiając ich oboje w zakłopotanie, a potem je zacisnął. Jednak ta chwila już nastąpiła i nie można było jej cofnąć. Tak jakby jego mechanizmy obronne – to zwyczajne pole siłowe osłaniające pierwotną ludzką naturę – z niewyjaśnionych powodów przestały działać.

– Odeszła. Sześć lat temu – powiedział w końcu. – To znaczy... Już nie żyje.

Był pogrążony w żalu. Spadł na niego poważny cios. Janie wiedziała, jak to jest. Rozejrzała się po tej zwyczajnej sali, spojrzała na dzieci pałaszujące francuskie grzanki, ich tatusiów zlizujących ze smakiem skapujący syrop. Ci ludzie byli na drugim brzegu, a ona stała po stronie tych pokrzywdzonych razem z mężczyzną, na którego twarzy malował się wyraz bólu i który cierpliwie czekał na to, co miała mu do powiedzenia.

Zachowała łagodny ton głosu.

– Możemy kontynuować?

– Oczywiście – odparł z większą werwą, niż się spodziewała. Szybko się pozbierał, a na jego twarzy znowu pojawiły się eleganckie rysy. Trzymał swój zaostrzony ołówek wysoko nad swoim żółtym notesem.

– Pamięta pani, kiedy Noah po raz pierwszy zrobił coś, co wydawało się nietypowe?

– Przypuszczam, że... to były jaszczurki.

– Jaszczurki?

– Noah miał dwa latka. Byliśmy w Muzeum Historii Naturalnej. Poszliśmy obejrzeć wystawę jaszczurek i węży. A on... po prostu... – Zrobiła przerwę. – Jedyne słowo, za pomocą którego można to opisać, to zdaje się – sparaliżowany. Stał dokładnie naprzeciw pierwszego terrarium i zaczął krzyczeć wniebogłosy. Myślałam, że coś mu się stało, a wtedy powiedział: „Spójrz, agama brodata!”.

Rzuciła okiem na Andersona i dostrzegła, z jaką uważnością jej słuchał. Pozostali psychologowie nie byli zainteresowani jaszczurkami. Pochylił się, żeby coś zanotować, i zauważyła, że jego niebieski sweter, który wyglądał na taki miękki i drogi, miał podejrzaną dziurę na rękawie. Ten sweter zapewne liczył tyle lat co ona.

– Byłam dość zaskoczona, ponieważ wtedy znał jeszcze ograniczoną liczbę słów, dopiero co skończył dwa latka, mówił tylko: „Chcę mamę-mamę, wodę, kaczuszkę i mleko”.

– Mamę-mamę?

– Tak mnie zwykle nazywa albo mamusia-mama. Chyba lubi mnie nazywać

po swojemu. W każdym razie sądziłam, że to sobie wymyślił.

– Co wymyślił?

– Nazwę. Agama brodata. To brzmiało dla mnie dziwnie, jak coś wymyślonego przez dziecko, agama z brodą. Dlatego śmiałam się z niego, uznając to za uroczę. I powiedziałam: „Tak naprawdę, kochanie, to jest...”, i spojrzałam, wie pan, na opis. I faktycznie ten eksponat nosił nazwę agamy brodatej. I zapytałam go: „Noah, skąd znasz agamy brodate?”. A on odpowiedział...

– Spojrzała znowu na Andersona. – Powiedział: „Stąd, że taką miałem”.

– Stąd, że taką miałem?

– Myślałam... Nie wiem, co sobie myślałam. Był dzieciakiem, zmyślał różne rzeczy.

– Nigdy nie mieliście jaszczurki?

– Na Boga, nie. – Roześmiał się, a ona poczuła rozluźnienie, ulgę, że może swobodnie mówić o odmienności Noaha. – I nie chodziło tylko o agamy brodate. Znał wszystkie jaszczurki.

– Znał ich nazwy – zamruczał pod nosem Anderson.

– Wszystkich jaszczurek, które tam się znajdowały. W wieku dwóch lat.

Była wtedy tak zadziwiona, tak dumna z jego niewątpliwej inteligencji, z jego – dlaczego by o tym nie wspomnieć? – z jego utalentowania. Znał nazwy wszystkich jaszczurek – czegoś, czego nigdy nie poznał. Przerazała ją, jak przyglądał się każdemu miniaturowemu lasowi deszczowemu, uroczemu i pokrytemu mchem, którego mieszkańcy byli niemalże nieruchomi z wyjątkiem szybkiego ruchu języka albo nerwowych wycieczek po kłodzie drzewa, jak wykrzykiwał swoim wysokim, czystym głosem: „Mamusiu-mamo, to waran! A to gekon! To agama wodna!”. Pomyślała z ulgą, że jego życiowa ścieżka będzie jasna – stypendia w najlepszych szkołach i na uniwersytetach, ogromna inteligencja torująca mu drogę do udanego życia.

A potem, stopniowo, jej duma zamieniła się w zmieszanie. Skąd on to wszystko wiedział? Czy zapamiętał jakąś dobrą książkę albo film wideo? Ale dlaczego wcześniej nic o tym nie wspominał? Czy ktoś go tego nauczył? Sprawa pozostała niewyjaśniona. Zaakceptowała to jedynie jako część jego wyjątkowości.

– Może w domu pani przyjaciółki była jakaś książka albo film wideo? – zapytał Anderson, jakby czytał w jej myślach, a jego cichy głos sprowadził ją z powrotem do hałaśliwej restauracji. – Albo w przedszkolu? Może coś gdzieś zobaczył?

– To dziwne. Rozpytywałam wszystkich dookoła – byłam dość skrupulatna. Nic nie znalazłam.

Skinął głową.

– Czy pozwoli pani, żebym sam zrobił mały wywiad? W jego przedszkolu, z jego rówieśnikami i nauczycielkami?

– Chyba nie. – Spojrzała na niego z ukosa. – Wygląda na to, że próbuje pan to jakoś wytłumaczyć. Nie wierzy mi pan?

– Musimy myśleć w sposób, w jaki rozumują sceptycy. Albo to wszystko...  
– Wzruszył ramionami. – Zatem nie zauważyła pani żadnej zmiany w jego zachowaniu po tym epizodzie z jaszczurkami?

– Chyba miał jeszcze gorsze koszmary nocne.

– Proszę mi o nich opowiedzieć – powiedział z głową pochyloną nad notesem. Ale nagle poczuła, że to dla niej za dużo, żeby to powiedzieć.

– Może zechce pan spojrzeć na to. – Położyła segregator, który uosabiał Noaha, na stole i przesunęła go w jego stronę.

Anderson powoli przewracał kartki, studiując uważnie szczegóły. Przypadek okazał się nie tak przekonujący, jak się tego spodziewał – koszmary nocne i hydrofobia zdarzały się często, chyba że byłyby wyjątkowo intensywne, odniesienia do strzelby i Harry’ego Pottera nie wydawały się interesujące, choć były niejednoznaczne, a zasób wiadomości o jaszczurkach – obiecujący, ale tylko wtedy, kiedy udowodniłby, że nie istniało żadne namacalne źródło tej specjalistycznej wiedzy. A co najważniejsze, nie znalazł nic konkretnego, co mogłoby go doprowadzić do poprzedniego wcielenia – broń i książki o Harrym Potterze występowały w tej kulturze tak powszechnie jak powietrze, a agama brodata nie była tropem, którym można by pójść. Dziecko opowiedziało swoim nauczycielkom o domu nad jeziorem, ale bez nazwy jeziora ta wiadomość okazywała się nieużyteczna.

Podniósł oczy na tę kobietę, która wznosiła jakąś konstrukcję z kostek cukru. Miała w sobie, jak większość ludzi, sprzeczność – spokojne, niebieskie oczy i niespokojne dłonie. Kiedy spojrzała na Andersona, jej oczy były oceniające, ostrożne, ale kiedy zwracała się do synka, z jej rysów biło wyczuwalne ciepło. Jednak wolałby, żeby zaufała mu na tyle, by zaprosić go do swojego domu. W barze panował hałas i w takim otoczeniu trudno mu będzie wydobyć coś od dziecka.

Przyglądał się, jak jej zręczne palce kończyły budować mały domek z białych cegiełek.

– Ładne...

Jak to się nazywało? Nagle bogowie języka wrzucili to słowo, niczym kostkę cukru, w jego usta.

– ...igloo – dokończył.

Zajęcie się nowym przypadkiem przynajmniej dobrze mu robiło na słownictwo. Jego wewnętrznemu dziecku zrobiło się przykro, kiedy szybko zdemontowała budowlę, układając kostki starannie na talerzu.

Wypił łyk herbaty. Zapomniał wyjąć torebkę. Poczuł na ustach intensywny smak napoju. Poklepał segregator.

- Jest pani bardzo skrupulatna.
- Ale... co pan o tym sądzi?
- Myślę, że jego przypadek ma pewne szanse.

Spojrzała na swojego synka, który stał przy barze pochłonięty meczem baseballu, i pochyliła się nad stołem.

- Ale czy może mu pan pomóc? – wyszeptała.

Poczuł zapach kawy w jej oddechu. Od dawna nie czuł ciepła kobiecego oddechu na swojej twarzy. Wypił jeszcze jeden łyk herbaty. Kiedyś oczywiście radził sobie z matkami. Przez dziesiątki lat – z matkami sceptycznymi, rozzłoszczonymi, zasmuconymi, lekceważącymi, pomocnymi, pełnymi nadziei albo zdesperowanymi, jak ta tutaj. Najważniejsze, żeby zachować spokój i panować nad sytuacją.

Przed odpowiedzią na to pytanie uratowała go kelnerka, która, zbierając uśmiechy, jakimi obdarzano ją za jej jednorazowe życie (Po co ludzie tatuują sobie coś takiego na ciele? Czy naprawdę uważają za inspirujące stwierdzenie, że żyje się tylko raz?), postawiła talerz parujących naleśników, rzucając krzywe spojrzenie.

Obserwował, jak matka przyprowadzała chłopca.

Teraz mógł się mu dobrze przyjrzeć. Oczywiście był śliczny, ale to przenikliwość w jego oczach zwróciła uwagę Andersona. W świadomości dzieci, które pamiętały, czasem pojawiał się inny wymiar. Nie chodziło o wiedzę, ale o nieufność, cień świadomości, jak u cudzoziemca, który nie może przestać myśleć o domu.

Anderson uśmiechnął się do chłopca. Ileż tysięcy przypadków rozwiązał? Dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt trzy, ściśle rzecz biorąc. Nie miał powodu, żeby czuć zdenerwowanie. Nie pozwolił sobie na to, żeby się denerwować.

- Kto wygrywa mecz?
  - Yankees.
  - Jesteś fanem Yankees?
- Chłopiec napchał sobie całą buzią naleśnikami.
- Nie.
  - A jaką drużynę lubisz?
  - Nationals.
  - Washington Nationals? Dlaczego ich lubisz?
  - Bo to moja drużyna.
  - Czy kiedykolwiek byłeś w Waszyngtonie?

Odezwała się jego matka.

- Nie. Nie byliśmy.
- Anderson próbował utrzymać łagodny ton głosu.
- Pytałem Noaha.

Noah podniósł do góry łyżkę i wystawił język do zniekształconego odbicia

chłopca w misce.

- Mamo, czy mogę tam wrócić i oglądać?
- Nie teraz, skarbie. Kiedy skończysz jeść.
- Już skończyłem.
- Nie, nie skończyłeś. Poza tym doktor Anderson chce z tobą porozmawiać.
- Mam już dość doktorów.
- Jeszcze tylko jeden.
- Nie!

Miał podniesiony głos. Anderson zauważył dwie kobiety siedzące obok, które spoglądały w ich kierunku, osądzając tę matkę znad swojej jajecznicy, i poczuł, jak współczucie dla niej ukłuło go w serce.

– Noah, proszę...

– W porządku. – Anderson westchnął. – Jestem kimś obcym. Musimy się lepiej poznać. To wymaga czasu.

– Proszę mamusi-mamo? To pierwszy mecz.

– No dobrze.

Obserwowali, jak zerwał się ze swojego miejsca.

– A więc. – Spojrzała na niego natarczywym wzrokiem, jakby chciała dobić targu. – Przyjmie go pan?

– Przyjmie?

– Jako pacjenta.

– To niezupełnie tak działa.

– Sądziłam, że jest pan psychiatrą.

– Jestem. Ale ta praca to nie praktyka kliniczna. To praca badawcza.

– Rozumiem. – Wyglądała na zdezorientowaną. – A więc jakie są następne kroki?

– Muszę stale rozmawiać z Noahem. Sprawdzić, czy możemy znaleźć coś konkretnego, co sobie przypomina. Miasteczko, nazwę. Jakiś trop, którym będziemy mogli podążać.

– Chodzi panu o jakąś wskazówkę?

– Właśnie.

– Tak żeby mógł pojechać i zobaczyć... miejsce, gdzie mieszkał w poprzednim życiu? O to chodzi? I to go uleczy?

– Nic nie mogę obiecać. Ale badane osoby zwykle uspokajają się po tym, jak rozwiązujemy dany przypadek i odnajdujemy ich poprzednie wcielenie. Może równie dobrze sam z siebie o tym zapomnieć, wie pani. Większość zapomina około szóstego roku życia.

Podeszła do tego z rezerwą.

– Ale w jaki sposób może pan znaleźć to... poprzednie wcielenie? Noah nie opowiada aż takich szczegółów.

– Sprawdźmy, jak to pójdzie. To wymaga czasu.

– Oni wszyscy tak mówią, wszyscy lekarze. Ale problem polega na tym, że... – Zadrżał jej głos i nagle urwała. Spróbowała znowu. – Rzecz w tym, że ja nie mam czasu. Kończą mi się pieniądze. A samopoczucie Noaha nie poprawia się. Muszę coś zrobić teraz. Potrzebuję czegoś, co zadziała.

Wyczuwał przez stół jej potrzebę, która zaczynała przejmować nad nim kontrolę.

Może i to był błąd. Może powinien wracać do swojego domu w Connecticut... i co robić? Nie miał nic do roboty oprócz leżenia na sofie, która teraz stała się jego łóżkiem, pod kołdrą w tureckie wzory, którą Sheila kupiła dwadzieścia lat temu, a która nadal lekko pachniała cytrusami i różami. Tylko że gdyby tak zrobił, to równie dobrze mógłby umrzeć.

Zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok, najwyraźniej próbując odzyskać panowanie nad sobą. Nie będzie jej pocieszał fałszywymi obietnicami. Któż to wie, czy zdoła pomóc jej synkowi? Poza tym ten przypadek był słaby. Nie było żadnego tropu, jakim można by pójść, chyba że ten dzieciak nagle stanie się o wiele bardziej rozmowny. Spuścił wzrok na stół, spojrzął na resztki brunchu, do połowy zjedzony naleśnik chłopca, brudną podkładkę pod talerz.

– Co to jest?

Kobieta ocierała oczy serwetką.

– Co?

– Ta podkładka pod talerz. Co jest na niej napisane?

– To? Bazgroły. Coś tam nabazgrał.

– Mogę to zobaczyć?

– Po co?

– Czy mogę to zobaczyć, proszę.

Utrzymał opanowany ton głosu z dużym wysiłkiem.

Potrząsnęła głową, ale przesunęła talerz i szklankę z sokiem pomarańczowym i podała mu cienki prostokąt papieru.

– Proszę uważać, na brzegach jest syrop.

Anderson wziął do ręki podkładkę. Lepiła mu się do palców, pachniała syropem i sokiem pomarańczowym. A jednak zanim jeszcze zdążył prześledzić wszystkie znaki na papierze, poczuł, jak krew zaczęła go mrowić w żyłach.

– Nie bazgrał – powiedział cicho Anderson. – Zapisywał punktację meczu.

## Rozdział dziesiąty

*Janie stała na środku swojego salonu. W pokoju było ciemno, z wyjątkiem światła reflektorów przejeżdżających samochodów, które pojawiało się i znikalo, błysku na ścianie. Potrafiła w półmroku rozpoznać znajome kształty – sofę, krzesło, lampę. A jednak te przedmioty wyglądały jakoś inaczej, nieco rozszczepione, jak po trzęsieniu ziemi.*

Słyszała, jak Anderson kręci się po kuchni. Uchyliła okno i powietrze orzeźwiła wilgotna świeżość wczesnej wiosny. Latarnia gazowa migotała w ciemności, jej płomień nieustannie się ruszał, w jedną stronę, w drugą i z powrotem.

Jeden trop prowadził ku następnemu. Noah zapisał punktację meczu bez przeszkolenia, jak to zrobić, wobec tego zaprosiła Andersona, żeby przyszedł do niej do domu, by popracować z Noahem w cichszym miejscu, i spędzili popołudnie zaangażowani w ulubioną aktywność jej syna. Noah rzucał swoją gumową piłeczką w ścianę, a Anderson, stojąc obok niego ze swoim żółtym notesem, oceniał dokładność uderzenia. („Osieć”. „Tylko osieć?”. „No, może dziewięć”. „Dziewięć! Taaak! Dziewięć!”). Zaangażowanie Andersona sprawiło, że Noah był w tak dobrym nastroju, w jakim nie widziała go od miesięcy, a i sam Anderson wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Śmiał się swobodnie i wyglądał na autentycznie zainteresowanego umiejętnościami Noaha w rzucaniu i łapaniu gumowych piłeczek (co było zadziwiające dla Janie, która zawsze uważała tę zabawę za niewiarygodnie nudną). Nawiązał kontakt z chłopcem w tak naturalny sposób, że była zaskoczona, kiedy zapytany przez nią powiedział, że nie miał własnych dzieci.

Jak tu nie lubić mężczyzny bawiącego się z taką radością i z taką widoczną sympatią z czyimś synem? Kiedy po raz ostatni zrobił to jakiś mężczyzna?

Ale to, ile razy Anderson zadawał mu pytania albo w jaki sposób, nie miało najmniejszego znaczenia. Noah raz na zawsze skończył z rozmowami z lekarzami o czymkolwiek poza łapaniem i rzucaniem. W notesie Andersona nie przybyła ani jedna notatka.

Późnym popołudniem Janie zrozumiała, że to wszystko do niczego nie doprowadzi. Nawet Noah wydawał się czuć przygnębienie wiszące w powietrzu i zaczął rzucać piłeczką po całym pokoju w nadpobudliwy, bezładny sposób, aż dołączyła do dwóch innych piłeczek w instalacji świetlnej na suficie, a Janie położyła kres tej grze. Aby go uspokoić (i samą siebie też), uciekła się do stosowanej w ostateczności matczynej sztuczki – włączyła jego ulubiony film *Gdzie jest Nemo?* o małej, zaginionej rybce, która szukała swojego ojca, i usiedli

razem, Janie, Noah i Anderson, jedno obok drugiego, na sofie. Janie skupiła się na kolorowej rybce i usiłowała nie myśleć o niczym innym, ale te obrazy nie były w stanie zatrzymać jej uwagi. Strach powoli sączył się do jej wnętrza i napętniał ją tą paraliżującą trucizną: co-teraz-co-teraz-co-teraz?

Anderson siedział po drugiej stronie Noaha, z zagadkowym wyrazem twarzy z profilu, jak posąg rycerza na grobowcu. Zanim film się skończył, Noah zasnął, jego głowa opadła na ramię Janie, ale oni obejrżeli film do końca, zatopieni w swoich odrębnych światach. Poczula w sercu ukłucie rozpacz, kiedy ojciec odnalazł syna, zazdrosna o całe to rybce szczęście. Potem zaniósła Noaha do łóżeczka – nogi dyndały mu po obu jej bokach – i włożyła go do środka. Była dopiero osiemnasta.

\* \* \*

*Kiedy Janie wróciła, ten wysoki mężczyzna chodził po pokoju tam i z powrotem. Dziwnie się czuła, że był w jej mieszkaniu, kiedy Noaha już nie było w pokoju. Tak jakby ten lekarz nagle stał się mężczyzną – nie kimś, kim by się zainteresowała (był dla niej o wiele za stary, zbyt powściągliwy), ale kimś, kto bezwiednie naładował cząsteczki powietrza swoją męską innością.*

Przez chwilę obserwowała, jak chodzi tam i z powrotem. Wydawał się całkowicie pogrążony w swoich myślach.

– A więc – powiedziała w końcu. – Co teraz zrobimy?

Zatrzymał się w połowie zamaszystego kroku. Wyglądał na zaskoczzonego jej widokiem.

– Cóż, możemy spróbować jeszcze raz jutro. Jeśli się pani na to zgadza, tak?

– Jutro? – Potrząsnęła głową. – Mam spotkanie z klientem...

Ale on nie słuchał.

– A tymczasem musimy potwierdzić nasze informacje. Sprawdzimy w przedszkolu temat jaszczurek i innych zachowań, które tam ujawnił. Dzisiaj jest już za późno – spojrzął na zegarek – ale jutro napiszę do nich e-mail. Może pani dać im cynk?

– Myślę, że tak.

Wzdrygnęła się na samą myśl pójścia do panny Whittaker w tej sprawie. Na pewno do tego zabrakłoby jej cierpliwości, a dyrektorka przedszkola zapewne powiedziała by Andersonowi, że Noah już jest pod opieką psychiatry...

– I jeszcze oświadczenie, że nie uczą dzieci sztuki punktacji w baseballu, oczywiście. – Zachichotał sam do siebie. – Chociaż to byłoby wysoce nietypowe.

– W każdym razie po co potrzebuje pan potwierdzenia?

– Przypadek będzie bardziej przekonujący, jeśli będzie wiele źródeł.

– Bardziej przekonujący przypadek? – Chciałaby, żeby przestał nazywać Noaha „przypadkiem”.



- Tak.
- Ma pan na myśli... jakiś artykuł albo coś w tym rodzaju?
- Ma pani rację.
- Cóż, nie sądzę, żebym chciała brać w czymś takim udział.
- Hm?
- Jestem osobą prywatną. Jesteśmy osobami prywatnymi.
- Oczywiście. Zmienilibyśmy wszystkie imiona w książce.

Książka. Jego podekscytowanie nagle stało się dla niej jasne. Zastanawiała się, jakiego rodzaju lekarzem był, a teraz już wiedziała – lekarzem piszącym książkę.

- W jakiej książce?
- Opisuję pewną liczbę przypadków. Nie popadnie w akademickie zapomnienie, jak inne. Ta książka będzie dostępna dla wszystkich – dodał z przejęciem, jakby zapomnienie stanowiło jakiś problem.
- Nie chcę, żeby Noah był w książce.

Gapił się na nią.

- Czy to aż tak wiele dla pana znaczy, doktorze?
- Ja... – Nie dokończył myśli. Zrobił się o jeden ton bledszy.

Nie mogła mu ufać. Pisał książkę. Pamiętała wszystkie te książki, które przyjaciele jej matki dawali jej, kiedy umierała – wszyscy próbowali za pomocą swoich specjalnych diet i pozycji jogi zbić pieniądze na ludziach pozbawionych nadziei. Nawet kiedy jej matka tylko na chwilę odzyskiwała świadomość, książki nadal przychodziły. W końcu zapełniły całą szafę.

Z pewnością nie istniała żadna książka, która mogłaby jej teraz pomóc, i matki też już nie było. Był jedynie ten obcy człowiek ze swoim planem działania. Poczula, jak to znużenie, które ją ogarnęło, zamienia się nagle w coś innego – w jakieś uczucie, które przeraziło ją swoją zaciekłością. Od wielu miesięcy ludzie siedzieli jakby nigdy nic przy biurkach i mówili, że z jej synem jest coś nie tak, a ona to przyjmowała, maskując zewnętrzne objawy paniki najlepiej, jak potrafiła. Ale ten mężczyzna, ze swoimi jasnymi, pytającymi oczami i ziemistą cerą – ten mężczyzna też miał coś do stracenia. Wyczuwała w nim niepokój, jak to potrafią tylko ludzie zdesperowani, a świadomość tego była jak klucz, który otwierał drzwi do jej rozległych pokładów frustracji i wściekłości.

– A więc dlatego był pan tak podekscytowany faktem, że on potrafił zliczyć punkty w meczu baseballu, prawda? Nie pomoże nam to odnaleźć żadnego „poprzedniego wcielenia”. To po prostu ciekawy szczegół do pana drogiej książki.

Skrzywił się na sposób, w jaki wypowiedziała to ostatnie słowo.

- Czy panu w ogóle zależy na tym, żeby pomóc Noahowi?
- Ja... – Spojrzał na nią niepewnie. – Chcę pomóc wszystkim dzieciom...

– Jasne, zmuszając ich matki, żeby kupiły pańską książkę? – Czuła nawet, kiedy już to powiedziała, że ten mężczyzna nie wyglądał na takiego, dla którego motywacją byłoby coś tak prostackiego jak zbijanie pieniędzy, ale nie mogła się powstrzymać.

– Ja... – znowu zaczął mówić. A potem urwał. – Co to jest?

Wtedy oboje to usłyszeli, z sypialni na końcu korytarza. Kwilenie.

– Zdaje się, że obudziliśmy Noaha – wyszeptał Anderson.

– Nie. Nie obudził się.

Dźwięk przybierał na sile, aż doleciał do pokoju – huragan, siła natury, a potem powoli to wycie przybrało formę słowa.

– Mamaaa! Mamaa!

Zawsze ją to zaskakiwało – fala emocji, która wydawała się przekraczać granice wytrzymałości małego chłopca. Janie wstała ze znużeniem, na trzęsących się nogach. Spojrzała na Andersona. Nie ufała mu, ale nie było nikogo innego obok niej.

– Nie idzie pan?

I poszli razem w kierunku sypialni Noaha.

*Chanai Choomalaiwong urodził się w środkowej części Tajlandii, w 1967 roku, z dwoma znamionami, jednym z tyłu głowy, a drugim nad lewym okiem. Kiedy chłopiec się urodził, jego rodzina nie przywiązywała zbytnej wagi do tych znamion, ale gdy skończył trzy lata, zaczął opowiadać o swoim poprzednim życiu. Powiedział, że był nauczycielem, nazywał się Bua Kai, i że został postrzelony i zamordowany w drodze do szkoły. Podał imiona swoich rodziców, żony i dwójki dzieci z tamtego życia, i błagał na wszystko swoją babcię, z którą mieszkał, żeby zabrała go do domu jego poprzednich rodziców w miejscu, które nazywało się Khao Phra.*

*W końcu, kiedy był jeszcze trzylatkiem, babcia tak zrobiła. Wsiedli z Chanai do autobusu jadącego do jakiegoś miasteczka obok Khao Phra, znajdującego się o dwadzieścia pięć kilometrów od ich wioski. Kiedy oboje wysiedli z autobusu, Chanai wskazał drogę do domu, gdzie, jak powiedział, mieszkali jego rodzice. Dom ten należał do pary starszych ludzi, których syn, Bua Kai Lawnak, był kiedyś nauczycielem i został zamordowany pięć lat przed narodzeniem Chanai... Po dotarciu na miejsce Chanai rozpoznał rodziców Bua Kai, którym towarzyszyli inni członkowie rodziny, jako swoich rodziców. Jego słowa i znamiona zrobiły na nich takie wrażenie, że zaprosili go, żeby niedługo potem przyjechał do nich z wizytą. Kiedy przyjechał, poddali go próbie, prosząc, żeby wybrał osobiste rzeczy należące kiedyś do Bua Kai spośród innych – potrafił to zrobić. Rozpoznał jedną z córek Bua Kai, a o drugą zapytał po imieniu. Rodzina uznała, że Chanai był kolejnym wcieleniem Bua Kai, i chłopiec odwiedzał ich później wiele razy. Nalegał, żeby córki Bua Kai nazywały go „tatą”, bo jeśli nie, to nie będzie z nimi rozmawiał.*

*dr Jim B. Tucker, Życie przed życiem*

## Rozdział jedenasty

*Drzwi się otworzyły i wpadła przez nie.*

Tak się stało, pomyślała Janie po wszystkim, stojąc w ciemnym salonie. A przecież nie było nic nadzwyczajnego w widoku Noaha, który wrzeszczał i rzucał się w pościeli z nadrukiem żółwia ninja. Miał otwarte usta, wilgotne włosy przyklejone do policzków. Podeszła do łóżeczka, żeby go uspokoić i opanować, ale Anderson ją ubiegł. W ułamku sekundy znalazł się przy Noahu, nachylił się nad nim i przytrzymał jego stopy wierzgające w pościeli.

Jakiś obcy człowiek dotykał jej synka, który to ją wzywał na pomoc. Który wzywał...

– Mamo!

– Noah – powiedziała, podchodząc do łóżeczka, a Anderson podniósł na nią wzrok i powstrzymał ją spojrzeniem.

– Noah – powiedział cicho Anderson. Miał zdecydowany ton głosu. – Noah, słyszysz mnie?

– Wypuście mnie! – krzyczał Noah. – Mamo! Wypuść mnie! Nie mogę stąd wyjść!

– Noah, wszystko w porządku. To zły sen – powiedział Anderson. – Masz zły sen.

– Nie mogę oddychać!

– Nie możesz oddychać?

– Nie mogę oddychać!

Janie wiedziała, że to był sen, ale nie mogła się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć.

– Noah ma astmę. Musimy wziąć jego nebulizator... jest w szufladzie...

– Oddycha.

Długie ciało Andersona było pochylone nad drobną walczącą sylwetką Noaha, nadal trzymał dłonie na jego stopach. Nie dotykaj mojego synka, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. Nic nie powiedziała. Wysłała Andersonowi wiadomość bez słów – jeden fałszywy ruch, koleś, a wykopię cię stąd tak szybko, że zobaczysz wszystkie gwiazdy.

– Noah – powiedział zdecydowanym głosem Anderson. – Możesz się obudzić. Wszystko w porządku.

Noah przestał się ruszać. Otworzył szeroko oczy.

– Mama.

– Tak, kochanie – powiedziała, stojąc u podnóża łóżeczka. Ale on patrzył gdzieś za nią. To nie jej chciał.

– Chcę do domu.

– Noah – odezwał się ponownie Anderson i Noah zwrócił spojrzenie swoich niebieskich oczu na Andersona i zatrzymał na nim wzrok. – Czy możesz nam opowiedzieć, co się stało w twoim śnie?

– Nie mogę oddychać.

– Dlaczego nie możesz oddychać?

– Jestem w wodzie.

– Jesteś w... oceanie? W jeziorze?

– Nie. – Wziął kilka nierównych, płytkich oddechów. Janie czuła tę walkę w swoich własnych płucach. Gdyby on przestał oddychać, ona też by przestała.

Noah wygramolił się i usiadł. Anderson nie musiał już trzymać jego stóp. Teraz musiał utrzymać jego uwagę.

– On mnie skrzywdził.

– W twoim śnie? – zapytał pośpiesznie Anderson. – Kto robi ci krzywdę?

– Nie we śnie. W moim prawdziwym życiu.

– Rozumiem. Kto robi ci krzywdę?

– Pauly. Zrobił krzywdę mojemu ciału. Dlaczego on to zrobił?

– Nie wiem.

– Dlaczego on to zrobił? Dlaczego? – Noah chwycił Andersona za rękę, miał zatroskane spojrzenie. Janie stała się niewidoczna, jak cień u podnóża łóżeczka.

Anderson spojrzał na niego uważnie.

– Co on zrobił?

– Skrzywdził Tommy'ego.

– Tommy? Tak miałeś na imię?

– Tak.

Janie słuchała swojego syna, ale jego słowa w dziwny sposób odbijały się echem od jej umysłu, jakby dochodziły z jakiegoś odległego miejsca. A jednak tutaj była, w tym dobrze znanym pokoju, ze świecącymi w nocy gwiazdkami, które przykleiła na suficie, jedną po drugiej, i komodą, którą pomalowała w słonie i tygrysy, i z Noahem, jej Noahem, i z tymi drzwiami w jej głowie, które otwierały się i zamykały, i ponownie się otwierały.

– Rozumiem – powiedział Anderson. – Świetnie. Pamiętasz swoje nazwisko?

– Nie wiem. Jestem po prostu Tommy.

– W porządku. Czy miałeś rodzinę, kiedy byłeś Tommym?

– Oczywiście.

– Kto jest w twojej rodzinie?

– Jest mama i tata, i mój mały braciszek. I mamy jaszczurkę.

– A jak ma na imię?

– Rogogon.

– Rogogon?

– Samiec agamy brodatej. Nazwaliśmy go tak z Charliem, bo wyglądał jak Rogogon z bitwy z Harrym.

– Rozumiem. A kto to jest Harry?

Noah wywrócił oczami.

– No wiesz, Harry Potter?

U podnóża łóżka Janie usłyszała, jak wdycha powietrze. Zatrzymała oddech w klatce piersiowej i pozwoliła mu tam płonąć. Dobrze znany pokój, nieznana scena – wysoki mężczyzna nachylający się nad Noahem, okrągła, jasna twarzyczka, która niemalże dotykała kościstej twarzy.

– A gdzie mieszkasz ze swoją rodziną?

– Mieszkamy w czerwonym domku.

– W czerwonym domku. A gdzie to jest?

– W polu.

– A gdzie jest to pole?

– Ashvu?

– Ashview?

– Tak!

– Tam właśnie mieszkasz?

– Tam jest mój dom!

Janie poczuła, jak wydycha powietrze, pasmo dźwięku w pokoju.

– Chcę tam wrócić. Mogę tam wrócić?

– Właśnie próbujemy do tego doprowadzić. Możemy przez chwilę porozmawiać o tym, co wydarzyło się z Paulym? Możemy to zrobić?

Skinął głową.

– Pamiętasz, gdzie byłeś, kiedy to się stało? Kiedy on cię skrzywdził?

Skinął głową.

– Byłeś nad wodą?

– Nie. U Pauly'ego.

– Byłeś u niego w domu, kiedy zrobił ci krzywdę?

– Nie. To było na zewnątrz.

– Dobrze. To było na zewnątrz. A co on zrobił, Noah?

– On... On mnie zastrzelił! – krzyknął, podnosząc wzrok na twarz Andersona.

– Zastrzelił cię?

– Krwawie... Dlaczego on to zrobił?

– Nie wiem. Jak sądzisz, dlaczego on to zrobił?

– Nie wiem! Nie wiem! – Noah był coraz bardziej wzburzony. – Nie wiem dlaczego!

– Dobrze. Wszystko w porządku. A więc co się później stało? Po tym, jak cię zastrzelił?

– Potem umarłem.

– Umarłeś?

– Tak. A potem trafiłem do... – Szukał wzrokiem po pokoju. – Mamusi-mamy?

Jakimś sposobem musiała osunąć się na podłogę. Siedziała w kucki przy łóżeczku. Wdychała i wydychała powietrze. Patrzył na nią.

– Dobrze się pani czuje?

Spojrzała na chłopca. Swojego chłopca. Swoje dziecko. Na Noaha.

– Tak. – Otarła palcem wilgotne oczy. – To tylko moje szkła kontaktowe.

– Powinna je pani wyjąć.

– Wyjmę, za chwileczkę.

– Jestem zmęczony, mamusiu – powiedział Noah.

– Oczywiście, że tak, skarbie. Wracamy do spania?

Noah skinął głową. Anderson się odsunął, a ona usiadła obok chłopca na łóżku. Noah zarzucił swoje słodkie, spocone rączki na jej ramiona, a ona oparła swoje czoło o jego czoło. Stopili się oboje w jedną całość, którą kiedyś stanowili.

Anderson był w kuchni, kiedy Janie po raz drugi tego wieczoru wyłoniła się z sypialni Noaha. Poruszała się po ciemnym, cichym pokoju, patrząc na przedmioty, które wyglądały inaczej niż godzinę wcześniej.

Jestem Janie, powiedziała do siebie. Noah jest moim synem. Mieszkamy przy Twelfth Street.

Jakiś samochód przejechał, rzucając białe światło na ciemną ścianę.

Jestem Janie.

Noah jest moim synem.

Noah jest Tommym.

Noah był Tommym, którego zastrzelono.

Wierzyła i nie wierzyła jednocześnie. Noah został zastrzelony i krwawił – te słowa ją raniły.

Nagle pożałowała, że w ogóle zadzwoniła do tego człowieka, chciała powrócić do tych czasów, kiedy istnieli tylko Janie i Noah, którzy wiedli wspólne życie. Ale już nie było powrotu, prawda? Czyż nie była to lekcja dorosłości, macierzyństwa? Musisz być tam, gdzie jesteś. W tym życiu, w którym żyjesz, w tej chwili, która właśnie trwa.

## Rozdział dwunasty

*Anderson siedział w kuchni, szukając w Google nazwy Ashview.*

Teraz wszystko do niego wracało. Podekscytowanie. Energia. Słowa.

W końcu go znalazł, wiarygodny przypadek ze Stanów Zjednoczonych... Być może przypadek jego życia, ten, który będzie stanowić połączenie. Jeśli znajdzie to poprzednie wcielenie (a miał dużą nadzieję, że to się uda), może mógłby nawet zainteresować tym media. W każdym razie był to amerykański przypadek, którego potrzebował do ukończenia z sukcesem swojej książki. Był pewien, że zdoła przekonać Janie, żeby pozwoliła mu na jej opublikowanie.

Teraz miał to, czego potrzebował. Ashview, Tommy'ego, Charliego. Jaszczurkę, drużynę baseballową. Poskłada małe kawałki w większe.

– Mogłeś zapytać – powiedziała Janie.

Nie zauważył, jak weszła do kuchni.

– Hm? – W stanie Wirginia było miasteczko o nazwie Ashview, niedaleko Waszyngtonu, gdzie stacjonowała drużyna baseballowa Nationals.

Proste jak drut.

– Czy możesz skorzystać z mojego komputera?

Podniósł na nią wzrok. Wydawała się rozzłoszczona na niego.

– Ach! Przepraszam bardzo. Chciałem skorzystać z internetu...

Gestem ręki wskazał na komputer, a jego uwagę absorbowwała oficjalna strona miasteczka Ashview.

Nationals to drużyna z Waszyngtonu. Na przedmieściach należących do stanu Wirginia znajdowało się jakieś Ashview. Potrzebował jedynie przejrzeć informacje prasowe o zgonach. Śmierć dziecka zawsze trafiała na łamy gazet... Zdobędzie to nazwisko do końca tygodnia, może wcześniej. Teraz był tego pewien. Tak jakby Tommy chciał być odnaleziony.

– Domyślam się, że to okazało się pomocne? Te rzeczy, o których powiedział Noah?

Przyjrzał jej się uważniej. Była blada, miała zaciśnięte usta. Powinien usiąść z nią i pomóc jej przemyśleć to, co się wydarzyło, ale jego pośpiech był tak potężny. To tak, jakby chcieć zatrzymać falę.

– Bardzo pomocne – odparł, próbując przybrać swobodny ton głosu. – To duży przełom. Teraz odnajdziemy Tommy'ego, czuję to.

– Tommy'ego. Jasne. – Potrząsnęła energicznie głową, jakby mogła strzepnąć swoje myśli. – A więc doktorze, to co w końcu? Utonął czy został zastrzelony?

– Słucham?



Znowu potrząsnęła głową i po raz pierwszy zastanawiał się, czy była zdrowa na umyśle.

– Sądzi pan, że Noah jest tą... drugą osobą, tym Tommym, tak? Wobec tego chcę wiedzieć, jak to było? Czy on się utopił, czy został zastrzelony, czy jak?

– To nie jest jasne.

– Nic nie jest jasne. – Cisnęła w niego tymi słowami.

Anderson odsunął się od komputera i usiadł wygodnie.

– Nauka rzadko jest jasna – powiedział ostrożnie.

– Nauka? To pan nazywa nauką? – Parsknęła śmiechem i rozejrzała się po kuchni, zatrzymując wzrok na brudnym garnku w zlewie, wypełnionym do połowy wodą. – Może jest niejasne dlatego – powiedziała – że Noah to zmyśla.

– Po co miałby to robić?

Odkręciła kran z wodą i zaczęła skrobać zajadle garnek gołymi rękami.

– Przepraszam – powiedziała znad strumienia wody. – Nie jestem pewna, czy dam radę to zrobić.

Spojrzał na jej plecy, szukając po omacku jakiegoś podejścia, które by zadziało, tonacji głosu, kontekstu, potencjalnych korzyści dla jej syna... Korzystał z tego tysiące razy... Jak mógł teraz wątpić we własne siły? On, który kiedyś był w stanie przekonać matkę należącą do kasty braminów w Indiach, żeby pozwoliła swojej córce odwiedzić rodzinę niedotykalnych, w której żyła w poprzednim wcieleniu. Miał to wszystko przed oczyma, jakby dopiero co się wydarzyło – jej błyszczące, pomarańczowe sari, wślizgujące się przez wejście do chaty ulepionej z błota. W pewnym momencie miał poczucie, że potrafił przekonać wszystkich bez wyjątku za pomocą czystej siły woli.

– W porządku – powiedział jakby nigdy nic. – Pójdę sobie, jeśli pani chce. Ale co pani zrobi?

Jej ciało zastygło.

– Zrobi? Co pan ma na myśli?

– Powiedziała pani, że nie może tak dalej żyć – przybrał łagodny, rzeczowy ton głosu. – Że kończą się pani pieniądze, że lekarze nie pomagają. Wobec tego... jeśli sobie pójdę, jaki ma pani plan dla Noaha?

Czuł się trochę rozgoryczony; wykorzystywał jej własną rozpacz przeciwko niej. Ale to przecież dla jej dobra, prawda? I dla dobra jej syna? I dla jego własnego dobra, a nawet Sheili, bo czyż nie chciała, żeby skończył i wydał tę książkę? Zastanawiał się, ile wysiłku trzeba będzie włożyć w to, żeby przekonać Janie, aby pozwoliła mu napisać o Noahu. Nieważne.

– Ja... – Słowa nie mogły jej przejść przez gardło. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, z mokrymi, czerwonymi, ociekającymi wodą rękami, ze strachem, który malował się wyraźnie na jej twarzy – zrobiło mu się jej żal.

– Niech pani podejdzie. Proszę pozwolić, żebym pokazał pani, co znalazłem.

To niewiele, ale może być zaczątkiem.

Poklepał miejsce koło siebie. Wytarła dłonie w džinsy i usiadła. Odwrócił w jej stronę ekran komputera – ładne domki zgromadzone wokół bijącego w oczy zielenią pola golfowego. Witamy w Ashview!

– Czy zna pani kogokolwiek, kto mieszka w Ashview, w stanie Wirginia, na przedmieściach Waszyngtonu?

Potrząsnęła głową.

– Pierwszy raz słyszę tę nazwę.

– To dobrze. A więc mamy jakieś miejsce, od którego możemy zacząć. Oczywiście Thomas to popularne imię i nie wiemy, do którego roku odnosi się Noah, ale możemy potraktować książki o Harrym Potterze jako dowód, że dotyczy to niedalekiej przeszłości. Przejrzemy wszystkie lokalne gazety pod kątem nekrologów o zastrzeleniu albo utonięciu, które miały związek z dzieckiem o imieniu Thomas. Namierzenie go może zająć trochę czasu. Ale myślę, że dobrze wystartowaliśmy. Wie pani, że Nationals – dorzucił – to drużyna z Waszyngtonu.

– Naprawdę?

Spojrzała ostrożnie, spod przymrużonych oczu na ekran, na ten zielony bezmiar. Nie ufała mu, wiedział o tym. A jednak był jej potrzebny. Byli potrzebni sobie nawzajem.

*Mahatma Gandhi powołał komisję, w której skład weszło piętnaście wybitnych osobowości, w tym parlamentarzyści, przywódcy narodowi i pracownicy mediów, żeby zbadała przypadek [Shanti Devi, młodej dziewczyny, która począwszy od czwartego roku życia, wydawała się pamiętać swoje poprzednie wcielenie, kiedy była kobietą o imieniu Lugdi, pochodzącą z Mathury]. Komisja przekonała rodziców Shanti, żeby pozwolili jej członkom towarzyszyć dziewczynce w podróży do Mathury.*

*Wyruszyli koleją w towarzystwie Shanti Devi dwudziestego czwartego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Raport komisji opisuje pewne wydarzenia:*

*Kiedy pociąg zbliżał się do Mathury, dziewczyna rozpromieniła się z radości i wspomniała, że gdy dotrą na miejsce, wrota świątyni Kryszny będą już zamknięte. Użyła dokładnie tych słów: „Mandir ke pat band ho jayenge”, które tak często słyszy się w Mathurze.*

*„Pierwszy incydent, który zwrócił naszą uwagę w drodze do Mathury, wydarzył się na peronie. Dziewczyna była w ramionach L. Deshabandhu. Ledwo zdążył oddalić się o kilkanaście kroków, jakiś starszy mężczyzna, który miał na sobie tradycyjny strój z Mathury, a którego nigdy wcześniej nie spotkała, stanął przed nią, wmieszany w niewielki tłum, i zatrzymał się na chwilę. Została zapytana, czy go rozpoznaje. Jego obecność wywołała tak szybką reakcję z jej strony, że natychmiast padła na ziemię i dotknęła stóp nieznanego z głęboką czcią, po czym stanęła z boku. Zapytana, wyszeptala do ucha L. Deshabandhu, że ten człowiek był jej „Jethem” (starszym bratem jej męża). Powiedziała to tak spontanicznie i naturalnie, że wszyscy osłupieli. Tym nieznanym mężczyzną okazał się Babu Ram Chaubey, który naprawdę był starszym bratem Kedarnatha Chaubeya [męża Lugdi].*

*Członkowie komisji usadowili dziewczynkę w tondze<sup>13</sup> i poprosili woźnicę, żeby jechał zgodnie z jej wskazówkami. Podczas drogi opisywała zmiany, które nastąpiły od jej czasów, i wszystkie informacje były prawdziwe. Rozpoznała kilka ważnych miejsc, o których wspominała wcześniej, kiedy jeszcze tam nie była.*

*Gdy zbliżali się do domu, wysiadła z tongi i zauważyła jakiegoś starszego człowieka w tłumie. Natychmiast mu się ukloniła i powiedziała pozostałym towarzyszom podróży, że to jej teść, i tak rzeczywiście było. Kiedy stanęła przed swoim domem, weszła do środka bez żadnego skrępowania i potrafiła odnaleźć swoją sypialnię. Rozpoznała również wiele przedmiotów, które do niej należały. Została poddana próbie i zapytano ją, gdzie znajduje się „jajroo” (ubikacja), i odpowiedziała, gdzie to było. Zadano jej pytanie, co oznacza słowo „katora”. Odpowiedziała poprawnie, że jest to parata (rodzaj smażonego naleśnika). Oba słowa występują w powszechnym użyciu tylko w Chaubes of Mathura i żaden obcy*

*normalnie by ich nie znalazł.*

*Potem Shanti poprosiła, żeby zabrać ją do drugiego domu, gdzie mieszkała z Kedarnathem przez kilka lat. Pokazała woźnicy drogę bez najmniejszej trudności. Jeden z członków komisji, Pandit Neki Ram Sharma, zapytał ją o studnię, o której opowiadała wcześniej w Delhi. Pobieгла w jednym kierunku, ale nie znalazłszy tam studni, była zmieszana. Jednak mimo to powiedziała z pewnym przekonaniem, że tam znajdowała się studnia. Kedarnath usunął kamień w tym miejscu i, faktycznie, znaleźli tam studnię... Shanti Devi zabrała całą grupę na drugie piętro i pokazała flakon na kwiaty, ale nie było w nim pieniędzy. Jednak dziewczyna upierała się, że powinny tam być. Kedarnath przyznał później, że wyjął stamtąd pieniądze po śmierci Lugdi.*

*Zabrano ją do domu rodziców, gdzie z początku pomyliła ciotkę z matką, ale szybko naprawiła swój błąd i usiadła matce na kolanach. Rozpoznała też swojego ojca. Matka i córka podczas spotkania nie kryły łez. Ta scena poruszyła wszystkich zebranych.*

*Następnie zabrano Shanti Devi do świątyni Kryszny i w inne miejsca, o których wcześniej wspominała, i prawie wszystkie fakty, które podała, uznano za prawdziwe.*

*dr K.S. Rawat, Przypadek Shanti Devi*

## Rozdział trzynasty

*Thomasom z Ashview, w stanie Wirginia, szczęście nie sprzyjało.*

Ryan „Tommy” Thomas zginął w wieku szesnastu lat, gdy motocykl honda gold wing zderzył się z dodge’em avengerem na autostradzie w kierunku Richmond.

Tomas Fernandez zmarł z niewyjaśnionych przyczyn w wieku sześciu miesięcy.

Tom Hanson, lat osiemnaście, przedawkował heroinę w mieszkaniu na przedmieściach Alexandrii.

Thomas „Junior” O’Riley, lat dwadzieścia pięć, spadł z drabiny, naprawiając dach sąsiada.

Anderson usiadł przy biurku w swoim pustym gabinecie i kliknął kolejny rocznik nekrologów w wydaniu internetowym „Ashview Gazette”. Zaczął od miesiąca narodzin Noaha i szukał wstecz. Wiedział, że bez nazwiska Tommy’ego poszukiwania mogą zająć jakiś czas, ale nie przejmował się tym – wspaniale było wrócić znów do gry i próbować rozwikłać jakiś przypadek. A jeśli nawet będzie musiał czytać nazwiska po kilka razy, aby upewnić się, że niczego nie przeoczył, nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć.

Z początku miał nadzieję, że zwyczajnie wpisując w Google Thomasa, Toma albo Tommy’ego, Ashview, dziecko, zastrzelenie, utonięcie, zgon, gdzieś na coś trafi, ale być może to imię było zbyt powszechnie spotykane albo ramy czasowe zbyt szerokie – gdyby mógł wykorzystać serię książek o Harrym Potterze jako punkt odniesienia, to należało cofnąć się w czasie o piętnaście lat. Social Security Death Index<sup>14</sup>, który i tak w przypadku dzieci nie jest miarodajny, w tym przypadku był bezużyteczny.

Tom McInerney w wieku dwudziestu dwóch lat miał tętniaka.

Tommy Bowlton zmarł z powodu zaccadzenia dymem w wieku dwunastu lat, razem ze swoimi dwiema siostrami podczas pożaru w Wigilię. (Wiek się zgadzał, ale ponieważ Noah nie miał fobii związanej z ogniem ani ze świętami Bożego Narodzenia i wspominał o bracie, na razie odłożył tę informację na bok).

Thomas Purcheck zastrzelił się, czyszcząc swoją strzelbę, ale mieszkał wtedy w Kalifornii i był roslym mężczyzną w wieku czterdziestu trzech lat.

Musiał to przyznać – brakowało mu tego stanu bycia pochłoniętym przez jakiś przypadek. Brakowało mu nawet czytnika mikrofilmów, którego musiał używać, zanim wszystko zaczęło być dostępne w sieci, który tkwił niezmiennie w kącie otoczony półkami zakurzonych atlasów i encyklopedii. Ten czytnik był dla niego jak stary przyjaciel, pokrętko, które pewnie trzymał w dłoni, tekst, który

pionowo przewijał się przez ekran.

Zawsze przywoływały wspomnienia z czasów studiów, przetrząsanie półek w bibliotece, gdzie po raz pierwszy natknął się na cieniutką książeczkę z tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku zatytułowaną *Dochodzenie w sprawie przypadku Shanti Devi* i pognał do Wright Hall, żeby podzielić się tym ze swoim kolegą z pokoju, Angsleyem. W ciągu kolejnych kilku lat spędzili godziny w Mory's, badając implikacje pomiędzy kolejnymi kuflami piwa i czytając teorie o reinkarnacji autorstwa Pitagorasa, McTaggarta, Benjamina Franklina i Woltera.

Jednak to właśnie do przypadku Shanti Devi nieustannie powracali. Mała dziewczynka, która w zadziwiający sposób wydawała się pamiętać czyjeś życie.

Jeśli ten przypadek istniał i jeśli był prawdziwy, spekulowali, muszą istnieć także inne przypadki. Dlatego podczas pozostałych lat studiów licencjackich i nauki na akademii medycznej Anderson poświęcał swój wolny czas na ich poszukiwania. Odkrył wiele informacji, które go zainteresowały – wzmianki o poprzednich wcieleniach, począwszy od upanisad aż po dzieła chrześcijańskich teologów z trzeciego wieku oraz madame Bławatską i Towarzystwo Teozoficzne, a także wiele fascynujących studiów przypadków dorosłych osób wracających w stanie hipnozy do swojego poprzedniego wcielenia, chociaż zastanawiał się nad tym, do jakiego stopnia dowody, których dostarczały, były użyteczne. Zapoznał się z poglądami sceptyków – z historią Virginii Tighe, gospodyni domowej ze stanu Kolorado, której wspomnienia z poprzedniego wcielenia ujawniły się w trakcie hipnozy, wykazując uderzające podobieństwo do faktów z życia sąsiadki z czasów jej dzieciństwa, oraz z dziełami Flournoya, który u osoby medium wspominającej swoje poprzednie życie zdiagnozował rozdwojenie jaźni.

Jednak niezależnie od tego, jak dokładnie Anderson szukał, nie potrafił znaleźć kolejnego przypadku dziecka, które pamiętałoby swoje poprzednie życie.

Oczywiście wtedy nie było jeszcze internetu... Dla badacza to zmieniło wszystko...

Anderson zaklął sobie pod nosem i odwrócił się znowu do komputera. Musiał postarać się jeszcze bardziej. Nie potrafił już skupić się tak jak kiedyś. Zawsze oscylował na granicy ucieczki w przeszłość. W domu Janie Zimmerman jego umysł mobilizowała do pracy świadomość, że był w samym środku dobrego przypadku. W towarzystwie tego dziecka właściwie słowa same cisnęły mu się na usta, na podobnej zasadzie, na jakiej czasem jąkały śpiewają. W towarzystwie Noaha potrafił śpiewać.

Ale teraz słowa na ekranie komputera drgały przed jego oczami i zebrał się w sobie. Nie mógł pozwolić, żeby opuścił go zapal. Czuł się często jak archeolog, który przesiewał piasek w poszukiwaniu kawałków kości i części glinianych naczyń. Siedziało się w upale albo w chłodzie klimatyzacji i po prostu czekało się na coś, co przez cały czas tam tkwiło, aż się odsłoni. Najważniejsza była

cierpliwość. Człowiek sprowadzał się do wielkości wydrukowanych słów. Jeśli te słowa się zacierały, to siedziało się spokojnie dotąd, aż znowu nabierały sensu.

Cofnął się o pięć lat od narodzin Noaha.

Przejrzał szybko nekrologi starszych członków rodzin Thomasów, którzy umarli na gripę, raka trzustki i prostaty, na zapalenie płuc i zapalenie mózgu.

T.B. (Thomas) Mancerino junior, lat dziewiętnaście, zginął w zderzeniu łodzi na jeziorze Ashview w Dniu Pamięci Narodowej.

Tom Granger, lat trzy, zmarł na odrę. (Na odrę! Dlaczego ludzie przestali szczepić dzieci, skoro wyniki badań były bez zarzutu, a powiązania z autyzmem tak rażąco bezpodstawne?).

Tommy Eugene Moran, lat osiem, utonął...

Przyjrzał się temu wpisowi bliżej.

*Tommy Eugene Moran, lat osiem, syn Johna B. i Melissy Moranów, zamieszkałych przy Monarch Lane 128, zginął we wtorek śmiercią tragiczną na skutek utonięcia w przydomowym basenie. Sąsiedzi opowiadają, że był radosnym dzieckiem, pasjonatem gadów i swojej ulubionej drużyny Nationals...*

Usiadł wygodnie na krześle.

Czekało się, a potem w końcu nadchodziła – ta chwila, kiedy piasek się przesunął i coś białego migało człowiekowi przed oczami, i ukazywał się kawałek kości.

## Rozdział czternasty

*Na dworcu autobusowym Greyhounda w Baltimore Janie usiadła na ławce, głowa pękała jej od kiepskiej jakości dworcowej kawy i próbowała udawać, że ten plan był racjonalny. Potrafię to zrobić, pomyślała, pod warunkiem że nie będę się skupiać nad tym, co „to” w rzeczywistości oznacza.*

Noah przynajmniej sprawiał wrażenie, że przyjął to bez mrugnięcia okiem – tę przygodę, ten dworzec autobusowy. Wykrzyknął z zachwytem nad wielkością greyhounda, zafascynowany tym, że w autokarze znajdowała się toaleta.

– I musimy usiąść tuż obok niej!

Teraz był podekscytowany maszyną do gier wideo, chociaż nie dała mu na to pieniędzy. Najwyraźniej się tym nie przejął, radośnie szarpał za uchwyt to w jedną, to w drugą stronę i cieszył się z tych przelatujących ze świstem postaci, nie zdając sobie sprawy, że nad żadną z nich nie miał kontroli. To mniej więcej tak jak w rzeczywistości, prawda? Sądzisz, że masz nad czymś kontrolę, ale tak naprawdę jedynie gapisz się na światła, które przesuwają się przed twoimi oczami.

Znowu do niej podbiegł.

– Dokąd jedziemy, mamusi-mamo? Dokąd jedziemy?

Powtarzali w kółko tę samą rozmowę od wielu godzin.

– Przesiadamy się do innego autokaru do Ashview.

– Naprawdę? Naprawdę tam jedziemy?

Podskakiwał raz na jednej nodze, raz na drugiej, a na jego twarzy pojawił się zupełnie nieznaną grymas. Podekscytowanie i coś jeszcze... lęk? (To byłoby zrozumiałe). Strach? Niedowierzenie? Sądziła, że zna już całą jego mimikę.

– Kiedy tam dojedziemy?

– Za kolejne kilka godzin.

– Dobrze – powiedział.

– Wszystko w porządku? Chcesz tam pojechać?

Jego niebieskie oczy zrobiły się okrągłe.

– Żartujesz sobie ze mnie? Oczywiście, że chcę pojechać! A co z Jerrym?

To pytanie ją zaskoczyło.

– Mamy się z nim tam spotkać.

– Czy mogę jeszcze raz obejrzeć Nemo w autokarze?

– Przykro mi, kochanie, już ci mówiłam, mój komputer się rozładował.

– Mogę prosić o sok jabłkowy?

– Sok też nam się skończył.

Nie mogła się doczekać, kiedy nadjedzie ten drugi autokar. Podczas jazdy czuła się dobrze. Przemieszczała się do przodu, a jej myśli zostawały z tyłu jak



skłębione ubrania na brzegu morza.

Anderson dał jej stertę artykułów. Trzymała je zwinięte w torebce, rulon obwiązany gumką. Historia z gazety o małym chłopcu, który utonął w Ashview, w stanie Wirginia. Chłopiec utopił się w basenie obok własnego domu. Pracownik, który czyścił basen, zapomniał zamknąć na zasuwkę przesuwne drzwi prowadzące do ogrodu, a matka chłopca wkrótce potem zeszła do piwnicy, żeby zrobić pranie, zostawiając ośmioletniego syna samego przed telewizorem w salonie. Prosty błąd z potwornymi konsekwencjami.

Tommy Moran – dziecko kogoś obcego.

Nie mogła się zmusić do tego, żeby spojrzeć na te kartki. Miała przed sobą czystą kartkę papieru. Czysty rejestr, który najwyraźniej nie był dany Noahowi.

Tommy Moran, Tommy Moran.

– Proszę spojrzeć na fakty – powiedział Anderson podczas swojej drugiej wizyty. Siedzieli znowu w kuchni. Był wieczór. Noah już spał. Anderson wyglądał na opanowanego, ale nie sposób było nie zauważyć żarliwości w jego oczach. Wyciągnął papiery ze swojej aktówki i położył je przed nią.

– Istnieją duże podobieństwa.

Przebiegła wzrokiem pierwszą stronę – listę komentarzy dotyczących Noaha i podobieństw między Noahem i Tommym. Słowa rzuciły jej się w oczy. Ashview. Obsesja na punkcie gadów. Fan drużyny Nationals. Czerwony dom. Utonięcie.

A gdzie w tym wszystkim było dobro Noaha?

Odłożyła kartkę na bok.

– Jak pan zdobył te informacje?

– Część... – Zrobił szeroki gest. – W komputerze. Nawiązałem również kontakt z matką. Potwierdziła, że dom ma kolor czerwony, a drugi syn ma na imię Charles.

– Rozmawiał pan z matką Tommy'ego Morana? – Zorientowała się, że krzyczy, i próbowała przyciszyć głos. Nie chciała obudzić Noaha. – Dlaczego najpierw mnie pan nie zapytał?

Anderson wyglądał na nieporuszonego.

– Chciałem się upewnić, że ten przypadek jest przekonujący. Wymieniliśmy e-maile. Napisałem jej o swojej pracy, o tych podobieństwach...

– I odpowiedziała na to?

Skinął głową.

– A więc... jeśli się zgodzę... to co wtedy?

– Wtedy zabierzemy Noaha do domu i sprawdzimy, czy potrafi zidentyfikować członków rodziny swojego poprzedniego wcielenia, ulubione miejsca... takie rzeczy. Oprowadzimy go po okolicy, zobaczymy, co rozpozna.

Rozważała wszystko, co do niej mówił. Logiczne zakończenie podróży, w którą wyruszyła.

Słyszała historie o matkach, które pracowały bez wytchnienia i potrafiły spowodować cofnięcie objawów autyzmu u swoich dzieci. Matki, które uczyły się, jak budować podjazdy dla swoich niepełnosprawnych córek, które uczyły się języka migowego, żeby dotrzeć do swoich głuchoniemych synów. Gdzie leżała granica, jeśli w grę wchodziło własne dziecko?

Znała już odpowiedź na to pytanie. Nie było żadnej granicy.

Dotarła do sedna.

– A czy ten proces uleczy mojego syna?

– Tak, może mu w tym pomóc. Ma często korzystne działanie na dziecko.

– A jeśli tego nie zrobię?

Wzruszył ramionami. Miał stonowany głos, ale dało się w nim wyczuć napięcie.

– To pani wybór. I wtedy przypadek zostaje zamknięty.

– A Noah o tym zapomni?

– Zdarza się, że dzieci zapominają w wieku pięciu albo sześciu lat.

– Noah ma dopiero cztery.

W jego oczach pojawił się błysk.

– Tak.

– Nie wiem, czy dam radę przez następny rok albo dwa.

Siedział naprzeciwko niej ze stoickim spokojem. Spotkała się z nim do tej pory dwa razy, spędziła z nim intensywne godziny w tym samym pokoju i nadal mu nie ufała. Nie była w stanie zdecydować, czy ten błysk w jego oczach należał do geniusza czy do wariata. W sposobie, w jaki z nią rozmawiał, było coś nienaturalnego i niepewnego, coś, co pozostawało w ukryciu, chociaż równie dobrze mogła być to powściągliwa natura naukowca... A jednak był dobry dla Noaha, łagodny i cierpliwy, jakby mu na nim zależało, no i był psychiatrą, który miał do czynienia z wieloma podobnymi przypadkami. Czy mogła na tym polegać?

Poczuła nagle falę strachu wzbierającą w niej od miesięcy, jak rzeka pod cienką warstwą lodu. Słyszała, jak szumi w jej snach. Kiedy się budziła, nie pamiętała nic oprócz niemocy związanej z lękiem. Leżała w łóżku i czuła, jak ta siła na nią napierała, i myślała – mój synek jest nieszczęśliwy i nie potrafię mu pomóc.

– Nadal ma pan zamiar o tym napisać?

Usiadł wygodnie na krześle i się jej przyglądał. Mówił tak powoli, że mogło to doprowadzić człowieka do szału. Chciała nim potrząsnąć.

– Jestem zainteresowany zebraniem dokumentacji tego przypadku. Tak.

– Przypadku. Przypadku. Ten przypadek jest dzieckiem, Jerry, Noah jest dzieckiem.

Wstał, na jego twarzy pojawił się cień rozdrażnienia.

– Wiem o tym. Sądzisz, że o tym nie wiem? Jestem psychiatrą...

– Ale nie rodzicem.

Złość zniknęła z jego twarzy tak szybko, jak się pojawiła. Znowu był beznamiętny. Zrezygnowany. Wziął do ręki swoją wysłużoną aktówkę i spojrzął na nią przelotnie, a w jego oczach pojawił się błysk zwątpienia.

– Daj mi znać, jaką podjęłaś decyzję.

Siedziała długo w kuchni, przeglądając dokumenty, które zebrał. Miała tyle pytań, że trudno je było zliczyć. Czego Noah miałby chcieć od tej drugiej rodziny? Co mogliby dla niego zrobić? Czy zdecydowanie się na to będzie szaleństwem? Może to ona była chora. Może istniał jakiś rzadki syndrom, który powodował, że matki rzucały swoje potomstwo w wir nowej, newage'owej pseudonauki.

Ale nie. Nie była neurotyczką. Robiła to dla Noaha. Nie z powodu tego, że bardzo zakłócał ich tryb życia i doprowadzał ich do bankructwa (choć tak właśnie było), ale dlatego, że wyraz jego twarzy, kiedy kładła go spać, tego wieczoru i każdego innego wieczoru („Chcę do domu. Czy mogę niedługo pójść do domu?”), łamał jej serce.

## Rozdział piętnasty

*Jadąc samochodem ze swojego domu w Connecticut do Ashview, w stanie Wirginia, Anderson dostał dwa mandaty za przekroczenie prędkości. Prowadził w stanie dużego podekscytowania, z trudem łapał oddech, nie był w stanie śledzić prędkościomierza, ledwo skupiał się na GPS-ie. Spoglądał przez przednią szybę, zastanawiając się nad swoim nowym, amerykańskim przypadkiem, i poczuł się tak, jakby zaczynał wszystko od początku.*

Pamiętał swój pierwszy przypadek tak wyraźnie, jakby to wydarzyło się dzień wcześniej.

Tajlandia. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy. Rzeka.

Był wczesny poranek i już zrobiło się ciepło. Jadł śniadanie ze swoim starym przyjacielem Bobbym Angsleyem na werandzie hotelu. W górze rzeki, w stronę miasta, żółte światło słoneczne odbijało się od Świątyni Świtu, rozpraszając kolor w powietrzu jak klejnot. Przed nimi jakiś pies walczył, żeby przepłynąć rzekę, łeb ze zmierzwionymi kudłami wystawał ponad fale.

Anderson, zmęczony po długiej podróży samolotem, dochodził do siebie przez trzy dni. Jego słoneczne okulary nadawały wszystkiemu dookoła bladożółty odcień. Skupił uwagę na swoim przyjacielu, który flirtował z kelnerką, kiedy ta ustawiała spodeczek z gęstą śmietaną obok talerza z bułeczkami. Jej twarz była doskonale symetryczna, niczym twarz ze snu.

– *Kap khun kap* – powiedział Angsley i złożył dłonie, parodiując uprzejmego Tajlandczyka, a może sam już się nim stał, tego Anderson nie wiedział. Widział go zaledwie dwa razy, odkąd dziesięć lat temu skończyli studia, i każde z tych spotkań było dla nich obu rozczarowaniem. Szli różnymi ścieżkami – Anderson szybko awansował w hierarchii uniwersytetu, był na dobrej drodze do objęcia stanowiska dziekana Wydziału Psychiatrii w ciągu następnych kilku lat, a Angsley zmierzał w innym kierunku, a raczej (z tego, co widział Anderson) nie zmierzał w żadnym kierunku. Andersona zaskoczyło to, że jego przyjaciel zagrzał gdzieś miejsce na dłużej. Od czasu studiów wydawał się w ciągłym ruchu, przelotnie pomieszkiwał w luksusowych hotelach, z kobietami, w dużych miastach od Nairobi po Istambuł, usiłując nadaremnie przehulać wszystkie pieniądze zrodzone z pokoleń plantatorów tytoniu.

Obserwowali, jak kelnerka weszła z powrotem przez otwarte drzwi do holu, trzymając swoją srebrną tacę. Obok kwartet smyczkowy grał *The Surrey with the Fringe on Top*.

– Popatrz, co kupiłem. – Angsley poruszył swoimi rudymi brwiami, sięgnął do papierowej torby, leżącej u jego stóp, wyciągnął coś z wielkim rozmachem

i postawił to z impetem na stole. To coś osunęło się na srebrny dzbanek do herbaty i rozrzuciło nogi na białym obrusie – włosy z jaskrawoczerwonej przędzy, nogi w paski, policzki w kształcie czerwonych kótek.

– Przyniosłeś mi Szmacianą Anię? – Anderson gapił się na nią oniemiały. Stopniowo coś zaczęło mu świtać w głowie. – To na dziś. Żeby dać tej dziewczynce.

– Miałem nadzieję, że znajdę jakąś porcelanową lalkę, ale mieli tylko taką. Tutejsze sklepy...

Potrząsnął głową.

– Zwariowałeś? Nie można dać lalki osobie badanej w eksperymencie.

(Czy właśnie tak to można było nazwać? Eksperymentem?).

– Na miłość boską, koleś, wyluzuj. Zjedz bułeczkę. – Angsley ugryzł kawałek bułeczki, ogromnej jak jego dłoń, rozsypując okruchy na białym obrusie. Rudawe włosy przerzedziły się zbyt wcześnie na jego rozległej łysinie, twarz stała się różowa, a jej rysy niewyraźne z nadmiaru słońca i tajlandzkiej whisky, nadając mu ciastowaty wygląd, przypominający miąższ dyni. Może mózg też mu rozmiękł.

– To przekupstwo – zmarszczył brwi Anderson. – Ta dziewczynka powie wszystko, co zechcesz.

– Pomyśl o tym jak o geście dobrej woli. Ona nie zmieni swojej historii z powodu Szmacianej Ani. Wierz mi. Przynajmniej ja tak nie sądzę. – Angsley przyglądał mu się badawczo. – Nienawidzisz mnie zza tych przyciemnionych szkieł, prawda?

Anderson zdjął okulary przeciwsłoneczne i mrugnął nieosłoniętymi oczyma na widok swoich białych palców.

– Po prostu sądziłem, że zależało ci na potwierdzeniu naukowym. Myślałem, że z tego powodu mnie tutaj ściągnąłeś?

– Cóż, w pewnym sensie wymyślamy to na poczekaniu, prawda? – Na twarzy jego przyjaciela pojawił się szeroki, nieco maniackalny uśmiech odsłaniający zakrzywione zęby, tak obłąkany w swoim wyrazie jak uśmiech tej lalki.

Błąd, pomyślał Anderson. To wszystko było błędem. Kilka dni wcześniej był w Connecticut, brnąc w śniegu do swojego laboratorium. Prowadził badania nad krótko- i długoterminowymi skutkami wpływu traumatycznych przeżyć stymulowanych elektrycznie na centralny układ nerwowy u szczurów. Zostawił eksperyment w kluczowym punkcie.

– Sądziłem, że to jakieś poważne przedsięwzięcie – powiedział powoli. – W powietrzu zadzwoniła nuta skargi, jakby dziecinnej.

Angsley miał urażony głos.

– O ile dobrze pamiętam, nie opierałeś się szczególnie, kiedy poprosiłem, żebyś przyjechał.

Anderson odwrócił wzrok. Pies nadal próbował przepawić się przez rzekę.

Dopłyne do brzegu czy utonie? Dwoje dzieci nawoływało go z drugiego brzegu, podskakując w błocie. Cuchnąca woń rzeki mieszała się w jego nozdrzach z kwiatowym zapachem herbaty.

Angsley powiedział prawdę. Miał ochotę przyjechać. Jakieś uczucie, silniejsze niż wszystko, przywiodło go tutaj, powiew nostalgii, która ogarnęła go w chwili, kiedy usłyszał podekscytowany głos swojego przyjaciela pośród tych ponurych miesięcy po tym, jak dziecko zmarło i wszystko się rozleciało.

Przebywali z Sheilą każde w osobnym piekle i prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Jakoś udawało mu się przeżyć te dni, prowadził badania nad szczurami, zbierał wyniki tak, jak powinien zbierać, pił więcej, niż powinien pić. Jednak w dużej mierze, przez większość czasu, czuł się nie lepiej niż to robactwo, nad którym przeprowadzał badania. Właściwie te szczury miały więcej ikry.

Chłopięcy entuzjazm Angsleya pokonał tę ogromną odległość, jaka ich dzieliła niczym wspomnienie o zainteresowaniu życiem, które kiedyś wykazywał i na nowo mógł odnaleźć, pod warunkiem że wykorzysta tę szansę. W innym przypadku był skazany na ucieczkę, na to, czego szukał każdego wieczoru na dnie kieliszka.

– Usłyszałem o najbardziej niezwykłej rzeczy. Kolejny przypadek Shanti Devi – powiedział Angsley przez telefon i Anderson po raz pierwszy od wielu miesięcy roześmiał się, kiedy usłyszał to nazwisko. – Oczywiście zapłacę ci za podróż, dla dobra nauki.

– Jedź – powiedziała Sheila. Oczy z czerwonymi obwódkami, oskarżające.

Wobec tego skorzystał z tej szansy, z tego wytchnienia. Wziął to. Zostawił z poczuciem ulgi Connecticut razem z nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia i rozzłoszczoną, rozbitą psychicznie żoną. Nie wspominał Angsleyowi ani słowem o swoich przeżyciach, wołał o tym nie rozmawiać.

– Shanti Devi – powiedział teraz Anderson na głos. Zapewne to nic ważnego, wiedział o tym. Jednak dźwięk tego imienia był jak balsam dla jego duszy, który przenosił go dziesięć lat wstecz, do smaku piwa i młodości. – Dość trudne do uwierzenia.

Angsley się rozpromienił.

– Dlatego tam jedziemy. Wobec tego wcale nie musisz wierzyć.

Anderson odwrócił wzrok od jego podekscytowanego wyrazu twarzy.

Psu ze zmierzwionymi kudłami udało się dopłynąć do drugiego brzegu. Właśnie wdrapywał się po błotnistym zboczu po drugiej stronie rzeki. Otrząpał futro, a dzieci z krzykiem rozbiegły się dookoła, unikając kropel śmierdzącej wody, które wirowały i błyszczały w słońcu.

– Żadnych lalek – powiedział Anderson.

Angsley poklepał Andersona po dłoni.

– Tylko spotkaj się z tą dziewczynką.

\* \* \*

*Dziewczynka mieszkała o kilka godzin na północ od Bangkoku, w wiosce należącej do prowincji Uthai Thani. Łódź z charkotem silnika brnęła przez slumsy na przedmieściach miasta, potem minęła większe, bardziej wiejskie zabudowania, drewniane domy z pomostami, przystrojonymi na końcu maleńkimi, drewnianymi świątyniami, domkami dla duchów zmarłych. Pola, z których zebrano już ryż, miały dookoła złocistobrązowe ramki, upstrzone gdzieś przechadzającymi się wolnym krokiem bawołami indyjskimi albo małymi szopami. Anderson czuł, jak te obrazy zajmują w głowie miejsce myśli, kojąc jego cierpienie, aż stał się jedynie białą dłonią gładzącą powierzchnię wody. Zmęczenie po długiej podróży samolotem w końcu go dopadło i zapadł w drzemkę na siedząco, ukołyszany do snu przez ochryply, jednostajny pomruk silnika.*

Kiedy ocknął się kilka godzin później, poczuł gorące, gęste powietrze wypełniające jego płuca i oślepiło go słońce. Uświadomił sobie, że przyśniło mu się dziecko. W tym śnie Owen był kształtnym i zdrowym, pięknym dzieckiem z niebieskimi oczami, takimi, jakie miała Sheila, wpatrującymi się w niego uporczywie. Dziecko usiadło i wyciągnęło do niego rączki tak, jak zrobiłby to chłopiec, którym mógł być.

Przypłynęli do małej, drewnianej chatki na palach, otoczonej przez bujne listowie. Sposób, w jaki Angsley rozpoznał tę konkretną chatkę spośród innych, stojących rzędem przy drodze w pobliżu pomostu, pozostał tajemnicą, którą Anderson nie zaprzętał sobie głowy. Jakaś starsza kobieta zamiatała brudną podłogę w ciemnościach w głębi chatki, a wokół jej nóg mamrotały kurczęta. Angsley przywitał się z nią gestem *wai*, pochylając głowę nad złożonymi dłońmi i odsłaniając wyłysiały placek różowej skóry na samym środku czaszki. Porozmawiali ze sobą.

– Ojciec pracuje na polach – powiedział Angsley. – Nie porozmawia z nami.

– Całkiem niezłe mówisz po tajsku, co? – zapytał Anderson. Przyszło mu na myśl, że powinni byli wynająć tłumacza.

– Wystarczy.

Będzie musiało wystarczyć.

Weszli po schodach. Prosta izba, starannie zamieciona, drewniane okna ze sztachet wychodzące na pola uprawne i błękitne niebo. Jakaś kobieta ustawiała jedzenie na stole w wysłużonych, cynowych miskach. Miała na sobie taką samą tkaninę we wzory w jaskrawych kolorach, jaką nosiła starsza pani, zawiązaną na węzeł tuż nad piersiami. Była śliczna, pomyślał Anderson, albo kiedyś była, nie tak dawno temu. Lęk wydawał się złapać jej piękno w swoje sieci. Kiedy uśmiechnęła się do nich, w kącikach jej ciemnych oczu zarysowały się linie zmarszczek mimicznych, a pąsowe usta rozchyliły się, ukazując jaskrawoczerwone zęby.

– Orzech betelowy – powiedział pod nosem Angsley. – Żują to tutaj. Taki rodzaj stymulanta. – Pochylił głowę z szacunkiem, składając dłonie razem. – *Sowatdii-Kap*.

– *Sowatdii*. – Wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

Anderson rozglądał się za dziewczynką i dostrzegł, że siedziała w kucki w kącie, obserwując żółte jaszczurki, które harcowały w kurzu pod stropem. Zobaczył z przerażeniem, że była naga. Wątła, niemal wycieńczona, buzię i wklęsły brzusek miała wymalowane białym proszkiem, który, jak przypuszczał, miał chronić przed gorącem – dwie okrągłe plamy na policzkach, kreska wzdłuż nosa.

Kobieta przygotowała dla nich wiejską ucztę – biały ryż i curry z rybą, chociaż była dopiero dziesiąta rano, i cynowe filiżanki z wodą, po której, myślał Anderson, popijając ją małymi łyčzkami, na pewno się pochoruje. Nie mógł ryzykować tego, żeby ją urazić, więc napełniał swój podrażniony żołądek, a w ustach czuł smak metalu. Za oknem jakiś mężczyzna prowadził bawołu indyjskiego przez pole złotego ścierniska. Promienie słońca przeciskały się przez listwy w oknach.

Angsley podszedł do dziecka.

– Mam coś dla ciebie.

Wyjął z torby lalkę, wzięła ją nieśmiało. Trzymała ją przez chwilę w wyciągniętych dłoniach, po czym utuliła ją w ramionach.

Angsley znacząco uniósł brwi do góry w kierunku Andersona, który stał po przeciwnej stronie pokoju, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz? Uwielbia ją”.

Usiedli przy drewnianym stole, teraz wysprzątanym po śniadaniu. Dwóch białych mężczyzn, zdenerwowana kobieta i mała, naga dziewczynka mająca nie więcej niż trzy latka, która trzymała groteskową szmacianą lalkę z czerwonymi włosami. Siedziała cichutko koło swojej matki. Miała znamię o nieregularnym kształcie po lewej stronie od pępka, przypominające plamkę czerwonego wina. Ścisnęła kurczowo lalkę rączkami i przyglądała się, jak jej matka zwinnymi palcami kroїła owoc papai na długie, równe paski.

Porozmawiali z matką. Angsley najpierw mówił po tajsku, a potem po angielsku, żeby Anderson rozumiał.

– Opowiedz nam o Gai.

Skinęła głową. Jej dłonie nie przestawały się ruszać. Paski spadały z papai do cynowej miski. Za każdym razem, kiedy plasterek odpadał od noża, mała dziewczynka drżała.

Matka mówiła tak przyciszonym głosem, że Anderson dziwił się, że Angsley słyszał ją na tyle, by móc tłumaczyć.

– Gai zawsze była inna. – Jego głos, kiedy tłumaczył, przypominał automat.

– Nie zje ryżu. Próbujemy ją czasem zmusić, ale płacze i wypluwa go. – Matka



zrobiła minę. – To jest kłopot.

Słysząc było jej napięty, cienki głos, a potem niski, monotony głos Angsleya. Emocje i znaczenie.

– Obawiam się, że umrze z głodu.

Jakby sobie o tym przypomniała, wzięła kawałek papai z wysłużonej, cynowej miski i podała go córeczce. Dziewczynka ścisnęła lalkę w lewej ręczce i sięgnęła po owoc, chwytając go palcami, niczym szczypcami. Anderson zauważył, że trzy palce u jej dłoni były zdeformowane. Wyglądały tak, jakby zostały naszkicowane byle jak, w pośpiechu, bez dopracowania paznokci i knykci. Dziewczynka przyłapała go, jak patrzył na jej palce, i zacisnęła je w piąstkę. Anderson odwrócił wzrok zawstydzony, że się w nie wpatrywał.

Matka przestała kroić papaję i wylała z siebie potok słów. Angsley ledwo za nią nadążał.

– Moja córka mówi, że poprzednio mieszkała w większym domu w Phichit. Dach był zrobiony z blachy. Mówi, że nasz dom nie jest dobry. Jest za mały. To prawda. Jesteśmy ubodzy.

Zrobiła grymas, podnosząc rękę, żeby wskazać na prostą izbę. Dziewczynka patrzyła na nich, żując papaję, i jeszcze bardziej zacisnęła rączki na zwiótczonym ciele lalki.

– Poza tym przez cały czas płacze. Mówi, że tęskni za swoim dzieckiem.

– Za dzieckiem?

Dziewczynka obserwowała, jak jej matka mówi. Wyglądała jak królik na polu, nasłuchiwała.

– Za swoim małym synkiem. Płacze i płacze. „Chcę moje dziecko”, mówi.

Anderson poczuł, jak serce zaczyna mu nieco szybciej bić. Jednak myślami był gdzieś daleko.

– Od jak dawna to mówi?

– Może od roku. Mówimy jej, żeby o tym zapomniała. Mój mąż mówi, że myślenie o drugim życiu przynosi pecha. Ale ona nadal mówi.

Uśmiechnęła się smutno, odłożyła nóż i wstała, jakby chciała umyć ręce od tej sprawy.

Mężczyźni też wstali.

– Jeszcze tylko kilka pytań...

Ale ona potrząsała głową, nadal się uśmiechając i wycofując się przez drzwi do tylnej części izby.

Przyglądali się, jak cień jej sylwetki miesza coś w niskim piecu na węgiel.

Dziecko usiadło przy stole, głaszcząc absurdalne włosy lalki i nucąc fałszywe tony. Anderson nachylił się nad stołem.

– Gai. Twoja matka powiedziała, że kiedyś mieszkałaś w Phichit. Możesz mi o tym opowiedzieć?

Angsley przetłumaczył. Anderson wstrzymał oddech. Czekali. Dziewczynka ignorowała ich, bawiąc się lalką. Wydawało się, że jej puste oczy przypominające guziki drwią sobie z nich.

Anderson podszedł do Gai i przykucnął przy jej krześle. Pod okrągłymi plamami białego proszku miała wysokie kości policzkowe swojej matki i jej niespokojne oczy. Ostrożnie usadowił się na podłodze i ułożył swoje długie nogi w siad po turecku. Przez dłuższy czas, jakiś kwadrans, po prostu z nią siedział. Gai pokazała mu lalkę, a on się uśmiechnął. Zaczęli się po cichu bawić. Karmiła lalkę i dawała mu ją do karmienia.

– Ładne niemowlę – powiedział po chwili. Uszczypnęła z czułością pomalowany nos lalki.

– Naprawdę ładne dzieciątko. – Głos Andersona był łagodny, pełen podziwu. Naśladował tajskie dźwięki Angsleya, unoszące się w górę i opadające w dół, jak samoloty z papieru, które z trudem utrzymują się w powietrzu, po czym spadają, tracąc wysokość.

Zachichotała.

– To chłopiec.

– Czy on ma imię?

– Nueng.

– Ładne imię. – Zrobił pauzę. – Czym go karmisz?

– Mlekiem.

– Nie lubi ryżu?

Potrząsnęła głową. Siedziała zaledwie kilka centymetrów od niego. Czuł zapach papai w jej oddechu i zapach kredy, zapewne farby na twarzy.

– Dlaczego nie?

Skrzywiła się.

– Ryż jest zły.

– Nie smakuje dobrze?

– Nie, nie, nie, nie dobrze.

Odczekał chwilę.

– Czy coś się wydarzyło, kiedy jedliście ryż?

– Wydarzyło się coś złego.

– Och.

Słyszał wszystkie dźwięki w izbie – głos Angsleya, drapanie jaszczurek, które biegały jak zwariowane po suficie, szybkie uderzenia swojego serca.

– Co się stało?

– Nie teraz.

– Rozumiem. To się stało w innym czasie.

– Kiedy byłam duża.

Anderson spojrzał na promienie słońca, które prześlizgiwały się przez

sztachetki na drewnianą podłogę, białe okręgi rzucające blask na buzię dziecka.

– Ach tak. Kiedy byłaś duża. Mieszkałaś w innym domu?

Skinęła głową.

– W Phichit.

– Rozumiem. – Zmusił się do tego, żeby oddychać równomiernie. – Co tam się stało?

– Coś złego.

– Coś złego stało się z ryżem?

Sięgnęła na stół do miski z papają, wzięła kawałek papai i wepchnęła go sobie do ust.

– Co się stało, Gai?

Uśmiechnęła się do nich z kawałkami owoców na zębach, szerokim, pomarańczowym uśmiechem klauna. Potrząsnęła głową.

Czekali dłuższą chwilę, ale nic więcej nie powiedziała. Za oknem nie widać już było bawołu indyjskiego. Słońce zalewało czerwienią jasne pola. Gdzieś na dole gdakały na nich kury.

– Wobec tego to chyba na tyle – stwierdził Angsley.

– Zaczekaj.

Dziewczynka znowu sięgała do miski z papają i tym razem wzięła do ręki nóż do obierania jarzyn, który zostawiła tam jej matka. Podniosła go swoją niepełnosprawną rączką. Byli tacy zatopieni w swoich myślach ci dwaj dorośli mężczyźni, obserwowali ją, nie zareagowali od razu – nie zabrali noża z dala od dziecka. Przyglądali się, jak wzięła lalkę, owinęła jej niezdarne, szmaciane palce starannie wokół noża i jednym precyzyjnym ruchem wymierzyła nóż w swoje ciało, zatrzymując go tuż przed tym, zanim wbił się w jej brzuch, jego czubek musnął znamię w kolorze wina.

Dopiero wtedy Anderson sięgnął ręką i wyjął nóż z jej drobnych, zdeformowanych paluszków. Pozwoliła mu go zabrać.

Powiedziała coś jeszcze. Podniosła na niego wzrok, na jej twarzy pod warstwą białego proszku malowało się napięcie. Duch dziecka, pomyślał Anderson. Zjawa. A potem zrozumiał: Nie, ona jest prawdziwa. To rzeczywistość.

Nastąpiła pauza.

– No i? Co to znaczy? Co ona powiedziała?

Angsley lekko zmarszczył brwi.

– Myślę, że powiedziała „listonosz”.

\* \* \*

*Zrobiło się już późno, kiedy Anderson i Angsley udali się w drogę powrotną łodzią. Wynajęli ciężarówkę, która wiozła ich do i z Phichit i dowiozła nad brzeg rzeki, a teraz płynęli w ciszy do Bangkoku. Anderson stał na dziobie. Obok niego siedział Angsley i palił papierosa.*

Łódź prześlizgiwała się obok chat z pomostami, na których końcu sterczały małe domki dla duchów, miniaturowe świątynie zbudowane dla schronienia i spokoju dusz; obok kąpiących się kobiet, dzieci pływających w mulistych wodach rzeki.

Anderson rozpiął koszulę. Zdjął buty i skarpetki. Potrzebował poczuć, jak woda oblewa jego palce u nóg, ochlapuje kostki. Stał na łodzi w rozpiętej koszuli i podkoszulku, nad głową płonęło mu słońce późnego popołudnia. Każdy włoszek na jego ciele stał dęba.

Pomyślał o Ardżunie, błagającym hinduskiego boga Krysznę, żeby ukazał mu prawdę: „Prawda, ogień setek tysięcy słońc jednocześnie rozbłyskających na niebie”. Pomyślał o Heraklicie – człowiek nie może wejść do tej samej rzeki dwa razy, bo to już nie ta sama rzeka, a on już nie jest tym samym człowiekiem. Przypomniał sobie o raportach policji i śledczego w sprawie listonosza z Phichit, który wbił nóż z lewej strony w podbrzusze swojej żony, bo przypaliła ryż, i zabił ją, odcinając trzy palce u jej prawej dłoni, którą próbowała się zasłonić.

Sternik pomajstrował coś przy silniku i łódź zwinnie ruszyła do przodu, podskakując na wodzie i oblewając ich chłodzącą mgiełką wody.

Przypomniał sobie siebie z czasów studiów, kiedy siedzieli z Angsleyem do późna w nocy, dyskutując o przypadku Shanti Devi, dziełach Platona i każdego, kto wziął sobie do serca koncepcję reinkarnacji, od Orygenesusa i Henry'ego Forda po generała Pattona i Buddę. Pomyślał, że to wszystko porzucił. Przetrawianie świadomości po śmierci – Święty Graal albo mrzonka, nieodpowiednie zajęcie dla naukowca jego kalibru. A jednak od tamtej pory na swój sposób prowadził poszukiwania, śledząc poczynania zespołu J.B. Rhine'a badającego percepcję pozazmysłową na Uniwersytecie Duke'a i szukając we własnych badaniach powiązań między umysłem a ciałem. Stres psychiczny wywoływał dolegliwości fizyczne – to pewne, ale dlaczego niektórzy ludzie szybko wychodzili z traumy, a innych prześladowały nocne poty i fobie? Było dla niego oczywiste, że geny i czynniki środowiskowe nie wyjaśniały wszystkiego. Nie wierzył, że to kwestia szczęścia. Szukał czegoś jeszcze.

Czegoś jeszcze.

W jego głowie jedno skojarzenie pociągało za sobą kolejne, rozszczepiając się na kawałki niczym potłuczone szkło.

Nie tylko natura albo odżywianie, ale coś jeszcze, co mogło powodować zaburzenia osobowości, fobie. Dlaczego jedne niemowlęta rodziły się spokojne, a inne były płaczliwe? Dlaczego niektóre dzieci miały wrodzone upodobania i zdolności? Dlaczego inne mają poczucie, że powinny być przedstawicielami płci przeciwnej? Dlaczego Chang, drażliwy bliźniak syjamski, który lubił pić alkohol i pohulać, tak różnił się charakterem od swojego prostolinijnego, niepijącego brata,

Enga? Bez wątplenia w tym przypadku uwarunkowania genetyczne i środowiskowe były takie same. I oczywiście znamiona – zdeformowane paluszki dziewczynki wskazywały na wyraźny związek między tym życiem a kolejnym, a nawet mogły wyjaśniać...

Owen.

Anderson usiadł. Zaszło mu w gardle. Słońce spiekło mu skórę na nosie, policzkach i szyi, i wiedział, że będzie później bardzo cierpiał. Kiedy zamknął oczy, widział bezkształtne linie poruszające się szybko po zbyt jasnym bezmiarze oranżu. Linie ułożyły się w kształt twarzy, która nie była twarzą, i ponownie pozwolił sobie zobaczyć swoje dziecko.

Sheila oskarżała go o to, że nie potrafił kochać Owena w trakcie jego krótkiego, pełnego męczarni życia, ponieważ nie mógł zmusić się do tego, żeby wziąć na ręce i pogłaskać dziecko tak, jak ona to robiła. To prawda, nie mógł patrzeć na syna, ale to dlatego, że kochał go i czuł się taki bezradny, że nie mógł mu pomóc. Dręczyła go własna ignorancja. Dlaczego to musiało przydarzyć się akurat temu dziecku i akurat w taki sposób?

W szpitalu, zanim Sheila się wybudziła, głaskał drobną rączkę swojego niedoskonałego dziecka i patrzył na tę potworną, niewinną twarz dotąd, aż nie był już w stanie patrzeć na nią dłużej, a potem wcale. Wyszedł prosto z oddziału intensywnej terapii noworodka i poszedł korytarzem na oddział położniczy, do szyby, przez którą widać było inne niemowlęta usypiane i rozpieszczone, ze zdrowo zaróżowionymi ciałkami.

Dlaczego? Z niewiadomych przyczyn jedno dziecko pojawia się w taki sposób, w jaki przyszedł na świat Owen, a inne rodzą się doskonale. Jaki to miało sens – jakie fakty naukowe za tym stały? Czy to mógł być zwyczajny pech, niefortunny wynik na chromosomalnej ruletce? Dlaczego to dziecko takie się urodziło, skoro nie było żadnych czynników genetycznych ani środowiskowych?

Chyba że.

Otworzył oczy.

Bobby Angsley przyglądał mu się, a w kącikach ust błąkał mu się niewyraźny uśmiech.

– Śledzę ten fenomen – powiedział cicho Angsley. – W Nigerii. W Turcji. Na Alasce. W Libanie. Myślałeś, że się bawiłem. Cóż, bawiłem się. Ale też obserwowałem. Słuchałem.

– I usłyszałeś coś?

– Głównie szept. Historie opowiadane późnym wieczorem nad raki<sup>15</sup> albo w wiosce w świetle księżycy w towarzystwie odwiedzających antropologów... niektóre kobiety są zaskakująco urodziwe, wiesz, w taki seksowny sposób, w stylu Margaret Mead.

– Jasne. – Anderson przewrócił oczami i wystawił mokre stopy na słońce.

– Nie, posłuchaj – powiedział szybko Angsley, a jego przejęcie sprawiło, że Anderson podniósł wzrok. – Wiedziałaś, że w Nigerii istnieje wioska Igbo, gdzie amputują mały palec zmarłemu dziecku i proszą je, żeby powróciło tylko wtedy, jeśli następnym razem będzie razem z nimi dłużej żyło? A kiedy potem rodzi im się dziecko i to dziecko ma zdeformowany mały palec u rączki, co najwyraźniej naprawdę czasem się zdarza, radują się. A w Tlingit – tym Tlingit na Alasce – umierający albo zmarli objawiają się bliskim w snach i mówią, w ciele którego krewnego narodzi się na nowo. I nie każ mi zaczynać opowieści o Druze...

Wcisnął papierosa do ust, jakby chciał powstrzymać się fizycznie od kontynuowania opowieści, a potem znowu go wyjął.

– Posłuchaj, wiem, brzmi jak folklor. Ale istnieją przypadki.

– Przypadki? – Anderson próbował zrozumieć, co mówił do niego Angsley. Spod jednych warstw wyglądały kolejne. – Wiarygodne przypadki?

– Cóż, nie jestem Karolem Darwinem. W ogóle nie jestem wybitnym naukowcem, jak się okazuje. Brakuje mi... dyscypliny.

Anderson gapił się na niego.

– Nie sprowadziłeś mnie tutaj jedynie z powodu tej dziewczynki.

Angsley spojrzał na niego jakby nigdy nic.

– Nie.

W jego oczach pałał żar.

Wzięli zakręt na rzece i przed nimi pojawiło się miasto niczym dar – złote dachy stupy<sup>16</sup> przy Pałacu Królewskim, błyszczące czerwone i zielone dachy budynków zespołu świątynnego.

Gdyby tak mogli to zrobić... gdyby mieli wiarygodne przypadki... wtedy dokonaliby tego, czego jeszcze nikt nie dokonał – ani William James, ani John Edgar Coover ze Stanforda, ani J.B. Rhine z Duke'a, który przez te wszystkie lata zamknął się w laboratorium z kartami służącymi do rozpoznania zdolności postrzegania pozazmysłowego. Znaleźliby dowody na to, że świadomość jest w stanie przetrwać po śmierci.

– Musimy wrócić tam jutro, z samego rana – powiedział powoli Anderson. Obmyślał to w trakcie, kiedy mówił. – Zabierzemy tę dziewczynkę i przywieziemy ją do Phichit, sprawdzimy, co będzie umiała rozpoznać. Spotykamy się w holu o piątej trzydzieści.

Angsley zachichotał i przyrzekł po cichu.

– W porządku.

Zapadła chwila ciszy. Anderson z trudem oddychał.

– Bobby – wyszeptał Anderson. – Czy naprawdę istnieją inne takie przypadki?

Angsley się uśmiechnął. Zaciągnął się papierosem i wypuścił długą smugę dymu.

Światło na zwieńczeniach stupy oślepiało promieniami zachodzącego słońca, ale Anderson nie mógł przestać patrzeć. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie rano. Było tyle rzeczy do zrobienia.

\* \* \*

– *Przeliczam.*

Ile razy GPS to powtórzył? Gdzie on był?

Musiał gdzieś źle skręcić.

Anderson zatrzymał się na poboczu błotnistej drogi i wysiadł z samochodu. Ciężarówka śmigała koło niego po autostradzie śmierdzącej asfaltem, wyczerpaniem, nieprawdziwym poczuciem ważności – Ameryką. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu znaków drogowych. Ostatnią rzeczą, którą zauważył, były okolice Filadelfii. Jak bardzo zablądził?

Usiłował wytrzepać z głowy obrazy i dźwięki z Tajlandii. Czuł obecność swojego przyjaciela tuż obok, jakby jeszcze przed chwilą koło niego siedział.

Jego najlepszy przyjaciel, który już odszedł. Wszystko odeszło – Instytut, ten wspólny gmach, który zbudowali z Angsleyem i dzięki jego pieniądzą. A jaką frajdę mieli, kiedy go budowali, kiedy cała ta dziedzina stała przed nimi otworem, a informacje o nowych przypadkach napływały jedna po drugiej i skłaniały do podróży do Tajlandii, Sri Lanki, Libanu, Indii, a każdy przypadek był frapujący i nowy. Przy tym wszystkim dobrze się bawili, dopóki Angsley nagle nie umarł, sześć miesięcy po odejściu Sheili. Kiedy wchodził na wzgórze w swojej posiadłości w stanie Wirginia, nagle chwycił go ból serca, które przestało bić, tak po prostu.

Na stypie (katolickiej, tradycyjnej – Anderson powinien być już wtedy wiedzieć, że wdowa powoli będzie wysysać pieniądze z fundacji, podobnie jak wysysała krew z żył swojego męża) na twarzy Angsleya malowało się zdziwienie, którego nie potrafił ukryć nawet właściciel zakładu pogrzebowego. Och, mój przyjacielu, pomyślał wtedy, patrząc na znajome ciało napompowane formaliną, z różem na policzkach, które zmierzało do rodzinnego mauzoleum – nie taki pogrzeb sobie wymarzyłeś, twoje stare kości obnażone na klifie, błyszczące w słońcu.

Och, mój przyjacielu. Wyprzedziłeś mnie. Teraz ty wiesz, a ja nie.

Angsley nie żył. Instytut został zamknięty, dokumentacja wyeksponowana. Została jeszcze tylko jedna rzecz do zrobienia, tylko jeden przypadek do zbadania. Musiał jedynie doprowadzić to do końca.

## Rozdział szesnasty

*Ashview, w stanie Wirginia, budziło w Janie niepokój. Leżało na przedmieściach Waszyngtonu, gdzie roilo się od MacRezydencji rodem ze Stepford<sup>17</sup>, którymi zawsze pogardzała – domów bez tradycji, zajmujących każdy centymetr powierzchni przydzielonej na przepastne, niepraktyczne garaże. A jednak... Musiała przyznać, że z punktu widzenia dziecka mogło być coś kuszącego w tych nowych, obszernych domach, ogromnych, jasnozielonych trawnikach przed wejściem, dębach posadzonych wzdłuż drogi zbyt starannie, z zielonymi konarami tworzącymi tunel nad głową.*

Kilka razy jeździli wzdłuż głównej ulicy. Zatrzymali się przy trzech różnych szkołach (do jednej z nich najwyraźniej uczęszczał Tommy Moran). Każda z nich była na swój sposób przyjemna, z ogromnym boiskiem do piłki nożnej i placem zabaw.

– Rozpoznajesz coś? – Anderson przez cały czas dopytywał, ale Noah nic nie mówił. Wyglądał na zaszokowanego, rozkojarzonego, przyglądał się budynkom z tylnego siedzenia, mrużąc pod nosem melodyjnym głosem „Ash-view, Ash-view”.

– Już tutaj byliśmy – powiedziała Janie do Andersona.

Odebrał ich z dworca i ruszył od razu do centrum miasteczka.

– Jeszcze raz. Pojedziemy inną trasą.

Zawrócił i pojechał główną ulicą miasteczka. Janie już ją zapamiętała. Kafejka Starbucks, pizzeria, kościół, bank, stacja benzynowa, sklep z narzędziami, ratusz miejski, remiza – przesuwwały się w kółko przed oczyma jak miasteczko ze snów.

Spojrzała na Andersona. Prowadził sztywno wyprostowany, ze szczęką zaciśniętą w zaciętym uporze. Był o dwadzieścia cztery lata starszy od niej i sześćdziesiąt cztery od Noaha, a nie było po nim widać najmniejszego śladu zmęczenia.

– Nie jestem pewna, czy on coś rozpoznaje.

– Czasem tak się zdarza. Niektóre dzieci są bardziej przywiązane do konkretnego domu niż do miasteczka. Ludzie zapamiętują różne rzeczy.

W końcu podjechał do szlabanu. Anderson naradził się z ochroniarzem, który sprawdził listę, a potem machnął ręką, wpuszczając ich dalej. Jechali powoli ulicą otoczoną z obu stron jeszcze większymi i nowszymi domami. Na wzgórzach za ich plecami połyskiwało pole golfowe. Anderson zatrzymał się pod ogromnym domem z cegły, który przypominał Janie niezbyt urodziwą kobietę obwieszoną zbyt dużą ilością biżuterii. Jediną oznaką życia była plastikowa wywrotka obok



ścieżki wyłożonej kamieniami, prowadzącej do drzwi, koła wywrotki sterczały w powietrzu jak u przewróconego do góry nogami żuka.

Siedzieli w samochodzie w milczeniu. Janie obserwowała swojego syna w lusterku wstecznym. Nie potrafiła wyczytać niczego z jego twarzy.

– Cóż – powiedział w końcu Anderson. – Jesteśmy na miejscu.

– Bogaci ludzie – powiedziała nagle Janie. – Tommy był bogaty. – Odebrała to jak policzek.

– Na to wygląda. – Anderson zdobył się na nerwowy uśmiech.

Cóż, nic dziwnego, że Noah chciał tutaj wrócić, pomyślała. Któż by nie chciał? No i co z tego, że dom źle zaprojektowano – kto byłby szczęśliwy z małego mieszkanka z dwiema sypialniami w suterenie, gdyby miał coś takiego?

Anderson zwrócił się do Noaha, który siedział z tyłu – wyraz twarzy i głos mu złagodniały.

– Czy cokolwiek tutaj wydaje ci się znajome, Noah?

Noah spojrzał na niego. Jakby trochę zaszklily mu się oczy.

– Nie wiem.

Anderson skinął głową.

– Może wejdziemy do środka i sprawdzimy?

Noah wyraźnie się ożywił. Sam odpiął pas od fotelika samochodowego, wygramolił się z auta i poszedł wyłożoną kamieniami ścieżką.

Jakiś mężczyzna w koszulce polo i świeżo wyprasowanych spodniach w kolorze khaki otworzył drzwi. Miał zarumienioną twarz, na której malowała się niecierpliwość, i cienkie, rude włosy. Spojrzał na nich z niepokojem cukrzyka, który stanął oko w oko z zastępem skautek trzymających w rękach kruche ciasteczka. Janie próbowała nie przyglądać się ani jemu, ani Noahowi, który badał wzrokiem buty żeglarskie mężczyzny. Powstrzymała się od zadania pytania: „Kochanie, czy to twój tatuś z poprzedniego życia?”, a potem o mało co nie zaczęła nerwowo chichotać.

Mężczyzna patrzył na nich wilkiem.

– Domyślam się, że pewnie wszyscy chcecie wejść – powiedział w końcu, zrobił krok w tył i częściowo uchylił drzwi tak, że musieli wejść przez nie bokiem. Hol miał wielkość jej salonu na Brooklynie.

– Tylko żeby była jasność, nie wchodzę w takie rzeczy – kontynuował. – Więc jeśli spodziewacie się jakiegoś odszkodowania, pozwólcie, że powiem...

– Nie chcemy negocjacji – powiedział zdecydowanie Anderson. Janie zdała sobie sprawę z tego, że on też musi być zdenerwowany. Mocno ścisnął w rękach swoją aktówkę.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Słucham?

– Miałem na myśli... odszkodowanie.

– Dobrze.

Gestem ręki zaprosił ich do rozległego, wspaniałego pokoju. Janie próbowała się zrelaksować i po prostu oddychać. W powietrzu unosił się zapach pieczonego ciasta, a pod tym wszystkim było jeszcze coś cytrusowego i aseptycznego, co poczuła w płucach. Z głębi domu dochodził szum odkurzacza.

Pokój urządzono gustownie, w neutralnym stylu – z luksusowymi, beżowymi meblami i oprawionymi w ramki zdjęciami kwiatów na ścianach. Przez szklane, przesuwne drzwi w głębi pokoju mignął jej ogromny basen przykryty grubym, szarym brezentem. Wyglądał jak strup w samym środku ogrodu za domem.

– Już jesteście! – Drobną blondynką uśmiechnęła się do nich ciepło z antresoli wychodzącej na pokój. Niosła na biodrze bardzo pulchne dziecko, które miało około roku, jakby było zrobione z powietrza. Była ładna, miała okrągłą twarz i piękne, delikatne rysy.

Kobieta dołączyła do przybyłych, którzy stali niezręcznie przed kominkiem. Uśmiechnęła się uprzejmie do Janie i Andersona, jakby przyszli na herbatę, i podała każdemu po kolei miękką dłoń. Miała włosy starannie upięte na karku za pomocą klamry ozdobionej techniką cloisonné, która – jak zauważyła Janie – idealnie pasowała do jej jedwabnej, kanarkowej bluzeczki.

– Dziękuję, że przyjechaliście z tak daleka – powiedziała. – Jestem Melissa.

Melissa odwróciła się do Noaha i także podała mu rękę. Potrzęsął nią z powagą. Wszyscy zebrani obserwowali go, wstrzymując oddech, sceptyczny mąż stojący w drzwiach i dwoje zatroskanych dorosłych. Noah nieśmiało szedł po wykładzinie dywanowej, powłócząc nóżkami, a Janie zauważyła z niezadowoleniem, że na jego lewej tenisówce, na miejscu dużego palca, pojawiła się mała dziurka. Kolejna sprawa, w której nie potrafiła stanąć na wysokości zadania.

Melissa uśmiechnęła się słodko do Noaha.

– Lubisz ciasteczka owsiane z rodzynkami?

Miała lekki i wysoki głos, jak przedszkolanka. Noah skinął głową, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

– Tak myślałam. – Poprawiła sobie dziecko na biodrach, kołysząc je w ramionach.

– Niedługo będą gotowe. Zrobiłam też miętową lemoniadę, jeśli lubisz.

Była tak urocza, z jasnymi blond włosami i szerokim uśmiechem... jak Noah. Każdy obcy człowiek przyznałby, że to matka tego chłopca. Była mamą, którą wybiera się z katalogu – chcę taką. Każdy chciałby wrócić do tego dużego domu i mamy o słodkiej buzi, która piecze ciasteczka. Janie skrzyżowała ramiona. Skóra na tylnej części jej ramion była trochę gruzełkowata, dolegliwość, która właściwie nigdy całkiem nie ustępowała. Noah miał ten sam problem. Chciała

wyciągnąć rękę i poczuć tę znajomą szorstkość na jego ramionkach. On jest mój, pomyślała. To jest dowód.

– Usiądźcie, proszę – zaproponowała Melissa i wszyscy jak jeden mąż zapadli się w puszystą sofę. Melissa posadziła dziecko na podłodze i przyglądali się, jak podciąga się ono na meblach na swoich pulchnych, chwiejących się nóżkach. Noah przylgnął do Janie, przygaszony, ze zwieszoną głową, z na wpół przymkniętymi oczami, z których nie dało się nic wyczytać. Próbowwała zaczerpnąć trochę ciepła z jego przytulonego do niej ciała.

Anderson otworzył aktówkę i wyjął kartkę papieru.

– Mam tutaj listę faktów, które podał Noah, może zechciałaby pani je przeanalizować, żeby sprawdzić, co się zgadza...

Janie rzuciła okiem na kartkę.

Noah Zimmerman:

- niespotykana wiedza na temat gadów
- potrafi obliczyć punktację w meczu baseballu
- lubi drużynę baseballową Washington Nationals
- mówi o osobie o imieniu Pauly...

Melissa wzięła kartkę do ręki i spojrzała na nią, kilka razy mrugając oczami.

– Muszę przyznać... że byłam sceptycznie nastawiona, kiedy napisaliście do mnie e-mail. Nadal jestem sceptyczna. Ale tutaj jest tak wiele... podobieństw... I, cóż, próbujemy być otwarci, prawda, John? – John nic nie odpowiedział.  
– Przynajmniej ja jestem. Dużo się nad tym wszystkim zastanawiałam, odkąd...  
– Głos zamarł jej na ustach. Janie poczuła, jak jej wzrok bezwiednie powędrował za okno, do zakrytego basenu. Kiedy znowu spojrzała na Melissę, kobieta wpatrywała się w nią intensywnie, ze łzami w oczach.

– Cieszę się, że jesteście tutaj – powiedziała. Otarła łzę i zerwała się na równe nogi. – Hej. Może pójde po ciasteczka? Zerknij na Charliego, dobrze, kochanie? – John beznamiętnie skinął głową.

– Przepraszam – powiedział nagle Anderson, też podnosząc się z miejsca.  
– Mógłbym skorzystać z...

– Tędy. – John wskazał skinieniem głowy w kierunku holu. Anderson jeszcze raz przeprosił i w pokoju zapadła cisza. Noah wpatrywał się w swoje tenisówki. Janie przyglądała się dziecku, które próbowało pokonać trudną przepaść pomiędzy sofą a fotelem. Chłopiec zrobił krok, zachwiał się na nóżkach i upadł. Zaczął płakać. John podszedł spokojnym krokiem i go podniósł.

– No już dobrze – powiedział, kołysząc go automatycznie. – Już dobrze.

Anderson poszedł korytarzem i minął na wpół otwarte drzwi pastelowożółtego pokoju, w którym znalazł pełno pluszowych zwierzątek i dziecięce łóżeczko, a potem minął kolejne drzwi, zamknięte, z szyldem, na którym ktoś napisał dziecinnym pismem kredką NIE WCHODZIĆ. Litery

wyglądały radośnie, jakby tak naprawdę były tylko żartem. Zatrzymał się, rozejrzał się we wszystkich kierunkach, a potem uchylił drzwi.

Był to pokój chłopca. Wyglądał tak, jakby ktoś mieszkał w nim jeszcze wczoraj, a nie pięć i pół roku wcześniej. Narzuta na łożku, wyhaftowana w piłki i kije do baseballu, była starannie zatknięta pod poduszkę. Piłkarskie puchary na biurku świeciły całym swoim blaskiem sztucznego złota, jakby zostały dopiero co zdobyte. Stał tam kosz z rękawicami do baseballu i kolejny z piłkami, pod flagą drużyny Nationals i oprawionym w ramki plakatem z różnymi gatunkami węży. W kącie usadowił się niebieski, szkolny plecak, z monogramem TEM. Wyglądało na to, że nadal były w nim spakowane podręczniki do szkoły. Na półce w rogu pokoju stało kilka książek o Harrym Potterze, obok encyklopedii baseballu i trzech leksykonów węży.

Anderson zamknął drzwi i szybkim krokiem ruszył w kierunku łazienki.

Zamknął drzwi od wewnątrz, ochlapał policzki wodą i spojrzał z przerażeniem na ziemistą twarz w lustrze.

To nie byli oni.

Podejrzewał to od chwili, kiedy przekroczyli próg tego domu, ale teraz był tego pewien.

Charlie był malutkim dzieckiem – o wiele za malutkim, żeby mógł żyć w czasie poprzedniego wcielenia Noaha – nie ma mowy, żeby chłopiec mógł go pamiętać. Tommy lubił jaszczurki, a nie węże. A Noah najwyraźniej niczego nie rozpoznawał. To nie była ta właściwa rodzina.

Oczywiście on ponosi za to winę. Nie był w pełni swoich władz umysłowych. Nie potrafił przypomnieć sobie słowa „jaszczurki” i zamiast niego napisał „gady”. Nie zapytał o wiek młodszego brata, Charliego. Drobne, podstawowe, niespecyficzne błędy, które zaprowadziły go w złym kierunku, ku fatalnym skutkom.

Był zbyt niecierpliwy. Ten pęd do przodu sprawiał mu taką przyjemność, że prawie zapomniał o wszystkim, co mu się przydarzało, wiedziony pragnieniem, żeby iść dalej i nie ustawać.

Przesunął ręką po włosach. Sprawa była skończona. On był skończony. Jego wiara w słowa w końcu została zachwiana, razem z resztkami zaufania do własnego profesjonalizmu.

Co teraz? Popęłnił błąd, a teraz pójdzie do salonu i go naprawi. A potem pojedzie do domu. Wrócić i działać dalej? Nie było żadnego ciągu dalszego. Był skończony. To nie ulegało wątpliwości. Godny koniec długiej i niegodnej kariery. Och, ale przecież ciężko pracował na to, żeby popaść w zapomnienie.

Oparł się o umywalkę, przygotowując się na to, co nieuniknione.

## Rozdział siedemnasty

*Janie poczuła zapach ciasteczek rozchodzący się po całym pokoju.*

– Mam nadzieję, że lubicie jeszcze ciepłe! – krzyknęła Melissa, trzymając talerz w górze, niczym okładkę poradnika na temat podejmowania gości. Wyłoniła się z kuchni radosna i jakoś bardziej rozpromieniona, z rumieńcami na policzkach i ustami świeżo pomalowanymi grubą warstwą szminki. Wręczyła ciastko Noahowi i postawiła resztę na małym stoliku. Słodki aromat przykrył cytrusowo-amoniakową woń środków czystości i kwaśny zapach, który czuć było od Noaha, a który nie opuszczał go ani na krok. Janie zastanawiała się, czy ta kobieta to zauważyła.

John spojrział na Melisę znad głowy dziecka.

– Charlie ma mokro – powiedział i zrobił minę.

Melissa zaśmiała się ostro.

– No to go przebierz.

Spojrzenia małżonków spotkały się i Janie miała jakieś niejasne przeczucie, że ich wizytę poprzedziła niejedna kłótnia. John westchnął. Ojciec z synkiem wyszli z pokoju.

Noah nadal siedział na sofie, z dłońmi między nogami i z ustami pełnymi ciasteczek. Nie podnosił głowy.

– A więc. – Melissa zwróciła się promiennie do Janie. – Słyszałam, że Noah jest fanem Nationals.

– Tak.

– Kto jest twoim ulubionym zawodnikiem, Noah?

– Zimmerator – powiedział Noah do dywanu, z pełnymi ustami.

– Lubi Ryana Zimmermana. Oczywiście z powodu nazwiska – dodała Janie.

Ale oczy Melissy zrobiły się okrągłe.

– Ale to był też ulubiony zawodnik Tommy’ego!

Na dźwięk tego imienia Noah gwałtownie podniósł głowę. Nie można było tego nie zauważyć.

Melissa zbladła. Spojrzała na Noaha. Nerwowo oblizwała usta.

– T-Tommy? Czy ty jesteś Tommym?

Skinął głową z ociąganiem.

– O Boże.

Chwyciła się dłonią za gardło. Wydawało się, że na jej twarz wypłynął różowy uśmiech, odłączony od ciała, jakby nie miał żadnego związku z wilgotnymi, mrugającymi oczami.

Czy Janie śniła? Czy to się działo naprawdę?

– Tommy. Podejź tutaj – powiedziała ta druga matka. Miała szeroko rozpostarte blade ramiona. – Chodź do mamusi.

Noah rozdziawił usta.

Kobieta pokonała niewielki dystans, który ich dzielił, i podniosła go do góry z krzesła, biorąc jego ciało w ramiona jak szmacianą lalkę.

Ale to przecież niemożliwe, pomyślała Janie. Miał tę samą wysypkę na ramionach, co ona. Tuż po urodzeniu przystawiła go do piersi, a on zaczął natychmiast ssać, „jak stary wyga”, powiedziała z dumą położna.

– Och, mój mały chłopczyku. – Melissa zaczęła płakać we włosy Noaha. – Tak mi przykro.

– Och! – powiedział Noah. Jego czoło zaczęło robić się zaróżowione ponad jej ramionami, a to słowo wydobyło się z niego niczym pisk.

Kiedy wyciągnięto go z ciała Jane, doktor podniósł go wysoko, żeby mogła go zobaczyć. Nadal był połączony z nią pępowiną, umazany krwią i pasmami białej mazi płodowej. Miał ciemnoczerwoną, skrzywioną, śliczną buzię.

– Tak mi przykro, dzieciątko. Popełniłam błąd – powiedziała Melissa. Miała szorstki głos. Mascara zaczęła spływać jej po twarzy. – Wiem, że wszystko schrzańiłam. Zawsze sprawdzam zasuwkę. Sądziłam, że ją sprawdziłam. Schrzańiłam to.

Janie ledwo widziała czubek głowy Noaha. Nie widziała jego twarzy.

– Och! – jęknął znowu. – Och!

– Nie zasunęłam tej zasuwki! Nigdy tak nie robię. Och, schrzańiłam to.

Kurczowo chwyciła go za ręce, które zwisały mu luźno po bokach, skóra chłopca pod jej palcami pokryła się plamkami i stała się tak jaskrawoczerwona jak jego koszulka w barwach drużyny Nationals.

– Ale dlaczego ty się utopiłeś, dziecko? Dlaczego? Przecież miałeś lekcje pływania!

– Au! – odparł Noah.

Tylko że on nie mówił „au”, nagle uświadomiła sobie Janie. On mówił „nie”.

– Nie – powtórzył jeszcze raz Noah. Wyciągnął szyję, żeby szarpnięciem uwolnić głowę, i zobaczyła, że miał zaciśnięte oczy. Wił się, ale nie był w stanie wydostać się z objęć tej kobiety.

– Nie, nie, nie!

– Nie wiedziałam, że pójdziesz na basen – mówiła jednym tchem Melissa. – Nigdy nie przypuszczałam, że to zrobisz. Ale przecież umiałeś pływać! Umiałeś pływać. O mój Boże, schrzańiłam wszystko, Tommy. Mamusia zawałiła! – Sięgnęła dłonią, żeby otrzeć łzy, i Noah wyswobodził się z jej uścisku.

Wycofał się w głąb salonu. Trząsł się cały tak bardzo, że aż szczękały mu zęby. Janie ruszyła w jego stronę:

– Noah, dobrze się czujesz?

– Tommy. – Melissa wyciągnęła przed siebie swoje miękkie, białe ręce.

Przesuwał wzrok z jednej kobiety na drugą.

– Idźcie sobie! – wrzeszczał. – Idźcie sobie!

Odsunął się od nich obydwu najdalej, jak mógł, przewracając mały stolik i rozsypując na podłogę ciasteczka.

– Gdzie jest moja mama?! – krzyczał, zwracając się do Janie. – Mówiłaś, że jadę zobaczyć się z moją mamą! Obiecałaś!

– Noah... – powiedziała Janie. – Skarbie, posłuchaj...

Ale on zacisnął oczy, zasłonił uszy dłońmi i zaczął głośno buczeć pod nosem.

Anderson wpadł do pokoju, tuż za nim John z dzieckiem na rękach, które miało na sobie tylko pieluszkę. John wkroczył do akcji, spojrzawszy najpierw na Noaha, potem na swoją żonę, po której policzkach płynęły strumieniami łzy.

– Co tu się stało?

W kuchni Noah siedział przy stole z zamkniętymi oczami i dłońmi na uszach. Nadal buczał pod nosem. Nie patrzył na Janie, a kiedy położyła mu rękę na ramieniu, wyrwał się. Na błyszczącym marmurowym blacie stała kolejna taca z ciasteczkami. W pokoju unosił się ich zapach, intensywny i przyprawiający o mdłości, niczym błąd, którego już nie da się naprawić.

Anderson chrząknął. Janie ledwo była w stanie na niego patrzeć.

– To błąd. – Nie wiadomo było, czy zwracał się do wszystkich czy do nikogo. – Najwyraźniej to niewłaściwe poprzednie wcielenie. – Nikt nie odezwał się ani słowem. – Proszę pozwolić mi wyjaśnić... – powiedział, ale nie dokończył. Stracił orientację, jeśli w ogóle naprawdę ją miał.

Melissa osunęła się na blat po drugiej stronie stołu. Przygryzła wargę, która teraz krwawiła. Smuga krwi pojawiła się na kołnierzyku jej żółtej bluzki, plama krwi na jej białych zębach.

– Myślałam, że znajdę jakieś odpowiedzi – wymamrotała. Janie dostrzegła siwe pasmo w mieszanej burzy jej blond włosów.

Mąż Melissy trzymał w ręku paczkę mokrych chusteczek dla niemowląt i zmywał jej twarz, mając dziecko wetknięte pod pachę, jak gigantyczną, wiercącą się piłkę do gry w nogę.

– Nie ma żadnych odpowiedzi – powiedział John. – To był wypadek.

Delikatnie starł czarne ślady z jej policzków i podbródka. Pozwoliła mu na to, z dłońmi luźno zawieszonymi na kolanach. Kiedy zmył jej makijaż, wyglądała jeszcze młodziej, jak dziecko.

– Zawsze to powtarzasz – jęknęła Melissa. – Ale to moja wina.

– Chłopak, który sprzątał basen, zostawił otwartą zasuwkę. – Dziecko zaczęło płakać. – Przecież wiesz o tym. To mogło się przydarzyć każdemu. To był wypadek.

- Ale lekcje...
- Nie był świetnym pływakiem.
- Ale gdybym sprawdziła zasuwkę...
- Najwyższy czas z tym skończyć, Mel.

Najwyższy czas z tym skończyć.

Te słowa przynajmniej wyrwały Janie z jej marzenia. Ta kobieta straciła syna, pomyślała. Straciła swojego syna. Pozwoliła, żeby te słowa do niej dotarły. Zobaczyła, nie mogła się powstrzymać, blondynka o słodkim wyglądzie, walczącego na dnie basenu. Jego drobne martwe ciało unoszące się w tej krystalicznie czystej wodzie. Martwe dziecko – wszystko wypływało z tego faktu, prawda? Spośród wszystkich złych rzeczy, które mogły się wydarzyć, ta była najgorsza. Następnie przyjechali tutaj i jej to zrobili, tej kobiecie, która już niewyobrażalnie cierpiała – rozbudzili w niej nadzieję, a potem je w przejmujący sposób zniweczyli, a to, czy mieli takie intencje, czy też nie, nie miało najmniejszego znaczenia. Ona to zrobiła. Nie mogła obwiniać Noaha. Anderson postępował zgodnie z nakazami swojej własnej etyki w sposób, którego tak naprawdę nie pojmowała. Ale to ona była matką i powinna była wiedzieć lepiej, a tymczasem zachowała się okrutnie w stosunku do tej kobiety. To, co zrobiła, było pozbawione skrupułów, a wszystko dlatego, że nie potrafiła stanąć twarzą w twarz z prawdą. Która jak brzmiała?

Że Tommy Moran umarł i nie powrócił.

A przypadek, nad którym pracował Anderson, był zakończony.

A Noah był chory.

Najwyższy czas z tym skończyć.

Dziecko nadal wyło wniebogłosy.

– Mel. – Mąż głaskał ją po głowie jak szczeniaka. – Charlie jest głodny. On cię potrzebuje.

Melissa wzięła automatycznie dziecko od męża. Podciągnęła bluzkę i stanik szybkim, zwinnym ruchem i jej krągła pierś pojawiła się w zasięgu wzroku, razem z ogromnym, różowym sutkiem, tak niespodziewanym jak widok statku kosmicznego. Janie poczuła, że Anderson odwrócił wzrok, ale ona nie mogła oderwać oczu. Melissa przystawiła głodne dziecko do piersi i po kilku chwilach jej twarz przybrała bardziej spokojny wyraz.

Wstyd spłynął po karku Janie. Naraziła także Noaha na to wszystko, robiąc mu jeszcze większe zamieszanie bez wyraźnego powodu.

– Przykro mi – powiedziała do Melissy.

Melissa zamknęła oczy, skupiając się na tym, co działo się w jej ciele, i Janie przypomniała sobie to uczucie klucia w piersiach, które stawały się cięższe i nabrzmiałe od napływu mleka, to pociągnięcie sutka małymi ostrymi ząbkami, a potem to głębokie, wewnętrzne westchnienie, kiedy dziecko ssało mleko ustami.



– Zdaje się, że powinniście już iść – powiedział John, chociaż nie trzeba było tego mówić. Poprowadził ich w ciszy przez dom, Janie prowadziła Noaha, trzymając obie dłonie na jego plecach, a on nadal zatykał uszy rączkami. Anderson szedł za nimi. John otworzył drzwi wejściowe. Nie patrzył na nich.

Cała trójka zeszła po schodach niepewnym krokiem i znalazła się na ładnej ulicy przed domem. Drzewa powiewały na lekkim wietrze; w oddali błyszczały pola golfowe. Jakiś chłopiec na rowerze przeleciał ze świstem obok nich po chodniku z zawziętością, prawie ich potrącając. Janie śledziła wzrokiem, jak jechał dalej wzdłuż ulicy na podrygujących oponach.

Odjechali w ciszy. Janie usiadła na tylnym siedzeniu, obok fotelika Noaha. Noah nie otwierał oczu ani nie przestał zatykać uszu. Po dłuższej chwili rączki opadły mu po bokach i zorientowała się, że zasnął.

Noah jest chory.

Wypróbowała sobie te słowa w głowie. Leżały tam bezsensownie, niczym z pozoru niewinny kawałek plutonu.

Anderson skręcił w jedną przecznicę, potem w kolejną i ochroniarz machnął ręką, wypuszczając ich przez bramkę. Znaleźli się znowu w tym świecie, w tej pogmatwanej, nerwowej rzeczywistości. Skierowali się w stronę Main Street, w kierunku motelu. Damski głos z GPS-u zaśpiewał obojętnym tonem.

– Jedź prosto przez tysiąc trzysta metrów. Następnie skręć w lewo w ulicę Przyjemną.

Przyjemny, pomyślała Janie. To słowo odbiło się echem w jej mózgu i przekształciło się w „psychotyczny”.

Za szybą młodzież z miejscowego liceum wydostawała się na światło dzienne. Wyrośnięta dzieciarnia szła, ociągając się, w stronę parkingu, krzycząc do siebie nawzajem głośnymi, pełnymi energii głosami.

– Skręć w lewo na ulicę Psychotyczną. Przeliczam.

Przeliczanie. Leczenie.

– Jedź prosto ulicą Psychotyczną. Leczenie. Leczenie.

Jechali teraz jakąś boczną ulicą, minęli miejscowy oddział banku, uroczą uliczkę z mniejszymi domkami, z werandami przystrojonymi amerykańskimi flagami. Boczna ulica. Efekty uboczne.

– Jedź prosto przez pięć kilometrów. Skręć w lewo w Zaulek Katarzyny. – Katarzyna, Katatoniczny.

– Skręć w lewo w Zaulek Katarzyny. Leczenie...

Anderson patrzył na nią we wstecznym lusterku.

– Janie, muszę cię przeprosić – powiedział cicho. – Najwyraźniej to nie było właściwe poprzednie wcielenie. Powinienem się wcześniej zorientować. Przeoczyłem rzeczy, których nie powinienem przeoczyć.

– Rzeczy? – Janie próbowała pozbierać myśli.

– Tak, ten młodszy syn, Charlie... jest zbyt mały, żeby Tommy mógł go znać... Sądziłem, że mają starsze dziecko o imieniu Charlie.

Jak można przestać, kiedy chodzi o twojego syna? Ale w pewnym momencie trzeba z tym skończyć.

Najwyższy czas z tym skończyć.

– Skręć w lewo w ulicę Zaprzeczenia. Leczenie. Leczenie.

Samochód wydawał się samowolnie snuć po ulicach. Anderson nadal mówił.

– I użyłem słowa „gady”. Powinienem powiedzieć „jaszczurki”. Popełniłem błąd. To do mnie niepodobne, ale to żadna wymówka. Nie byłem precyzyjny. Nie wychwyciłem różnicy pomiędzy wężami a ja...

– Jerry. Zatrzymaj samochód.

Zjechał na pobocze. Patrzył przed siebie, na jego karku połyskiwały krople potu.

– Tak?

– Na tym kończymy, Jerry.

– Zgadzam się, zdecydowanie, to był niewłaściwy... dom.

Czy ten człowiek był tępy?

– Nie, mam na myśli... Mam dość tych szkół, sklepów i domów. Tego wszystkiego. Proszę, odwieź nas do motelu.

– Właśnie tam jedziemy.

– GPS powiedział w lewo. Skręciłeś w prawo. Trzy razy, prawdę mówiąc.

Zmarszczył brwi.

– Nie.

– A jak sądzisz, dlaczego ona ciągle powtarza „przeliczam”?

– Och. – Kłykcie na jego dłoniach, które trzymał na kierownicy, stały się białe. – Och.

Spojrzał przez przednią szybę, jakby zgubił się na morzu.

Próbowała zachować opanowany głos.

– Jerry. Posłuchaj mnie. Nie ma żadnego poprzedniego wcielenia. Noah wszystko zmyślił.

Anderson wpatrywał się intensywnie przed siebie, jakby odpowiedzi leżały tam, na asfaltowej drodze.

– Co masz na myśli?

Spojrzała na swojego śpiącego chłopca. Osunął się w foteliku, z głową przechyloną na jedno ramię, z jasnymi, trzepoczącymi rzęsami. Dostrzegła, że pas odcisnął ślad, przechodząc przez jego policzek.

– Zmyślił to. Ponieważ ma schizofrenię – powiedziała.

Wypowiedziała to, to słowo, które zabrzmiało tak, jakby straciła panowanie nad wszystkimi funkcjami organizmu jednocześnie.

Otworzyła drzwiczki samochodu i wysiadła na drogę. Pochyliła się do

przodu, trzymając ręce na kolanach, zasłonięta gęstą kurtyną włosów. Zawroty głowy były zbyt silne. Uklękała na skraju drogi. Poczwała pod kolanami, że była twarda i ostateczna, jak rzeczywistość.

– Dobrze się czujesz? – Oślaniał oczy od światła i spojrzał niepewnie na swoje stopy.

Ludzie tacy jak ich dwoje – zdesperowani – byli niebezpieczni, pomyślała nagle. Zobaczyła tę drugą matkę, czarne ślady łez na jej policzkach. Znowu zrobiło jej się niedobrze, tym razem z poczucia winy. A jednak jakaś jej część, jak sobie uświadomiła, odczuwała także ulgę. Te drzwi były już zamknięte. Wróciła znowu do prawdziwego życia, jakkolwiek okropne by ono było.

Anderson przetarł twarz dłonią.

– Masz diagnozę – powiedział w końcu.

Rozejrzała się dookoła, jakby chciała, żeby ktoś temu zaprzeczył – ta trawa, asfalt, samochody przejeżdżające ze świstem w drodze do supermarketu albo centrum handlowego.

– Tak.

Potrząsała głową.

– Kto?

– Niezupełnie diagnozę. Sugestię. Doktora Remsona. Psychiatry dziecięcego z Nowego Jorku. Najlepszego, podobno.

To ostatnie wyrzuciła z siebie, żeby go zranić.

Przyjął to bez żadnej reakcji.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Chyba bałam się, że nie będziesz chciał z nami pracować.

Zamrugął oczami.

– Wiesz, co powiedzieliby moi koledzy, gdybym... – Wziął powoli wdych i z trudem znowu obniżył ton głosu. – Ty... – Usta zadrżały mu trochę, potem znieruchomiały. To był koszt, pomyślała, utrzymania tej spokojnej fasady. – Powinnaś mi była powiedzieć.

Nie obchodzą mnie twoi koledzy, pomyślała. Nie obchodzi mnie to, co się dzieje po śmierci. Obchodzi mnie ten chłopiec w samochodzie. Tylko to mnie w życiu obchodzi.

– Tak. Powinnam była ci powiedzieć – przyznała ze smutkiem. – Kiedy twój syn jest ciężko chory, przestajesz być sobą, nie zachowujesz się zwyczajnie. Przestajesz jasno widzieć. – Otarła wilgotne oczy dłonią. – To było niezależne ode mnie. – Miała na myśli to wszystko razem.

Zdecydowanie potrząsała głową.

– Noah nie ma schizofrenii – powiedział Anderson.

Poczwała, jak zaczęła się w niej tlić nadzieja, i szybko ją zgasła, zanim zdążyłaby zrobić więcej szkód.

– A skąd o tym wiesz?  
– Opinia profesjonalisty.  
Wstała i uśmiechnęła się do niego blado.  
– Przykro mi, ale teraz to dla mnie niewiele znaczy. – Udała, że nie widzi, jak się skrzywił. – A poza tym widziałeś, jak dzisiaj zachował się Noah.  
– To nie było właściwe poprzednie wcielenie. – Anderson spuścił głowę. – To moja wina. To przygnębiające. Ale...  
– To koniec. Ten przypadek jest zakończony, Jerry.  
– Tak. Oczywiście. – Powoli skinął głową. – Oczywiście. Potrzebuję tylko...  
– urwał. Potem zrobił kilka kroków po łące i rozejrzał się dookoła, jakby chciał odnaleźć drogę.  
– Mamo?  
Noah się budził. Przeciągnął się i rzucił w jej stronę rozbrajający uśmiech.  
– Jak się czujesz, kochanie? – Wygładziła mu włosy, roztarła czerwony ślad po pasie na jego twarzy. – Jesteś głodny? Mam w torebce batonik z granoli.  
Uśmiechnął się zaspany.  
– Czy już tam jesteśmy?  
– Jesteśmy już prawie w motelu.  
– Nie, mamusi-mamo – powiedział cierpliwie, jakby była niemądra. – Kiedy dojedziemy na Asheville Road?

*Sujith Jayaratne, chłopiec z przedmieść stolicy Sri Lanki, Kolombo, w wieku ośmiu lat zaczął odczuwać paniczny strach przed ciężarówkami, a nawet przed słowem „lorry”, które w brytyjskim angielskim oznacza ciężarówkę i weszło do języka syngaleskiego. Kiedy zaczął mówić, powiedział, że mieszkał kiedyś w Gorakanie, wiosce znajdującej się około jedenastu kilometrów od jego miejscowości, i że zginął potrącony przez ciężarówkę.*

*Podał liczne fakty dotyczące poprzedniego życia. Dziadek wujeczny chłopca, mnich z pobliskiej świątyni, słyszał niektóre z nich i wspomniał o Sujith młodszemu mnichowi w świątyni. Historia zainteresowała tego mnicha, więc porozmawiał z Sujith, który wówczas miał niewiele ponad dwa i pół roku, o jego wspomnieniach, a następnie zrobił notatki z rozmów, zanim podjął próbę zweryfikowania faktów. Według jego notatek Sujith powiedział, że pochodził z Gorakany, mieszkał w dzielnicy Gorakawatte, jego ojciec Jamis miał uszkodzone prawe oko, uczęszczał do kabał iskole, co oznacza „walącą się szkołę”, miał nauczycielkę o imieniu Francis i dawał pieniądze kobiecie o imieniu Kusuma, która przygotowywała dla niego idiyappam, rodzaj potrawy... Powiedział, że jego dom miał pobielone ściany, wychodek był przy płocie, a kąpał się w zimnej wodzie.*

*Sujith powiedział także swojej matce i babce sporo innych faktów o poprzednim życiu, których nikt nie zapisał aż do momentu, kiedy zidentyfikowano jego poprzednie wcielenie. Powiedział, że miał na imię Sammy, i czasem mówił o sobie „Sammy z Gorakany”... powiedział, że jego żona miała na imię Maggie i mieli córkę Nandanie. Pracował na kolei i kiedyś wszedł na Szczyt Adama<sup>18</sup>, wysoką górę w środkowej części Sri Lanki... powiedział, że w dniu swojej śmierci pokłócił się z Maggie. Ona wyszła z domu, a on poszedł do sklepu. Kiedy przechodził przez ulicę, potrąciła go ciężarówka i zginął.*

*Młody mnich udał się do Gorakamy, żeby odnaleźć rodzinę, w której ktoś zmarł, a jego życie pasowałoby do faktów podanych przez Sujitha. Po trwających jakiś czas poszukiwaniach odkrył, że pięćdziesięcioletni mężczyzna, który nazywał się Sammy Fernando albo „Sammy z Gorakany”, jak na niego czasem mówiono, zmarł po tym, jak został potrącony przez ciężarówkę, sześć miesięcy przed narodzinami Sujitha. Wszystkie fakty podane przez Sujitha okazały się prawdziwe w odniesieniu do Sammy’ego Fernando, z wyjątkiem tego, że zginął na miejscu. Sammy Fernando zmarł godzinę do dwóch po tym, jak został przyjęty do szpitala po wypadku.*

*dr Jim B. Tucker, Życie przed życiem*

## Rozdział osiemnasty

*Denise obudziła się z tym imieniem na ustach. Z tym smakiem w ustach, słonym i cierpkim, jak ziemia i morze jednocześnie. Pozwoliła sobie poleżeć jeszcze dziesięć sekund, czyli o jakieś siedem sekund za długo, a potem wygramoliła się z łóżka. Ubrała się starannie, upewniła się, że zapięła dobrze guziki bluzki i blezera, sprawdziła pończochy, żeby mieć pewność, że nie było w nich oczek, ściągnęła włosy do tyłu, upięła je w kok i przypięła je klamerką, żeby trzymały się na miejscu. Dress code w tym domu był swobodny do granic absurdu (dżinsy i dresy, na miłość boską!), ale ona przez całe życie ubierała się profesjonalnie, nawet w latach młodości, kiedy była nauczycielem akademickim, i z pewnością nie miała zamiaru teraz tego zaprzestać. Poza tym to było ważne dla pacjentów i ich rodzin – wzbudzało szacunek.*

Pościeliła łóżko, poskładała piżamę i włożyła ją do kosza na pranie, i dopiero wtedy pozwoliła sobie na to, żeby pójść do łazienki. Schowana nad umywalką, za aspiryną i tamponami, stała fiolka z pigułkami, które dał jej doktor Ferguson. Wyjęła tabletkę, przecięła ją na cztery części nożem do masła, schowanym na półeczce. Wystarczyła połówka, żeby wprawić ją w swobodny, nieco bez troski nastrój, którego nie lubiła, cała tabletką sprawiała, że miała zamglony umysł przez cały dzień, ale ćwiartka zwykle wystarczała. Połknęła ją na sucho i ostrożnie odłożyła fiolkę, zamknęła szafkę, aż usłyszała kliknięcie.

Tam. Oto ona. Ta znajoma, niewyraźna plama skóry, wilgotne, brązowe oczy i czarne włosy. Zaczęły jej się robić odrosty. Zbyt długo nie była u fryzjera. Żałowała, że nie mogła zrobić tego, co robiła masa czarnoskórych kobiet – ogolić głowę i tak zostawić. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na kobiety z takim uczesaniem, podziwiała tę prostotę, elegancję, brak chaosu. A jednak ona sama nie czułaby się dobrze z takim wyglądem, czułaby się... nieprzygotowana.

Na dole nastawiła kawę i włączyła radio, wbiła kilka jajek na patelnię. Usłyszała, jak Charlie tłukł się na górze, robiąc to, czym zwykle zajmują się piętnastolatki rankiem. Nie mogło mu to zająć dłużej niż chwilę, żeby włożyć T-shirt i dżinsy.

– Charlie! Śniadanie!

Stała oparta o ladę, obserwując jajka na patelni i słuchając wiadomości w radiu. Za oknem kuchennym Denise dostrzegła warstwę szronu na ściernisku świeżo obsianych pól kukurydzy. To była długa zima i nie dawała za wygraną, robiąc dalej swoje zwycięskie okrążenia na półmetku do wiosny. W ich ogrodzie jakiś samotny ptaszek nieustannie próbował napić się na wpół zamrożonej wody z poidelka dla ptaków.

Charlie schodził po schodach, głośno tupiąc. Zawsze ją to zdumiewało, że to ogromne ciało z jego podskakującymi dredami mogło zrodzić się z jej drobnej sylwetki, że on był jej, ta zwałista sylwetka, która szybko pojawiała się i znikwała z jej pola widzenia w ciągu dnia. Rozsiadł się na kuchennym krześle i zaczął wystukiwać rytm na stole za pomocą noża i widelca.

Postawiła przed nim talerz dymiących jajek i usiadła.

– Zrobiłam ci jajka sadzone.

– Dzięki, mamó.

Zerwał się, żeby nalać sobie trochę soku.

– Charlie, usiądź, przyprawiasz mnie o zawrót głowy.

– Dobrze śpisz? Ten pies znowu nie daje ci spać?

Przerwała. Czyżby znowu krzyczała przez sen? Czy właśnie dlatego o to zapytał?

– Dobrze spałam.

– To dobrze.

Usiadł z trzaskiem na swoim miejscu.

Nie, Charlie niczego nie usłyszał. Zrobiła powolny wydech. Oczywiście nie oznacza to, że nie krzyczała.

Siedziała nieruchomo, słuchając dźwięku radia bez skupiania się na słowach. Tabletki zaczynała działać. Pozwoliła sobie zanurzyć się w tonach głosu, w męskim głosie, który przynosił ukojenie zdrowym rozsądkiem i jednostajnością, pokonywał wojny, trzęsienia ziemi i huragany swoim uspokajającym i przewidywalnym rytmem. Świat mógł się skończyć i skończył się, ale nadal można było liczyć na ten głos, który ciągle tam był, żeby opowiedzieć o tym, jak to wszystko utonęło.

– Mamó?

– Hm?

– Pytałem, czy mamy jeszcze jakiś bekon?

Zmusiła się do tego, żeby wstać, i poczuła, że kręci jej się w głowie. Otworzyła drzwiczki lodówki i stała tak przez chwilę, trzymając się ich, patrząc do środka na jasno oświetlone, zimne rzeczy. O tam jest, to błyszczące opakowanie. Wyjęła je.

– Nie mów z pełnymi ustami.

Ruszyła w kierunku kuchni, położyła bekon na patelni. Skwierczał, rozpryskując drobne kropelki oleju na jej porządną brązową spódnicę. Wiedziała o tym w tej samej sekundzie, kiedy poczuła jego zapach, który zaczął unosić się w powietrzu, że nie będzie w stanie zjeść ani kawałeczka. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo nieapetyczny potrafił być bekon.

Wiadomości się skończyły i zaczęli nadawać jakąś muzykę klasyczną. Zawsze ustawiała radio na stację z muzyką klasyczną, kiedy Charlie znajdował się

w pobliżu. Uważała, że słuchanie takiej muzyki dobrze mu zrobi, podobnie jak wieczorem, kiedy był w domu, oglądała programy informacyjne albo przyrodnicze filmy dokumentalne, a tak naprawdę wolałaby obejrzeć jedną z tych telenoweli, pokazujących bogatych, głupich ludzi, którzy źle się zachowywali. Doktor Ferguson sądził, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, mogła trochę poluzować w takich sprawach, ale stało się inaczej.

Zawinęła bekon w papierowy ręcznik i zniosła to coś na talerz Charliego, zrzucając lśniące kawałki na powierzchnię jajek, i z powrotem osunęła się na swoje krzesło.

– Nie jesz, mamó?

– Chwileczkę. Czy ty nie masz dzisiaj sprawdzianu z wiedzy o społeczeństwie? Nie przejrzelśmy...

– Miałem w piątek. Ale chyba dobra jest.

– Charlie Crawford!

– Dobrze sobie poradziłem. Myślę, że dobrze sobie poradziłem.

– Czy tak właśnie mówisz na lekcjach angielskiego? To dlatego dała ci plus dostateczny?

Schylił głowę i zaczął wsuwać bekon.

– Nie.

– Przecież wiesz, że musisz się bardziej postarać, jeśli chcesz się dostać na dobre studia. To samo powiedział doradca do spraw studiów...

– Już sobie z tym poradziłem.

Spojrzał na nią, potem znowu na swój talerz, wyskrobując resztki jedzenia. Kto wiedział, jak było naprawdę? Charlie zawsze był dość dobrym uczniem, ale dzieciaki w jego wieku stawały się nieprzewidywalne, kiedy zaczynały im uderzać do głowy hormony. Syn Marii Clifford, mieszkającej przy tej samej ulicy, który był na liście najlepszych uczniów, wyleciał ze szkoły i zaczął pracować na stacji benzynowej, zanim człowiek zdążył mrugnąć okiem.

– No dalej, mama, zjedz trochę bekonu. Dobry jest.

Rzucił kawałek na stół i obserwował ją, dopóki nie wzięła do ręki.

– Dlaczego dzisiaj rano się na mnie uwziąłeś?

– Bo nie jesz.

– Jem. Widzisz?

Denise wzięła paseczek bekonu i położyła go sobie na języku. Poczowała w ustach smak spalenizny. Przesunęła go do wewnętrznej strony policzka. Wypluje go, kiedy on już pójdzie.

– Posłuchaj. Postaram się dzisiaj wyjść punktualnie i zjemy razem porządny obiad, dobrze?

– Nie mogę. Mam próbę.

– Próbę.



- Tak.
- Nie powinienes studiować, zamiast walić w perkusję w czyjejs piwnicy?
- W garażu.
- Wiesz, co mam na myśli.

Wzruszył ramionami, odsunął się od stołu. Wziął plecak z podłogi. Pies sąsiadów znowu zaczął szczeakać. Było go słycać na całej Asheville Road, pewnie aż do samej autostrady.

– Ktoś powinien to coś zabić, zrobić przysługę światu – powiedział Charlie. Szedł już w kierunku drzwi.

– Ty być miły – odparła.

Wyszczrzył do niej zęby zza dyndającej zasłony dredów.

– Zawsze jestem miły.

I zniknął.

Najpierw wypluła bekon. Potem wyłączyła radio. Jak ona nienawidziła tej muzyki. W domu opieki też ją puszczaali przez cały dzień, zmuszając starych ludzi, żeby zażywali swoją porcję muzyki, podobnie jak leki. Połknij ją, dobrze ci zrobi, nawet jeśli spowoduje tylko tyle, że będziesz się czuć otępiaily w ciągu dnia. Latynosi przynajmniej przynosili swoją muzykę, uderzenia bębna i dźwięczne melodie, do których można było tańczyć, nie żeby sama kiedykolwiek robiła takie rzeczy. A jednak wiedziiała, że zbyt długo ociagała się w pokoju pani Rodriguez, myjąc pulchne, jasnobrązowe kończyny, z muzyką w tle i kwitnącymi roślinami na stole, z córką tej kobiety, która siedziiała tam spokojnie, jak przystało, i rozwiązywała krzyżówki tuż obok łóżka, chociaż pani Rodriguez co najmniej od roku nie rozpoznawała swoich krewnych. Lubiła to mycie. Uodporniła się już na te zapachy, a ciało pani Rodriguez nie było takie kruche jak większość; nie musiała martwić się o każdy odcisk palca, który zostawiał ślad, jak to się działo w przypadku wielu białych pacjentów. Było coś uspokajającego w tym, że można w taki sposób dotykać czyjegoś ciała, bez żadnych żądzy i sporów. Tylko dotyk skóry na skórze. Ciało, myjka i potrzeba. Dlatego się ociagała. To nie było w porządku, wiedziiała o tym, wobec innych pacjentów, którzy nie mieli żadnych krewnych albo roślin, albo muzyki. Dzisiaj zanotowała sobie w pamięci, że ma to zrobić szybciej.

Teraz stała, rozkoszując się ciszą, myjąc naczynia, wyobrażając sobie pokój pani Rodriguez. Kiedy odłożyła naczynia, oparła się o ladę i obserwowaa zegar, usiłując nie myśleć o niczym innym. 7.00, 7.30. Wiedziiała, że to imię nadal tłućko jej się po głowie, ale pigułka tłumiała je na tyle, żeby nie mogła go usłyszeć. Kiedy druga wskazówka w końcu pokazała 7.55, dopiła kawę i wypuściła powietrze z głęboką ulgą.

Tak to się zaczęło. Jej długi, długi dzień.

Dom Spokojnej Starości „Oxford” kiedyś miał ambicje. Nietrudno było to

zauważyć, patrząc na wysokie, sztuczne rośliny, kolumny i obrazki na ścianach przedstawiające górskie widoki – a nawet po samej nazwie, która nie miała nic wspólnego ze znaną instytucją szkolnictwa wyższego. Ktoś pomyślał, że to będzie dobrze brzmiało. Ale gdzieś po drodze coś poszło strasznie nie tak. Podłogi pokryte linoleum były brutalnie zarysowane zadrapaniami od zbyt dużej liczby wózków inwalidzkich, noszy na kółkach i lasek do chodzenia. W holu unosiły się słaby zapach lizolu i papierosów, które palił ochroniarz, i silna woń stęchłej, nieco cuchnącej skóry ludzi bardzo starych i bardzo chorych. Sufit tuż nad szybem windy łuszczył się od zalania wodą, czego nie usuwano tak długo, że plama szerniała jak obdarte ze skóry kolano, w które wdała się gangrena.

Kwestia zadbania, pomyślała Denise. Nikt nie zadbał, więc nic się nie wydarzyło. Zarząd zmieniał się tyle razy, że nikt nie wiedział, kim ani gdzie był obecny właściciel, a pacjenci nie mieli głowy, żeby składać zażalenia. Błędne koło – to miejsce było tak depresyjne, że nikt nie chciał tam przyjeżdżać, a ponieważ nikt nie przyjeżdżał i nie składał skarg, a wielu krewnych tego nie zauważało, chociaż dom znajdował się zaledwie dwadzieścia cztery kilometry od miasteczka, więc robiło coraz bardziej przygnębiające wrażenie. Gdyby znajdowała się w innym punkcie swojego życia, Denise wzięłaby to na siebie, żeby wysprzątać ten dom, żeby zacząć rozmowę z dozorcami, jakich środków czystości używali, jeśli w ogóle, ale teraz nie była zainteresowana braniem na siebie obowiązków, które do niej nie należały.

Wywiązywała się ze swojej roli. Miała nieustannie miły wyraz twarzy i wykonywała swoją pracę najlepiej, jak potrafiła, pomimo nadzwyczajnych kumulacji problemów, które czasem się na nią zwały (nie lubiła przeklinać, ale pewne sytuacje same się o to prosiły). Robiła nadal swoje pomimo sufitu pokrytego grzybem i rosnących niedoborów kadrowych, które powodowały, że pacjenci zostawali bez opieki, czasami przez wiele godzin z rzędu, i tego, że w magazynie najwyraźniej zawsze brakowało dilauidu i morfiny, kiedy były najbardziej potrzebne. Była wdzięczna za tę pracę, wdzięczna za pensję i za to, że była wymagająca, jeśli chodzi o ciało i uwagę, a w tak niewielkim stopniu angażowała jej umysł jako taki. A jednak – ostatnio miała wrażenie, że jej umysł wyłączał się samoistnie, przekraczając nieco jej strefę komfortu. Na przykład pan Castello, który zmarł na raka płuc. Dlaczego zapytała go, czy się boi? Skąd jej się wzięło takie pytanie?

Może przemówił do niej jego spokój. Miał w nosie rurki podłączone do zbiornika z tlenem tuż obok łóżka, nie mógł jeść nic poza kostkami lodu i jajecznicą, spał niespokojnie przez większość dnia, a jednak w jego zaspanych, zielonych oczach, które spoglądały na rozkład własnego ciała, najwyraźniej widać było rozbawienie, a nawet zadowolenie.

– Jak tam się miewam?

Sprawdzała tlen.

– Trzyma się pan mocno.

– Niech to szlag. Miałem nadzieję, że do tej pory będę już martwy.

– Niech pan da spokój.

– Sądzi pani, że kłamię, ale tak nie jest.

– Nie jest pan przerażony?

Powiedziała te słowa bez zastanowienia, zanim w ogóle zorientowała się, co mówi.

– Nie. Jestem ostatnim Mohikaninem, wie pani. Wszyscy już odeszli. – Machnął ręką, jakby jego żona i przyjaciele właśnie opuścili ten pokój.

– Dobrze zatem – bąknęła, dodając: – Mam na myśli to, że pan się nie boi.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem. Był inteligentnym, starszym mężczyzną. Kiedyś był kimś... chemikiem? Inżynierem?

– Dlaczego miałbym się bać?

Uśmiechnęła się.

– Nie pomyślałam o tym, że jest pan wierzący, panie Costello.

– Nie, nie. Nie jestem.

– Ale... Uważa pan, że tam coś jest. Po tym życiu?

– Niezupełnie. Myślę, że to już wszystko.

– Rozumiem. Dobrze. – Czują, jak oblewa ją pot. – I to pana nie martwi? Czy taka myśl nie jest dla pana nieprzyjemna?

– Próbuje mnie pani teraz nawrócić? Czy wręcz przeciwnie?

Nie była pewna, co dokładnie oznaczało to „wręcz przeciwnie”, ale nie spodobało jej się to.

– Przykro mi, że się narzucałam – wyszeptała, skupiając się znowu na zbiorniku z tlenem. Był do połowy pusty.

– Wie pani, co jest naprawdę nieprzyjemne, pani Crawford? Te rurki, które mam w nozdrzach. Cholernie irytujące. Sądzi pani, że mogłaby je dla mnie wyjąć?

– Wie pan, że nie mogę tego zrobić.

Uśmiechnął się do niej prowokująco.

– A właściwie czemu nie? Co za różnica?

– Odrobina wazeliny może pomóc.

– Nie, nie. Proszę się nie kłopotać.

Spojrzał na swoje dłonie. Miał kruchą skórę, pomyślała, niczym rodzaj cienkiego, półprzezroczystego papieru, na którym pisano listy przychodzące zza oceanu. Zastanawiała się, czy nadal go używano, czy ktoś jeszcze w ogóle pisał takie listy. Pewnie ludzie teraz wysyłali do siebie e-maile. Jedyne listy na takim papierze, jakie kiedykolwiek dostała, przychodziły dawno temu od Henry'ego. Tamte cieniutkie, niebieskie koperty, które pokonywały długą drogę z Luksemburga, Manchesteru i Monachium do jej maleńkiego Millerton w stanie

Ohio, do skrzynki pocztowej – stała wtedy na podjeździe i czuła, jak pulsowały żarem w jej dłoniach. Spędzała całe godziny, ślęcząc nad tymi gryzmołami napisanymi przez niego niestarannie niebieskim atramentem na delikatnej kartce, i próbowała odcyfrować słowa, błędząc po rzuconych od niechcenia wersach... „Chciałbym, żebyś tu była i mogła to usłyszeć”. Takie były początki ich znajomości, zanim jeszcze wzięli z Henrym ślub, kiedy ona pracowała jako pomocnik nauczyciela, a on bawił się w klubach w Dayton i podróżował.

Oto, co mi chodzi po głowie, pomyślała. Po co teraz o tym myśleć? Co było z nią nie tak?

– Przez całe życie myślałem, że umierasz i jesteś kaput – kontynuował pan Castello. – Jesteś skończony i kropka. Teraz, jeśli mam być szczerzy, nie jestem tego tak bardzo pewien. Nie wierzę w Boga ani w takie rzeczy. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Chyba po prostu nie doświadczam w związku z tym jakichś nieprzyjemnych uczuć.

– Dobrze to słyszeć – odparła. Nadal była zaabsorbowana pompą tlenową. Jeszcze nie trzeba było jej wymieniać. Może go przetrzyma.

O szesnastej, po tym, jak skończyła opróżnianie kaczek, przewróciła na drugi bok pana Randolpha i zajrzała do pani Rodriguez, tylko dlatego, że lubiła zobaczyć w różnych momentach dnia ten nieprzytomny, lekki półśmiech, zadzwoniła do Henry'ego. Stała w dyżurce pielęgniarek i słyszała, jak telefon dzwonił i dzwonił, i już miała odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszała jego zdławiony głos.

– Halo? Halo?

Nie odezwała się ani słowem. W tle słyszała znajomą muzykę. *Pannonica* Theleniousa Monka. Mocno to w nią uderzyło, nogi się pod nią ugięły. Mogła jeszcze odłożyć słuchawkę...

– Denise? To ty?

– To ja.

Zachichotał.

– Wszędzie rozpoznałbym tę ciszę.

– No cóż – odpowiedziała zdawkowo. I podarowała mu jeszcze więcej ciszy.

– U Charliego wszystko w porządku?

– Tak, wszystko dobrze. – Ileż to miesięcy minęło, odkąd ostatnio ze sobą rozmawiali? Straciła rachubę.

– A jak ty się miewasz?

– Dobrze, Henry. A ty?

– Ach, posłuchaj. W końcu pozbyli się tego dyrektora, który miał wszystkich gdzieś, i teraz mamy nowego, który jest równie uparty – jak osioł. I nawet nie pytaj mnie o budżet. Nie mam już nawet swojej sali ani fortepianu, chodzę od pokoju do pokoju z wózkiem na kółkach, jakbym sprzedawał pączki. I jak tu zrobić cokolwiek, mając do dyspozycji wózek na kółkach?

– Nie wiem. – Nie chciała rozmawiać o uczeniu. Ale i tak stanął jej przed oczyma obraz klasy, poczuła na palcach pył kredy, fakturę ścian pokrytych tapetami. Nie chodzi o to, że nikt nie używał już kredy. W szkole Charliego były same interaktywne tablice.

– Przekonałem ich wszystkich do śpiewania a cappella. I powiem ci, uczniowie drugiej klasy śpiewający a cappella to żenada. „Ten kraj należy do ciebie...” – zaśpiewał, żartobliwie, niezgodnie z intonacją, dźwięki przecięły jej ciszę. Próbuje, pomyślała. Naprawdę próbuje.

– A co porabia Charlie?

– Nadal ma bzika na punkcie tego swojego zespołu. Cały czas mają próby.

– Próby, hm? Dobry jest?

– Nie mam pojęcia. – Zastanowiła się. – Być może.

– Wobec tego niech mu Bóg dopomoże.

– A, czyżbyś teraz stał się religijny?

– Perkusista potrzebuje wszelkiej pomocy.

Oboje się roześmiali, nuta dawnego porozumienia, która sprawiła, że coś zakłuło ją w gardle.

– Wiesz, mógłbyś do niego zadzwonić. Sam posłuchać. Wiem, że on za tobą tęskni. Nie przyzna się do tego, ale tęskni.

– Nie przyzna się do tego, he?

Wyczuła złość, która zaczynała w nim wzbierać.

– Jest zamknięty w sobie. Nastolatek. To wszystko. Bez żadnych podtekstów.

– Doprawdy?

– Henry.

– Powiedz mi tylko jedno. Czy kiedykolwiek wypowiedacie w tym domu moje imię? Czy w ogóle o mnie myślicie? Czy też jest tak, jakbym nawet tam nigdy nie mieszkał? Ponieważ tak właśnie to czuję.

– Oczywiście, że o tobie mówimy, cały czas – skłamała. – Minęło pięć lat, Henry, myślę, że oboje potrzebujemy...

– Pięć lat to nic. Pięć lat to gówno.

Skrzywiła się. Mówił w ten sposób, żeby ją sprowokować. Nie może dać się sprowokować.

– Dobrze. Cóż, w takim razie zamierzam...

– Denise? Wiesz, jaki dzisiaj mamy dzień?

Nic nie odpowiedziała.

– To dlatego do mnie zadzwoniłaś, prawda? Żeby porozmawiać o Tommym? To imię ją dopadło. Przez chwilę nie była w stanie oddychać.

– Nie – wydusiła z siebie.

– Widzę go przez cały czas. Wiesz? W moich snach.

– Posłuchaj, Henry, zaraz odłożę słuchawkę. – Ale nadal tam stała, kurczowo się jej trzymając.

– Stoi na brzegu łóżka, patrzy się na mnie. No wiesz. Tym jego spojrzeniem. Jakby chciał, żeby mu pomóc, ale nigdy o to nie poprosi.

Milczała. Właśnie dlatego im się nie udało – ona podejmowała działania i nie ustawała, jakby tylko takim sposobem mogli odnaleźć Tommy’ego, a on stał nieruchomo, ze spuszczoną głową i wciąż biernie się temu poddawał.

– Nadal myślisz, że Tommy pewnego dnia wróci? Myślisz tak? Denise?

W jego głosie słyhać było niecierpliwość przeszywającą ją na wskroś... głos jak dłoń, która grzebała w jej wnętrzu, skręcając jej wnętrzności jak motek wełny. Nagle uświadomiła sobie, że to imię nigdy nie przestało dźwięczeć jej w głowie od tamtego ranka, kiedy ją obudziło. Przewijało się gdzieś w tle przez cały dzień. Zaraz zrobi jej się niedobrze. Zrobi jej się niedobrze, jeśli nie odłoży słuchawki. Dłonie zaczęły jej się trząść.

– Denise?

Zbierała się w sobie, żeby coś powiedzieć. Ale nie miała nic do powiedzenia. Odłożyła słuchawkę.

Zaraz zwymiotuje.

Nie. Nie zwymiotuje. (Z jednego powodu, nic przez cały dzień nie jadła).

A więc dobrze. Potrzebowała pigułki.

Nie. Nie potrzebowała.

Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu.

A potem do dwudziestu.

Zawsze miała długą drogę do domu, jechała autostradą do zjazdu, a potem się cofała, ale dzisiaj wsiadła do samochodu i nie przyznając się przed samą sobą, co robi, wyjechała na główną drogę i na światłach skręciła w prawo. Przejechała prosto przez miasteczko, mijając ciąg gabinetów lekarskich, tani sklep z rzeczami za dolara, sklep monopolowy, Taco Bell<sup>19</sup>, remizę i zabity deskami dom towarowy, kierując się w stronę pól kukurydzy, gdzie znajdowała się droga dojazdowa do ich domu i w stronę McKinleya.

Szkoła podstawowa McKinleya była niskim, betonowym bunkrem, popękany pionowymi szczelinami. Został zbudowany w latach sześćdziesiątych, kiedy nie wierzono w okna, i miał ten ponury, więzienny wygląd, który czasem spotyka się w kościołach i szkołach z tamtych czasów. Wnętrze było z całkiem innej bajki, korytarze obklejone obrazkami i historyjkami, sale, które aż pulsowały tętniącą życiem witalnością małych dzieci zdobywających edukację.

Unikała tego budynku od lat, niczym twarzy, którą próbowało się wymazać z pamięci, a jednak nadal tam był, zawsze tam był, zaledwie pięć minut od ich domu, i teraz uświadomiła sobie, że w ciągu tego czasu, który spędziła w domu spokojnej starości, jakaś jej część wiedziała, co się działo, w każdej chwili,

w szkole – że o 8.45 dzwonił dzwonek i uczniowie ustawiali się w kolejce do klasy, że o 12.40 jedli lunch, a o 13.10 mieli przerwę w zajęciach. Uczyła tam jedenaście lat i miała rytm tego miejsca w kościach.

Zaparkowała naprzeciw szkoły, dwa lokale od domu państwa Sawyers, gdzie Tommy w niektóre dni wpadał, żeby pograć w gry wideo z Dylanem. Gry wideo u Sawyersów, przypominała sobie teraz, były w większym stopniu pełne przemocy niż te, w które pozwalała mu grać, i powstawały na tym tle nieporozumienia. Spierali się z Henrym o to, czy powinni powiedzieć coś Brendzie Sawyer, albo raczej chodziło o to, że to ona w kółko o tym gadała, o to, że zniesmaczenie grami pełnymi przemocy toczyło w niej walkę z powściągliwością w pouczaniu innych ludzi, jak mają wychowywać swoje dzieci, aż Henry miał już dość całej tej sprawy i przyrzekł jej, że zadzwoni do Brendy i powie jej, że nie ma mowy, żeby jego syn strzelał do kogokolwiek, nawet jeśli to była tylko gra.

Tymczasem w końcu... w końcu nie potrzebowali rozwiązywać tej kwestii. Nie mieli szansy, żeby to zrozumieć albo odkryć, jakimi rodzicami byliby dla Tommy'ego, kiedy miałby dziewięć i pół roku albo jedenaście, albo piętnaście. W tamtych pierwszych tygodniach Sawyersowie razem z innymi ludźmi przyklejali plakaty ze zdjęciem Tommy'ego w całym hrabstwie Greene i dostarczali pączki i kawę oficerom policji ze skrywanym podekscytowaniem. Początkowo była wdzięczna za tę intensywność dobrych intencji, ale w miarę upływu czasu nie mogła się powstrzymać od tego, żeby nie mieć o to pretensji. A Brenda i Dylan należeli do tych nielicznych, którzy wpadli z wizytą miesiąc po tym, jak Tommy zaginął, taszcząc ze sobą jakieś danie w naczyniu żaroodpornym i kwiatki, jakby nie mogli się zdecydować, co przynieść. Obserwowała ich z okna sypialni, matkę i syna, którzy stali obok siebie na progu z wyrazem zdenerwowania na twarzach, dostrzegła, że ich ciała rozluźniły się z ulgi, kiedy zorientowali się, że nikt nie zamierza ich wpuścić. Zostawili naczynie żaroodporne i kwiatki na podeście, a kiedy poszli, wyrzuciła bukiet, wyskrobała to obrzydliwe makaronowe coś, co ugotowała ta kobieta, i też wrzuciła do śmietnika, umyła i wyszorowała szklane naczynie i poprosiła Henry'ego, żeby im je oddał jeszcze tego samego wieczoru, aby mogła raz na zawsze się ich pozbyć.

I oto szary dom Sawyersów z obręczą do koszykówki, taki sam jak zawsze, i McKinley. W sekretariacie paliło się światło. Było zbyt późno jak na zajęcia pozalekcyjne i nie stało tam aż tyle samochodów, które wskazywałyby na jakieś zebranie; pewnie to pracownicy ochrony. Albo doktor Ramos pracował do późna. Jeśli nadal był dyrektorem. Zapewne awansował. Zawsze był ambitnym człowiekiem.

Ktoś zgasił światło. Powinna już iść. Ale siedziała w samochodzie, dopóki rosła sylwetka Roberta Ramosa nie wyszła z budynku, kierując się w stronę auta na parking. Tego samego subaru. Sięgnął do kieszeni, grzebiąc w poszukiwaniu

kluczyków, a potem kierowany jakąś intuicją podniósł wzrok i dostrzegł jej samochód po drugiej stronie ulicy. Spojrzeli na siebie z daleka, wysoka sylwetka w czarnym płaszczu; wysłuchony minivan. Drżała w chłodnym powietrzu wnętrza samochodu, rozcierając ramiona. Może tylko pomacha, wsiądzie do samochodu i sobie pojedzie. Miała nadzieję, że tak właśnie zrobi.

A jednak przyszedł i stukał w szybę. Znieruchomiła na ułamek sekundy, a potem otworzyła drzwi. Wślizgnął się do środka na siedzenie pasażera razem z powiewem powietrza i ciepłem ciała, tak pełen życia z tymi swoimi gładkimi, różowymi policzkami, czarnymi włosami i czerwonym szalikiem, że aż oczy ją bolały od patrzenia na niego. Popęłniła błąd, przyjeżdżając tutaj. Tyle błędów dzisiaj popęłniła. Skupiła uwagę na kierownicy.

– Denise. Jak dobrze cię widzieć.

– Przejeżdżałam tędy w drodze do domu. Pracuję teraz w Domu Spokojnej Starości „Oxford”, wiesz, przy Crescent Avenue.

– Słyszałem o tym.

Potaął dłonie o siebie. Miał na rękach zimowe rękawiczki.

– Jakaś wiosna, co? Trudno uwierzyć, że to kwiecień.

– Tak.

– A jak cię tam traktują w tym domu opieki?

– Och, dobrze, dziękuję. To dobrzy ludzie, w każdym razie większość z nich.

– Miło mi to słyszeć. Strasznie tu zimno, możesz...?

Włączyła stacyjkę. Ogrzewanie ożywiło się i zaczęło brzęczeć.

Siedzieli tak, ogrzewając się.

– Tak jest lepiej, prawda?

Skinęła głową.

– Wiesz, brakuje nam ciebie. Mnie ciebie brakuje. Najlepsza nauczycielka pierwszej klasy, jaką kiedykolwiek mieliśmy.

– Jestem pewna, że to nieprawda.

Położył swoją dłoń w rękawiczce na jej nagiej dłoni i pozwoliła mu na to, zgromadzone ciepło jego ciała powoli torowało sobie drogę przez skórę. Jej dyrektor; współpracowali z powodzeniem przez lata. Sześć lat z niewielkim okładem temu. Minęło błyskawicznie, a jednak zdążyła w międzyczasie przeżyć sto tysięcy wcielenń.

Nigdy nie rozmawiali o tym, co między nimi było, i odczuwała z tego powodu wdzięczność. A jednak było to jedno z nielicznych wspomnień, do których wracała pamięcią, do których była w stanie powracać – pół godziny, sześć lat temu, po walentynkach w szkole. Osiem miesięcy później Tommy został uznany za zaginionego.

W ciągu tamtych miesięcy, na samym początku, sądziła, że może powinna zacząć od nowa w miejscu, w którym przerwała, że byłoby łatwiej żyć dalej tak,



jak żyła, zajmując się Charliem i ucząc w szkole. Oczywiście nadal sprawdzała co wieczór stronę findTommynow.com i rozkładała nowe ulotki w bibliotece, kiedy stare były już podniszczone, podbródek Tommy'ego zasłonięty czyimiś sesjami jogi albo lekcjami pływania dla rodziców i niemowląt. Przestała już wyrzucać do kosza te obraźliwe ulotki, tylko zwyczajnie odsuwała je na bok, umieszczając je w bezpiecznej odległości od słodkiej buzi swojego chłopca, i zabierała się stamtąd.

Doktor Ferguson uważał, że powrót do pracy mógł być dla niej nie najgorszym rozwiązaniem... potrzebowała czegośkolwiek, na czym mogłaby się oprzeć. Posępność nigdy całkowicie nie zniknęła z twarzy innych nauczycieli, kiedy na nią patrzyli... śmiech cichł, kiedy wchodziła do pokoju nauczycielskiego, chociaż właściwie zawsze tak było. Nigdy nie wiedziała, z jakiego powodu. Być może sądzili, że była zbyt porządna na takie kawały, jakie opowiadali, a wtedy nawet z chęcią by ich posłuchała. Rodzice także nie czuli się w jej towarzystwie komfortowo, ale nie przejmowała się tym. Była robotem, a nie kobietą, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć. Dzieciaki trochę obawiały się tej kobiety, której syn zaginął, i wiedziały, że coś było z nią nie w porządku, ale nie umiały tego wyrazić słowami.

Czuła się dobrze. Szczególnie kiedy była jakaś praca do zrobienia. Dlatego właśnie zgłosiła się na ochotnika jako przyzwoitka na dyskotekę walentynkową i dlatego została do późna, sprzątając.

W końcu zostali sami. Doktor Ramos wysłał pozostałych nauczycieli do domu... Tylko ona się sprzeciwiła. Pracowali w ciszy, zwijając serpentyny niczym pajęczyny w cukierkowych kolorach, zmiatając z podłogi okruszki ciasteczek, cekiny i papierowe serduszka.

– Naprawdę powinnaś już iść do domu, Denise – powiedział po dłuższej chwili. – Dokończ to. Na pewno twój mąż na ciebie czeka.

– Nie – odparła. Naprawdę nie chciała wychodzić. Nie miała w domu nic do roboty.

– Słucham?

– Miałam na myśli to, że Henry jest w podróży służbowej, a Charlie nocuje u babci. Może ty byś poszedł, mógłbyś zabrać kwiatki dla swojej żony...

– Cheryl i ja jesteśmy w separacji. – Opadł ciężko na trybuny i szarpnął rękami za włosy. – Nie chciałem o tym mówić.

– Nie wiedziałam. Przykro mi.

– Mnie też. Tak się złożyło. – Oczy nagle mu się zaszkliły. – Niech to wszystko szlag trafi. Nie miałem zamiaru tego mówić. Tak bardzo mi przykro, Denise. Jestem takim dupkiem.

Nigdy wcześniej nie zwracał się do niej po imieniu. Zawsze była panią Crawford.

Usiadła obok niego.

– Dlaczego jest ci przykro?

– Dlatego że siedzę tutaj i użalam się nad sobą, podczas gdy ty...

– Nie kończ. – Szybko mu przerwała. – Nie możecie się dogadać z żoną?

– Ona nie chce. Myślę, że ma... – Od razu skrzywił twarz. – Kogoś. –

Wzruszył ramionami, poczerwieniały mu oczy. Wyciągnął piersiówkę z kieszeni marynarki i pociągnął łyk, potrząsnął głową. – Cholera. Przepra...

– Mogę trochę?

– Co? – Rzucił na nią zdumionym wzrokiem i po raz pierwszy spojrział jej prosto w oczy. – Oczywiście.

Ścisnęła w dłoniach piersiówkę, wypła łyk, potem kolejny. Alkohol palił ją w usta, gładki i szorstki jednocześnie.

– Co to jest?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Bardzo dobra whisky. Lubisz?

– Ja... ciekawy smak.

– Tak.

Siedzieli tam dłuższą chwilę, pijąc, ciepło whisky przenikało jej ciało. W sali było cicho i zbyt jasno, połyskujące sterty cukierkowych serduszek i zdeptanych goździków piętrzyły się tu i tam na błyszczącej drewnianej podłodze. Zwiędły las na wpół sprzątniętych czerwonych serpentyn zwiślał z sufitu. Zbyt znajoma sala uwikłana w dziwność. Wypiła jeszcze jeden łyk i oblizała usta.

– Dobrze.

– Tak.

Obserwowała, jak różowy balon odczepił się od sufitu i powoli opadał na dół.

– Nie wiem, jak ty to robisz – wyszeptał. – Trzymaj tak dalej. Jesteś wspaniałą kobietą.

– Nie. – Nużyły ją takie rozmowy. Tak jakby miała wpływ na to, co była w stanie udźwignąć. Położyła rękę na jego ramieniu. Miała przyjemnie zamglony wzrok.

– Jesteś porządnym mężczyzną, a ona jest głupią kobietą. Każda kobieta byłaby z tobą szczęśliwa.

Miała zamiar powiedzieć jeszcze o paru innych sprawach, ale nie dała rady. Sprawach związanych z tym, że Henry'ego nie było od wielu tygodni, z tym, jakim tonem mówił przez telefon, kiedy dzwoniła do niego na trasie, o dystansie, który słyhać było w jego głosie, jakby niezależnie od tego, gdzie się znajdował, coś odciągało go zbyt mocno, żeby spróbował być z nią w tej rozmowie choćby przez kilka sekund. A ona w domu, z Charliem, wieczór za wieczorem, próbowała być dla niego matką, podając mu kolację, przygotowując kąpiel i książki przed pójściem spać, a wewnątrz czuła straszliwą pustkę. Nie pozwoliła sobie na to, żeby

powiedzieć o tym wszystkim głośno, ale być może Roberto i tak to usłyszał. Odwrócił się do niej z pytającym wyrazem twarzy, a ona go pocałowała, a w każdym razie ich usta przywarły do siebie i poczuła, jak jej fantomowe serce spadło i potoczyło się niczym nici na szpulce, rozwijając się i rozwijając, aż pozostało całkiem bezbronne. Kiedyś Denise nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, nigdy nie leżałaby na twardych metalowych trybunach i nie całowałaby się z mężczyzną z taką siłą, że czuła to każdą komórką swojego ciała. Czuła, jak jej wewnętrzna pustka wypełnia się stęchłym powietrzem sali gimnastycznej, wonią koszykówki, potu, gumowych mat, goździków i smakiem whisky, jak pożądanie rośnie i wypełnia każdą pustą szczelinę, niczym dym.

Nie miała pojęcia, co za instynkt kazał jej się trochę wycofać, umieścić obie dłonie na jego klatce piersiowej z możliwie najdelikatniejszym naciskiem, najłżejszym możliwym pchnięciem, którego ona sama nie chciała ani nie miała zamiaru zrobić, ale które wystarczyło, żeby się odchylił, zawstydził, uciekł z sali, pozostawiając za sobą przeprosiny. Musiała się odezwać w niej matka, nadal żywa, nawet w takiej sytuacji, odciągając ją od zapomnienia, którego tak bardzo potrzebowała. Została w sali gimnastycznej po tym wszystkim jeszcze przez ponad godzinę, zamiatając, pocierając rozpalone usta postrzępionymi, śliskimi płatkami goździka.

Nie mogła sobie więcej na coś takiego pozwolić. Ani na whisky, ani na tego mężczyznę. Kiedy pokusa była tak silna, a Charlie jeszcze tak młody. Nazajutrz zgłosiła w pracy chorobę, następnego dnia to samo, a potem więcej nie pojawiła się w szkole. Nie odpowiadała na telefony i wiadomości od Roberta. Dostarczała papierkową robotę i pracowała w domu. Nikt nie zadawał jej żadnych pytań w tej sprawie. Tak jakby od dawna się tego spodziewali.

– Jeśli kiedykolwiek chciałabyś wrócić – zaproponował teraz Roberto, błądząc palcem po krawędziach schowka, jakby badał sejf, do którego być może zamierzał się włamać – moglibyśmy czegoś poszukać... skorzystać z usług jakiegoś innego jasnowidza.

Potrząsnęła głową.

– Nie mogę wrócić.

Wzruszył ramionami z rezygnacją.

– W porządku.

– Jak się miewasz, Roberto? Wyglądasz na... zmęczonego. Wszystko w porządku z twoim zdrowiem?

– Właściwie dobrze się czuję. Mam... Moja żona urodziła dziecko.

– Dziecko?

– Dwa miesiące temu. – Uśmiechnął się na przekór sobie, czyste, niebieskie światło jego radości jasnym płomieniem przedzierało się przez ciężką atmosferę w samochodzie, tak zaskakujące dla niej, jakby jakiś ptak wyfrunął ze schowka

i latał jej wokół głowy. – Mam na myśli to, że jestem zmęczony... wiesz, jak to jest. Ale to jest... to jest fajne. Naprawdę fajne.

– A więc wróciście do siebie z Cheryl, tak?

– Nie słyszałaś? Ożeniłem się z Aniką. Anika Johnson? Teraz Anika Ramos.

Uczyła...

– Ale ona jest...

– Tak?

Przyglądał się jej.

– Jest śliczna.

– Tak.

Jest taka przeciętna, to właśnie chciała powiedzieć. Nieładna panna Johnson ze swoimi prostymi włosami w mysim, brązowym kolorze, bladą twarzą i wąskimi, małymi ustami zaciśniętymi w linijkę. A ty jesteś... wręcz przeciwnie. Ale umiała trzymać język za zębami. Potrafiła to zrobić.

Panna Johnson była nauczycielką Tommy'ego, wysłała wtedy przewidywalną kompozycję kwiatową z przewidywalną wiadomością... „przykro mi z powodu tego, przez co przechodzisz. Tommy to taki miły chłopiec. Jeśli mogłabym jakoś ci pomóc, bla, bla, bla”. Życie gnało do przodu szybciej, niż była w stanie nadążyć. Nowe dziecko na świecie. Świat toczył się do przodu, i do przodu, jak to możliwe, skoro była... skoro była...

– Dobrze się czujesz, Denise? Czy mogę ci jakoś pomóc? – Spojrzał z niepokojem na jej twarz, jakby szukał w niej śladów bólu, które mógłby zetrzeć jak tusz do rzęs swoimi zimnymi palcami w rękawiczkach.

Odchyliła się od niego, przybierając wyraz twarzy, którego używała świątek, piątek i niedziela, wyraz twarzy, która stała się teraz jej twarzą.

– Dobrze się czuję, dzięki, że pytasz.

Samotne siedzenie w zimnym samochodzie. Wyłączyła ogrzewanie w momencie, kiedy wysiadł, drzwi z ziewnięciem otworzyły się na mroźne i świeże powietrze i zatrzasnęły się z powrotem, szerokie plecy Roberta śpiesznie oddalały się w ciemność. Zobaczyła go, jak zanurzał twarz w miękkiej, ciepłej skórze swojego niemowlęcia z wdzięczności i ze strachu. Teraz nosiła to wszędzie w sobie, ten strach, który wyzwałała w oczach innych rodziców.

Chłód sprawiał, że była skupiona, przygotowana. Miała zamiar to zrobić. Wiedziała, kiedy tam siedziała, że dzisiejszego dnia się temu nie oprze. Miała zamiar zadzwonić.

Odkładała to przez cały dzień, rozmawiając z Henrym, spotykając się z Robertem i robiąc wszystko, czego starała się nie robić, zamiast tej prawdziwej sprawy, tej sprawy, przed której zrobieniem powstrzymywała się każdej godziny każdego dnia, odhaczała dany dzień w kalendarzu, jeśli udało jej się powstrzymać. Całe miesiące i lata czarnych iksów, zanim jej cotygodniowe sesje z doktorem

Fergusonem stały się przeszłością i prawie zapomniana o tym, co tak naprawdę udawała. Ale teraz to wszystko nie miało znaczenia, to była po prostu sprawa, którą trzeba było załatwić, więc wzięła do ręki telefon i wykręciła ten numer, który wrył się niezdarnie w jej serce.

– Mówi porucznik Ludden.

Odebrał telefon w połowie tego, jak coś komuś opowiadał, jakąś historyjkę; miał lekki, żartobliwy głos. Usłyszała głosy w tle... szorstkie, zwyczajne. Niemalże czuła smak palonej kawy na posterunku policji.

– Teraz porucznik.

Oczywiście poznał ją po głosie, chociaż minęło już kilka lat. Nie można dzwonić do kogoś o dwudziestej trzeciej, a potem o ósmej rano, a potem znowu w południe, dzień w dzień od lat, żeby twój głos nie wrył się w czyjąś świadomość. W tym rzecz.

– Taak.

Wyczuła w jego głosie znużenie, kiedy ją usłyszał.

– A więc kiedy to się stało?

– Dostałem awans w zeszłym roku.

– Mówi Denise Crawford.

– Wiem. Witam, pani Crawford. Jak się pani miewa?

– Wie pan, jak się miewam. – To było jej prawdziwe ja, jej prawdziwy głos, ochryply i niezachwiany. Może właśnie dlatego tak trudno było jej się powstrzymać od dzwonięcia do niego.

– Co mogę dla pani zrobić dzisiaj wieczoru?

– Wie pan, co może zrobić.

Zrobił wydech.

– Gdybym miał jakieś wiadomości, zadzwoniłbym do pani, przecież pani o tym wie, pani Crawford.

– Cóż, chciałam tylko sprawdzić. Śledztwo. Jak idzie.

– Jak idzie śledztwo.

– Tak.

Zapadła chwila ciszy.

– Wie pani, że minęło siedem lat. – Miał jękliwy głos, niemalże błagalny. Wykańczała tego mężczyznę. Traktowała to jako swego rodzaju zwycięstwo.

– Sześć lat, dziesięć miesięcy, jednaście dni, dokładnie rzecz biorąc. Czy chce mi pan powiedzieć, że zamknęliście śledztwo? Czy to właśnie chce mi pan powiedzieć?

– O ile mi wiadomo, pani Crawford, ta sprawa nigdy nie zostanie zamknięta, dopóki... dopóki nie znajdziemy pani syna. Ale musi pani... powinna pani wziąć pod uwagę, że codziennie mamy nowe przypadki. W hrabstwie Green ludzie nie przestają umierać, pani Crawford, i oni też mają matki, a te matki też do mnie

wydzwanianą, i muszę się przed nimi tłumaczyć.

– Tommy nie umarł. – Słowa były płaskie, automatyczne.

– Nie powiedziałem, że umarł. – Miał wzburzony, zdesperowany głos. Tak właśnie ze sobą rozmawiali, jedyna autentyczna relacja, którą miała na tym świecie.

Spojrzała przez szybę. Widziała tylko swoje własne odbicie, te oczy, które były jej prawdziwymi oczami, nie tak przenikliwymi jak głos, ale zmęczonymi, zmęczonymi. Usta miała pełne tego smaku, który czuła przez cały dzień, smaku czegoś spalonego.

– Jednak nadal mam oczy szeroko otwarte. Nie zapominam. W porządku? Nie zapominam żadnego z nich, ale szczególnie Tommy’ego. W porządku?

– Może mógłby pan jeszcze raz przejrzeć akta. Może jest tam coś, co pan przeoczył, a z czego dopiero teraz zda pan sobie sprawę, z perspektywy tego całego czasu, który minął. Albo może pojawi się gdzie indziej jakiś drobny szczegół, który będzie mieć związek z...

Zapadła chwila ciszy.

– Mamy coś.

Poczuła, jak puls jej przyspiesza. Och, знаła go. Wyczuła to w jego milczeniu.

– Co to jest?

– Nie. To nic takiego.

– Przecież coś macie.

– Nie.

– Wiem, że coś znaleźliście. Słyszę to w pańskim głosie. Proszę mi powiedzieć, co to jest.

– Jakiś chłopiec zaginął kilka miesięcy temu na Florydzie. Może pani o tym słyszała?

– Przestałam czytać gazety. I co, znaleźli go? Znaleźli tego chłopca? – Głos drżał jej z podniecenia, a w środku skręcało ją z zazdrości. To słowo odbijało się echem w jej uszach: znaleźli, znaleźli.

– Znaleźli ciało.

A potem znowu poczuła się zdruzgotana, z przerażenia. W imieniu samej siebie, w imieniu rodziców tego chłopca, w imieniu wszystkich rodziców na świecie.

– Nie słyszała pani o tym?

– Jak zginął ten chłopiec?

– Został zamordowany.

– Jak?

– Tego nie mogę pani powiedzieć.

– Detektywie, wie pan, że dam sobie z tym radę. Wie pan o tym. A teraz

proszę mi powiedzieć. Jak. Ten chłopiec. Został. Zamordowany. – Ledwo panowała nad głosem.

– Nie, to... to część śledztwa. Sam nie wiem. Nie prowadzę tej sprawy, informują nas o wszystkim na bieżąco, na wypadek gdyby... były jakieś podobieństwa.

– A są jakieś podobieństwa?

Westchnął.

– Chłopiec miał dziewięć lat. Był Afroamerykaninem. Znaleziono rower.

– Rower? Ale... Ale... ale tam był rower. Znaleźliśmy rower Tommy'ego... przy drodze.

– Znam szczegóły tej sprawy, pani Crawford.

– A ten człowiek, który to zrobił... Ten, który zamordował chłopca z Florydy...

– Nie ujęto go, jeszcze nie. Pracują nad tym dzień i noc, zapewniam panią.

– Dzień i noc. Dobrze. – Widziała, jak mija noc za dniem. Wystarczająco prędko, żeby uzbierał się dzień, tydzień, miesiąc, a potem jeszcze godzina tu, kilka minut tam.

– Proszę posłuchać, będziemy informować panią na bieżąco, jeśli czegokolwiek się dowiemy. Jeśli nawet znajdą sprawcę, to jest możliwe, że te sprawy nie mają ze sobą związku. Wie pani o tym, prawda? Jest więcej niż prawdopodobne, że to był ktoś, kto go znał, krewny, przyjaciel rodziny...

– Gdzie znaleziono ciało?

– Pani Crawford.

– Gdzie je znaleziono?

– W rzeczce na tyłach szkoły chłopca.

– Ale... w całym hrabstwie mamy rzeczki. Musimy stworzyć razem zespół...

– Pani Crawford. Sam sprawdziłem każdą piędź ziemi w tym hrabstwie. Wie pani o tym. Zadzwoń do pani osobiście, jeśli pojawią się jakieś szczegóły dotyczące bezpośrednio tej sprawy. Proszę posłuchać, nawet jeśli się nie pojawią, jeśli znajdą tego skurwysyna na Florydzie... Zadzwoń do pani osobiście jeszcze tego samego dnia. W porządku?

– Osobiście – wydusiła z siebie gorzko.

– Tak.

– Dzisiaj są jego urodziny.

– Słucham?

– Urodziny Tommy'ego. Kończy szesnaście lat.

Chwila ciszy.

– Proszę na siebie uważać. Dobrze? Pani Craw...

Ale ona odłożyła słuchawkę.





## Rozdział dziewiętnasty

*W motelu Anderson wyciągnął się na łóżku obolały z przerażenia.*

Popełnił błąd. Nie był w pełni swoich władz umysłowych. Nie przypomniał sobie słowa „jaszczurki” i zamiast niego wpisał „gady”. Boże, nie potrafił już nawet nadać za komunikatami GPS-u. Głos mówił jedno, a jego mózg słyszał drugie.

Był zbyt niecierpliwy. Wiarygodny, dobrze udokumentowany, amerykański przypadek – sądził, że to będzie całkiem inaczej wyglądało. Ta możliwość dodawała mu skrzydeł przez kilka ostatnich tygodni, przysypiał w nocy, śniąc o walidacji, tylko po to, żeby uświadomić sobie... błąd za błędem. A teraz był skończony.

Słyszał płacz chłopca w pokoju obok, matkę, która próbowała go uspokoić. Te krzyki spadły na niego jak igły. Zza cienkiej ściany dosłyszał słowa „Asheville Road”.

– Kiedy pojedziemy na Asheville Road? – zapytał radośnie Noah, kiedy obudził się w samochodzie. – Kiedy pojedziemy?

Nawet w swoim stanie zniechęcenia Anderson poczuł, jak te słowa przeszyły go niczym błyskawica, a ekscytacja chłopca rozpałała jego własne emocje. „Asheville Road!”.

– Jesteśmy teraz w Ashview, kochanie – wyjaśniła Janie.

– Ale to nie jest to Ashview – wytłumaczyło cierpliwie dziecko.

– Być może, skarbie. – Spojrzała znacząco na Andersona, jakby dostrzegła jego nieskrywaną euforię i sprawiło jej to ból. – Ale na tym kończymy.

– Pojedziemy teraz do tego właściwego Ashview?

– Nie sądzę, dziecko. Nie.

Noah odchylił się w swoim foteliku, spoglądając to na jedno, to na drugie z wyrazem niedowierzania na twarzy. Zwrócił się do Andersona.

– Ale przecież powiedziałeś, że pomożesz mi odnaleźć moją mamę.

– Wiem, że powiedziałem. – Kiwnął głową z rezygnacją. Zranił ich oboje, matkę i dziecko. – Przykro mi, Noah.

– Noey – zapytała jego matka – masz ochotę na lody?

Chłopiec zignorował matkę. Jego oczy, które przeszywały Andersona, były pełne rozpaczy, która wydawała się zbyt świadoma jak na dziecko.

– Jestem taki rozczarowany.

I odwrócił głowę, odcinając się od obojga dorosłych, ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać.

Anderson wstał z łóżka. Otworzył minibar, wyjął małą buteleczkę wódki,

odkręcił i przytknął ją do ust na próbę. Nie pił wódki od dziesiątków lat. Zanurzył czubek języka, poczuł mrowienie, zastanowił się i wypił do dna.

Alkohol przyjemnie rozgrzał jego ciało, jak niewidzialna dłoń, która głaskała go w miejscach niedotykanych przez nikogo od wielu lat. Przez jego umysł przeszedł dreszcz w oczekiwaniu na nadchodzącą zagładę. Przetarł twarz dłonią i oderwał ją ubrudzoną czymś w rdzawym kolorze. I co teraz?

Spojrzał w lustro. Strużka ciemnej krwi od nosa do ust, umazane nią policzki. Nie mógł sam sobie spojrzeć w oczy. Przyłożył chusteczki do nozdrzy i ślaniając się na nogach, wrócił do łóżka. Tracił kontrolę. Jego korzenie obluźowały się pod wpływem siły alkoholu, jak u drzewa w czasie wichury, jego myśli gwałtownie zmieniały kierunek, niepowstrzymanie, w kierunku tej jedynej sprawy, której nawet do siebie nie dopuszczał. Kartoteka, którą podarłby na kawałeczki, gdyby nie była dowodem. Jego najgorszy przypadek.

Preeta.

Położył się na łóżku i usiłował odłożyć ją w miejsce, gdzie trzymał ją przez wszystkie te lata, z dala od codziennych myśli. A jednak teraz nie mógł powstrzymać się od tego, żeby nie przywołać jej w pamięci. Pięciolatka, która biegnie przez podwórko ze swoimi braćmi, goniąc za piłką, z błyszczącymi włosami fruującymi w powietrzu. Był taki szczęśliwy, że zajmował się tym uroczym dzieckiem po długim okresie pracy ze strachliwymi, maltretowanymi dziećmi z równin błotnych.

Preeta Kapoor, szczupła i śliczna, z wielkimi, poważnymi oczami.

Sądził, że będzie to jeden z jego najbardziej wiarygodnych przypadków.

Słońce przelewało się przez małe okienka budynku z betonu. Sposób, w jaki matka wstała i zamknęła okiennice, pogrążając pokój w cieniu. Mosiężny stolik pobłyskiwał w półmroku pokoju. Anderson miał spocone ręce. W ustach czuł smak okrągłych, słodkich klusek... smak cukru, róży i mleka.

W kącie drewniana figurka bożka Ganeszy usuwającego przeszkody. Na ścianie telewizor, migotający jakimś bollywoodzkim filmem, którego nikt nie oglądał.

– Preeta przez pierwsze lata niewiele mówiła – wyjaśnił jej ojciec. – Do czwartego roku życia przeważnie milczała.

– Sądziłyśmy, że być może była... – Matka się skrzywiła.

– Upośledzona psychicznie – dokończył ojciec. – Ale kiedy skończyła cztery latka, zaczęła mówić. Oznajmiła: „Muszę wracać do domu”.

– „Muszę wracać do domu i zabrać moją córkę”, tak właśnie powiedziała – dodała matka. – Wyjaśniła: „To nie jest mój dom, mam córkę, muszę pojechać i zabrać córkę”.

– I co jej odpowiedzieliście?

– Powiedzieliśmy jej, że teraz tutaj jest twoje życie, być może pamiętasz

inne życie. Ale ona... nalegała. Używała też nietypowych słów.

– Słów? – Wypił kolejny łyk słodkiej herbaty. – Jakiego rodzaju słów?

– Dziwnych słów – wyjaśniła matka. – Sądziliśmy, że je zmyśliła. Wie pan, takie gaworzenie.

– Rozumiem.

– Dlatego zająłem się nimi, ze względu na tę rodzinę – powiedział ich przyjaciel, prawnik. Wyjął notatki ze swojej aktówki. – Pomyślałem, że to ciekawe, wie pan. Zainteresował mnie ten przypadek.

– I?

Prawniki pogroził Andersonowi palcem.

– Nigdy pan nie zgadnie, czego się dowiedziałem.

Anderson powstrzymał swoją niecierpliwość i uśmiechnął się słabo do prawnika, rubasznego człowieka z pulchnymi policzkami, który trzymał w dłoni stertę cienkich kartek, machając nimi z bardzo dobrze znaną Andersonowi zapamiętałością.

– Tak?

– Te słowa pochodzą z khari boli<sup>20</sup>, dialektu używanego w zachodniej części stanu Uttar Pradesh<sup>21</sup>, który znajduje się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd.

– Jest pan tego pewien?

– Absolutnie tak! – Jego podejście trochę zaniepokoiło Andersona. Nikt nie miał prawa być aż tak pewny siebie.

– I państwo nie znają tego dialektu? – Zwrócił się do rodziców.

Spojrzeli na niego spokojnie.

– Och, nie.

– Jacyś krewni? Może znacie jakichś sąsiadów, którzy pochodzą z tego regionu? Jacyś znajomi?

– Pytałem – wyjaśnił prawnik. – Może pan jeszcze zapytać. Odpowiedź brzmi „nie”. Tutaj nikt nie mówi w tym dialekcie. Wszystko zanotowałem.

Wręczył Andersonowi swoje notatki. Anderson zmiękł. Mimo wszystko nie były takie przypadkowe. Prawniki wszystko udokumentował, wszystkie stwierdzenia dziewczynki, odkąd zaczęła mówić, z datami.

– Chciałbym sam nad tym dalej pracować, ale... niestety mam obowiązki.

Przyglądał się Andersonowi małymi, świecącymi oczami. Kolejny człowiek, który dał się uwieść urokowi faktów.

Anderson spojrzał na kartkę. Wszystkie te słowa w dialekcie khari boli były kompletnym bełkotem dla jej rodziny, a jednak Preeta znała je już jako maleńkie dziecko.

Dziecko rozumiało słowa w języku, którego nigdy się nie uczyło ani nigdy wcześniej nie słyszało – pierwszy przypadek ksenoglozji<sup>22</sup>. Były również inne, ale ten wydawał się najbardziej wiarygodny.

Śliczna Preeta ze swoimi błyszczącymi włosami i pełnymi powagi oczami.

Przyprowadzili dziewczynkę do pokoju, ale nic nie mówiła. Ojciec wypowiadał się, eleganckimi dłońmi rysując w powietrzu słowa, kiedy coś wyjaśniał, a matka podawała kolejną tacę prażonych migdałów, tarty owocowej i okrągłych, różano-cukrowych kluseczek, którym nie mógł się oprzeć...

– Zawsze płacze, wieczorami płacze i płacze. Mówi, że tęskni za córką.

– Martwi się o swoją córkę. Kto się nią zaopiekuje? Mówi, że jej mąż nie jest dobrym człowiekiem. Jej teściowie nie są dobrymi ludźmi. Mówi, że chciała wrócić do domu, do swoich rodziców, ale nie puścili jej. Chce pojechać do domu i zobaczyć się z córką.

Dziewczynka siedziała przy stole i przysłuchiwała się w milczeniu temu wszystkiemu z głową nieco pochyloną, jak skruszona uczennica, i dłońmi przyciśniętymi do kolan.

– Czy podała nazwę wioski w Uttar Pradesh?

– Tak.

Oczywiście, że tam pojadą. Nie mógł się doczekać, najchętniej pojechałby tam jeszcze tego samego popołudnia. Jak się okazało, musieli poczekać do następnego dnia rano. Cała piątka stłoczyła się w ciężarówce wynajętej przez Andersona i ruszyli razem w głąb terenów wiejskich. Zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów w linii prostej, ale to były Indie – podróż zajęła dziewięć godzin.

Teściowie przyjęli ich przy drzwiach. Długo rozmawiał z nimi w progu, schylając głowę w upale, szepcząc w najbardziej przekonujący i pełen szacunku sposób, w jaki potrafił, ale oni stali z kamiennym wyrazem twarzy, wysłuchali go i potrząsnęli głowami.

Nie w tym rzecz, że nie wierzyli... Anderson zapamiętał, że tak wtedy pomyślał. Ach, oni wierzyli, że to może być ich synowa, która powtórnie się narodziła, w porządku. Oni nie chcieli mieć z nią nic wspólnego, ani w tamtym życiu, ani w tym. Nie powiedzieli im nawet, jak nazywali się rodzice kobiety, która była poprzednim wcieleniem dziewczynki, ani nazwy miasteczka, gdzie mieszkała, zanim do nich przybyła. Mała dziewczynka stała w milczeniu. Przywoływała w pamięci obraz tego miejsca, i żadnego innego. Któż to wiedział dlaczego?

– Czy możemy zobaczyć córkę? – zapytał Anderson, kiedy drzwi się zamykały. – Córkę Suchety? Czy jest w domu?

– Nie ma żadnej córki.

Sąsiedzi twierdzili wręcz przeciwnie. Mieszkała tam mała dziewczynka, wiele lat temu. Umarła. Nikt nie wiedział, w jakich okolicznościach.

Preeta ze spokojem wysłuchiwała tych informacji. Podziękowała sąsiadom (rozpoznając dwoje z nich po imieniu) i ruszyła pewnym krokiem ścieżką w kierunku brzegu rzeki, która przepływała przez wioskę, gdzie kobiety prały ubrania. Anderson stał i robił w pośpiechu notatki niebieskim piórem z niebieskim

atramentem, żółta podkładka powiewała na wietrze, kiedy ochrypłym dziecięcym głosem opowiedziała im, jak traktował ją mąż i teściowie. Jak samiusieńka jak palec w tej wiosce, tak daleko od swoich rodziców, w wieku czternastu lat urodziła dziewczynkę, a potem, dwa lata później, znowu zaszła w ciążę i urodziła drugą dziewczynkę. Teściowa była akuszerką.

Drugie dziecko natychmiast jej zabrali.

Martwo urodzone, jak powiedzieli później, ale ona wiedziała lepiej, usłyszała płacz.

Kiedy oskarżyła ich o zamordowanie swojej nowo narodzonej córeczki, pobili ją, kopiąc w twarz i brzuch jeszcze tego samego wieczoru, tuż po porodzie. Kiedy poczuła ból, pomyślała, że może to wszystko jeszcze się nie wydarzyło i dziecko nadal było w jej brzuchu, ale tym razem urodziła czarny, żaloszny kształt, który składał się z krwi i tkanki.

Może i tak by umarła. Może dostałaby krwotoku.

W każdym razie nigdy się tego nie dowiedzieli. Nazajutrz rano rzuciła się do rzeki Yamuna.

Dziewczynka, Preeta, opowiedziała im tę historię. Wylewała się z niej płynnymi zdaniem, wykraczającymi daleko poza możliwości dziecka, którym wtedy była. Stała, z zachrypniętym głosem, na brzegu tej błotnistej rzeki o szybkim nurcie, tymczasem kobiety prały ubrania, uderzając nimi o kamienie tuż przy tafli wody, a strony na jego podkładce wznosiły się i opadały na wietrze jak wachlarz, który się rozkłada, jak klatka piersiowa, która oddycha.

Robił notatki.

W drodze powrotnej do jej wioski jechali samochodem w milczeniu. Nawet dziewczynka nie odzywała się ani słowem.

Obiecał im, że przyjedzie do nich znowu, kiedy następnym razem będzie w Indiach, żeby sprawdzić, co ona jeszcze wtedy będzie pamiętać. Pamiętał, jak ojciec uściskał mu dłoń serdecznym, mocnym uściskiem. Jak dziewczynka próbowała schwytać go za nogi i przestraszyła go, kiedy się żegnał.

Preeta z błyszczącymi włosami i zamyślonym wzrokiem, która machała do niego z przeciwnej strony podwórka...

Mógł jedynie pozwolić, żeby te wspomnienia wypełniły jego umysł niczym zapach jaśminu, niczym zapach czerwonego błota.

Próbował co kilka lat sprawdzać najbardziej wiarygodne przypadki. Ale był zajęty, był w kwiecie wieku, prowadził badania nad przypadkami w Sri Lance, Tajlandii i Libanie, tworzył instytut, pisał artykuły, pisał swoją pierwszą książkę, a potem zabiegał o to, żeby napisano o niej recenzje w szanowanych periodykach. Wszystko to pochłaniało czas i zanim ponownie pojechał do tej części Indii, minęły cztery lata.

Napisał do nich list przed podróżą, ale nie dostał żadnej odpowiedzi, więc

postąpił tak jak zawsze w tego typu sytuacjach – ruszył w podróż po Indiach, żeby się z nimi zobaczyć.

Matka podeszła do drzwi, nieobecna, z nowym dzieckiem na biodrze. Wzdrygnęła się na jego widok.

Wrócili do tamtej wioski bez niego. Wyjaśniła mu to chwilę później, w tym samym pokoju, który zapamiętał, z oknem z okiennicami, z mosiężnym stolikiem błyszczącym w półmroku, z bogato rzeźbioną drewnianą figurką Ganeszy. Tym razem mówiła matka, a ojciec siedział w ciemnościach i słuchał.

Preeta w wieku dziewięciu lat. Pokazała mu zdjęcie. Śliczna jak zawsze, smukła i pełna wdzięku, z melancholijnym uśmiechem. Błagała ich, żeby tam wrócili jeszcze raz zobaczyć tę wioskę, i po jakimś czasie te błagania okazały się silniejsze od tego, co ci ubóstwiający ją rodzice byli w stanie znieść. Ojciec dziewczynki czasami jeździł w tamte okolice w interesach, sprzedawał tkaniny w pobliskim miasteczku, więc zabrał ją ze sobą. Zatrzymali się w małym domku w wiosce, w którym czasami przyjmowano przyjezdnych.

Kiedy ojciec obudził się nazajutrz rano, dziewczynka zniknęła.

Ta sama rzeka, dwukrotnie.

Mieszkańcy wioski opowiadali, że się nie wahała. Szła pewnym krokiem w kierunku rzeki i ześlizgnęła się po zboczu, brudząc sobie czerwonym błotem tył sari, jaskrawy morski kolor powiewał niczym flaga w burej wodzie. Wszystko potoczyło się szybko. Żaden z mieszkańców, którzy szykowali się na poranny targ, nie odezwał się ani słowem. Stali tylko zaszokowani i wpatrywali się w ciemną, ładną główkę z niezmiennym wyrazem twarzy, sterczącą nad powierzchnią rzeki, na zieloną tkaninę, która unosiła się w burej wodzie, a potem zanurzyła się pod własnym ciężarem, tracąc jaskrawe barwy pod natłokiem szarzyzny, kiedy wpłynęła w zakręt.

Nikt za nią nie skoczył. Nie znali jej. Była obcą dziewczynką w małej wiosce. Rzeka należała do niebezpiecznych. Nigdy nie odnaleziono ciała.

Anderson poczuł, że zaczyna się dusić w tym ciemnym pokoiku. Podziękował rodzicom Preety słabym głosem, przepraszająco, za to, że znaleźli czas, żeby mu opowiedzieć swoją historię, i chwiejąc się na nogach, wyszedł na zewnątrz, prosto na monsun. Stał tam, pozwalając, żeby kaskady wody z nieba spadały na jego głowę. W chwili zamieszania pomyślał, że zrobiło to jego dziecko. Jego dziecko, które stracił.

Gdyby do nich nie przyjechał, nigdy nie pojechaliby do tej wioski i dziewczynka o wszystkim by zapomniała.

Należało zrobić wywiad w wiosce i zapisać zeznania mieszkańców na temat tej śmierci. Zrobił wywiad, wszystko zanotował, słowa każdego świadka, jego dłoń pisała zeznania starannymi literami, niebieskim atramentem na żółtym papierze, a jego wewnętrzne oko było nieustannie wymierzone w tę błotnistą rzekę, w tę

wystającą główkę. Nie był w stanie patrzeć bezpośrednio na rzekę. Obawiał się, że mógłby się do niej rzucić.

Tamtego wieczoru poszedł na popijawę, żeby pograżyć się w nicości, ale pytania obsiadały go niczym wrony, które tylko czekały na to, aż otworzy drzwi. Wrony, które leciały mu prosto w twarz.

To była jego wina.

Jego wina, że szczątki tego dziecka leżały teraz gdzieś na dnie tej rzeki. Jego wina, że nigdy nie będzie miała własnych dzieci, własnego życia.

Jego badania były bezużyteczne. Gorzej.

Zawsze wierzył w jasność umysłu, w to, żeby patrzeć tak jasno, jak tylko się da, na wszystko, pomimo pokusy, by odpłynąć w wygodną iluzję i projekcję, i racjonalnie weryfikować wyniki badań. I dlatego teraz nie mógł uciec przed pytaniami, które się pojawiły. Co to oznaczało narodzić się na nowo tylko po to, żeby ulżyć cierpieniu z poprzedniego życia? Jaki to miało sens? Jakie znaczenie?

Po raz pierwszy i nieoczekiwanie dostrzegł pokusę ucieczki, nihilizmu. A jednak nawet wtedy naukowiec w nim trzymał go w ryzach, mówiąc jasno i pewnie pod naciskiem tej kakofonii poczucia winy i rozpacz. Czy skłonności samobójcze mogły przechodzić – jak fobia albo cechy osobowości – z jednego życia do drugiego? Czy istniała rozpacz tak nieutulona i przejmująca, że trwała nadal, przenikając tak skutecznie – jak wady wrodzone albo znamiona – do kolejnego życia, w którym wciąż pozostawała nieskończona?

Nie był człowiekiem modlitwy, ani trochę, ale i tak się pomodlił, stojąc na brzegu rzeki, na którą nie był w stanie spojrzeć, o to, żeby w kolejnym wcieleniu znalazła się daleko od tego miejsca.

Wyrwał się z tej rozpacz tylko dzięki swojej niezłomnej sile życiowej. Raptownie odstawił alkohol podczas długiej podróży powrotnej do Kalkuty, głód szarpał mu nerwy i wprawiał dłonie w drżenie na dowód uzależnienia, z którego tylko niejasno zdawał sobie sprawę.

Kiedy w końcu się ocknął, wstrząśnięty i trzeźwy, dotarło do niego, że istniały takie pytania, których nie był w stanie sobie zadać. Istniały takie więzi, których nie mógł zacieśniać. Był to jedyny sposób, żeby ciągnąć to wszystko dalej. I ciągnął tak dalej, pracując systematycznie.

Aż do teraz.

W hotelowym minibarku było więcej małych buteleczek... Cały rząd. Anderson przekreślił kluczyk, otworzył ponownie drzwiczki i wpatrywał się. Miał wrażenie, że przestał pić zaledwie kilka dni temu, a nie dziesiątki lat temu. Zapomnienie czekało na niego cierpliwie przez wszystkie te lata. Dobrze więc, pomyślał. Sięgnął po kolejną buteleczkę wódki.

Nie.

Pobiegł do łazienki, wypluł, wypłukał usta, myjąc zęby dwukrotnie. Nie

w ten sposób. Nie po takim czasie. Wrzucił kluczyk do ubikacji i spuścił wodę, ale pozostał w muszli, błyszcząc jak skarb na dnie morza.

Poszedł z powrotem do łóżka i przeciągał się, próbując odtworzyć to uczucie ciepła, które wódka wywoływała pod skórą. Czuł w ustach smak alkoholu przebijający się spod pasty do zębów Crest. Po drugiej stronie ściany chłopiec nadal szlochał.

Szlag.

Polubił go. Tego chłopca. Noaha.

Szlag. Szlag. Szlag.

Kiedy Anderson w końcu przysnął, przyśnił mu się Owen. W śnie jego syn był zdrowy. Owen był zdrowy, Sheila szczęśliwa i nie musiał jechać do Tajlandii, niezależnie od tego, co powiedział Angsley. Mógł zostać w Connecticut z rodziną i swoimi szczurami laboratoryjnymi.

Nagle obudził się z poczuciem tak wielkiej straty, że początkowo zaniemówił.

Usiadł na łóżku. W pokoju nadal panowała ciemność. W jego umyśle zapanowała jasność.

Potrafę mu pomóc, pomyślał. Potrafę pomóc temu dziecku. Źle to zrozumiałem, ale nie jest jeszcze za późno, żeby to zmienić. A więc źle zidentyfikowaliśmy poprzednie wcielenie. W porządku. Coś takiego już się zdarzało. Teraz mam informacje, których potrzebowałem. Przekonam jego matkę. Dojdę do tego. Dla Noaha.

Ale przecież się poddał. Prawda?

Wstał i odsłonił żaluzje, spojrzął przez okno na świt, który zaczynał rozlewać się po bezbarwnym parkingu, oświetlając bladym światłem ulicę. Wstawał kolejny dzień, czy się to komuś podobało czy nie. I pomimo wszystkich obaw poczuł apetyt, żeby go zacząć.

Podszedł do komputera i włączył go. Nie mógł się doczekać, aż się załaduje. Otworzył okno wyszukiwarki i wstukał „Tommy Asheville Road”.



## Rozdział dwudziesty

*Janie ugięła się pod siłą niezmordowanej determinacji Noaha. I swojej własnej.*

Jeśli ciśnienie w kabinie spadnie, wyjaśniała stewardesa na filmie instruktażowym, proszę najpierw założyć maskę tlenową, pociągnąć za rurkę, a potem dopiero pomóc innym osobom, z którymi państwo podróżujecie, a które wymagają pomocy. Na filmie pokazano sympatycznego tatę zakładającego sobie na twarz maskę tlenową, a obok niego siedziała cichutko jego pogodna córka oddychająca groźnym powietrzem.

Co za idiota wymyślił taką zasadę? Nie rozumieli ani w ząb ludzkiej natury.

Wyobraziła sobie kabinę wypełniającą się powoli dymem i Noaha, siedzącego obok niej, który dyszał. Czy oni naprawdę sądzili, że mogłaby mocować maskę na swojej twarzy i oddychać czystym powietrzem, podczas gdy jej astmatyczny synek z trudem łapie oddech? Założenie było takie, że ona i jej dziecko stanowili odrębne byty, z oddzielnymi sercami, płucami i świadomością. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że jeśli twojemu dziecku brakuje oddechu, czujesz, jak twój własny oddech zamiera ci w piersiach.

A tymczasem okłamywała własnego syna, a to sprawiło, że wył z rozpacz, zakłócając spokój pozostałym pasażerom samolotu, przeszkadzając im w wysłuchaniu komunikatu, jak zapiąć pasy bezpieczeństwa, i wprawiając w stan otumanienia jej i tak już nadwyrężony zdrowy rozsądek.

Noah chciał pojechać do Asheville Road i właśnie lecieli do Asheville Road, ale nie mógł o tym wiedzieć, jeszcze nie, nie tym razem. Brooklyn przez Dayton – tak właśnie mu powiedziała, wdzięczna za to, że był jeszcze zbyt mały, żeby znać się na mapie. Nie miała zamiaru powtarzać tego samego błędu dwa razy. W zamian popełni inny błąd, jeśli już musi.

– Chcę zobaczyć się z moją mamą! – krzyczał Noah, a pozostali pasażerowie patrzyli na nią, jakby ich też okłamywała.

Samolot był gotowy do odlotu i zaczął kołować, rozpędzając się na pasie startowym. Nigdy nie bała się latania samolotem, ale teraz czuła jakąś obawę przy początkowych drganiach samolotu, który wzbijał się do góry w powietrzu.

Kiedy była w ciąży, czytała opracowania o tym, że jeśli hormon stresu, kortyzol, osiąga wysoki poziom, może przenikać przez łożysko i dostać się do płodu, wpływając na jego rozwój i powodując niską masę urodzeniową dziecka. Przekonywało ją to – nie chodziło tylko o marchewki, które jadła, witaminy, które przyjmowała – to, co czuła ona, czuło i dziecko. Próbowwała zachować jak największy spokój, odrzuciła ciepłą posadkę w dużej korporacji, żeby długie

godziny pracy i silny stres nie wpływały niekorzystnie na rozwój dziecka.

Teraz czuła, jak w jej organizmie poziom kortyzolu gwałtownie skoczył w górę, i zastanawiała się, czy Noah w jakiś sposób to wyczuwał, czy mikroskopijne cząsteczki jej stresu unosiły się w powietrzu, którym chłopiec oddychał, i jeszcze pogarszały sytuację. Jednak nie mogła tego zatrzymać. Świat wydawał jej się bardziej niebezpieczny niż kilka tygodni wcześniej. Świat, który usuwał się spod nóg, świat, w którym dzieci umierają, bo matki zapominają sprawdzić zasuwkę. Jak zapewnić bezpieczeństwo swojemu dziecku w takim świecie?

Od chwili, w której weszła na pokład autokaru firmy Greyhound, aż do momentu, kiedy wsiadła do samolotu razem z Noahem i Jerrym na lotnisku Dullesa, miała uczucie, jakby staczała się w dół po stromym zboczu. Nie mogła się zatrzymać. Jeśli nawet wystawiłaby ręce z dwóch stron, żeby zwolnić ten pęd, podrapałaby je sobie do krwi.

Samolot wzbił się w powietrze. Noah podniósł głos, rozpaczliwie lamentując. A ona została sama ze sobą. Co ona wyprawiała? Jak mogła wrócić do tego pomysłu po tym, gdy dopiero co ponieśli fiasko? Jak mogła ryzykować, że zranią kolejną matkę?

Jak mogła sobie wyobrazić, że Noah nie należał do niej i tylko do niej?

A jednak, jakby w odpowiedzi, nagle przysła jej do głowy taka myśl:

„Twoje dzieci nie należą do ciebie”.

Gdzie się tego nauczyła? Kto to powiedział?

Janie na chwilę oparła głowę o siedzenie przed nią i poklepała po kolanku swojego wrzeszczącego syna.

„Twoje dzieci nie należą do ciebie”.

Teraz sobie przypominała, kiedy słuchała tych krzyków ogarniających ją falą dźwięków i dostrzegła stewardesę, która spod zmarszczonych brwi spoglądała na nią przez całe przejście między rzędami foteli. To była piosenka. Piosenka grupy Sweet Honey in the Rock, którą usłyszała zeszłego lata, kiedy byli z Noahem na darmowym koncercie w Prospect Park.

Był wczesny, lipcowy wieczór, łagodne powietrze i wiał lekki wietrzyk. Rozłożyła koc, na którym usiedli razem z przyjaciółmi i zapasem humusu, pity i marchewek – można by wykarmić nimi małe miasto przedszkolaków. Głosy wokalistek doskonale łączyły się w harmonijny śpiew a cappella („Twoje dzieci nie należą do ciebie... Chociaż przebywają z tobą, nie należą do ciebie”); Janie zdjęła swoje buty i poruszała zmęczonymi palcami u stóp, słuchając opowieści o kłopotach swoich przyjaciółek (prywatne szkoły a publiczne, bezmyślni mężowie). Ona nie mogła sobie pozwolić na szkołę prywatną i nie miała męża, na którego mogłaby ponarzekać, ale była szczęśliwa, bo słowa tej piosenki nie były prawdą i Noah należał do niej, wieczór był piękny i nie przypuszczała, żeby w jej

sercu zostało zbyt wiele miłości dla kogoś innego.

Jak wtedy mogłaby przypuszczać, że znajdzie się tutaj, pędząc szybciej niż oddech w kierunku jakiejś kobiety, która nie spodziewała się ich wizyty?

Zaledwie zeszłego lata, a jednak równie dobrze mogło się to wydarzyć w innym życiu.

– CHCĘ DO MOJEJ MAMY! – krzyknął znowu Noah i usłyszał go cały samolot – jakby właśnie go uprowadzali, jakby zawsze nie należał tylko do niej.

Kiedy samolot bezpiecznie osiągnął wysokość przelotową i Noah w końcu wyczerpał swoją energię, zapadając w niespokojny sen, Janie sięgnęła pod siedzenie naprzeciwko i wyciągnęła kartki, które Anderson wydrukował poprzedniego wieczoru. Wydruki artykułów z gazet „Millerton Journal” i „Dayton Daily News” o Tommym Crawfordzie, który mieszkał przy Asheville Road i miał dziewięć lat, kiedy zaginął. Chodził do szkoły podstawowej McKinleya, w której jego matka była nauczycielką.

Fotografia w artykule z gazety została wykonana w dniu, w którym w szkole robiono zdjęcia. Amerykańska flaga po jednej stronie, w tle tandetna tęcza na nienaturalnie niebieskim niebie. Można było niemalże usłyszeć głos fotografa: Uśmiechnijcie się ładnie, teraz. Szeroki uśmiech. Tak naprawdę to mógłby być każdy chłopiec. Miał jasnobrażową skórę. Był Afroamerykaninem. Nie wiedziała, dlaczego to powinno być dla niej zaskakujące. Uśmiechał się do niej szeroko. Miał ładny uśmiech.

#### WŁADZE ODWOŁUJĄ AKCJĘ POSZUKIWAWCZĄ ZAGINIONEGO CHŁOPCA

*Policja Hrabstwa Green odwołała dzisiaj akcję poszukiwawczą Tommy’ego Crawforda, lat dziewięć, zamieszkałego przy Asheville Road 81, który zniknął z okolicy Oak Hights, gdzie mieszkał, czternastego czerwca. Chociaż istnieją obawy, że dziecko nie żyje, detektyw James Ludden, kierujący akcją poszukiwawczą, oświadczył, że „o ile mi wiadomo, ta sprawa nie będzie zakończona, dopóki nie znajdziemy chłopca, takim czy innym sposobem”.*

*Jak wszyscy zgodnie twierdzą, Crawford, który uczęszczał do szkoły podstawowej McKinleya, jest radosnym i lubianym chłopcem. Jego rodzice opisują go jako wesołe dziecko, które uwielbia baseball i jest bardzo oddane swojemu młodszemu bratu, Charlesowi, lat osiem. „Charlie tęskni za swoim starszym bratem”, powiedzieli w oświadczeniu jego rodzice, Denise i Henry Crawford. „Tęsknimy za naszym ukochanym synem. Jeśli macie w swoich rękach Tommy’ego albo wiecie, gdzie przebywa, prosimy, prosimy zadzwońcie...”.*

Odwróciła wzrok. Na tej kartce było zbyt wiele bólu.

Teraz lecieli w chmurach, w drodze do miejsca, w którym nigdy nie była. Lecią tam wiedziona instynktem, który nawet dla niej pozostawał tajemnicą.

Janie wierzyła w konsekwencję. Napawało ją to dumą. Mawiała: „Żadnych

krakersów przed snem”, a potem się tego trzymała. Była zrównoważona (przeważnie). Była stała (na tyle, na ile się dało). Dzieci tego potrzebują.

Usiłowała zaprowadzić porządek w życiu Noaha w taki sam sposób, w jaki jej matka zaprowadzała porządek w jej własnym życiu, po chaosie życia pod jednym dachem z jej ojcem. Nie pamiętała zbyt wiele z czasów, zanim ojciec je zostawił. Miała wspomnienie – siedziała wysoko na jego ramionach na dorocznych targach stanowych... Ale czy tak rzeczywiście było, czy też wymyśliła to na podstawie zdjęcia, które miała? Kiedyś pojechali oboje w jakiejś sprawie do centrum handlowego i ojciec kupił jej spontanicznie ogromną maskotkę niedźwiedzia polarnego, która nie mieściła się nigdzie poza salonem, a jej matka najpierw protestowała, ale potem roześmiała się i pozwoliła jej trzymać go obok telewizora. Pamięta zapach jego fajki i szkockiej, i ten hałas, kiedy pił i przez całą noc dobijał się do drzwi, a matka nie wpuszczała go do domu. Pamięta matkę trzymającą w dłoni szklankę na wodę, w której było czerwone wino (pierwszy i jedyny raz, kiedy Janie widziała ją pijącą alkohol), i poinformowała ją rzeczowym – jak zwykle – tonem głosu, że poprosiła ojca, żeby się wyprowadził, i pewnie nigdy już nie wróci, i miała rację. Nie wrócił. Janie miała wtedy dziesięć lat. Doskonale pamiętała ten dzień, zaskakujący widok matki, która piła alkohol po południu, sposób, w jaki wino się rozchlapało, kiedy mówiła – Janie była wtedy zdenerwowana, że całe się rozleje.

Po tym wszystkim matka wróciła do pracy jako pielęgniarka i odzyskały regularny rytm dnia. Zaczęła pracować na nocne zmiany, kiedy Janie miała trzynaście lat, ale była w domu, żeby doglądać zadań domowych, i zawsze upewniała się, że w domu jest zdrowy obiad dla Janie, który mogła sobie odgrzać w kuchence mikrofalowej, i czyste, wyprasowane ubranie, które mogła włożyć rano przed wyjściem do szkoły. Kiedy Janie w te noce czuła się odrobinę samotna, uciekała do swojego pokoju, gdzie wszystko było tak, jak lubiła. Otwierała drzwi i widziała oprawione w ramy plakaty z europejskimi zamkami we mgle i z koźmi. Meble pomalowane ręcznie na wesoło, podstawowe kolory; ubrania w szafie poukładane według kolorów; jej zakodowany kolorami świat.

W ślad za tym poszło całe życie tworzenia uporządkowanych przestrzeni i cóż dobrego to przyniosło? Jeśli świat nie jest uporządkowany.

W końcu nawet jej matka była dla niej tajemnicą.

Kiedy przeszukała dom swojej matki tydzień po jej śmierci – w te dni, kiedy była ledwie przytomna, z sercem skamieniałym z rozpacz, chociaż słowa od czasu do czasu przedzierały się pod powierzchnię i przebijały na zewnątrz (słowa w rodzaju „dlaczego” i „sierota”, chociaż z tego, co wiedziała, jej ojciec nadal gdzieś tam żył, i „Bóg”, w którego nigdy nie nauczono ją wierzyć, ale mimo wszystko była na niego wściekła) – znalazła w szufladzie nocnego stolika matki książkę w rodzaju tych, z których jej mama zawsze się wyśmiewała. Miała nawet

tęczę na okładce i newage'owy tytuł: *Możesz zmienić swoje życie*. Przekartkowała ją – znalazła tam rozdziały o medytacji, karmie i reinkarnacji, koncepcje, nad którymi jej matka ateistka, jak się wydawało, nawet przez chwilę się nie zastanawiała... Przewracała oczami i mówiła: „A któż ma czas o tym myśleć? Kiedy odchodzisz, to cię nie ma”. A jednak książka nosiła ślady używania i miała mnóstwo podkreśleń, fragmentów zaznaczonych gwiazdkami i wykrzyknikami. Obok jednego ze zdań: „Wszystko jest projekcją umysłu”, narysowano trzy gwiazdki.

Czyżby jej matka tak bardzo chciała żyć dalej, że straciła zdrowy rozsądek? Czy też u kresu życia odkryła coś, co zmieniło jej sposób postrzegania rzeczywistości? A może ta książka należała do innej osoby, może to nie były jej gwiazdki? Janie tego nie wiedziała i nigdy już nie miała się tego dowiedzieć, więc wymazała to sobie z pamięci, na wieczność... a przynajmniej tak sądziła.

„Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, niż się wydaje naszym filozofom, drogi Horacjo”<sup>23</sup>. Jedna z kwestii, którą uwielbiała powtarzać jej matka. Była praktyczną kobietą, przez cały dzień zajmowała się instrumentami chirurgicznymi, ale zawsze miała słabość do Szekspira. Janie nigdy nie zastanawiała się głębiej nad tym cytatem. Zdanie, które powtarzała jej matka, zazwyczaj z pełnym poirytowania zniecierpliwieniem, w chwilach, kiedy brakowało jej argumentów... na przykład gdy Janie pytała, dlaczego ojciec nigdy do niej nie zadzwonił albo – już w szpitalu – dlaczego odmówiła podjęcia kolejnego eksperymentalnego leczenia.

Ostatnio zastanawiała się nad tym tamtej nocy w Trynidadzie, kiedy został poczęty Noah. Tamtej nocy, kiedy Jeff wyszedł, nie mogła zasnąć, więc sama poszła jeszcze raz na plażę. Zrobiło się późno i jak zawsze była świadoma swojej bezbronności, kobiecej samotności, bezbronności spotęgowanej bliskością seksu, odsłonięcia się. Gwałtowna chwila bliskości z Jeffem była faktem, doświadczyła jej, a teraz zniknęła, niczym zapalona zapalka dogasająca w parnej ciemności. Spojrzała na niebo drwiące sobie z tego obrazu nocnego nieba, do którego była przyzwyczajona – to była kwintesencja nieba, jego głębi ciemności i światła. To piękno, niczym dźwięki muzyki, dotknęło jej samotności, przenosząc ją w inny wymiar, skierowało jej spojrzenie w górę i w dal zamiast do wewnątrz. Miała ochotę wyrzucić z siebie cały wewnętrzny zamęt w ten bezkres, niczym wiadomość w butelce, w nadziei na to, że być może jest tam ktoś (Bóg? Jej matka?), kto ją wysłucha.

– Hallooo! – zawołała, na wpół komicznie. – Jest tam kto?

Wiedziała, że nikt jej nie odpowie.

A jednak stała na brzegu, fale zawracały, żeby odsłonić świecąca blaskiem księżycy nagość piasku pokrytą tu i ówdzie bliznami muszelek i kamieni, a potem napierały do przodu, spuszczając odwieczną kurtynę na tę nieprzyzwoitość. I spłynęło na nią uczucie wewnętrznego spokoju. Poczwała, że ktoś tam jest? Czyżby

to był Bóg? Czy była to jej matka?

„Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, niż się wydaje naszym filozofom, drogi Horacjo”, pomyślała.

To Noah. To Noah był jej odpowiedzią, tym, co tam było. To jej wystarczyło.

A więc tak miało być, myślała, patrząc teraz na bezmiar błękitnego nieba, że Noah miał ją zaprowadzić dokładnie tutaj, do całkowicie abstrakcyjnych pytań, które teraz stały się nieznośnie trafne. Bo albo reinkarnacja była bzdurą, albo nie była. Albo Noah był chory, albo nie był. I nie było sposobu, żeby to sprawdzić, a przynajmniej sposobu, który by znała albo który potrafiłaby sobie wyobrazić.

Na przekór wszystkiemu, co wiedziała albo czego nie wiedziała o życiu, na przekór tysiącom skrupulatnie przeanalizowanych, niewytłumaczalnych przypadków, na przekór momentom paniki i latom zdrowego rozsądku, które było dane jej przeżyć, będzie musiała zrobić ten krok.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

*„Jesteś zbyt poważny jak na plażę”, mówiła. Śmiała się do niego.*

– Przepraszam pana?

To nie była Sheila. To stewardesa pochylała się nad Andersonem, proponując mu wodę i precelki. Otrząsnął się ze snu i wziął małą torebkę, ale podziękował za napój, chociaż był spragniony, obawiał się potrącić śpiące dziecko obok siebie, rozkładając stolik.

Matka chłopca siedziała obok syna i wyglądała przez okno.

Jak ona miała na imię?

Runęło z wodospadem. Zniknęło.

Miał taką samą jasność umysłu jak zawsze. Po prostu to słowo gdzieś mu umknęło. Było tam, tuż przed jego nosem, drwiło sobie z niego, a jednak jego mózg zapierał się kategorycznie, odmawiając sięgnięcia choćby palcem, żeby je dotknąć. Czuł się jak Tantal, spragniony i głodny, bezskutecznie walczący o zimną wodę i winogrona, które zawsze były prawie na wyciągnięcie dłoni.

Tantal, ukarany przez bogów za to, że zdradzał ludziom sekrety ich nieśmiertelności. Tantal pokładał w ludziach wielkie nadzieje i dokąd go to zaprowadziło? Do śmierci, nie inaczej. Został strącony do Tartaru. Jak to możliwe, że przypominał sobie imię i historię Tantala, a nie pamiętał imienia, którego potrzebował? Ach ten mózg – któż to wie, dlaczego pamięta to, co pamięta, albo zapomina to, co zapomina. Oto i on – Jerome Anderson w Tartarze, najgłębszych czeluściach piekła.

Wszystko rozpadało się w zawrotnym tempie. Oczywiście miał imię tej kobiety w teczce – na żółtej podkładce w aktówce, która leżała pod jego nogami. Mógł się teraz schylić i odzyskać je. Akurat tę szczególną pojedynczą informację można było odzyskać. Ale któż to wiedział, kiedy znowu ją straci i co jeszcze straci? W ogóle nie powinno go tutaj być, szczególnie odkąd sprawa nie była prowadzona zgodnie z procedurą. Może powinien to przerwać. Chłopiec w końcu zapomni. Ale Anderson nie wiedział, jak to zrobić. Należał do ludzi, którzy nie przerywają, taki właśnie był, tylko taki potrafił być od chwili, kiedy wrócili do domu z badań nad swoimi pierwszymi przypadkami, które razem z Angsleyem prowadzili w Tajlandii.

Po dwóch miesiącach wszedł do domu podekscytowany.

Sheila czekała na niego na sofie, ze swoimi silnymi nogami podwiniętymi pod siebie. Wyglądała jak zwykle – ta okrągła twarz, doskonała jak zawsze, z kilkoma piegami na nosie, burza blond włosów. On z kolei wyglądał całkiem inaczej.

Wpatrywała się w niego przenikliwym, oceniającym wzrokiem... Nie napisał do niej przez te dwa miesiące, z wyjątkiem telegramu, w którym zawiadomił ją, kiedy wraca do domu... Uderzyła go delikatność tego wszystkiego – stara, czerwona sofa, z której na szwach wystawało wypełnienie, i młoda żona, która próbowała wy badać, czy nadal miała męża, ta namacalność i najczystsza fantazja składające się na życie, kiedy je przeżywasz, żywołowość iluzji. Zanim ją pocałował i zdjął kurtkę, już wyjmował kartoteki z aktówki i rozkładał je na stoliku kawowym.

Fotografie nie były ładne, ale chciał, żeby je zobaczyła. Rozłożył je przed nią, martwi i żywi – deformacje i znamiona, i raporty policyjne na temat ran odniesionych przez osoby, które były poprzednimi wcieleniami. Dziewczynka ze zdeformowanymi palcami jednej dłoni, kobieta, która została zamordowana, kiedy przypaliła ryż. Gdy przedstawił ostatni brutalny i nieprawdopodobny szczegół, spojrzał na Sheilę i wstrzymał oddech, zastanawiając się, co ona powie. Miał poczucie, że całe jego życie, całe jego małżeństwo, jedyna rzecz poza pracą, która kiedykolwiek miała dla niego znaczenie, właśnie ważyło się na szali.

– Na pewno mnie zaskoczyłeś – przyznała.

Wyglądała na zbitą z tropu, zaszokowaną i rozbawioną jednocześnie. Właśnie to najbardziej w niej kochał... ten cień rozbawienia, że tak właśnie układało jej się życie.

– Przez chwilę, kiedy wszedłeś, myślałam, że masz zamiar mi powiedzieć, że znalazłeś jeszcze jedną kobietę.

– Właśnie to chcę zrobić ze swoim życiem. Chcę tam wrócić, jeszcze raz zrobić z nimi wywiad za rok albo dwa lata. Znaleźć więcej przypadków.

– Wiesz, że ludzie będą cię za to krytykować? Że nikt nie będzie cię traktował poważnie?

– Nie zależy mi na tym, co myślą inni ludzie. Zależy mi wyłącznie na tym, co ty myślisz. – Nie była to, jak się okazało, cała prawda.

– Porzucasz bardzo obiecującą karierę.

– Sprawię, żeby to działało, jakoś. Dla nas – dodał, a to słowo zawisło w dziwny sposób między nimi. – A więc co o tym myślisz?

Zrobiła pauzę, a on wstrzymał oddech na tak długo, że poczuł zawroty głowy z braku tlenu.

– Nie wiem, Jerry. Skąd mam wiedzieć? To, co mi opowiadasz... – Potrząsnęła głową. – Jak to możliwe?

– Ale przecież widzisz dane. Pokazałem ci je. Jakże może być inne wytłumaczenie? Sądzisz, że oni kłamią? Ale po co mieliby kłamać? Te rodziny nie dostają w zamian żadnych pieniędzy, nie szukają zainteresowania, uwierz mi... Owszem, możliwe, że te dzieciaki mają jakiś rodzaj wyjątkowej percepcji pozazmysłowej, myślałem o tym, mówią, że są tymi innymi ludźmi. A jeśli to



wykluczysz... Chodzi mi o to, w jaki sposób to inaczej wyjaśnić? A te znamiona, deformacje, to, jak pasują do rodzaju śmierci, nie zawsze idealnie, nie, ale istnieje jakiś związek, widoczny związek, i dopiero co zacząłem... Zbyt dużo tych przypadków, żeby to był zbieg okoliczności. To nie może być zbieg okoliczności...

– Chodzi o Owena, prawda?

Po raz pierwszy zamilkł. Zawsze potrafiła go przejrzeć.

Studiowała uważnie, zmieszana, dokumenty porozkładane na stoliku kawowym. Notatki, fakty, ciała ze znamionami, inne ciała z deformacjami, chociaż nie tak poważnymi, jakie miał Owen.

– Myślisz, że nasz syn urodził się w takim stanie z powodu... czegoś, co wydarzyło się w poprzednim życiu? Czy właśnie tak myślisz?

– Nie możesz przyznać, że to prawdopodobne? Albo przynajmniej możliwe?

Naciskał na nią mocno, ale nie mógł się powstrzymać. Potrzebował tego.

Zmarszczyła brwi w zadumie.

– Zawsze byłeś rozsądnym człowiekiem, Jerry. Ostrożnym człowiekiem. Nie chcę powiedzieć, że to się zmieniło, nawet jeśli... – Potrząsnęła głową. – Wobec tego, skoro twierdzisz, że to możliwe, to przyznam, że to możliwe. Przyznam ci rację.

Uchwycił się jej słów.

– Tylko o to proszę.

– I nie spocznesz, dopóki nie znajdziesz odpowiedzi.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Zdaje się, że to prawda.

Westchnęła, spoglądając na niego z ukosa znużonym, żartobliwym, pełnym wyrzutu wzrokiem. Jakby wiedziała tam i wtedy, że on nigdy nie znajdzie odpowiedzi, że nigdy już nie będą mieli dzieci, że spędzi resztę swoich dni, żyjąc w cieniu jego obsesji, aż nie pozostanie jej nic innego, jak samej ją przyjąć.

I nadal szukał odpowiedzi, nieprawdaż?

Pomimo ograniczonych możliwości umysłowych nadal szedł do przodu. A teraz miał za nic procedury. Ta kobieta... ta, której imię mu gdzieś umknęło... na to nalegała.

Otworzyła drzwi swojego pokoju w motelu natychmiast, gdy usłyszała jego nieśmiałe pukanie. Miała na sobie ubrania, w których chodziła poprzedniego dnia, a w świetle poranka jej twarz wyglądała na śmiertelnie bladą.

– Źle spaliśmy – powiedziała słabym głosem. Wręczył jej kartki, które wydrukował w biurze motelu, pełne informacji, które zebrał... informacji wskazujących na zaginionego chłopca, Tommy'ego Crawforda z Asheville Road. – Chyba sobie ze mnie żartujesz – stwierdziła, kiedy zorientowała się, co właśnie jej dał. Ale wzięła te wydruki i spojrzała na nie, podczas gdy Noah w łóżku obok głośno oddychał przez sen.

– Sądzisz, że to jest poprzednie wcielenie – wydusiła w końcu.

– Tak sądzę.

Brała kartki do ręki i ciągle je odkładała.

– Zdarzają się przypadki, że ludzie odradzają się na nowo w innej rasie albo kulturze. – Anderson mówił niskim głosem. Próbował utrzymać w ryzach swoją gorączkowość. – W Indiach zanotowano liczne przypadki dzieci, które pamiętały, że spędziły poprzednie życie w innej kaście. A niektóre dzieci z Birmy wydają się pamiętać swoje poprzednie wcielenia japońskich żołnierzy poległych tam podczas drugiej wojny światowej.

– A więc jeśli to zrobimy... – Spojrzała na niego baczny, groźnym wzrokiem. – Jeśli pojedziemy do Ohio...

Serce mu podskoczyło. Nie mógł się opanować.

– Tak?

– Pojedźmy teraz. Dziś.

– To nie działa w ten sposób – tłumaczył racjonalnie Anderson. – Najpierw piszemy e-mail do rodziny. Albo piszemy list, jeśli jesteśmy w stanie. Nie pojawiamy się nagle pod ich drzwiami.

Prawdę mówiąc, robił tak w Azji, kiedy rodzina poprzedniego wcielenia nie miała telefonu albo nie dało się z nią skontaktować w żaden inny sposób. Ale rodziny w Azji nie przypominały amerykańskich rodzin i było o wiele większe prawdopodobieństwo, że przynajmniej będą zaintrygowane spotkaniem z nim.

– Dokładnie tak robimy – odparła. – Nie mam zamiaru zbliżać się do kolejnej zrozpaczonej matki, nie mając pewności. Nie po raz kolejny. Jeśli Noah niczego nie rozpozna, robimy w tył zwrot i wracamy do domu, a oni niczego się nie dowiedzą.

Jego spokój zaczął rozwiewać się w powietrzu. Nie mogła mówić tego na poważnie.

– Lepiej najpierw skontaktujmy się z rodziną.

– Ja jadę, z tobą albo bez ciebie. Lecę najbliższym samolotem.

– To nierozważne.

– A niech sobie będzie. Nie zabiorę Noaha do domu, żeby zaczynać to wszystko od początku. Wobec tego chyba teraz albo nigdy. A jeśli to zrobimy...

– Usiadła wyprostowana na łóżku. – Nie możesz o tym pisać. Rozumiesz? Chodzi o mojego syna, a nie o spuściznę po tobie.

Próbował się uśmiechnąć. Był taki zmęczony.

– Pieprzyć moją spuściznę.

Spuścizna po nim... och, wiązał ze sobą wielkie nadzieje, ale nie zaszedł zbyt daleko. Nadal tak wielu rzeczy jeszcze nie wiedział. Dlaczego niektóre dzieci rodziły się z pamięcią o poprzednim życiu, a ich ciała były naznaczone śladami dawnych traum? Czy miało to jakiś związek (musiało mieć) z faktem, że

siedemdziesiąt procent poprzednich wcieleń, które te dzieci pamiętały, zmarło w tragicznych okolicznościach? Jeśli świadomość była nieśmiertelna – a udowodnił, że tak jest – to jaki miała związek z Maxem Planckiem i tym, co odkryli fizycy kwantowi: zdarzenia nie występują, dopóki nie zostaną zaobserwowane, i stąd świadomość ma fundamentalne znaczenie, a materia jako taka wywodzi się ze świadomości. Czy wobec tego ten świat przypominał sen, a kolejne wcielenia, jak kolejne sny, przepływały jedno po drugim? I czy wobec tego było możliwe, że niektórzy spośród nas – jak te dzieci – zostali zbyt gwałtownie wybudzeni z tych snów i gorąco pragnęli do nich powrócić?

Błękitne niebo za oknem rozpościerało się przed nim bez kresu. Tak wiele spraw pragnął zbadać głębiej. Chciał dotrzeć do najgłębszej natury rzeczywistości. Chciał skończyć tę książkę. Ale teraz miał zmacony umysł i chciał tylko pomóc temu jednemu dziecku.

Spojrzał na chłopca, który oparł się o niego i ułożył się na jego ramieniu. Mógł być każdym dzieckiem, które słodko spało. Każdym dzieckiem.

– Lubi cię – zwierzyła się kobieta.

– I ja lubię Tommy’ego. Bardzo.

Wzięła gwałtowny oddech.

– Noah.

– Słucham?

– Ma na imię Noah.

Oczywiście.

– Tak mi przykro. Nie mam pojęcia, jak to się stało. – Jerry. Jerry. Poskładaj to do kupy.

Zbladła.

– Przepraszam. Jestem trochę zmęczony...

– Nic się nie stało – zapewniła go. – Ale odwróciła od niego wzrok i przygryzła usta.

Noah. Tommy. Wszystko sprowadzało się do imion, prawda? Dowód na to, że to była ta osoba, a nie inna. A jeśliby się zgubiły, te imiona – kiedy się zgubią – i pozostanie tylko jedno długie zamglone pasmo ludzkości niczym kłębiące się na niebie chmury... to co wtedy?

Musi się bardziej postarać. Musi się ściśle trzymać tych imion. Noah, Tommy. Zwinął je w ruloniki i wypełnił nimi luki w umyśle w podobny sposób, w jaki ludzie wtykają zwitki papieru ze swoimi prośbami pomiędzy kamienie w Ścianie Płaczu.

Spojrzeli razem na śpiącego chłopca.

– Wiesz, że nie mogę niczego obiecać – wyszeptał Anderson.

– Oczywiście.

Skłamała. Sądziła, że może jej obiecać wszystko.



## Rozdział dwudziesty drugi

*Denise przysiadła na brzegu krzesła i przyglądała się stojącej na małym stoliku doktora misce M&M'sów, która zawsze wydawała się nietknięta. Czy kiedykolwiek ktoś je jadł? Czy były to te same M&M'sy, w które wpatrywała się od siedmiu lat? Ktoś, pomyślała, powinien zrobić eksperyment. Przełożyć wszystkie zielone drażetki na wierzch i sprawdzić, co się stanie. Naruszyć beznamiętność wziętego lekarza.*

– Denise?

– Słucham. – Nie miała ochoty na niego patrzeć, ale doszła do wniosku, że pewnie to zauważy, jeśli na niego nie spojrzy.

Jego wytworna, końska twarz wydawała się jeszcze bardziej pociągła ze zmartwienia.

– Powiedziałem, że każdy czasem przechodzi regresję – wyjaśniał doktor Ferguson. – To się zdarza.

Spojrzała znowu na miskę M&M'sów.

– Nie mnie.

– Jest pani dla siebie zbyt surowa. Wykonała pani niewiarygodną pracę, budując od nowa własne życie. Proszę o tym nie zapominać.

– Własne życie – powtórzyła tonem, jakim mogłaby powiedzieć: „Poproszę dwadzieścia deko salami, cienko pokrojonego” albo „Czas na leki, panie Randolph”. Ale tak naprawdę chciała powiedzieć to, czego każdy mógłby się domyślić, jeśli nie był głupcem – moje życie jest gówniane.

Doktor Ferguson nie był głupcem. Czowała, że ma do niej szacunek.

– Jest pani rozczarowana sobą.

Wrzuciła zielonego M&M'sa do ust. Cukier zamienił się w proszek na jej języku. Nie czuła jego smaku.

– To koniec.

– Co to oznacza?

Równie dobrze mogła powiedzieć mu prawdę. Komuż innemu miała to powiedzieć?

– Kończę z tym. Pracowałam ciężko przez wszystkie te lata, żeby pozbiierać się dla Charliego, i jeden telefon wystarczył, żebym znalazła się znowu w tamtym miejscu i czuła się tak, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. Nie potrafię...

– Wstrzymała oddech. – Nie potrafię tego zrobić.

Czuła, że starannie dobiera słowa.

– Rozumiem, że powrót do tamtych emocji musi być wyjątkowo przygnębiający.

Potrząsnęła głową.

– Nie potrafię.

Założył jedną kościstą nogę na drugą.

– A czy ma pani jakiś wybór?

Jabłko Adama ostentacyjnie wystawało mu z szyi – jak u Ichaboda Crane’a w filmie, który kiedyś oglądała. Zdaje się, że wobec tego jestem bezgłowym jeźdźcem, pomyślała. Niewiele się myliła. Nie miała żadnych myśli ani emocji. Przyglądała się sobie z dużej wysokości, podobnie jak mówi się o dopiero co zmarłych, że patrzą na własne ciała.

– Powiedzmy, że rozważam różne możliwości.

– Chce mi pani powiedzieć, że myśli o samobójstwie?

Zauważyła w nim cień troski. Tak jakby nad jego głową unosił się dymek, który niczego nie oznaczał. Wzruszyła ramionami. Zwyczaj Charliego zawsze ją irytował, ale teraz dostrzegła jego użyteczność.

– Ponieważ – jeśli właśnie to ma pani na myśli, jeśli mówi pani poważnie – muszę podjąć jakieś działania. Wie pani o tym.

Tamten szpital. Poplamione sofy, wyszczerbione podłogi, nieobecne twarze oglądające bezmyślną telewizję. Wzdrygnęła się.

W każdym razie nigdy nie wypisze jej recepty, jeśli podejrzewa ją o skłonności samobójcze. A ona potrzebowała tej recepty. Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedziała.

– Wie pan, że nigdy bym tego nie zrobiła. Nigdy. Nigdy nie dałabym mu tej satysfakcji.

– Mu?

Rzuciła mu miazdzące spojrzenie.

– Temu człowiekowi, który porwał Tommy’ego oczywiście. – W chwili gdy to powiedziała, wiedziała, że mówi prawdę, że nie byłaby w stanie tego zrobić. Niech to diabli. Czuła wewnętrzny spokój. – I oczywiście nie zrobiłabym tego Charliemu.

Oczywiście, że nie mogłaby. Czyżby jakaś jej cząstka chciała jeszcze czegoś od tego życia? Rzucić te kawałki samej siebie na wiatr, żeby sprawdzić, czy gdzieś zapuszczą korzenie?

– A co powiedział detektyw Ludden, kiedy pani do niego zadzwoniła?

– Ma pan na myśli wczoraj wieczorem czy dzisiaj rano?

W porządku, doktorze, teraz zobaczysz, w którym miejscu jesteśmy, zobaczysz czy nie?

Chwila ciszy.

– Jedno i drugie.

– Powiedział, że detektywi na Florydzie pracują ciężko nad tą sprawą. Zawsze tak mówi: „Pracują ciężko, proszę pani”, tak uprzejmie, wie pan. A ja

wiem, że uważa mnie za wariatkę. Wszyscy tak myślą.

– Kim są ci „wszyscy”?

– Wszyscy. Myśli pan, że jestem paranoiczką? Nie jestem paranoiczką. Za każdym razem, kiedy kogoś spotykam, patrzą na mnie w ten sposób, nawet teraz, to subtelne, ale dostrzegam to, jakby byli zaskoczeni, jakby...

– Jakby co?

– Jakby coś było ze mną nie tak i nie powinnam tak sobie chodzić po okolicy, powinnam...

– Tak?

– Nie żyć. Ponieważ Tommy nie żyje.

Po raz pierwszy powiedziała to na głos i natychmiast chciała się z tego wycofać. Słowa wypadały jej z ust niczym kamienie i potoczyły się w różnych kierunkach po podłodze, nieodwracalnie.

Ludzie mieli rację, pomyślała. Po co ma nadal oddychać? Przez wszystkie te lata trzymała to wszystko w ryzach nie tylko dla Charliego, ale także dla Tommy’ego – żeby zastał ją taką jak dawniej, kiedy do niej wróci.

Ale nie mogła już dłużej udawać – Tommy był martwy, a ona... kim była? Ni to wdową, ni to sierotą. Nie istniało słowo, które określałoby to, kim była.

– Rozumiem – powiedział zdawkowo doktor Ferguson. Przesunął po małym stoliku pudełko z chusteczkami w jej stronę.

Spojrzeni na siebie. Uświadomiła sobie, że czekał, aż się rozplacze. Kwadratowe pudełko gapiło się na nią wyczekująco, jego kartonowa skóra była pełna absurdalnych różowych i zielonych bąbelków, jedna chusteczka wystawała nieprzyzwoicie ze szczeliny, wzywając ją do łez, do... – jak to nazywano w książkach? – katharsis. Chciał w końcu zobaczyć, jak się złamie. Niech go diabli wezmą, jeśli miał zamiar ją do tego zmusić. Co ja ci zrobiłam, katharsis? Musisz się pozbierać i żyć dalej swoim życiem, życiem, które było kupą gówna. Wstała.

– Dokąd pani idzie?

– Proszę posłuchać. Ma pan zamiar dać mi tę receptę czy nie?

– To nie jest zalecane...

– Tak czy nie? Bo pójdę gdzie indziej... Wie pan, jeśli pan tego nie zrobi, to wypisze mi ją ktoś inny.

Wahał się, ale dał jej receptę.

– Proszę pojawić się niedługo, dobrze? W przyszłym tygodniu?

Musisz jeszcze się zebrać i wyjść przez te drzwi i stanąć twarzą w twarz z blaskiem popołudniowego słońca, które odbija się od szyb samochodów na parking.

Musisz jeszcze odnaleźć swoje auto, włożyć kluczyk do stacyjki i usłyszeć, jak krzyknie na całe gardło, kiedy się obudzi. Musisz wyjechać nim na drogę razem z wszystkimi innymi żywymi, poruszającymi się obiektami, które zmierzają tu

i tam, jakby to, czy ziemia się obraca, zależało od ich wypraw do pralni albo centrum handlowego. Musisz zjechać z drogi na parking przed apteką sieci CVS, wysiąść z samochodu i stanąć w kolejce do lady razem z tymi wszystkimi ludźmi, szukającymi magicznych mikstur, które kupią im kolejną godzinę albo kolejny dzień, czy tego chcieli czy też nie, i musisz włożyć połowę tabletki do ust, tylko połowę, i połknąć ją, twardą i suchą, czując, jak drapie cię w gardło. A potem, ponieważ w domu nie ma nic do jedzenia, a ty masz u swojego boku istotę ludzką, którą trzeba się opiekować, musisz pójść chodnikiem do Stop&Shop. Musisz stanąć w środku, mrużąc oczy przed tym bardzo jasnym światłem, wszystkie te półki i kolory rzucają się na ciebie, pomidory tak czerwone, że aż bołą oczy, ogniście pomarańczowe opakowania Doritos, jaskrawozielone sześciopaki 7 Up, wszystko świegocze do żywych istot – Zabierzcie mnie! Zabierzcie mnie! Zabierzcie mnie!

Nie możesz stać tam bez końca, jakbyś nigdy nie widziała na oczy supermarketu. Musisz, nawet w takiej chwili, szczególnie w takiej chwili, kiedy twój rozpęd zaczyna słabnąć, nie ustawać. Nappełnić wózek wszystkim tym, czego potrzebuje twoja rodzina. Wkładasz tam martwego, oskórowanego kurczaka i duże opakowanie płatków kukurydzianych, i cztery litry mleka. Wkładasz tam brokuły dla Charliego, jedyne warzywo, które jada, cebulę Vidalia dla Henry’ego, na wypadek gdyby pewnego dnia wstąpił, i opakowanie pomidorków koktajlowych. Wiesz, że Charlie by ich nie zjadł, a sama wolisz stek z wołowiny, ale i tak je bierzesz, prawda, ich gładka czerwona skórka zerka na ciebie przez oczka siatki na zakupy. Bierzesz je, ponieważ Tommy je lubił, lubił je trzymać między zębami i rozpryskiwać je po pokoju, a ty chcesz sobie udowodnić, że jeszcze pamiętasz, co lubił Tommy, nawet jeśli miałoby to wyrwać ci dziurę w sercu.

Potem musisz stanąć w kolejce, ignorując panią Manzinotti gapiącą się na ciebie ze stoiska z nabiałem, więc kartkujesz czasopisma pełne celebrytów, którzy się załamują albo zakochują, albo jedno i drugie. Zauważasz, że pani Manzinotti właśnie zmierza w twoim kierunku, i masz nadzieję, że nadal będzie cię ignorować, podobnie jak robiła to przez pierwsze kilka lat, unikając kontaktu wzrokowego, wzdragając się, kiedy ją mijałaś w sklepie albo w centrum miasteczka. Ale oto ona, pełna categorycznych dobrych myśli, toczy się w twoim kierunku, jakby to wszystko pozostało w tyle, a teraz trzeba żyć dalej, tak jak przedtem, prawda? Nie ma znaczenia, czy jesteś na to gotowa. Musisz osiągnąć gotowość, szybko. Więc rozmawiasz o tym, jak to miło, że w końcu czuć w powietrzu wiosnę (jakbyś to zauważyła), i pytasz o pana Manzinotti, Ethana, i Carol Ann, a kiedy ona pyta „A jak tam Charlie?”, odpowiadasz: „U nas wszystko w porządku, dziękuję”, jakby twoja historia była niczym artykuł w czasopiśmie, który ktoś może przejrzeć i odłożyć na stojak, jakby twój słodki chłopiec nie leżał (nazwijmy to po imieniu) gdzieś w kawałkach przysypany ziemią.



A kiedy płacisz kasjerce, w tym samym momencie przychodzi ci na myśl, że dokładnie w tej minucie, gdzieś na Florydzie jakiś mężczyzna zatrzymuje się na stacji benzynowej. Widzisz jak na dłoni, jak kupuje duże opakowanie Doritos i suszoną wołowinę, i red bulla, a potem zostawia torebkę na ladzie u pracownika stacji, ponieważ idzie do toalety, żeby zrobić siku, zanim pojedzie dalej w trasę. Oczy tego mężczyzny, który tam stoi, te oczy bez cienia skruchy wpatrujące się w lustro w łazience, to były ostatnie oczy, które Tommy widział przed...

Nie.

Nie, ponieważ Tommy żyje.

Żyje na tej ziemi, tu i teraz, w całej swojej indywidualności – miłości do pomidorów, pianek cukrowych, mlecznych cukierków, niewytłumaczalnej nienawiści do truskawek, w tym, jak chwycił ją za rękę, kiedy wieczorem opuszczała miejsce przy jego łóżku, i prosił ją, żeby została jeszcze parę minut (Ach, dlaczego wyswobadzała się z jego uścisku dłoni i całowała go na dobranoc? Dlaczego nie zostawała na te kilka minut, których tak pragnął?), w tym dołku w policzku, który tworzył się, kiedy przybierał na twarzy ten głupkowaty i obłudny uśmiezek po tym, jak coś przeszkrobał, jak wtedy, gdy przebił balon swojego brata w drodze powrotnej z festynu i udawał, że to było niechcący.

Tommy żył na tej ziemi i nikt nie mógł jej wmówić, że było inaczej.

Tommy żył na tej ziemi, i pewnego dnia się spotkają.

Czasem tak się zdarzało. Na przykład ta dziewczynka z Utah. Ta z przyjaznym, pełnym otwartości wyrazem twarzy i żółtymi włosami, która wyglądała, jakby właśnie wyszła z zagrody dla kóz w ramach programu 4-H<sup>24</sup>, a nie jakby wyczołgała się na rękach i kolanach z piekła. Była na okładce tego czasopisma, Denise nadal trzymała egzemplarz w szufladzie nocnego stolika, znała go na pamięć – pewnej nocy dziewczynka zniknęła ze swojej sypialni, pięć lat później znowu znalazła się w domu, a potwór, który to zrobił, poszedł do więzienia na wieczność i o jeden dzień dłużej. Były tam zdjęcia dziewczynki z jej rodziną, siedziała na sofie w objęciach matki, a ojciec trzymał rękę na jej ramieniu w tak naturalny sposób, jak należało. Wróciła do szkoły, tak napisano w tym artykule. Grała na fortepianie. Nieśmiały uśmiech na jej buzi, niebieskie kokardki we włosach. Dziewczynka była nietknięta. Mniej lub bardziej. Mogło się tak zdarzyć. Takie rzeczy się zdarzały. Nie było to ani bardziej, ani mniej prawdopodobne niż dziecko, które pojechało na rowerze do najlepszego przyjaciela, mieszkającego przy tej samej ulicy, i zapadło się pod ziemię.

Ale te myśli, jak strony czasopisma, były niemalże wyświechtane od zbyt częstego używania. Co sprawiło, że wróciła do innej myśli? Co sprawiło znowu, że poczuła, że tego też nie jest już w stanie znieść?

Nie mogę trzymać się kurczowo nadziei i nie mogę się jej nie trzymać, pomyślała.

Wyjechała z parkingu. Kiedy dojechała do skrzyżowania, zamiast skręcić w prawo i pojechać prosto do domu, skręciła w lewo i uświadomiła sobie, że jechała w kierunku Dayton. Jechała przez dłuższy czas obok wiecznie zielonych pól, jeszcze niepewna, dokąd zmierza, aż zobaczyła reklamę nowego marketu Staples za centrum handlowym. Świeciła do niej swoim szerokim jaskrawym uśmiechem, jakby na nią czekała, jakby była jedną z zaginionych owieczek, która odnalazła drogę do domu.

Poczuła dreszcz emocji, kiedy nikt nie zwrócił na nią uwagi, jak weszła do środka. Nadal zajmowali się tym, czym się zajmowali – z tego, co widziała, wielkim niczym. Dziewczyna z postrzępionymi warkoczami wertowała jakieś czasopismo. Biały chłopak w trykotowej czapce na głowie (Dlaczego oni nosili takie rzeczy wewnątrz pomieszczenia? Chyba że byli łysi, ale ten chłopak nie był) wbijał coś na kasę fiskalną. Usłyszała jego nerwowy chichot rozbrzmiewający echem w sklepie. Wędrowała przez jakiś czas wzdłuż długich rzędów półek, na których wisiały narzędzia, każde z nich miało jasno określone przeznaczenie, i chłoneła schłodzone powietrze. W rzędzie numer dziesięć wzięła nowy błyszczący zszywacz i poszła w głąb sklepu, gdzie znajdował się punkt ksero, czując w dłoni jego ciężar.

Ludzie stali tam w kolejce, ściskając w dłoniach dokumenty. Może sprzedawali samochody albo szukali uczniów na lekcje fortepianu. Stanęła w kolejce, kolejna osoba, która miała potrzebę zwielokrotnienia swojego pragnienia w postępie geometrycznym, trzymając w ręku ulotkę, którą wozila w schowku w samochodzie właśnie z tego powodu. Zaczekała na swoją kolejkę, po czym wręczyła ulotkę chłopakowi, który miał jakieś dwadzieścia parę lat, chłopakowi o ciemnobrązowej karnacji skóry i gładkiej, przyjemnej, znudzonej twarzy.

Może Tommy będzie tak kiedyś wyglądał, pomyślała. Może Tommy dostanie pracę w Staples. Nie miałby najgorzej. Pozwoliła sobie na takie myśli. Zdawała sobie z tego sprawę. Tak jakby jej świadomy umysł został tam na parkingu Stop&Shop i pozwalała, żeby teraz ta druga część jej jaźni wzięła górę.

– Dwieście, proszę.

Wziął od niej ulotkę i nawet na nią nie spojrział. Niech cię Bóg błogosławi, pomyślała. Bądź błogosławiony za to, że nie popatrzyłeś. Obsługa sklepu papierniczego w miasteczku już się zdążyła do niej przyzwyczaić. Współczucie w oczach tych ludzi już straciło na aktualności, ale w ciągu tych lat zamieniło się w coś znajomego, automatycznego, jakby Denise była zabłąkanym kundlem, który czasem przyłaził po kawałek chleba albo żeby go pogłaskać.

Ale Denise nie potrzebowała głaskania ani żadnego odgrzewanego współczucia. Potrzebowała swoich dwustu kopii.

– Czy wydrukować to na kolorowym papierze, proszę pani? Czy na białym

papierze?

- Czy twarz będzie rozpoznawalna na kolorowym papierze?
- Oczywiście. Jesteśmy w stanie to zrobić.
- Wobec tego może tym razem na innym kolorze.
- W porządku. A jakie kolory by pani chciała?
- Proszę wybrać.
- Wydrukuję na żółtym, zielonym i czerwonym. Może być?
- Świetnie.

Uśmiechnęła się do niego. Stała za ladą, czując pod palcami twardą, ostrą krawędź. Czowała, jak tabletki szybuje po jej organizmie. Ciężar zszywacza w drugiej dłoni. Henry pozbył się tego drugiego. Kosztował ją dwadzieścia dziewięć dolarów, a on wyrzucił go wtedy prosto do śmieci.

„Musisz dać sobie spokój z ulotkami”, powiedział wtedy.

Te słowa przeleciały przez jej umysł jak gdyby nigdy nic, jak powiew chłodnego powietrza, jakby podsłuchiwała rozmowę jakichś nieznanymi ludzi.

„– Jakim prawem pojawiaasz się tutaj i mówisz mi, co mam robić?

– Charlie mi powiedział. Właśnie takim. Nasz syn. Twierdzi, że dość często nie schodzisz nawet na kolację.

- Chłopak je. Spójrz na niego. Nie wygląda na zagłodzonego.
- Nie o to chodzi. Wykańczasz samą siebie i Charliego także. I jeszcze mnie.
- A co cię to obchodzi?
- Musisz przestać. Proszę.
- Nie mogę. A co, jeśli...
- Wobec tego zadzwoń do lekarza. Poszukaj pomocy.
- A co, jeśli to jednak coś zmieni, Henry? Co, jeśli ktoś zobaczy jedną z tych ulotek i...

– Na miłość boską, Denise...”.

Chłopak wrócił.

– Okazuje się, że ten czerwony jest troszeczkę za ciemny na twarz. Może niebieski? Niebieski jest naprawdę jasny.

– Doskonale.

Zaczekała. Musiała wciąż czekać, jej palce dotykały ostrej krawędzi blatu, twarz Tommy’ego mnożyła się na zielono, niebiesko i żółto. Pozwalała, żeby jej umysł zatrzymywał się dłużej na każdej z tych twarzy, kiedy wyskakiwały z kopiarki, myśląc sobie, że może to będzie właśnie ta. Może to będzie właśnie ta, która wszystko zmieni.

## Rozdział dwudziesty trzeci

*Charlie Crawford wracał powoli na rowerze z domu Harrisona Johnsona, w głowie szumiały mu gitarowe riffy, całe ciało pulsowało dreszczykiem zwycięstwa i pierwszej klasy trawką, którą Harrison zawsze miał pod ręką od kumpla swojego brata, pracownika pizzerii.*

Ta DAM DAM ta DAM DAM DAM DAM. Sposób, w jaki rozciągnął ostatni dźwięk, rozwijając go, a potem przytrzymując tak, żeby rozbrzmiewał echem w garażu, sprawił, że wiedział to od razu – nie schrzanił tego. Zrozumiał to, kiedy Harrison i Carson naprawdę przestali grać i słuchali chociaż ten jeden pieprzony raz, w tych niechętnych kiwnięciach głową w jego stronę, gdy wychodził stamtąd po zakończeniu przesłuchania. Wiedział, że chcieli go puścić kantem dla tego Mike’a z college’u przygotowującego się do studiów, nigdy nie uważali go za wystarczająco dobrego, zawsze był takim chłopcem z sąsiedztwa z perkusją, który jakoś tam umiał złapać rytm. Ale dzisiaj pokazał, co potrafi. Zabił tego skurwiela i zostawił go MARTWEGO na drodze.

Dobrze, dobrze, może i nie była to najlepsza solówka na perkusji, solówka wszech czasów, może i nie był Larsem Ulrichem, ale w jego życiu urosła do rozmiarów jakiegoś kurewsko spektakularnego zwycięstwa, i miał zamiar zabrać to cudo i zawieźć je do domu. Ta CUDO-wna trawka od kumpla brata Harrisona krążyła w nim, sprawiając, że wszystko było w porządku, sprawiając, że wszystko było tak bardzo, bardzo w porządku, że aż zrobił dodatkowe okrążenie wokół domu, minął agresywnego psa sąsiadów, dojechał aż do granicy pól kukurydzy i z powrotem. I nawet szczególnie nie drżał na myśl o tym, że ma zawinąć znowu na podjazd przed swoim domem, na którym, Bogu Niech Będą Dzięk, nie stał samochód jego matki. Czyż mogłoby być lepiej? Mógł zabrać opakowanie lodów, pójść na górę do swojego pokoju i napisać esemesa do Gretchen. Albo... Jeszcze lepiej... Pomyśleć o Gretchen, nie stresując się pisaniem do niej esemesów, leżeć na łóżku wciąż na haju i wyobrażać sobie jej piersi podrygujące w takt jego zabójczej solówki, jej kolana rozchylające się i zamykające w tej dżinsowej minispódniczce, w której przyszła do szkoły przedwczoraj... Albo chwilę... Jeszcze lepiej... Olać Gretchen, zbyt dużo zachodu, i zobaczyć to od razu w internecie, gotowy do startu, start! To dopiero był plan na przyjemne popołudnie.

Zawrócił gwałtownie, poczuł dreszczyk emocji, dredy fruwały mu niczym skrzydła nad uszami i postanowił, że lepiej będzie, jak się pośpieszy, zanim haj osłabnie. Nigdy nie ryzykował przyniesienia trawki do domu... Z jednego powodu – mama ciągle trąła mu tyłek o to gówno i z tego, co wiedział, wysłałaby go do akademii wojskowej, gdyby znalazła choćby maryskę w jego kieszeni, a kiedy

człowiek bywał tak często na haju, to naprawdę było trudne mieć kontrolę nad sytuacją, przez cały czas trzymać rękę na pulsie, pilnując każdego źdźbła. Jednak, jak dotąd, obwąchała go zaledwie kilka razy, kiedy wracał do domu, jakby był jakimś zepsutym kawałkiem mięsa, które leżało w lodówce. Pewnie nie wiedziała, jaki zapach mają takie rzeczy, myślała sobie, że to jego cuchnący pot. Na szczęście nikt nie węszył w jego szkolnej szafce. Mógłby tam nawet urządzić aptekę i nadal nikt by się nie zorientował.

Porzucił rower na podwórku i pobiegł do drzwi. Ale wokół domu chodzili jacyś ludzie, rozglądali się. Biali ludzie. Mężczyzna i kobieta, i jeszcze mały dzieciak. Aaha. Może jacyś świadkowie Jehowy, chociaż większość świadków Jehowy, których spotykało się w okolicy, była czarnoskóra. Nawet nie miał pojęcia, że istnieli też biali świadkowie Jehowy. Czy mormoni posunęliby się tak daleko? Trzeba im to przyznać, że przyprowadzenie ze sobą dziecka to niezłe posunięcie. Dziecku ciężko zamknąć drzwi przed nosem.

Tym bardziej zabawnemu, małemu dziecku. Podskakiwał, jakby naśladował kangura, krzycząc: „To tutaj, to tutaj, to tutaj!”. Poklepywał aluminiowy siding, jak gdyby cały dom był dużym, czerwonym psem.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Charlie. Przywołał na twarz swój najlepszy uśmiech dobrze-wychowanego-młodego-człowieka, który natychmiast przebił się zza narkotycznego zamroczenia. Prawdę mówiąc, była to jego specjalność. Równie dobrze mógłby siedzieć teraz w gabinecie samej dyrektor Ranzetty i niczego by się nie domyśliła. I faktycznie tak kiedyś zrobił.

Cała trójka gapiała się na niego z rozdziawionymi ustami.

W końcu odezwała się kobieta.

– Czy zastaliśmy pana albo panią Crawford?

O rany, z pewnością odrobili swoje zadanie, te ewangeliczne typy.

– Mamy teraz nie ma. Może wróćcie innym razem? – Spojrzał na nich z nadzieją.

Kobieta i starszy mężczyzna wymienili spojrzenia. Wyglądali tak, jakby nie zgadzali się ze sobą bez słów. Jakby kobieta miała jakiś plan, a starszy mężczyzna chciał stąd iść.

Czy oni byli ze szkoły? Nie rozpoznał ich, ale ten starszy człowiek roztaczał wokół siebie aurę szkolno-kuratorską, a kobieta mogła być administratorką, a może nawet gliną, bo wyglądała na podminowaną. Może znaleźli trawkę w jego szkolnej szafce i ma zamiar go zamknąć albo wyrzucić, albo wysłać na odwyk, jak tego frajera od wiedzy o społeczeństwie, którego przyłapano z butelką miętowego sznapsa na biurku. Chodzi o sznapsa? Za to zostałeś zapuszkowany? Na twoim biurku? Sznapsa?

Ale po co przyprowadzili ze sobą dziecko, jeśli mieli zamiar go zapuszkować? Nie mógł zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Ten dzieciak

też go przerażał. Gapił się na niego dziwacznymi, błyszczącymi oczami.

– Tak. A do czego potrzebujecie mojej mamy? – Charlie zrzucił maskę dobrze wychowanego młodzieńca i stał, zerkając na nich spod przymrużonych oczu.

– Obawiam się, że to sprawa między nami – wyjaśniła kobieta. Wyglądała na spiętą.

Ahaa.

Przyszło mu coś do głowy. W mózgu zaświtała mu nadzieja, więc wypowiedział to na głos.

– Czy państwo jesteście z telewizji?

– Słucham?

– Wie pani, z jakiegoś programu typu *America's Most Wanted*<sup>25</sup> albo czegoś w tym rodzaju?

– Nie, nie jesteśmy z telewizji. Przykro mi.

– Ach.

Jego mama zawsze mówiła o tym, że chciałyby wziąć udział w takim programie, zabrać tam głos. Jednak, o ile mu było wiadomo, nie zajmowano się tam zaginionymi czarnoskórymi dziećmi. Tylko ładnymi, białymi dziewczynkami.

Wobec tego kim oni byli? Utkwił w nich długie, ośmielone trawką spojrzenie i przyglądał się, jak skrępowani przestępowali z nogi na nogę. Dobrze, pomyślał. Idźcie stąd, dziwni biali ludzie.

Chwila ciszy. Nikt nie odzywał się ani słowem z wyjątkiem tego małego dzieciaka, który nadal podskakiwał na paluszkach i szeptał do siebie: „To tutaj, to tutaj”.

Idźcie sobie, idźcie sobie, idźcie sobie, dziwni biali ludzie, powtarzał w myślach.

– Przyjdziemy później – postanowił starszy mężczyzna.

Alleluja. Pan, proszę pana, jesteś prawdziwym świrem. (Może jeszcze nie było za późno na porno, mimo wszystko?).

– Nie! – Chłopiec miał piskliwy, dziecięcy głosik, jakby się nałykał helu.  
– Chcę zostać!

– Wrócimy niedługo, kochanie. Dobrze? – Kobieta zmierzwiła mu włosy. Już nie wyglądała na glinę.

– NIE! – Ten dzieciak zaczynał mu grać na nerwach.

– Wrócimy. Noah. Wszystko w porządku.

Dziecko zaczęło płakać. Mężczyzna przykucnął obok niego i zapytał go o coś niskim głosem, czego Charlie nie był w stanie dosłyszeć. Chłopiec kiwnął głową. Potem wskazał prosto na niego.

– Na pewno. To jest Charlie – stwierdził.

Starszy człowiek i kobieta spojrzeli na Charliego. Oblął go pot, jakby zrobił

coś złego.

– Nic nie zrobiłem temu dzieciakowi – zaczął się tłumaczyć. – Nawet go nie znam.

Patrzył błagalnie w ich utkwione w nim oczy. Doszedł do wniosku, że ta trawka wcale nie była taka fajna. Wpędzała go w paranoję.

– Czy tak właśnie masz na imię? Charlie? – zapytał starszy mężczyzna.

– Tak.

Stali tam, cała czwórka przestępująca z nogi na nogę na niewielkim betonowym progu, mały blondynek nadal płakał, napędzając mu stracha.

W końcu przyszło mu na myśl, że może mama zna tych ludzi. Przecież wiedzieli, jak miał na imię. Zabije go, jak się dowie, że kazał im czekać na podeście.

– Może wejdziecie do środka?

– Byłoby miło, dziękujemy – powiedział starszy facet. – Jesteśmy w podróży od wielu godzin.

Co robi się z dziadkiem, kobietą i pociągającym nosem małym dzieckiem, którzy stoją w twoim salonie? Starszy mężczyzna przysiadł wyczekująco na brzegu sofy i na żółtej podkładce zaczął robić notatki drobnym pismem z zawijasami.

– To tutaj – powtórzyło znowu dziecko. W jego głosie słyhać było autentyczne podekscytowanie. Zaczęło biegać po pokoju, kobieta (był prawie pewien, że była mamą tego chłopca) ruszyła za nim.

Wiedział, że coś powinien zrobić. Koncepcja z wolna rodziła się w jego głowie, drgające gęste powietrze po drugiej stronie pokoju pomału nabierało kształtu i stawało się ruchliwe, powiewając do jego mózgu jak opiekuńczy duch. Jedzenie. Kiedy w domu są ludzie, proponuje im się coś do jedzenia.

– Może coś byście zjedli? Jakąś przekąskę czy coś?

– Z chęcią – odparł starszy mężczyzna. Wyglądał na naprawdę wdzięcznego, jakby nic nie jadł przez cały dzień.

Kiedy Charlie wrócił z kuchni (z pustymi rękoma, z wyjątkiem kilku szklanek wody z kranu... w lodówce nie było niczego poza starym sosem do makaronu i lodami w zamrażarce, które zatrzymał dla siebie), dzieciak stał przed kominkiem, wskazując na obraz przedstawiający farmę, który namalował jego dziadek Joe, kiedy jeszcze żył.

– Wisiał na górze – przypomniał sobie dzieciak. – Na strychu.

– Tak, przewiesiliśmy go na dół, kiedy tata odszedł... – wyjaśnił, po czym zamilkł. – Co ty powiedziałaś?

– Taty tutaj nie ma?

– Mój tata mieszka teraz w Yellow Springs.

– Dlaczego się tam przeprowadził?

– Hm, on i moja mama przestali się ze sobą dogadywać, więc...

Dzieciak patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Ludzie, co za dziwne dziecko.

– Moi rodzice... są w separacji.

– W separacji?

Twarz dziecka poruszała się, jakby to chłonał.

– Wiesz, co to znaczy „w separacji”, kochanie? – zapytała kobieta. – Kiedy matka i ojciec postanawiają zamieszkać w różnych miejscach...

Dzieciak ruszył teraz w stronę fortepianu, usiadł na ławce i podniósł klapę instrumentu.

– Gdzie się podziała muzyka?

– Nie gramy.

– Przecież graliśmy.

Charlie czuł, że zaczyna go to przerastać. Dostawał świra. Rzeczywistość zaczynała wyslizgiwać mu się spod nóg. Może w tej trawce od kumpla brata Harrisona było coś jeszcze, jakaś meskalina albo coś. Słyszał, że ludzie tak czasem robią, doprawiają towar czymś, co powoduje odlot, i można mieć niezłe jazdy, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego ktoś miałby to robić, ponieważ z tego, co wiedział, przecież chodzi tylko o to, żeby się trochę wyluzować.

Spojrzał na dzieciaka. Siedział na ławeczce przy fortepianie. Spróbuj, Charlie, spróbuj.

– Grasz na fortepianie?

Dzieciak po prostu tam siedział.

– Nie. Nie potrafi grać – wyjaśniła kobieta.

Po czym dzieciak zaczął grać na fortepianie. Motyw przewodni z *Różowej Pantery*. Rozpoznał go od razu, po kilku pierwszych nutach. Nie słyszał tej melodii od lat, ale wtedy, kiedy jej słuchał, wtedy, kiedy grywał ją jego brat, słyszał ją codziennie, czasem co kilka godzin, dopóki ich tata nie zagroził, że go udusi, i wiedział bez najmniejszego cienia wątpliwości, że Był Naćpany. Był Naćpany. Był Naćpany i zaraz miał zwariować, dokładnie teraz, przed oczami wszystkich tych białych ludzi.

– Musisz przestać to grać – powiedział.

Dzieciak nadal grał.

Charlie usłyszał, jak na podjazd wjechał samochód z ostrzegawczym szumem tłumika.

Och, słodki Jezu, dzięki Ci. Mama już jest.

– Hej, mały.

Pieprzona Różowa Pantera.

Dzieciak zapytał:

– Nie poznajesz mnie, Charlie?

Drzwi od samochodu zatrzasnęły się z hukiem. Wyciągała coś z bagażnika.



Wejdz do domu, mamu. Wejdz do srodka i zrob porzadek z tym gównem, zabierz je ode mnie.

– Nie – odparł Charlie. – Nie. Nie poznaję cię.

Dzieciak oznajmił:

– Jestem Tommy.

Charlie próbował uchwycić się ostatnich strzępków haju, ale już go nie było, dawno zniknął.

## Rozdział dwudziesty czwarty

*Patrząc z perspektywy czasu, wszystko zrobili źle.*

Anderson stał w kuchni Crawfordów, próbując sam sobie opisać szczegółowo i precyzyjnie, jakim sposobem pozwolił, żeby to wszystko się nie udało.

Pracował nad prawie trzema tysiącami przypadków i zawsze robił badanie pośmiertne i badanie kontrolne, nie tylko po to, żeby obserwować swoich badanych, ale także po to, aby lepiej wykonywać swoją pracę. Teraz pracował nad swoim ostatnim przypadkiem i czuł się w dużej mierze tak jak na samym początku, niedoświadczony i niewprawny. Ostatni przypadek był znaczący, zgadzał się z tym – znaczący nie z powodu tego, że to amerykański przypadek, który mógł poruszyć społeczność całego świata, żeby w końcu zauważyła, że istnieją dowody potwierdzające reinkarnację, ale dlatego że to przypadek, który raz na zawsze udowodniał, że Anderson był skończony.

Powinien był wiedzieć lepiej. Co on sobie myślał? Nie powinni byli rozmawiać z tym nastolatkiem, trzeba było natychmiast stamtąd odejść, żeby się przegrupować. Prawie trzy tysiące przypadków i z pewnością od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu wiarygodnych przypadków w samej Ameryce – przecież wiedział, że nie są w Indiach, gdzie mieszkańcy wioski z zapałem wskazywaliby na możliwe powtórne wcielenia, nakłaniając go, żeby spojrzał na ledwo dostrzegalne znamiona. W Indiach ludzie chcieli, żeby mu się powiodło, byli podekscytowani możliwością udowodnienia tego, o czym już sami wiedzieli. W przypadkach amerykańskich trzeba było wykazać się ostrożnością. Zmierzałeś powoli, powoli, do sedna tego, czym się zajmowałeś, w możliwie najbardziej delikatnych słowach, wyjaśniając, że nie robisz nic więcej poza zadawaniem pytań.

Powinni byli stamtąd wyjść, zanim przyjechała matka.

Powinien był przewidzieć, że nastolatek ot tak wypali z grubej rury.

– Mamo, ten chłopiec twierdzi, że jest Tommym – oznajmił, zanim ta biedna kobieta zdążyła dobrze przekroczyć próg.

I co najważniejsze, powinien był sobie uświadomić, że skoro nie odnaleziono ciała, ta kobieta nie wiedziała, że jej syn nie żyje.

– Mamo, ten chłopiec mówi, że jest Tommym – powtórzył nastolatek. A kobieta nadal próbowała przecisnąć się przez drzwi, najpierw biodro, siatka z zakupami spożywczymi, przyciśnięta kurczowo do piersi, i paczka papieru toaletowego pod pachą.

– Ten chłopiec mówi, że jest Tommym – i chłopiec w domu grający na fortepianie, on sam sparaliżowany tą cholerną lękliwością przed wypowiedzeniem

słów i radość, która zalewa ośrodki produkujące dopaminę w mózgu – radość, która zawsze towarzyszyła potwierdzeniu, że dany przypadek był dobrze dopasowany – ponieważ miał całkowitą pewność, że to dziecko nigdy wcześniej nie grało na fortepianie, a zagrana przez nie melodia miała znaczenie dla rodziny, do której należało w poprzednim wcieleniu.

Muzyka – czyż istniało coś silniejszego, co przypominałoby o stracie? Czy to naprawdę aż tak zaskakujące, że kiedy ta kobieta spojrzała w stronę pokoju, w jej oczach pojawiła się nadzieja, ta dzika, rozpaczliwa nadzieja, która czasem maluje się na twarzach śmiertelnie chorych ludzi rozmawiających o najnowszych metodach leczenia? Czy to naprawdę aż tak zaskakujące, że przez chwilę miała wrażenie, że jej zaginiony syn był gdzieś tutaj w pokoju, że żyje i do niej wrócił?

Albo że kiedy, zamiast na widok syna, oczy zaświecą się jej na widok małego białego dziecka, Noaha, który biegł do niej jak blond pocisk kierowany za pomocą termolokacji i rzucił jej się do nóg, będzie zgubiona? Musiała przyswoić sobie to wszystko naraz – nadzieję i szok rozczarowania, i siłę życiową Noaha, która uderzyła w jej ciało, gdy stała na progu własnego domu, w płaszczu, z kluczami w dłoni i ciężką torbą z zakupami w ręce.

Powinien był natychmiast opanować sytuację. Zaprowadzić ład. Wziąć od niej tę siatkę z zakupami. Pani Crawford, jestem profesor Anderson, proszę usiąść i wyjaśnimy naszą obecność tutaj. Takie zdanie pojawiło mu się w głowie. Słyszał sam siebie, jak wypowiadał je łagodnym tonem głosu. Ale zawahał się, chcąc się upewnić, czy dobrze dobrał słowa, i zanim miał szansę cokolwiek powiedzieć, Janie ruszyła do przodu, ciągnąc Noaha za ramię i próbując oderwać go od nóg kobiety.

– Kochanie, puść.

– Nie.

– Musisz ją puścić. Bardzo przepraszam – przeprosiła Denise. Próbowwała odciągnąć Noaha, ale przywarł do niej jeszcze bardziej, ściskając ją za nogi swoimi drobnymi rączkami.

– Czy to jakiś niesmaczny kawał?

– Noah, wprawiasz w zakłopotanie tę panią, NATYCHMIAST puść.

– Nie! – krzyknął. – To moja mama!

– To jakieś szaleństwo – wyjąkała Denise Crawford. Szarpnęła nogą, próbując wyswobodzić się z objęć dziecka. Nadal trzymała w ręce ciężką siatkę z zakupami. Nikt jej od niej nie wziął. Nastolatek stał z rozdziawionymi ustami. Anderson przyglądał się, układając w głowie słowa. Noah przylgnął do Denise, Janie próbowała go od niej odciągnąć, obydwójce połączeni ze sobą w bitwie na siłę woli, jak w pierwotnej walce matki i dziecka. Dopóki papier, który Denise trzymała pod pachą, nie zaczął jej się zsuwać i kobieta, próbując odzyskać kontrolę, znowu szarpnęła nogą albo kopnęła. I Noah upadł.

Upadł do tyłu, uderzając głową w drewnianą podłogę z głośnym trzaskiem.

Anderson poczuł, jak ten dźwięk przejął go dreszczem.

Chłopiec się nie ruszał. Leżał cicho na podłodze, z zamkniętymi oczami.

Anderson usłyszał stłumiony krzyk – to była Janie – a potem plasknięcie, kiedy rolki papieru toaletowego wyslizgnęły się Denise spod pachy i rozsypały się wachlarzem przed nimi, Tommy Crawford uśmiechał się na zielono, żółto i niebiesko. Janie w ułamku sekundy znalazła się przy synku.

– Noah?

Potem Anderson pozbierał się i przykucnął obok chłopca. Zmierzył mu puls i silne uderzenia serca wskrzesiły pokój do życia. Oczy Noaha otworzyły się. Zamrugał, spojrzął na sufit. Żrenice wyglądały normalnie.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał Anderson.

Spojrzenie Noaha ześlizgnęło się z sufitu na Andersona. Popatrzył na niego zasmuconym wyrazem twarzy, jakby to pytanie go rozczarowało.

– Oczywiście, że wiem, kim jesteś. Znam tutaj wszystkich.

Anderson wstał, otrzepał kolana.

– Myślę, że nic mu nie jest.

– Nie wiadomo! – krzyknęła Janie. – A co, jeśli ma wstrząs mózgu?

– Będziemy mieć na oku objawy. To raczej niemożliwe.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

Pytanie drżało w powietrzu między nimi. Ona mi nie ufa, pomyślał sobie. I słusznie. Dlaczego miałyby mi ufać?

– Och! – Kolejny głuchy odgłos... Tym razem spadającej siatki z zakupami, ponieważ Denise w końcu rozluźniła uścisk, brzęk cebul toczących się po podłodze, niczym kule we fliperach. Denise przeniosła wzrok z Noaha na bałagan na podłodze, potrząsając głową.

– Przepraszam...

Noah z trudem próbował usiąść. Miał wykrzywioną twarz.

– Mamo?

– Bardzo przepraszam – powtórzyła Denise. Kolana wydawały się pod nią uginać i Anderson przez chwilę obawiał się, że nie wytrzymają jej ciężaru, że upadnie i wtedy ta farsa będzie dopełniona. Zamiast tego przykucnęła i zaczęła zbierać kartki papieru, układając je równo w stosik.

Janie przygarnęła do siebie Noaha.

– Chodź, skarbie. Pójdźmy po... szklankę wody, dobrze?

Nie czekała na jego odpowiedź. Wstała i wyszła z pokoju.

– Nie chciałam... nikogo skrzywdzić... – Denise była zachrypnięta, ogłuszona, zbierała ulotki jedną po drugiej.

– Mamo – zaproponował nastolatek. – Zostaw je.

– Nie. Muszę...

– Zostaw te ulotki w spokoju.

– To nie pani wina – zapewnił Anderson. – To moja wina.

Podniosła na niego wzrok, ale nie był w stanie spojrzeć jej w oczy.

Dziesięć minut później Anderson siedział wyprostowany na sofie i pozwolił, żeby spadła na niego cała siła kobiecej wściekłości i zakłopotania. Wiedział, że sobie na to zasłużył.

– O czym pan, do cholery, mówi?

– Może powinniśmy o tym porozmawiać, kiedy pani troszeczkę dojdzie do siebie – odpowiedział powoli Anderson. – Po tym szoku.

– Och, już doszłam do siebie. – Pani Crawford stała nad nim. Nie wyglądała na całkowicie zrównoważoną.

Dowodzi to jedynie tego, że metoda zawsze ma znaczenie, pomyślał Anderson. Nie powinien był słuchać Janie. Trzeba było najpierw napisać e-mail do tej kobiety. Na swój sposób ją ostrzec.

Założyła ręce i poczuł wściekłość, która w niej wzbierała, a którą było słychać w jej trzęsącym się głosie i widać w błysku jej oczu.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Sądzi pan, że mój syn... odrodził się powtórnie w tym dziecku? Czy właśnie tak pan myśli?

– Proszę pani, próbujemy nie przeskakiwać... – Spojrzał na nią. Pieprzyć to. – Tak. Tak właśnie myślę.

– Ludzie, chyba wam się coś pochrzało w tych cholernych głowach.

– Proszę pani. Przykro mi, że pani... doszła do takiego wniosku. – Wziął głęboki oddech. Tyle razy napotykał opór. Dlaczego teraz miałyby to mieć na niego wpływ? Nie czuł w sobie jasności, żeby wyjaśnić to, co wymagało wyjaśnienia. – Jeśli da mi pani chwilę i pozwoli wyjaśnić część tego, co mówi Noah, i może pani... zgodzić się z tym albo...

– Jakaś odmiana zwariowanego wudu...

– To nie wudu – stwierdziła Janie. Stała w drzwiach.

Anderson poczuł ogromną ulgę na jej widok.

– Jak się czuje Noah?

– W porządku. Jak na razie. Nie chce ze mną rozmawiać. Charlie posadził go w kuchni i włączył mu kreskówki na komputerze. – Janie zwróciła się do Denise. – Proszę posłuchać – zaczęła. – Wiem, że to wszystko brzmi niedorzecznie i zupełnie nieprzekonywająco... i rzecz w tym, że to jest nieprzekonywające, cała ta sprawa, ale może to również... – Spojrzała na Andersona przestraszonymi oczyma, szeroko otwartymi, jak okna na oścież. – Może to również prawda.

Anderson przez chwilę czuł, że ogarnęło go uczucie wdzięczności. Mimo wszystko może jeszcze nie wszystko się posrało.

– Proszę posłuchać, nie chcemy pani zasmucać. To ostatnia rzecz, której chcemy – wyjaśniła Janie nerwowo, a Denise się roześmiała, potworny dźwięk.

– Możecie robić, co chcecie, i wierzyć, w co chcecie. Wasze prawo. Ale proszę, nie mieszajcie w to mnie i mojej rodziny.

– Czy Tommy miał jaszczurkę, która wabiła się Rogogon? – zapytał znieścacka Anderson.

Twarz Denise ponad założonymi rękami nie zdradzała niczego.

– A jeśli tak, to co?

– Noah przypomina sobie, że był chłopcem o imieniu Tommy, który miał jaszczurkę wabiącą się Rogogon i brata, który miał na imię Charlie. Wiele razy odnosił się do książek o Harrym Potterze i lubi drużynę baseballową Nationals.

Anderson zaskoczył samego siebie swoją nowo odkrytą biegłością w dobieraniu odpowiednich rzeczowników, jakby jakaś inna, nienaruszona część jego mózgu odzyskiwała potrzebne informacje. Nietypowy przypadek afazji, woda na młyn do czyjejś pracy naukowej, ale to nie były badania naukowe, tylko jego życie. I to była ta chwila.

– Wspominał coś o strzelaniu ze strzelby kaliber 54.

Denise ściągnęła usta w niewyraźnym uśmiechu.

– Wobec tego widzi pan? Nigdy nie mieliśmy broni w naszym domu. Nigdy nawet nie pozwalałam chłopcom bawić się zabawkowymi pistoletami.

– Mówi, że tęskni za matką. Za swoją drugą matką – dodała po cichu Janie.  
– Przez cały czas płacze z tego powodu.

– Proszę posłuchać, nie mam pojęcia, dlaczego pani syn mówi takie rzeczy. Jeśli coś mu dolega, to naprawdę mi przykro. Ale to są bzdury, kupa nieopatrznych zbiegów okoliczności, i opowiadacie to wszystko niewłaściwej osobie, ponieważ, szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. – Denise znowu się roześmiała, jeśli to można było nazwać śmiechem.

Anderson wyczuwał ból za tą niewzruszoną, pełną wściekłości fasadą, niczym błysk pioruna w oddali. Nie było do niej dostępu.

– Proszę posłuchać, nie jestem pastorem i z tego, co widzę, pan także nim nie jest. I nie mam zamiaru stać w swoim własnym salonie i spekulować o życiu pozagrobowym, ponieważ niczego to nie zmienia. Ponieważ nic nie przywróci mi mojego syna. Tommy... – Głos jej zamarł. Potrząsnęła głową i spróbowała jeszcze raz. – Mój syn nie żyje.

Słowa zadźwięczały metalicznie w pokoju. Wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, jakby jedno z nich mogło temu zaprzeczyć. Nagle zapragnął być znowu rezydentem uzbrojonym w biały fartuch, lekarzem, który leczył chorych. Wszystkim, byle nie tym, kim teraz był, gdzie teraz był – w tym pokoju, przyznając tej matce, że jej syn nie żyje.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Janie. Miała głos nabrzmiały łzami.

Jednak Denise Crawford nie płakała. Mówiła dalej tak lodowatym głosem, że Anderson czuł, jak chłód przenika głęboko do jego kości – ten pełen chłodu żal,

który tak dobrze znał.

– On nie żyje. I nigdy nie wróci. A wy... powinniście się wstydić.

– Pani Crawford...

– Zdaje się, że powinniście już iść. Wystarczająco dużo już zrobiliście. Po prostu... odejdźcie.

Janie próbowała się uśmiechnąć.

– Pani Crawford... Wyjdziemy, nie mamy nic przeciwko wyjściu, jeśli mogłaby pani na kilka minut spotkać się z Noahem... Nie musi pani nic mówić, gdyby pani mogła tylko z nim posiedzieć... i być zyczliwa...

– Przekonaliście to dziecko, że jest kimś innym. Zawlekliście je tutaj szmat drogi, Bóg raczy wiedzieć skąd...

– Z Nowego Jorku.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? Namieszaliście w głowie temu biednemu dziecku i przytargaliście je tutaj aż z Nowego Jorku. A teraz chcecie mnie w to wciągnąć, jakby to była jakaś zabawa. – Potrząsnęła głową. – Dla mnie to nie jest zabawa. A teraz wynoście się z mojego domu.

– Dla nas to także nie jest zabawa – powiedział Anderson powoli, pewnie.

– Proszę posłuchać, pani... Wiem, że doświadczyła pani straty. Potwornej straty. Rozumiem, jak się pani czuje.

– Rozumie pan? A skąd? Kogo pan stracił?

– Straciłem moich... moich... – Sięgnął po to słowo, ale złamało się pod nim jak szczebel w drabinie i pokoziołkował w ciemność. Zobaczył twarz żony oczyma duszy. Była nim rozczarowana. – Moich bliskich. – To wszystko, co mógł w sobie odnaleźć. Zapomniał imienia swojej własnej żony. Swojego syna.

Denise Crawford stanęła wyprostowana. Była prawie takiego samego wzrostu, co Anderson.

– Powiedziałam: „Wynoście się”.

Właśnie dlatego spędziłem tak wiele lat w Azji, pomyślał. To właśnie spotykało amerykańskie przypadki. Stał tam. Nie był w stanie myśleć.

Janie spojrzała na niego i poszedł za nią wzdłuż holu.

Przykro mi, pomyślał. Przepraszam, że cię w to wciągnąłem. Przepraszam, że kazałem ci wierzyć w stek tych żalonych bzdur.

– Co teraz powiemy Noahowi? – wyszeptała z wściekłością. Jej bliskość w holu, powiew jej szeptu na twarzy mocno w niego uderzyły i instynktownie wzdrygnął się przed tą intensywnością. – Jak mam z nim postąpić, żeby było dobrze?

– Znajdziesz odpowiedź.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? Tylko tyle? Znajdę odpowiedź?

W pobliżu słychać było uderzenia bębnow, złowieszcze, nieubłagane, jakby prowadziły jego armię do klęski. Zmusił się, żeby podnieść głowę, i spojrzał jej

w oczy.

– Przepraszam.

Odwróciła się od niego i otworzyła drzwi od kuchni. Ale nie musiała szukać żadnej odpowiedzi, ponieważ Noah zniknął.



## Rozdział dwudziesty piąty

*Jakby rozsypał się domek z kart, pomyślał Anderson. Wszystko, co mogło pójść źle, poszło źle. A on, obserwując narastającą histerię, czuł się bardziej bezradny niż każde z nich. Sięgał po słowa, ale ich tam nie było.*

W Indiach coś takiego nigdy by się nie wydarzyło. W Indiach ludzie rozumieli, że życie układa się tak, jak się układa, czy tego chcemy, czy nie – krowa na drodze, zakręt, który ratuje albo zabija. Jedno życie się kończy, a drugie zaczyna, może będzie lepsze niż poprzednie, a może nie. Hindusi (i Tajowie, i mieszkańcy Sri Lanki) akceptowali to w taki sam sposób, w jaki akceptowali monsuny albo upał, z rezygnacją, która przypominała zwyczajny zdrowy rozsądek.

Cholerni Amerykanie. Amerykanie, nieprzyzwyczajeni do palących się gnojowisk i niespodziewanych zakrętów. Amerykanie nie mogli się powstrzymać, żeby kurczowo nie chwytać się doczesnego życia, jakby trzymali się wiotkiej gałęzi, która na pewno się złamie... a kiedy sprawy nie układały się, tak jak się spodziewali, Amerykanie dostawali świra.

Łącznie z nim.

Wytłumaczenie dobre jak każde inne na użytek tego, co wydarzyło się tego popołudnia.

Ale przecież nie można obwiniać o to Ameryki, prawda?

Ponieważ sprawy w Indiach też czasem źle się układały, nieprawdaż?

Ludzie są tak skomplikowani; jak można przewidzieć, w jaki sposób zareagują, kiedy staną twarzą w twarz z niemożliwym?

Nie można.

Stał na środku kuchni, próbując się pozbierać. Na lodówce stało zdjęcie uśmiechniętej od ucha do ucha drużyny Małej Ligi. Przyjrzał mu się z bliska spod przymrużonych oczu, rozpoznał Tommy'ego w lewym dolnym rogu, trzymał transparent z napisem: MISTRZOWIE MAŁEJ LIGI MILLERTON SOUTHERN DIVISION, „NATIONALS”.

O, Nationals. Brakujący fragment. Zapomniał, że czasem nadawano zespołom niezawodowej ligi baseballu nazwy drużyn pierwszej ligi. Mocny dowód, a jednak nie był tym usatysfakcjonowany. Co komu teraz po mocnym dowodzie?

Wyszedł z kuchni i zaczął szukać zaginionego chłopca.

Janie stała w tylnych drzwiach domu Denise i patrzyła na bezmiar nicości.

Straciła czujność zaledwie na minutę, ale to było o minutę za dużo, a teraz Noah zniknął. Przeszukała jeszcze raz spiżarnię, salon i łazienkę na parterze, a ten nastolatek sprawdził pozostałe pokoje w domu, ale nigdzie go nie było.

Musiał wymknąć się tylnym wyjściem, kiedy rozmawiała z Denise, a Charlie

poszedł poćwiczyć na perkusji. Musiał sobie pomyśleć, że Denise go odrzuciła i dlatego go kopnęła. Oczywiście, że sobie tak pomyślał. A może sądził, że to jego wina... jego wina, podczas gdy to Janie... cóż, nie pora na to. Później będzie dużo czasu na żałowanie.

Otworzyła tylne drzwi – pole błotnistej trawy, żółć poprzetykana pasmami świeżej zieleni wyłaniającej się niczym głowa przyprószona siwizną. Poidelko dla ptaków, w którym kołysała się ciemna kałuża wody, liść przewracający się wokół swojej osi. Sylwetka drzewa z pączkami na koniuszkach palców. Potem kończył się ogród i zaczynały się pola ciągnące się daleko jak okiem sięgnąć.

– Noah?

Zapomniała, jaka cisza panowała na wsi. Skądś dobiegało szczekanie psa.

– Noah!

Jak daleko mógł dojść czterolatek?

Słowa pocieszenia przemykały jej przez głowę – już zaraz, nie martw się, będzie dobrze, zawsze było, gdzieś przecież musi być. Pod ich powierzchnią zbierała panika niczym woda podczas powodzi, unicestwiając wszystko na swojej drodze. Trawnik rozciągał się w kierunku niskich, zielonych łądyg świeżo obsadzonych pól kukurydzy.

– NOAH!

Zerwała się do biegu.

Łodygi kukurydzy kłuły ją w kostki, kiedy biegła przez pola, szukając blond główki. Czuła, jak wiotkie łodygi łamały jej się pod stopami, kiedy biegła.

– No-ah!

Mógł być wszędzie. Mógł leżeć zwinięty w kłębek na wilgotnej ziemi tuż poza zasięgiem jej wzroku, otoczony zielonymi łodygami. Mógł schować się wśród drzew za polami, w mrocznym cieniu lasu.

Może chodziło o to imię. Był upartym chłopcem. Może przywiązywał do tego wagę i jeśli zawoła go tym imieniem, pokaże jej się.

– Tommy? – To imię wydarło jej się z gardła, skrzypiąc w powietrzu. – TOMMY!

– Noah? Tommy? Noah! – Dźwięk odbijał się szerokim echem od płaskiej ziemi i szarej kopuły nieba.

– Tommy! Noah! Tommy! – wołała Janie, przetrząsając zielono-szary świat. Szukała blond główki czy ciemnej główki? Czy miał zagać po raz drugi, czy taki był jego los? Zagać i zagać, i jeszcze raz zagać?

Nie. Panikujesz. On gdzieś tutaj jest. Znajdziesz go za chwilę.

A może nie znajdziesz.

– Noah! Tommy! – Wybiegła z pól do lasu, aż całkowicie straciła orientację w terenie. Jak mogła pomóc swojemu chłopcu, jeśli sama się zgubiła?

Wtedy przyszła jej na myśl, nie mogła się przed tą myślą powstrzymać,

Denise Crawford. Denise, która musiała stać w tym samym miejscu nie tak dawno temu, krzycząc to imię, wrzeszcząc do obojętnego nieba, aż zachrypla, i w swojej panice i cierpieniu Janie wiedziała, że dystans między nią a tą kobietą całkowicie zniknął. Były matkami. Były takie same.

## Rozdział dwudziesty szósty

*Denise leżała na łóżku. Chciała pomóc w poszukiwaniach chłopca, ale nogi się pod nią uginały, a ten lekarz, czy ktokolwiek to był, rzucił na nią okiem i nalegał, żeby leżała. Czuła w głowie koszmarny ból, ale szybko ustępował, dzięki kolejnym dwóm tabletkom, które zażyła. Patrząc na swoje odbicie w szafce na lekarstwa, miała pokusę, żeby wsypać sobie do gardła zawartość całej tej cholernej fiolki i położyć temu wszystkiemu kres raz na zawsze, ale na razie pocieszyła się dodatkowymi dwiema tabletkami i schowała resztę do kieszeni.*

A teraz nie odczuwała bólu, żadnego bólu, wielkie dzięki, i miała sen, o innej rzeczywistości, w której wszystko samo się zmieniło i stało się całkiem czymś innym. Jakieś demony próbowały ją zwodzić i zraniła anioła, który czegoś od niej chciał, ale wszyscy odeszli.

Odpryski ostrych głosów przecinały powietrze. Życie było jak szklanka, która spadła i rozbiła się na drobne kawałki. Ci ludzie byli tymi kawałkami.

Ktoś wołał Tommy'ego.

Ale Tommy odszedł.

Tommy zaginał. Słyszała swój głos wołający za nim. Była wtedy skołowana i została w tamtym miejscu, w tamtym dniu, w którym nadal tkwiła.

Myślała, że odłoży to na bok, myślała, że przejdzie obok, ominie to... nie zapomni, nigdy nie zapomni, ale wybierze dłuższą drogę okrężną, żeby sobie poradzić, żeby przetrwać każdy dzień, ale myliła się, ponieważ to wciąż tam tkwiło, rozgrywało się na ekranie jej duszy. Nigdy tego za sobą nie zostawiła. Tamtego dnia.

Tommy!

Obudziły ją odgłosy kłótni chłopców. Henry wrócił poprzedniego wieczoru i przywiózł kupione naprędce prezenty, które znalazł na jakimś lotnisku, jak zwykle je pomylił i Tommy'emu bardziej podobały się prezenty dla Charliego niż jego własne. Wobec tego chłopcy kłócili się i właśnie sobie to uświadomiła, nadal w półśnie, i pomyślała, niech to szlag. Niczego nieświadoma. Niemająca najmniejszego pojęcia, co przyniesie ten dzień. Po prostu pomyślała sobie, niech to szlag, ponieważ dzieciaki się kłóciły, a Henry leżał obok niej śmiertelnie zmęczony, odsypiając wszystkie te fuchy do późna w nocy podczas kolejnej podróży, ciągnące się bez końca, czyniąc z niej samotną matkę, którą nigdy nie miała zamiaru być. Pokłócili się o to poprzedniego wieczoru, o jego powrót do zawodu nauczyciela, o pracę przynoszącą stały dochód, spędzanie czasu z rodziną, pokłócili się o to w obecności chłopców, czego zawsze starali się unikać.

– Zabierasz mi to, co kocham! – krzyczał Henry.

Zabierasz mi to, co kocham.

Obudziły ją odgłosy kłótni chłopców i pomyślała sobie – niech to szlag, teraz będę musiała sobie z tym poradzić, nikt inny, tylko ja, więc ciężkim krokiem podeszła do drzwi i krzyknęła: „Przestańcie, chłopcy, bo obudzicie tatę”. I właśnie tak zaczęła tamten dzień.

Tommy chciał się pobawić u Oscara, więc powiedziała, dobrze, możesz iść, ponieważ Henry spał, a chłopcy się kłócili, i pomyślała sobie, że może to i lepiej, jak przestanie ją denerwować na jakiś czas.

I tak minął jej dzień, dzień bez Tommy’ego, który jej nie denerwował. Charlie siedział cicho, bawiąc się nową zabawką. Henry spał. Po południu zjedli beztroski lunch i postanowiła przygotować lasagne na kolację. Kiedy gotowała, wyjrzała przez okno, żonkile rozkwitały wokół poidełka dla ptaków, Henry był w domu, a wokół panowała cisza, i poczuła, jaka była szczęśliwa. Miała Henry’ego w domu, i Charliego, i Tommy’ego, i własny dom z karmnikiem dla ptaków, i zbliżały się wakacje, i poczuła, jaka jest szczęśliwa z tej chwili wyciszenia, z tego życia, z tego dnia.

Tommy!

Było późne popołudnie, które chyliło się ku wieczorowi, i poszła, żeby zawołać Tommy’ego na kolację.

Szła sobie beztrosko ulicą. Bez pośpiechu. Była sobota. Zielone pola połyskiwały w półmroku. Nadchodziło lato i w powietrzu czuć było jego słodycz.

Przeszła obok szczekającego psa sąsiadów i skrzynek pocztowych Cliffordów i McClure’ów i skręciła w ślepią uliczkę, przy której mieszkał Oscar, domy ustawione w podkowę pod wysokimi drzewami kołyszącymi się na lekkim wietrze. Jedno z drzew musiało zachorować. Wysoko na nim siedział jakiś mężczyzna, który odcinał piłą konary. Przystanęła, przyjrzała się i pomyślała, jaka to szkoda – konary odpadają z tego dużego, starego drzewa, które rosło tutaj od stuleci, podczas gdy wszędzie dookoła wiosna płaszczem okrywała ziemię. Przy ślepej uliczce ludzie wylegli przed domy, jeździli na deskorolkach, słuchali radia, myli samochody. Oscar rzucał piłką do kosza na swoim podjeździe, jego mama była w ogrodzie z boku domu, podlewała pomidory. Denise zobaczyła te pomidory, kiedy wchodziła po schodkach do domu. Wisiały małe, okrągłe, zielone na krzaku, niczym obietnica.

Usłyszała, jak piłka do koszykówki ze świstem przeleciała przez obręcz. Chlupot wody wylewanej przez jednego z sąsiadów, który splukiwał pianę z auta. Zgrzyt piły na drzewie, a potem głuchy trzask, kiedy konar zaczął spadać.

Gdyby można było cofnąć czas... co było niemożliwe... gdyby można było cofnąć czas, wróciłaby do tej chwili, żyłaby dokładnie tam, stojąc na podjeździe wiosną i słuchając świstu piłki Oscara wpadającej do kosza, czekając na Tommy’ego. Do tej chwili, zanim matka Oscara podniosła wzrok znad swoich

pomidorów i Denise wyczytała zaskoczenie, wyraźnie malujące się na twarzy innej matki, i jej życie złamało się na pół.

Od tamtej chwili zawsze istniała część życia, w której żyła, i druga część, życie w ciemności, w której gdzieś tam coś złego działo się z Tommym.

Ale to wciąż powtarzało się od początku, nigdy nie przestawało się dziać, ta chwila, w której Tommy zaginał. Utknęła w niej i nie było stamtąd żadnego wyjścia, bez względu na liczbę pigułek, które zażywała. Zawsze tam była, w tamtym dniu, wyobrażała sobie tylko, że życie biegnie dalej, że wychowywała Charliego najlepiej, jak potrafiła, że nadal pracowała.

Denise podniosła wzrok na sufit, kręciło jej się w głowie. Teraz sprawy toczyły się zbyt szybko, kawałki spadały wokół niej niczym okruchy szkła. Niebiesko-białe światła radiowozu świeciły w okno. Radiowozu, który wezwała za późno, ponieważ on zaginał przed wieloma godzinami, nigdy nie dotarł do domu Oscara.

Leżała na plecach na łóżku, dotykając palcami tabletek w kieszeni. Lubiała ich dotyk, były miękkie i kruche na krawędziach. Przyjazne. Włożyła następną tabletkę do ust, była sucha i gorzka, ale kolejna gorzka pigułka nie robiła już na niej wrażenia.

Wyciągnęła je z kieszeni i spojrzała na nie.

Dwanaście małych przyjaciółek, które do niej mrugały, przywołując ją po imieniu.

## Rozdział dwudziesty siódmy

*Janie wróciła z pola kukurydzy i usiadła przy stole kuchennym obok Andersona. Ukryła twarz w dłoniach i próbowała uspokoić myśli. Anderson bardzo powoli rozmawiał z kimś przez telefon. Zastanawiała się, jak mógł być tak spokojny, kiedy Noah zaginął. Ale przecież Noah nie był jego dzieckiem. Anderson był kimś obcym. Badaczem. Akurat ten strach należał wyłącznie do niej, podobnie jak Noah.*

Próbował uspokoić ją swoim spojrzeniem. Unikała go, badając wzrokiem kuchnię Denise. Okno z widokiem na poidełko dla ptaków i pola kukurydzy. Oprawiony obrazek z brzoskwiniami wiszący nad kuchenką. Zegar w kształcie koguta głośno tykał. Nie chciała myśleć o cierpieniu, które kiedyś nieustannie wypełniało to pomieszczenie.

Anderson skończył rozmowę.

– Policja jest w drodze.

– To dobrze. – Głos miała zachrypnięty od krzyku. – Czy ty...

– Sprawdziłem dom.

– A co z panią Crawford?

– Odpoczywa, ale nie było tam dziecka.

– A nastolatek?

– Szuka.

– Zaglądałeś do piwnicy?

– I na strych. Zajrzymy tam znowu za chwilę. Znajdziemy go – obiecał Anderson.

Wyglądał na wyczerpanego, ale jednocześnie na skupionego i rozbudzonego. Należał do tych ludzi, pomyślała gorzko, którzy odzyskiwali werwę w nieszczęściu. Miała nadzieję, że też należała do tego rodzaju ludzi, ale teraz już tak nie myślała.

– Powinnam pojeździć po okolicy – oznajmiła Janie. Wstała. – Daj mi kluczyki.

– Zaczekaj chwilę – próbował Anderson.

– Nic mi nie jest.

– Tylko chwilę.

– Nie!

– Możesz pomóc bardziej, jeśli zachowasz spokój.

Usiadła znowu przy stole. Trzęsły jej się kolana.

– Jak to się stało? Jak pozwoliłam, żeby to się stało? On ma cztery latka!

– Więc nie może odejść za daleko.

– Nie może? – Odwróciła się do Andersona. – Nigdy nie powinnam była tutaj przyjeżdżać. Nigdy nie powinnam była brać udziału w tym nedorzecznym eksperymencie. Co ja sobie, do cholery, myślałam?

– Próbowalaś pomóc Noahowi.

– I to był błąd.

– Spójrz na mnie. – Miał jasne spojrzenie. – Znajdziemy Noaha.

Noah. To słowo wywołało lawinę tęsknoty. Ileż dałaby za to, żeby znowu móc go trzymać w ramionach. Pulchne rączki i nóżki, i miękka główka. Nigdy nie rozumiała ludzi, którzy nazywali swoje dzieci apetycznymi, ale teraz to do niej dotarło, chciała go odnaleźć, żeby mogła go zjeść, wchłonąć go do swojego ciała, żeby już nigdy go nie zgubić.

Anderson wstał i nalał jej szklanek wody.

– Proszę. Napij się.

Wzięła do ręki szklanek wody i wypła ją łąpczywie.

– A co, jeśli gdzieś tam dostanie ataku astmy? A co, jeśli mężczyzna, który porwał Tommy’ego, nadal gdzieś tam jest?

Anderson znowu napełnił szklanek, podał jej, a ona wypła ją duszkiem.

– A teraz weź oddech.

– Ale...

– Weź oddech.

Wzięła oddech. Zegar w kuchni Denise nadal tykał. Nie przestawał tykać przez wszystkie te lata.

– Dobrze się czuję. Mogę prowadzić samochód.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

Podał jej kluczyki.

– Bądź ostrożna, Janie.

– W porządku. – Zacisnęła kluczyki w dłoniach i wstała. W drzwiach obejrzała się na Andersona. Nalał sobie też szklanek wody i siedział przy stole, gapiąc się na nią. Wyglądał na zmęczonego.

Nie chciał, żeby to wszystko tak się potoczyło. Zrobiło jej się przykro, że wcześniej tak szorstko go potraktowała.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała szeptem.

– Co zrobiłem?

– Straciłeś kogoś? Jak to zniosłeś?

– Bierzesz oddech – wyjaśnił. Wypił łyk wody. – A potem kolejny.

Stała tam, kluczyki brzęczały w jej dłoni.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

Anderson podniósł wzrok.

– Przyjechała policja.





*Przypadek Naziha Al-Danafa z Libanu to przypadek, w którym kilkakrotnie dokonano rozpoznania. Nazih, jako bardzo małe dziecko, opisał swoje poprzednie życie rodzicom i siedmiorgu rodzeństwa, a wszyscy zgodzili się na przeprowadzenie wywiadów. Nazih opisał życie człowieka, którego jego rodzina nie знаła. Opowiedział, że ten mężczyzna nosił pistolety i granaty, że miał ładną żonę i małe dzieci, dwupiętrowy dom, wokół którego rosły drzewa, i jaskinię w pobliżu, że miał przyjaciela niemowę i został zastrzelony przez grupę mężczyzn.*

*Jego ojciec zeznał, że Nazih domagał się od swoich rodziców, żeby zabrali go do poprzedniego domu, do małego miasteczka, które znajdowało się szesnaście kilometrów od nich. Kiedy miał sześć lat, zabrali go do tego miasteczka, razem z dwiema spośród jego siostr i bratem. W odległości niecałego kilometra od miasteczka Nazih poprosił, żeby zatrzymali się przy drodze gruntowej odchodzącej od głównej drogi. Powiedział, że ta droga jest ślepa, a na jej końcu znajduje się jaskinia, ale pojechali dalej, nie sprawdzając, czy to prawda. Kiedy dostali się do centrum miasteczka, w którym zbiegało się sześć dróg, ojciec Naziha zapytał, którą drogę mają wybrać. Nazih wskazał na jedną z dróg i kazał im jechać nią, aż dojadą do drogi rozwidlającej się w górę i tam zobaczą jego dom. Kiedy dojechali do pierwszego rozwidlenia, które pięło się w górę, rodzina wysiadła i rozpytywała wszystkich o osobę, która zginęła w okolicznościach opisanych przez Naziha.*

*Szybko odkryli, że mężczyzna o imieniu Fuad, który mieszkał w domu przy tej drodze, zanim zginął dziesięć lat przed narodzinami Naziha, wydawał się odpowiadać opisowi chłopca. Wdowa po Fuadzie zapytała Naziha: „Kto zbudował podmurówkę pod bramą wejściową do domu?”, i chłopiec poprawnie odpowiedział: „Mężczyzna z rodziny Farajów”. Weszli wtedy do domu, gdzie Nazih dobrze opisał, jak Fuad trzymał broń w szufladzie. Wdowa zapytała, czy miała wypadek w ich poprzednim domu, i chłopiec wiernie przedstawił szczegóły jej wypadku. Zapytała również, czy przypomina sobie, co spowodowało, że jego siostra poważnie zachorowała, i Nazih dobrze odpowiedział, że przypadkowo połknęła tabletki ojca. Opisał także poprawnie kilka innych wydarzeń z życia swojego poprzedniego wcielenia. Wdowa i jej pięcioro dzieci byli pod ogromnym wrażeniem wiedzy, którą zaprezentował Nazih, i wszyscy byli przekonani, że był on kolejnym wcieleniem Fuada.*

*Niedługo po tym spotkaniu Nazih odwiedził brata Fuada, Sheikha Adeeba. Kiedy chłopiec go zobaczył, podbiegł do niego ze słowami: „Oto mój brat Adeeb”. Sheikh Adeeb poprosił go, żeby udowodnił, że jest jego bratem, a Nazih odparł: „Podarowałem ci Checki 16”. Checki 16 to rodzaj pistoletu z Czechosłowacji, który nie jest szeroko znany w Libanie, a Fuad rzeczywiście podarował go swojemu bratu. Następnie Sheikh Adeeb zapytał Naziha, gdzie znajdował się jego dom rodzinny, a Nazih zaprowadził go drogą, aż powiedział: „To jest dom mojego ojca,*

*a ten [dom obok] to mój dom rodzinny”. Weszli do tego drugiego domu, w którym nadal mieszkała pierwsza żona Fuada, a kiedy Sheikh Adeeb zapytał później, kim ona była, Nazih poprawnie podał jej imię.*

*dr Jim B. Tucker, Życie przed życiem*

## Rozdział dwudziesty ósmy

*Paul Clifford obudził się leniwie i zrobił bilans życiowy. Kolejny dzień i uszedł bez szwanku... mniej lub bardziej. Może i miał złamany nos. Bolał go jak diabli, czuł na górnej wardze zaschniętą krew, która swędziała jak cholera. Może jednak nie. Akurat w tym zawsze miał szczęście. Wpakował się w mocno pojebane bagno i urwał mu się film, a potem ocknął się i zobaczył, że nadal żyje na tym zadupiu planety Ziemi. Niespełniający oczekiwań kierunek rozwoju, jak kiedyś powiedział jego dawny poręczyciel z klubu AA, kiedy zadzwonił do niego w samym środku wyjątkowo spektakularnej popijawy. Dzisiaj leżał twarzą w dół na betonie, nie na ziemi albo dywanie. Oznaczało to, że był w piwnicy swojej matki.*

Poczuł ból w okolicy jąder i uświadomił sobie, że to rakieta do tenisa stołowego. Musiał potknąć się o stół i przewrócić się poprzedniego wieczoru i leżał tam, gdzie upadł. Miał też dziwne uczucie na wardze, spuchniętej. Przesunął językiem wokół ust. Smakowały krwią, ziemią, nieświeżym oddechem i wymiotami. Kawałek wymiocin miał przyklejony do włosów, chociaż nie mógł zrozumieć, jakim sposobem miał czym wymiotować. Nie jadł żadnych pokarmów stałych od wielu dni.

Podniósł głowę. Oczywiście napieprzała go. Opuścił ją delikatnie na chłodny beton. Miłe uczucie, jak na poduszce. Może poleży tak jeszcze jakiś czas. Nie potrafił sobie przypomnieć, co się stało, z kim się pobił, ale miał poczucie, że było dobrze po dwunastej w południe i znowu po królewsku dał w gaz. Nie ma mowy, żeby pan Kim przyjął go teraz z powrotem do pracy na stacji benzynowej. Oznaczało to, że Jimmy zapewne go wywali. Zalegał z czynszem, chociaż płacenie komuś czynszu za sofę i tak nigdy mu nie pasowało. Tak czy inaczej, dawał się robić w ciula, prawda? Więc kto by się tym przejmował?

Jednak praca na stacji benzynowej nie była taka zła. Ludzie, którzy przyjeżdżali i odjeżdżali, zajmowali jego myśli. Kiedy pracował, jego matka mniej czepiała się go o to, żeby zrobił maturę albo wrócił do klubu AA. Próbował powiedzieć mamie, że nie miał zamiaru tam wracać, ale ona tego nie rozumiała, a on nie potrafił jej tego wyjaśnić. Ciągle pytała go: „Dlaczego?”

– Przez takie pytania, właśnie dlatego – odpowiadał.

W klubie AA wszystko było po staremu. Chcieli, żeby opowiedzieć im „historię”. Twoją „historię”. Chcieli to z ciebie wyciągnąć, nieszczęśliwe dzieciństwo, czy cokolwiek innego, i nigdy nie słuchali, kiedy mówił im, że nie ma żadnej historii do opowiedzenia. Jego ojciec był dupkiem i kiedy Paul miał piętnaście lat, rozwiódł się z jego mamą i ożenił się ze swoją współpracownicą, którą posuwał, ale wielu tatuśków robiło takie świństwa. Jaka to różnica, z jakiego

powodu Paul okazał się właśnie taki? Przecież tam był, prawda? Ale im to nie wystarczało. Chcieli twojej krwi, tego właśnie chcieli. Opiekunka grupy ostatnim razem ciągle kłapała na ten temat. Wpatrywała się w niego i wpatrywała, jakby wiedziała, że kłamał. W mózgu zaczynało mu się mącić, jakby to była ruletka, która się kręci i w każdej chwili może zatrzymać się na złym numerze. I musiał natychmiast wyjść z tamtego pokoju. Wyszedł tylnymi drzwiami, poszedł prosto do sklepu spożywczego i kupił piwo. Tylko jedno piwo. Zadowolona, suko? – pomyślał, kiedy wyłopał je do dna. Poszedł do domu, do piwnicy matki, z tym smakiem na ustach i w umyśle, jak zapach dziewczyny, o której nie mógł zapomnieć, a której w środku nocy ogołocił cały dom z brandy, NyQuil i wina z czarnego bzu, i co tam jeszcze było – przez kolejny dzień albo i dłużej, nie myślał o niczym, a potem dziewczyna go rzuciła.

Słyszał mamę i brata, którzy krzatali się na piętrze i zajmowali się tym, co – u diabła – przez cały dzień robili. Z dołu, z piwnicy, czuł zapach hot dogów, które mama przyrządzała. Miał kaca, ale też umierał z głodu, więc jednocześnie chciało mu się wymiotować i był głodny, uczucie, które być może trudno było sobie wyobrazić, ale on czuł się tak przez cały czas. W tamtej chwili zabiłby za hot doga albo nawet za kanapkę z masłem orzechowym, ale nie chciał ryzykować, żeby iść na górę, bo mamie wystarczyłoby jedno spojrzenie i już wiedziałyby, o co chodzi. Nie była idiotką, nawet jeśli nadal czasem pozwalała mu przenocować w piwnicy.

Leżał tam, aż usłyszał, jak mama i Aaron skończyli jeść lunch i wewnętrzne drzwi z siatką przeciw owadom trzasnęły, kiedy wyszli z domu. Może Aaron miał zajęcia z zapasów w szkole.

Kiedy wyszli, przez dłuższy czas nie mógł znaleźć w sobie energii, żeby wstać, i leżał na podłodze piwnicy, w której spędził tak wiele godzin jako małe dziecko, grając w cymbergaja, ping-ponga i gry wideo. Myślał o tym, jak bardzo był głodny i jak głęboko pogrążył się w tym gównie.

Potem znowu poczuł w głowie tę nerwowość, jakby miał za chwilę zwymiotować, i wymacał podłogę, żeby sprawdzić, czy jeszcze coś tam zostało, i natknął się na butelkę wódki, którą musiał kupić poprzedniego wieczoru. Została odrobina, ale to nie wystarczyło.

Zmusił się do wyjścia po schodach, żeby znaleźć jakieś jedzenie. Może była tam jakaś butelka amaretto albo coś schowanego, czego jeszcze nie znalazł, chociaż po ostatnim razie miał poważne wątpliwości.

Ktoś był na zewnątrz. Usłyszał chrzęst na żwirze. Może to jakiś dostawca pizzy, który pomylił adres. Mógłby teraz zjeść całą pizzę, nawet z pieczarkami. Znajdzie gdzieś kasę. Musiały być jakieś drobne pomiędzy poduszkami sofy albo gdzieś tam. Gwałtownie otworzył drzwi.

Stał tam jakiś chłopiec.

Jakiś mały dzieciak, z żółtymi włosami. Stał na podjeździe, gapił się na dom. Chłopiec miał na ramieniu jaszczurkę. Wyglądał dość cudacznie. Znał wszystkie dzieciaki z okolicy i ten chłopak nie był jednym z nich.

– Hej – powiedział Paul.

Chłopiec wyglądał na poważnie zdenerwowanego. Może inne dzieciaki rzuciły mu wyzwanie, żeby tutaj przyszedł. Wszystkie mamy w okolicy zabraniały małym dzieciom z nim rozmawiać. Domyślał się tego po tym, że wyglądały na przerażone, kiedy mówił im: „Cześć”. Głowa go bolała, kiedy o tym myślał. Chciał, żeby ten chłopak sobie poszedł.

– Czy mogę w czymś ci pomóc?

On po prostu tam stał. Nic nie mówił. Był jakiś dziwny. Może coś z nim było nie tak. Może był mongołem albo coś. Jak oni to teraz nazywali? Zespół Downa. Siostra kumpla to miała i czasami też tak się na niego bezmyślnie gapiła. Jednak ten chłopiec miał przenikliwe oczy, naprawdę wielkie niebieskie oczy, które wpatrywały się w niego, jakby ukradł mu lizaka albo coś w tym rodzaju.

– Nie poznajesz mnie? – zapytał chłopiec. Wyglądał na rozczarowanego.

Jakimś sposobem Paul już powiedział coś niewłaściwego. Poczul, jak tonął w fali wyczerpania. Czasem to było takie trudne, próby bycia miłym wobec innych ludzi.

– Nie znam żadnych małych dzieciaków.

– Mój brat ma na imię Charlie.

– W porządku. – Coś zaświtało mu w głowie. – Zgubiłeś się? Chcesz wejść do środka i zadzwonić do swojej mamy?

– Nie! Nie! – Chłopiec zaczął krzyczeć. – Zostaw mnie w spokoju!

– Dobra. W porządku. Muszę, hm, muszę już iść. Dobrego powrotu do domu. – Jeśli ten chłopiec się wkurzy, nie da się w to wciągnąć. Może powinien zadzwonić na policję w sprawie chłopca. Może jednak zrobi to któryś z sąsiadów. Zaczął zamykać drzwi.

– Zaczekaj...

Odwrócił się.

– Czego?

Miał ściągnięte usta.

– Dlaczego mi to zrobiłeś?

– Co zrobiłem?

Oczy chłopca wyglądały tak, jakby za chwilę miały wyskoczyć mu z głowy.

– Dlaczego zrobiłeś mi krzywdę?

Paula zaczął oblewać pot. Jego pot śmierdział alkoholem i sprawił, że chciało mu się go pić.

– Nigdy wcześniej cię nie spotkałem. Jak mogłem zrobić ci krzywdę?

– Zrobiłeś mi wielką krzywdę, Pauly.

Skąd, u diabła, ten dzieciak znał jego imię? Nikt od lat nie nazywał go „Pauly”.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jechałem do Oscara i zatrzymałeś mnie. Byłeś miły, a potem zrobiłeś mi krzywdę.

Zaczął się trząść. Może to delirium tremens? Ale jak to możliwe?

– Nie wiem, co masz na myśli. Nigdy wcześniej cię nie spotkałem. Nigdy nie zrobiłem ci krzywdy.

– Tak. Zrobiłeś. Strzelbą.

Stał tam. Nie mógł w to uwierzyć.

– Co powiedziałeś?

– Dlaczego mi to zrobiłeś? Nigdy nie zrobiłem ci nic złego.

Za chwilę zwariuje. Właśnie tak się czuł. Przypominało to przerażające bzdury, o których czytał w szkole średniej, zanim z niej wyleciał – tykanie serca dobiegające spod desek podłogi, aż zaczynało się człowiekowi mącić w tej cholernej głowie. Tego chłopca w ogóle tutaj nie było. A jednak go widział, szurającego nogami po ziemi, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, przerażonego i wkurzonego jednocześnie. Małego chłopca o żółtych włosach. Ani trochę nie przypominał tego, który nie żył. Czy ktoś stroił sobie z niego żarty? Ale kto mógł o tym wiedzieć?

– Nigdy nawet nie pozwoliłeś mi spróbować – pożalił się chłopiec. – Obiecałeś.

– Skąd o tym wiesz? Nikt o tym nie wie – stwierdził.

Musiał być jeszcze pijany. Może o to chodziło. Jednak wcale nie czuł się pijany.

Chłopiec stał tam z drżącymi pięstkami, z drżącym całym ciałem.

– Ale dlaczego to zrobiłeś, Pauly? Nie wiem dlaczego.

Znowu poczuł to coś w głowie, wirowało i wirowało, jak pieprzona ruletka, tylko że tym razem nie można było jej powstrzymać, tym razem zatrzymała się w miejscu, do którego przez cały czas zmierzała.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

*Janie jechała samochodem, zaabsorbowana podwójnym światem, światem Noaha i Nie-Noaha. Światła włączały się jedno po drugim, niewielkie szarpnięcia popękanego asfaltu pod kołami samochodu, dwupoziomowe domy z obręczami do koszykówki, zielone trawniki wpadające w odcień szarości w zapadającym zmroku, wieczorne powietrze samo w sobie, które szybko się ochładza, rozbrzmiewające wieczorowym gwarem – wszystko to należało do świata Nie-Noaha i jako takie było bezużyteczne.*

Świat miał dziewięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, jasną karnację skóry, jasne włosy, żyły pulsujące życiem.

To wszystko, co widziały jej oczy. Wszystko, co rozpoznawały. Była w stanie rozpoznawać, ale nie rejestrować, kształty w tym świecie pozbawionym Noaha.

Ale jej mózg. Jej mózg...

To była jej wina. Nie mogła przestać o tym myśleć. Tak wiele błędów, tak wiele miejsc, w których mogła zejść z tej ścieżki, tak wiele prostych rzeczy mogła zrobić. Mogła podjąć decyzję, że ta wycieczka naprawdę była złym pomysłem. Mogła zostać z Noahem w kuchni, kiedy oglądał film na laptopie. Mogła go pilnować. Dlaczego tego nie zrobiła? Miał zaledwie cztery latka.

To była jej wina.

Sądziła, że przyjazd tutaj może mu pomóc, podczas gdy na dobrą sprawę powinna była pobiec z żelazną konsekwencją w przeciwną stronę. Pamiętanie nie było odpowiedzią. To zapominanie stanowiło odpowiedź. Żadnych kolejnych wcieleń, żadnych innych światów. Tylko ten jeden, dokładnie tutaj, to niewytłumaczalne życie wypełnione popękanym asfaltem, razem z Noahem. To wszystko, o co prosiła. To wszystko, czego pragnęła. A jednak popełniła błąd i może straciła go... na dobre?

Nie. Oczywiście, że nie. Zobaczy go za chwilę.

Ale robiło się coraz ciemniej. Jej dziecko wędrowało gdzieś w tych ciemnościach, zagubione i samotne. Wkrótce ten mrok połknie jego czerwoną kurteczkę, jasne włoski. Jakże wtedy go znajdzie?

Opuściła szybę i wieczorne powietrze wypełniło samochód swoją świeżością i gęstością, pozbawione Noaha:

– NO-AH!

Ogarnęła wzrokiem krajobraz, niczego nie znajdując.

Anderson, potykając się, szedł ulicą, oddalając się od domu Crawfordów, z latarką w dłoni, która rzucała daremny snop światła w szeroką, szczerzącą zęby



twarz wczesnego wieczoru. Zapadał zmierzch, Noah gdzieś tam w nim był, a pragnienie naprawienia tego wszystkiego pulsowało w żyłach mężczyzny, napełniając jego ciało po brzegi żrącą, raniącą kolcami energią przekazywaną przez rdzeń nadnerczy – adrenaliną, która przyśpieszała tętno, puls, podnosiła ciśnienie krwi, zwiększając poziom glukozy i lipidów we krwi i powodując, że mózg odbijał się rykoszetem od ściany terażniejszości i wracał do czasów sprzed dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu lat.

Preeti Kapoor.

Ta sama rzeka, dwukrotnie.

Kimże był, żeby bawić się życiem innych ludzi, w przeszłości i w terażniejszości, jak jakiś bóg? Przeznaczeniem ludzi nie jest pamiętać. Dlatego większość z nas nie pamięta. Przeznaczeniem ludzi jest zapomnieć. Lete – rzeka zapomnienia. Tylko niektóre zabłąkane dusze zapomniały napić się z jej uzdrawiających wód... zapomniały zapomnieć.

A oto i on, idzie tymi podmiejskimi ulicami, które były dla niego bardziej obce niż wszystkie wioski w Indiach razem wzięte, wypuszczając imię zaginionego dziecka w wieczorne niebo, wydzierając je sobie z piersi. Swojego ostatniego dziecka.

Noah, o blond włosach i pełen życia, podrygujący na czubkach palców.

Idzie i woła, usta, dwoje oczu. Tylko do tego jeszcze się nadawał. Wody Lete wzbierały wokół niego, aż wkrótce zapomni o wszystkim, nawet o imionach zaginionych.

## Rozdział trzydziesty

*Musiał się stamtąd wydostać.*

Paul wbiegł do domu. Nadal słyszał chłopca, który na zewnątrz wołał i płakał.

Wypadł przez tylne drzwi, prosto przez ogród, przez dziurę w płocie i dalej, biegł ciężkim krokiem przez pole do lasu. Kiedy dotarł w pobliże starej studni, ominął ją z daleka, jakby kości, które znajdowały się wewnątrz, mogły wyskoczyć i uderzyć go w twarz, właśnie taki stuknięty film przewijał mu się w głowie, tylko że to nie był żaden film i nie w jego głowie. Przedarł się przez las, niepewnym krokiem, stopy ślizgały się szaleńczo na sosnowym igliwiu, ale popychały go naprzód, dalej, jakby mógł raz na zawsze uciec przed czternastym czerwca, podczas gdy wiedział, że nigdy nie ucieknie, to zawsze będzie tam tkwiło, ten chłopiec ciągle stał tam z tyłu w ogródku, pytając:

- Dlaczego zrobiłeś mi krzywdę, Pauly?
- Dlaczego zrobiłeś mi krzywdę, Pauly?
- Dlaczego to zrobiłeś?

A jego własne serce oskarżało go: nie wiem, nie wiem, nie wiem.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

*Siedział na brzegu jej łóżka. Miał gładką, błyszczącą skórę. I ten swój radioaktywny uśmiech.*

Cześć, mamó.

Denise otworzyła oczy.

Zapał zmrok. Była sama w pokoju. Tommy'ego tam nie było. Usłyszała jego głos we śnie.

To słowo nadal dźwięczało jej w uszach. Mamó.

W pokoju było ciemno. Jakies odgłosy w pobliżu, punkciki światła przesuwające się po polach.

Tommy!

Usiadła gwałtownie, ogłuszona. Czuła w ustach smak gorzkiego leku, a oczy bolały ją, kiedy nimi mrugnęła. Otworzyła dłoń i zobaczyła na niej pigułki. Przez okno widziała błysk policyjnych reflektorów na polach i lasach, które były za nimi. Podniosła się, żeby otworzyć okno i wpuścić świeże powietrze. Ludzie na schodach do domu rozmawiali. Fragmenty tej rozmowy przeszywały jej uszy.

– ...mamy teraz tuzin ludzi w lesie, poruczniku...

– Cztery latka, reaguje na imię Noah...

Położyła się z powrotem. Wszystko to znowu powracało jak fala ogarniająca jej umysł – ci ludzie w jej domu, ich słowa świdrujące w uszach, mówiące o życiu pozagrobowym.

Ta sama stara śpiewka. Już to słyszała, chociaż z innym zestawem odpowiedzi. Urodziła się, słysząc te słowa.

Miała przed oczyma ten namiot... ten duży namiot w Oklahomie, o którym nie myślała od trzydziestu kilku lat. Siedziała tam ze swoim dziadkiem, którego wszyscy uznawali za wariata. Jej matka mawiała, że oni wszyscy byli bandą zaklinaczy węży, ale nie przejmowała się tym, ciekawiło ją oglądanie zaklinaczy węży i chciała chodzić wszędzie tam, gdzie chadzał jej dziadek. Namiot był duży i wysoki jak w cyrku. Wypełniony po brzegi większą liczbą ludzi, niż kiedykolwiek widziała w całym swoim życiu, całymi rzędami ludzi. Pastor stał z przodu i mówił tak głośno, że wszyscy zebrani w namiocie go słyszeli. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o ciemnobrązowej karnacji i wydawał się zły na Denise, ale tych ludzi to niewiele obchodziło. Jedni siedzieli cicho, słuchali pastora, inni się śmiali, wzdychali i coś wykrzykiwali.

Siedziała na kolanach dziadka, który kochał ją bardziej niż ktokolwiek inny. Nie wiedziała, skąd o tym wiedziała, ale wiedziała. Trzymał swoją wielką dłoń na jej głowie i co pewien czas pociągał za jeden z jej warkoczyków, jakby mówił

„hej”.

Pamięta, że były tam jakieś ładne hymny, a potem pastor zaczął przemowę. Mówił głosem, którego ludzie używają, kiedy cytują Pismo Święte.

*Izraelici byli znuzeni wędrówką po pustyni,*

*Nadzieja zaczęła ich opuszczać.*

*Mówili przeciw Bogu,*

*Rzekli: „Czyż Bóg potrafi*

*Nakryć stół w pustyni?”*

*(...) i spuścił jak deszcz manę do jedzenia:*

*Dał im zboże z nieba<sup>26</sup>.*

Pamięta, że chichotała, uznała to za zabawne, tę koncepcję nakrywania stołu w samym środku dziczy. Oparła się na piersi dziadka, z jego dłonią na głowie i jego zapachem mydła, trawy i gnoju, i zdrzemnęła się tam, w tym zgiełku. Potem głęboki głos pastora zaczął wrzeszczeć: „Kto chce wejść do Królestwa Niebieskiego? Kto z was da świadectwo? Kto z was da się uleczyć Jego uzdrawiającej mocy? Pokażcie się”.

Otworzyła oczy i ludzie szli wzdłuż rzędów. „Szli” to niewłaściwe słowo. Powłóczyli nogami, kuśtykali albo toczyli się były określeniami bliższymi prawdy. Byli tam ludzie na wózkach inwalidzkich i ludzie trzymający na rękach dzieci starsze od niej, które nie mogły się samodzielnie poruszać. Wyszli na środek, powiedzieli swoje imiona i wszyscy czuli między sobą więź. Jestem siostra Green. Jestem brat Morgan. Coś w tym stylu. Jedno po drugim. I wszyscy należeli do tej samej chorej rodziny, z bólami zębów, rakiem żołądka, podagrą, deformacjami stóp, ślepotą i paraliżem. Nigdy nie widziała tak wiele różnorodnych postaci bólu.

Może część tych ludzi została tamtego dnia uzdrowiona, ale wątpiła w to. Nie pamiętała, czy kogoś uzdrowiono. Pamiętała za to, że była zaszokowana ogromem bólu na tym świecie i niesprawiedliwością, że jedna rodzina musi brać na siebie tak olbrzymią część tego cierpienia.

Teraz jej dziadek już nie żył. Pojechał do Tulsy, żeby kupić jakieś części do traktora, i padł na chodniku od ataku serca, a ponieważ nikogo nie dziwił widok leżącego czarnoskórego mężczyzny ani nikt nie przystanął, żeby wezwać karetkę, umarł na chodniku w palącym słońcu. Babcia zmarła kilka lat później, z żalu. Matka kilka lat temu, na cukrzycę. Tommy też nie żył.

A teraz przyszła kolej na nią.

– Przykro mi...

To był głos Charliego. Słaby, zakłopotany, niesiony przez wiatr. Wszędzie rozpoznałaby głos własnego dziecka.

Charlie był gdzieś tam na zewnątrz, miał kłopoty. Myślał, że to była jego wina.

Nie, nie, Charlie. To nie twoja wina. To moja wina.

Powinłam była wcześniej pójść sprawdzić. Powinłam była wezwać policję. Rozkoszowałam się ciszą. Powinłam była skontrolować go wcześniej, a potem mogłam wezwać policję, bo czas był na wagę złota. Któż tego nie wiedział? Kiedy ginęło dziecko, trzeba się było od razu tym zająć, była to zasada numer jeden, złota zasada Biblii Amber Alert<sup>27</sup>. Wzywasz policję. Natychmiast.

Ale ona nie wiedziała, że chłopiec zaginął, więc minęło wiele godzin, zanim zadzwoniła.

To nie twoja wina, Charlie.

Musiała mu powiedzieć. Musiała mu powiedzieć, żeby nie było mu przykro, że nie ma żadnego powodu, żeby było mu przykro.

Powinłam była być lepszą matką dla Tommy'ego. I dla ciebie. Dla ciebie.

Przez cały ten czas na nią czekał, jej Charlie. Mijały lata, a ona zostawiła go samego, straciła z nim kontakt, a jednak tutaj był, nadal gdzieś na nią czekał, czekał, aż powie: to nie twoja wina, dzieciaku. To moja wina. Wszystko to moja wina.

Czyż Bóg potrafi nakryć stół na pustyni?

Otworzyła swoją dłoń i spojrzała na dwanaście na wpół zgniecionych tabletek, które tak mocno ścisnęła w pięści. Zastanawiała się nad nimi przez chwilę, a potem pobiegła do łazienki. Wrzuciła wszystkie pigułki do umywalki, spuściła na nie strumień wody, wciskając palcami białe pozostałości do odpływu. Umyła dokładnie dłonie i je osuszyła. Wyprostowała się przed lustrem, przyglądała włosy, przetręła twarz mokrym ręcznikiem. Tylko z tymi oczami nie mogła nic zrobić.

Potem zeszła na dół po schodach i wyszła, zanurzając się w mroku nocy, żeby odnaleźć miejsce, gdzie był Charlie.

## Rozdział trzydziesty drugi

*Jaszczurka zniknęła. Była to pierwsza rzecz, jaką zauważył Charlie. Ktoś zabrał Rogogona z akwarium w jego pokoju.*

Haj co prawda się ulotnił, ale w jego miejsce pojawiło się uczucie roztrzęsienia, że nic nie było w porządku i nigdy już nie miało być w porządku. Było to znajome uczucie. Uczucie, kiedy nie było się naćpanym.

Szukał tego dzieciaka, zauważył brak Rogogona i wtedy już wiedział. Wiedział, kurwa, gdzie był ten dzieciak.

Wyszedł tylnym wyjściem, trzaskając drzwiami, poszedł przez ogród, minął poidelko dla ptaków, aż doszedł do samego brzegu lasu. Rósł tam stary dąb z drewnianymi kołkami wbitymi głęboko w korę, a na tych kołkach było kilka desek, które jego ojciec pewnego dnia zbił razem gwoździami, próbując zbudować domek na drzewie. Ten domek na drzewie nigdy nie został ukończony... Wzniesienie tej budowli było bardziej skomplikowane konstrukcyjnie, niż ojciec przypuszczał. Zaklinał się na wszystkie świętości, że będzie stabilna i mocna, i nigdy jej nie dokończył, a matka zabroniła im tam wchodzić, ponieważ nie było tam nic oprócz podłogi, bez żadnej drabinki albo ścianek, które uchroniłyby ich przed upadkiem.

Jednak on i Tommy i tak się tam zakradali, czasem, kiedy nie chcieli, żeby ktoś ich znalazł. Podłoga była wysoko i latem nie widać jej było zza liści.

Nazywali to miejsce fortem. Trzymali tam swoje rzeczy – pamiętnik, który Tommy pisał przez kilka miesięcy, kolekcję skał Charliego, czasopisma o broni i samochodach, które ukradli z gabinetu dentysty. Tommy czasem lubił tam zabierać Rogogona i pozwalał mu biegać luzem, jakby to była dżungla. Jeszcze w zeszłym roku Charlie wchodził tam na górę, żeby się naćpać.

Teraz musiał precyzyjnie przeliczyć swoje okazałe rozmiary ciała przez tę dziurę.

Dzieciak siedział na drewnianych deskach, w ciemności, dłonie miał zaplecione na kolanach, a jaszczurka ulokowała się na jego ramieniu, z wywieszonym językiem. Dzieciak wyglądał jak kupa nieszczęścia. Lało mu się strumieniem z oczu i z nosa.

Charlie przykucnął obok niego.

– Szukają cię, wiesz.

– Nasz pokój jest inny.

– Co?

– Nasz pokój. Rzeczy zniknęły.

– Jakie rzeczy?

– Książki o jaszczurkach. Moja rękawica i moje kije do baseballu, i mój

puchar mistrzostw.

– Aha, masz na myśli rzeczy Tommy’ego. No, trzymaliśmy je przez jakiś czas.

Bał się spojrzeć mu prosto w oczy. Czy ten dzieciak miał jakąś szczególną moc, jak upiorne dziecko w filmie? Może widział umarłych. Może duch Tommy’ego lubił się wokół niego kręcić. Miał to gdzieś, jaka była odpowiedź. Wszystko to było upiorne i nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Chciał zabrać tego dzieciaka do domu i pozbyć się go ze swojego życia.

– Jak mogłeś usunąć moje rzeczy?

– To nie ja. Tata zmusił mamę, żeby to zrobiła. Powiedział, że to nie będzie dla mnie dobre, kiedy już wrócę do domu.

Jego twarz się rozjaśniła.

– To ty też skądś wróciłeś?

– No, mieszkałem przez jakiś czas u mojej babci, wiesz, przez pierwsze sześć miesięcy z kawałkiem. Kiedy mama i tata byli zajęci szukaniem... Tommy’ego.

Te długie miesiące u babci. Nie myślał o nich od wielu lat. Klęczenie na dywanie, muzyka gospel odtwarzana przez babcię na starym gramofonie, zastanawianie się, co się działo tam w domu, czy już odnaleźli brata. Nigdy o tym nie rozmawiali. „Jeśli cokolwiek się wydarzy, pierwsi się o tym dowiemy”, mawiała, „więc zostawmy tych ludzi w spokoju, żeby mogli zrobić, co trzeba. Możemy jedynie się modlić, żeby on wrócił do domu”. Już wtedy było z nią źle, miała tak spuchnięte stopy, że ledwo mogła się podnieść z fotela, żeby uklęknąć. Jednak nie potrafił się modlić. Był zbyt przerażony.

– Kto zajmował się Rogogonem? – zapytał dzieciak.

– Zabrałem go ze sobą do babci – odparł i zaczął się śmiać. – Raz puściłem go wolno u niej na dywanie tylko po to, żeby napędzić jej stracha. Ani trochę jej się to nie spodobało.

– Nie, ona nienawidzi jaszczurek.

– Tak.

– I węży.

– Taak.

Spojrzał na dół przez konary drzewa. Widział snop światła policyjnych latarek, który przesuwiał się po polach i po lesie. Szukali dzieciaka, ale ten dzieciak unosił się wysoko ponad tym wszystkim, był całkowicie gdzie indziej.

– Przepraszam, że zepsułem twój okręt – powiedział dzieciak.

– Mój okręt?

– Twój okręt podwodny, który dostałeś od taty.

– Ach.

Ostatni raz, kiedy widział Tommy’ego. Ostatni dzień. Strasznie się pokłócili.

Tata wrócił z długiej podróży i przywiózł Charliemu błyszczący, nowy okręt podwodny, a Tommy dostał tylko książkę i, o rany, jakież on był wściekły.

Tommy chciał się pobawić jego okrętem, tylko jedną kolejkę, powtarzał ciągle, ale Charlie nigdy nie miał niczego, czego pragnąłby Tommy, zawsze bywało na odwrót, i uwielbiał swój nowy, błyszczący okręt, którego pragnął Tommy, więc odpowiedział: „Za nic”. Powiedział: „Weź sobie swój beznadziejny okręt”.

„Tylko jedna kolejka” – błagał Tommy.

„Nie” – odparł Charlie. – „Jest mój i nie wolno ci go nawet dotknąć”. – I wtedy Tommy wyrwał mu go z rąk, łamiąc peryskop na pół.

– W każdym razie przykro mi z tego powodu – twierdził teraz ten dzieciak.

– Nic się nie stało. To była moja wina. Powiniennem być pozwolić ci się nim pobawić – powiedział Charlie. Przyszło mu na myśl, że rozmawiał z tym dzieciakiem, jakby to był Tommy. Potem pojawiła się kolejna myśl (myśli uderzały w niego niczym ciosy, jedna po drugiej, aż zobaczył wszystkie gwiazdy), że tylko on i Tommy wiedzieli o tym, że Tommy złamał ten peryskop. Miał zamiar narobić mu kłopotów z tego powodu, ale zniknął, zanim Charlie miał szansę zadziałać. Spojrzał w ciemność przez szeleszczące gałęzie i poczuł, jak ogarniają go zawroty głowy. Usiadł na tyłku i wyciągnął długie nogi na niestabilnej podłodze. Spójrz – oto jego ciało, nogi pokryte gęsią skórką, błyszczące szorty, buty za kostkę.

– Złamałem to, bo byłem wściekły. Ten okręt był taki ładny – wyjaśnił dzieciak. – Nigdy nie miałem takiego okrętu podwodnego.

– W porządku.

Charlie siedział tam z rozdziawionymi ustami. Przyszło mu na myśl, że powinien je zamknąć.

– Jesteś nim, prawda? – zapytał, dziwiąc się tym słowom, ponieważ wychodziły z jego ust. – Jakim sposobem możesz być nim?

Zamilkli. Dzieciak przesunął dłonią po kółkach na grzbiecie jaszczurki.

– Dziękuję za dogłębne oglądanie Rogogona.

– Nie ma sprawy – odparł Charlie. Nagle był z siebie dumny, za to, że utrzymywał jaszczurkę Tommy’ego przy życiu. Poczował, jak całe jego ciało roznosi dumą, jak wtedy, kiedy był dzieckiem i udał mu się rzut piłką, a Tommy powiedział: „Dobry rzut, Charlie!”.

Dzieciak głąskał jaszczurkę tam i z powrotem po bokach, Rogogon patrzył na niego swoimi żółtymi ślepiami. Zastanawiał się, czy tęsknił za Tommym i teraz go poznał, czy też był to jeszcze jeden dzień w życiu jaszczurki.

– Przykro mi z powodu tego, co ci się stało – powiedział w końcu Charlie.

– Przecież tego nie zrobiłeś.

– Ale może mogłem temu zapobiec.

– Nie, Charlie. Byłeś małym dzieckiem.



Charlie przełknął ślinę. Bolało go w klatce piersiowej. Czuł, jak te słowa przechodzą, paląc go w gardło, a potem je powiedział:

– Mama kazała mi powiedzieć ci, żebyś wrócił do domu na obiad. Żebyś wrócił do domu od Oscara. Kazała mi, żebym ci to powiedział. Ale byłem wściekły na ciebie za to, że zepsułeś mój okręt, i nie chciałem z tobą rozmawiać i nie zrobiłem tego. A może gdybym to powiedział, wróciłbyś wcześniej do domu... może wtedy...

– Nie, Charlie. Tak czy inaczej, już wtedy nie żyłem.

– Nie żyłeś? – zapytał Charlie.

– Tak. Umarłem dość szybko.

– Co się stało? – zapytał Charlie. Przez całe lata czekał, żeby się tego dowiedzieć. Dzieciak nie odpowiadał. Znowu zaczęło mu cieknąć z nosa. Jaszczurka spokojnym krokiem zeszła po jego ręce na podłogę, więc Charlie podniósł ją i trzymał to chłodne, oddychające ciało w swojej dłoni. Po jakimś czasie usłyszał szelest na dole pod nimi. Ktoś tam był, oddychał. Ta osoba nic nie mówiła.

– Widziałem go – powiedział w końcu dzieciak.

– Kogo?

– Pauly’ego.

– Pauly’ego.

– Pauly’ego. Tego z naszej ulicy.

– Masz na myśli Paula Clifforda?

Skinął głową.

– To on... mnie zabił.

– Paul Clifford? Pauly z naszej ulicy? To on cię... zabił?

Skinął głową.

– O kuźwa. Paul Clifford? Co on zrobił?

– Nie mam pojęcia. To stało się tak szybko.

Dzieciak wziął głęboki oddech.

– Jechałem rowerem do Oscara i zobaczyłem brata Aarona, Pauly’ego. Powiedział... powiedział, że ma strzelbę i czy chciałbym sobie z niej postrzelać, to zajmie tylko minutkę. Więc powiedziałem, że dobra, skoro mówił tylko o minutce, a jak wiesz, mama nigdy nie pozwalała nam dotykać broni.

– Tak.

– Więc poszliśmy do lasu postrzelać i on strzelił do tych wszystkich butelek i nie dał mi wcale spróbować. Wobec tego zapytałem, czy teraz może być moja kolejka, a wtedy mnie zastrzelił.

– Zastrzelił cię? Bo upomniałeś się o swoją kolejkę?

– Nie wiem dlaczego. Nie wiem. Stałem tam, a potem już nic nie widziałem, pociemniało mi przed oczami. A potem obudziłem się i spadałem.

– Spadałeś?

– Moje ciało spadało, bardzo głęboko, woda była zimna. Tam naprawdę było zimno, Charlie, woda przykryła mi głowę, i zimno, i smród. Próbowałem wystawić głowę nad wodę, krzychałem i krzychałem, ale on mnie nie wypuszczał, Charlie, nie pozwalał mi się wydostać, więc krzychałem i krzychałem, i za każdym razem czułem w ciele ból, ciało naprawdę mnie bolało, ale ciągle krzychałem, i nikt nie przychodził i nikt nie nadchodził, i byłem tam całkiem sam, całkiem sam, i nie byłem w stanie nic zrobić. Próbowałem, Charlie, próbowałem naprawdę bardzo mocno, ale nie mogłem już utrzymać głowy nad powierzchnią wody. Było tam zimno i nie mogłem oddychać. Widziałem promienie słońca, które przeświecały przez wodę, świeciły bardzo mocno, oświetlając metalowe wiadro. Naprawdę było błyszczące. Widziałem, jak błyszczało w wodzie. A potem umarłem.

– Ludzie. O, ludzie. O, ludzie. – Nie mógł wydobyć z siebie niczego innego. Widział, jak jego brat Tommy się topił. Wszyscy tam byli, Tommy, on, mama i tata, wszyscy byli tam na dole, topili się w zimnej wodzie.

– Kurwa. Paul Clifford. Dlaczego miałby coś takiego zrobić?

– Nie wiem. Próbowałem go zapytać, dlaczego mi to zrobił, ale mi nie powiedział. Uciekł.

Dzieciak nie odezwał się ani słowem przez minutę. Z nosa ciekło mu do ust i wytarł go rękawem. Wybełkotał coś przyciszonym głosem.

– Co?

– Ona mnie nie chce, Charlie.

– Kto?

– Mama. Nie chce mnie widzieć. Całkiem o mnie zapomniała. A ja próbuję tutaj wrócić od dnia, w którym się urodziłem.

Nie wiedział, co powiedzieć. Położył rękę na plecach dzieciaka i masował je niewielkimi okręgami. Plecy chłopca kiwały się do przodu i do tyłu, kiedy brał duże hausty powietrza. Wszystko w porządku, pomyślał Charlie. Oddychaj dalej. Teraz tylko oddychaj. Oddychaj za nas wszystkich. Masz trochę do nadrobienia na tym polu.

Wszystkie jego uczucia wobec Tommy'ego były zamknięte w jakimś pokoju, a teraz drzwi się otworzyły i wypadły bez kontroli.

Spojrzał na tego dzieciaka. Mały, zasmarkany biały chłopiec, który jednocześnie był i nie był jego bratem. Nie mógł tego pojąć. Nawet nie próbował.

## Rozdział trzydziesty trzeci

– *Tommy?*

Denise stała pod drzewem i usłyszała, jak to imię wydobywa się z jej własnych ust. Dziwnie smakowało na języku i dziwnie brzmiało w jej uszach, jakby tylko je wypróbowała, jakby nigdy wcześniej w swoim życiu nie wypowiedziała tego imienia.

Stała tam, słuchając, czuła, jak w tym mroku kręci jej się w głowie, i nie trzymała się niczego. Nie było się czego chwycić, oprócz tych dwóch głosów, które brzmiały zupełnie jak głosy jej dwóch chłopców rozmawiających na tej chybotliwej stercie desek, w której mieli zwyczaj się chować. Głosy jej dwóch chłopców, wszędzie by ich rozpoznała, tylko że to nie oni. Słyszała i nie słyszała. Trzeba było coś zrobić, ale nie miała pojęcia co i nie wiedziała już, co było rzeczywiste, a potem usłyszała głos, który był jej własnym głosem wypowiadającym to imię.

– *Tommy?*

Nie chciała patrzeć. Nie chciała zobaczyć. Tam na górze nie było Tommy'ego. Wiedziała, że to nie był Tommy. Słyszała i nie słyszała. Tommy nie żył, a to był jakiś inny chłopiec.

Ale pomimo to chwyciła się drewnianych schodków przybitych gwoździami do pnia drzewa i wspięła się do góry, przeciskając przez dziurę swoje długie ciało.

Ten chłopiec nie wyglądał jak jej syn. Był małym białym dzieckiem, z włosami złotymi nawet w nocy, jak ze zdjęcia w katalogu JCPenney<sup>28</sup>. Nie takim jak jej słodki chłopiec z jasnobrązową skórą, która wydawała się rozświetlona od wewnątrz, i szerokim uśmiechem łamiącym serce. W niczym nie przypominał jej chłopca, który zaginął.

Siedziało tam jakieś inne dziecko z ręką Charliego na plecach.

Dziecko podniosło na nią wzrok. Było całe podrapane, z policzkami umazanymi ziemią, krwią i łzami, jakby właśnie o własnych siłach wyczołgało się z wnętrza piekła.

– Och, skarbie. – Wyciągnęła do niego ramiona, a on przygramolił się i rzucił się na nią, przyciskając swoje drobne ciało do jej ciała tak mocno, że aż wstrzymała oddech i oparła się o korę drzewa, tak rzeczywistą i chropowatą, i twardą pod kręgosłupem.

Nie wiedziała, czy gdzieś tam był Tommy. Nie wiedziała, jak to możliwe. Sądziła, że prawdopodobnie w tym całym swoim zakłopotaniu popełniła niezamierzony błąd, pragnąc tak gorąco, żeby tak było. Ale poznała go po spojrzeniu w jego oczach, które przypominało spojrzenie jej oczu. Należał do tych

zaginionych, należał do niej.

## Rozdział trzydziesty czwarty

*Paul się obudził. Było ciemno. Czuł się wyjałowiony. Czysty. Musiał zemdleć. Leżał na sosnowym igliwiu, patrząc przez gałęzie drzew na nocne niebo. Gwiazdzista noc. Widział gwiazdy, które na niego spoglądały. Było ich całe mnóstwo. Zawsze lubił gwiazdy. Nie robiły mu wyrzutów ani go nie osądzały. Tylko patrzyły. To wszystko nie ma znaczenia, tak mówiły gwiazdy. Bez względu na wszystko, to nie ma znaczenia.*

Nie chciał się poruszyć. Nie wiedział, co się z nim stanie, jeśli oderwie oczy od nieba.

Nadchodzili jacyś ludzie. Słyszał szelest ich kroków. Wyczuwał latarki, które wdzierały się w ciemność. Szli przez las. Zupełnie jak w filmie, tylko że w filmie byłyby jeszcze psy. W filmie biegłby, ciężko dysząc. Ale nie był w filmie. Leżał spokojnie, patrząc w niebo.

– Co to jest?

– Wydawało mi się, że coś zobaczyłem! – Usłyszał głosy na żywo i wysokie, przypominające zabawkowe, głosy trzeszczące w ich krótkofalówkach.

– Coś tutaj jest!

Nie coś, pomyślał. Ktoś.

Pomyślał, że powinien pobiec. Powinien uciekać. Ten chłopiec skądś się dowiedział i powiedział im, i teraz po niego przyszli. Ale poczuł, jak jego ciało umościło się głębiej w sosnowym igliwiu i ziemi.

Teraz przypominał sobie tamten dzień. Czternasty czerwca. Uświadomił sobie, że tak naprawdę nigdy go nie opuścił, przez cały czas w nim tkwił, w tamtym dniu, słuchając chłopca, który krzyczał z dna studni.

Zaczęło się od kota.

Miał świadomość istnienia tego kota przynajmniej od kilku miesięcy, jego kościstego ciała, czarno-białych łat, które w równym stopniu stanowiły element tła, co sraczkowaty trawnik albo pola kukurydzy za nim, albo szare ogrodzenie oddzielające ich posesję od działki McCluresów, i tego, że kot przechodził tamtędy codziennie. Przyglądał mu się bezmyślnie, kiedy wybierał się do szkoły, temu, jak schodził z ich płotu, ostrożnie stawiając jedną łapę za drugą, jakby miał jakiś plan, który realizował krok po kroku, i zazdrościł temu parszywemu kotu, że mógł sobie pójść wszędzie tam, gdzie chciał.

Potem pewnego dnia stał na zewnątrz, rzucając piłką tenisową w ścianę szopy, a kot przechodził obok po płocie, i spojrział na niego. Nikt ostatnio tak na niego nie patrzył. Człowiek widmo, czasami właśnie tak się czuł. Liceum było trzy razy większe niż jego gimnazjum, a przynajmniej nikt nie zwracał uwagi na

nowych i nie miał tam żadnych przyjaciół, ponieważ sprzedali dobry dom i przeprowadzili się na drugi koniec miasta do tego górnianego domu na wynajem. Wszyscy znajomi zostali w poprzednim liceum. Nikt się go nie czepiał, ale przeważnie popołudniami czuł się samotny, odrabiając lekcje, grając w gry wideo i w kółko rzucając piłką w ścianę szopy.

Nazajutrz, kiedy znowu wyszedł, żeby porzucić piłkę, i kot siedział na płocie, przyniósł mu miskę mleka – kot od razu przyleciał i wychłptał mleko.

Wobec tego zrobił tak samo następnego dnia, i jeszcze następnego, aż kot pojawiał się, gdy tylko dostrzegał go, kiedy wychodził przez tylne drzwi, jakby należał do niego. Pewnego razu stał tam i kot otarł się o niego. Poczł jego ciało, które przyciskało mu się do nogi. Kot miał zmierzwiłone futro i Paul obawiał się go dotknąć. Mógł mieć wszy albo coś takiego. Wydał z siebie niewyraźny dźwięk. Mruczenie. To uczucie powędrowało w górę po jego łydce i rozlało się po całym ciele. Sprawilo, że całe jego ciało mruczało.

Wtedy, w tamtą sobotę, wstał późno, zobaczył na zewnątrz kota, a kiedy nalewał mleko do miski, usłyszał krzyk.

– Co ty wyrabiasz?

Podniósł wzrok i zobaczył swojego ojca, który patrzył prosto na niego. Siedział w salonie, z jednym butem w dłoni, z czerwoną twarzą.

Paul był tak zszokowany, że dłoń mu zadrżała i mleko przelało się przez brzeg miski, rozprysnęło się po stole, kapało z drewnianego blatu, tworząc jeziorko na linoleum.

– Pytam, co ty wyrabiasz?

Podniósł wzrok. Typowa scena. Mama czytała na sofie, młodszy brat układał karty z graczami baseballu przed telewizorem, tata oglądał wiadomości, siedząc w fotelu... tylko że on nie oglądał żadnych wiadomości. Nadal patrzył na niego.

Tak jakby w ciemnościach ktoś nagle włączył zbyt oślepiające światło. Obserwował, jak powiększa się kałuża mleka na podłodze.

– Sprzątasz to – rzucił.

Wziął kuchenną ścierkę i wszystko wytarł. Miał nadzieję, że tata zostawi go w spokoju. Paul oblizwał usta. Tata nadal się w niego wpatrywał.

– Teraz pijesz mleko z miski?

– Nie.

– Wobec tego po co to robisz?

Spojrzał na gołe stopy ojca oparte na podnóżku. Najbrzydsze stopy, jakie widział, palce spuchnięte od artretyzmu, które musiały codziennie znosić jego eleganckie buty. W dawnych czasach przygotowywał mamie kawę, a potem wychodził rankiem, kiedy jedli śniadanie, spał do późna w weekendy i może jeszcze oglądał mecz w telewizji, ale obecnie w soboty wstawał przed wszystkimi i siedział z nogami opartymi na podnóżku, świecąc swoimi butami. Teraz

zmrużone oczy ojca wpatrywały się w niego, dwie czerwone szparki na groźnej, szarej twarzy, jakby to była wina Paula, że jego życie tak się ułożyło i przez cały dzień musiał stać i sprzedawać zestawy stereo ludziom, którzy chcieli tylko słuchawki do iPodów.

- Dla kota.
- Nie mamy kota – stwierdził jego tata.
- Przed domem jest kot.

Tata wyprostował się w fotelu.

– Myślisz, że to twój kot? Ten kot nie ma z tobą nic wspólnego. To nie twój kot. Myślisz, że będę żywił ciebie i jeszcze kota? Możesz sobie znaleźć pracę i sam zapłacić za mleko. Wtedy możesz sobie wziąć jakiegoś cholernego kota.

- On się uczy – rzuciła mama zza książki na sofie. – To jego praca.
- To powinien lepiej sobie radzić.
- Dobrze sobie radzi.

Czuł, że jego tata znowu się nakręca. Patrzył w ścianę. Ostatnio bardzo łatwo było go sprowokować.

– Jak dostateczny z wuefu może być dobry? Jak w ogóle można dostać dostateczny, jeśli przychodzisz na lekcje i nie jesteś całkowitym cieniem?

Mama podniosła wzrok, jakby była zła na to, że musi przerwać czytanie. Czytała ciągle te kryminały oparte na autentycznych wydarzeniach z potwornymi zdjęciami we wkładkach.

– To dopiero pierwsza klasa. Daj mu święty spokój, Terrance. On nie jest taki jak ty.

W szkole średniej tata zdobył mistrzostwo w zapasach. Trzymali te puchary na półce w poprzednim domu. Ale nie miał pojęcia, gdzie się teraz podziały. Mama większość takich rzeczy wyrzuciła.

Ojciec zamaszystym ruchem przejechał swój but pastą.

– Powiem. On jest cholernym rozczarowaniem.

Paul się nie odezwał. Początkowo myślał, że tata mówił o tym gościu w telewizji, o jakimś senatorze, który rozmawiał z prezenterem wiadomości, ale potem uświadomił sobie, że tata mówił o nim.

– Terrance... – zaczęła matka, ale powiedziała to słabym głosem. Jakby to jedno słowo pochłonęło całą jej energię. Przede wszystkim nie miała jej za wiele. Kiedy wracała do domu po nocnych zmianach w Denny's, nie miała już na nic ochoty.

Tata prychnął.

– Jakbyśmy mieli pieniądze na jakiegoś kota.

Przeniósł wzrok z powrotem na wiadomości.

Paul skończył sprzątać kuchnię, poszedł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami. Włączył playstation i dopadał tych wieśniaków jednego po drugim,

unicestwiał ich swoimi językami ognia.

Po jakimś czasie przeszedł na następny poziom i nadal odczuwał to wewnętrzne zdenerwowanie. Kiedy wyszedł z pokoju, nikogo nie było. Tata pojechał do pracy, a mama musiała zabrać Aarona na plac zabaw. Stał nieruchomo przez chwilę, wdychając pustkę domu. Włączył telewizor, szukając meczu baseballu albo czegoś, co zajęłoby jego myśli, ale niczego nie znalazł. Otworzył lodówkę, ale nie było tam żadnych jogurtów, które lubił. Ciągle mówił, żeby mu je kupiła, a ona z uporem kupowała inne. Wody sodowej też nie było.

– Musimy teraz zacisnąć pasa – wyjaśniała.

Cholerne rozczarowanie.

Wypił jedno z piw taty. Myślał, że dzięki temu poczuje się szczęśliwy i zrelaksowany tak, jak to działało na jego tatę, ale zamiast tego miał mdłości i uczucie pustki w głowie. Wolnym krokiem poszedł do sypialni rodziców. Otworzył kilka szuflad, rzucił okiem na bieliznę matki i szybko je zamknął. Przykucnął obok łóżka i wyciągnął spod spodu strzelby. Tata trzymał je w oryginalnych pudłach. Nie wolno im było ich dotykać, ale lubił czasem na nie popatrzeć, gdy był sam. Kiedy był młodszy, tata zabierał go do lasu, żeby poćwiczyć strzelanie do celu. „Ładnie, Pauly!”, chwalił, kiedy trafił w puszkę, sięgał ręką i mierzwił mu włosy. Robił z nim takie rzeczy przez cały czas, kiedy był małym dzieckiem.

Tata kiedyś polował, ale raz słyszał, jak mama powiedziała, że teraz był za bardzo skacowany, żeby cokolwiek ustrzelić.

Paul ostrożnie zdjął pokrywki pudeł, sięgnął ręką i pogładził metal. Piękne były.

Wyciągnął jedną z pudła. Chciał znowu poczuć ją w swoich dłoniach, przypomnieć sobie, jak to jest mieć taką moc. Pomyślał, że dobrze by było z niej wypalić. Mogłoby to uwolnić całe napięcie w jego głowie i to dziwne piwne uczucie w żołądku. Strzelić do celu na drzewie i wyobrazić sobie twarz swojego ojca. Cholerne rozczarowanie. A on tak bardzo starał się w swojej nowej szkole i dostawał przeważnie czwórki, a nawet piątkę z biologii. Wyjął kilka kul z pudła pod łóżkiem, wetknął strzelbę pod koszulę i skierował się ku drzwiom na tyłach domu.

Przeszedł przez dziurę w płocie i wyszedł na pola kukurydzy. Była tam stara droga gruntowa, która wiła się przez pola i w końcu okrążała las. Był piękny wiosenny dzień i przyjemnie było iść tą drogą z kukurydzą rosnącą po obu stronach, czując na brzuchu strzelbę. Całe jego ciało zaczęło drżeć z podniecenia. Myślał sobie, jak cholernie szkoda, że w pobliżu nie było nikogo spośród jego znajomych, żeby zobaczyli, jak trzyma strzelbę, kiedy usłyszał pisk opon na ziemi i zobaczył chłopca, który chybocząc się, jechał w jego stronę na swoim schwinnie, z rękami uniesionymi jakieś trzydzieści centymetrów nad kierownicą, z uśmiechem



szaleństwa na twarzy, jakby wiedział, że mama by go zabiła, gdyby zobaczyła, jak szybko jechał rowerem bez trzymanki.

Chłopiec zwolnił, kiedy go zobaczył, i położył dłonie z powrotem na kierownicy, żeby zjechać mu z drogi.

Paul widywał go w okolicy i nawet kiedyś grał z nim w spontanicznym meczu baseballu w Lincoln Park. Miał tyle lat co Aaron, ale był w porządku. Był naprawdę dobrym miotaczem jak na dziewięciolatka. Aaron zawsze tylko opowiadał o tym, jak dokuczał dwunastolatkom. Tommy był czarnoskóry, jak mnóstwo dzieciaków w sąsiedztwie, czym jakimś sposobem zyskał sobie sympatię Paula, chociaż Paul nie miał pojęcia dlaczego. Dzieciak przejechał na rowerze tuż obok niego i kiwnął mu głową (dlaczego ten chłopak nie mógł być jego bratem w miejsce Wkurzającego Aarona?), i pomyślał, a dlaczego nie? Nie zapowiadało się to na przyjaźń, ale lepsze to niż nic. Znużyła go ciągła samotność. Tommy mu było na imię.

– Hej! Tommy – zawołał.

Tommy minął go. Postawił stopy na ziemi i obejrzał się za siebie.

– Chcesz coś zobaczyć?

Tommy cofnął się trochę i spojrzał na niego znad kierownicy, jakby sądził, że to jakiś podstęp.

– Co to jest?

– Coś naprawdę fajnego. Podejdź tutaj. – Tommy zsiadł z roweru i podszedł do Paula. – Nie możesz nic powiedzieć Aaronowi. Jeśli powiesz Aaronowi, dowiem się o tym i pożałujesz.

– Nie powiem.

Nie był to taki dobry pomysł, pomyślał Paul. Jeśli on powie Aaronowi, to brat na pewno go zdradzi i wpakuje się w poważne tarapaty. Jaką byłby ofiarą losu, gdyby teraz się wycofał? Stałby się pośmiewiskiem całej okolicy.

Paul przesuwiał górną część strzelby coraz wyżej i wyżej, aż wyjrzała spod jego kołnierza.

– Patrz no tutaj.

– No, no! Fajne. – Najwyraźniej Tommy był pod należyтым wrażeniem. – To twoja?

Uśmiechnął się. Lubił tego chłopaka. Był cholernie fajnym dzieciakiem.

– Aha. Prawdziwa renegade kaliber pięćdziesiąt cztery. Ćwiczę strzelanie do celu. Chcesz spróbować?

– Nie wiem. – Na twarzy Tommy'ego widać było wahanie. Uśmiechnął się, a potem skrzywił, jakby nie mógł się zdecydować. Paul niemalże czytał w jego myślach: „Mojej mamie by się to nie spodobało”, myślał sobie. Z jakiegoś powodu sprawiło to, że Paul jeszcze bardziej zapragnął, żeby podszedł.

– No dawaj. Jednorazowa oferta. Kończy się dzisiaj.

– Jadę do Oscara.

– No dalej. Tylko na minutkę. Nikomu nie powiem. Założę się, że nigdy tego nie robiłeś.

Tommy odwrócił do niego twarz z tym dziwnym spojrzeniem, jakby chciał, żeby Paul powiedział mu, co ma zrobić. Jakby naprawdę chciał pojechać do domu swojego przyjaciela, ale równocześnie chciał wypróbować strzelbę i nie potrafił zdecydować, co ma wybrać.

– Pewnie jesteś też dobry w strzelaniu, tak jak w rzucaniu i w innych rzeczach.

Wiedział, że to zadziała, i zadziałało.

– No... dobra. Tylko jeden strzał.

I Tommy odstawił swój rower na bok, przy niskiej ścianie kukurydzy, i poszli razem drogą do lasu.

Tata zawsze zabierał ze sobą kawałek kartonu z zaznaczonym środkiem tarczy, kiedy szli ćwiczyć strzelanie do celu, ale nie pomyślał, żeby to zabrać. Kiedyś poszli postrzelać w takie miejsce w lesie, w którym była stara studnia z wiadrem kołyszącym się na szczycie i śmieciami dookoła, odkąd hippisi i rowerzyści włóczyli się po tej części lasu.

– Hej, Tommy, spójrz na to.

Chwycił butelkę po wodzie sodowej i ustawił ją na studni. Wziął strzelbę, poczuł jej ciężar w swoich dłoniach, spojrzął przez celownik i bez zastanowienia oddał strzał. Szarpnięcie prawie zważyło go z nóg, ale celowanie nie różniło się tak bardzo od tego w grach wideo.

– No, no! – krzyknął Tommy. – Dobry strzał.

Spojrzął na ziemię i zobaczył, że precyzyjnie strącił butelkę ze studni. Dokonała tego ta jego niemyśląca część. Kiedy o czymś zbyt dużo myślał, zawsze to partaczył.

– No. Dzięki.

Te wszystkie gry wideo musiały naprawdę wyćwiczyć jego koordynację oko – ręka. Tata zawsze beształ go za to granie, ale gdyby go teraz widział, wcale nie nazwałby go ciniąsem. Nie licząc tego, że zabiłby go za trzymanie broni w ręku.

– Możesz ustawić dla mnie butelkę? – poprosił Tommy'ego.

– Dobra. – Tommy podbiegł tam i ustawił kolejną butelkę na studni. Naprawdę fajny z niego dzieciak.

Wycelował w butelkę i tę także przewrócił. Niesamowite. Dwa na dwa.

Chłopiec przybiegł do niego zadyszany.

– Jesteś w tym dobry.

Tommy patrzył na niego z podziwem, jakby właśnie zdobył samemu mistrzostwo świata w strzelectwie wyborowym.

– Myślisz, że potrafię to zrobić jeszcze raz?

Tommy skinął głową.

– Jasne, że potrafisz, Pauly. Ale potem może być moja kolejka? – Chłopiec miał chętkę wziąć strzelbę w swoje ręce i pokazać, co potrafi.

Paul zastanawiał się, czy ten dzieciak okaże się lepszym strzelcem niż on. To było możliwe.

– Jeszcze tylko raz – obiecał Paul.

Tommy ustawił jeszcze jedną butelkę na kamiennej studni i cofnął się.

Paul wymierzył w butelkę, a potem przesunął celownik na stare, na wpół zardzewiałe wiadro, błyszczące nad nią w słońcu. Przyszła mu na myśl twarz jego taty, która mówiła „cholerne rozczarowanie”, i wtedy nacisnął na spust. Usłyszał ostry szcęk metalu, kiedy kula uderzyła i się odbiła. Ha!

Wiadro dyndało na linie. Spróbuj tak, dzieciaku, pomyślał.

– Udało się! – Odwrócił się do chłopca. Leżał płasko na ziemi.

Tommy się nie poruszał. Na plecach miał dziwną czerwoną plamę.

Paul rozejrzał się dookoła. W lesie panowała niczym niezmacona cisza. Nie było nikogo. Nawet nie było słychać śpiewu ptaków. Był ciepły, pogodny dzień. Jakby nic się nie stało. Zamknął oczy i chciał móc cofnąć czas o piętnaście sekund, zanim wycelował w to wiadro, ale kiedy je otworzył, chłopiec nadal leżał nieruchomo na ziemi.

Dlaczego nie mógł wycelować w tę butelkę, a nie w wiadro? Od butelki nic nie odbiłoby się rykoszetem. Butelka by się roztrzaskała.

Pozwolił, żeby ta myśl zaprzętała jego umysł przez jakiś czas, którego nie czuł (minutę, godzinę?), jakby poddając się jej, mógł tam pozostać, w przeszłości. Ale terazniejszość w końcu upomniała się o siebie uczuciem suchości w ustach i gorącem, które uderzało mu do głowy. Nie dało się tego cofnąć. On stał tutaj. Tam leżało ciało Tommy’ego. Miał zrujnowane życie. Prawdopodobnie resztę życia spędzi w więzieniu. Nie miał już czego się spodziewać. Nie mógł zostać weterynarzem ani w ogóle nikim.

To było nierzeczywiste. Jego życie się skończyło z powodu ciała, które tam leżało. Ale jeśli tego ciała by tam nie było, wtedy jego życie nie dobiegłoby końca i toczyłoby się dalej tak jak przedtem.

Zamknął oczy, otworzył je i znowu je zamknął. Ale za każdym razem, kiedy otwierał oczy, to ciało nadal leżało tam nieruchomo i z trudem był w stanie na nie patrzeć.

Jak życie mogło się tak szybko skończyć? W jednej chwili całe było przed tobą, niedoskonałe, ale twoje własne, a w kolejnej już go nie było. Położył strzelbę na ziemi. Nie mógł tego pojąć.

Nie miał zamiaru zabić Tommy’ego, ale nikt mu nie uwierzy. Pewnie pomyśla, że jest rasistą, ponieważ Tommy jest czarnoskóry. Tata go zamorduje. Udusi go gołymi rękoma. Mama nigdy już nie odezwie się do niego ani słowem.

A jeśli sprawiłby, że ciało zniknie? Życie chłopca było skończone. Nie miał zamiaru go zabijać, ale on był teraz martwy. Ale dlaczego życie Paula też miałyby się skończyć? Uświadomił sobie, że nie chciał stracić życia. Godzinę wcześniej nie wydawało mu się to dobrym rozwiązaniem, ale teraz pragnął je odzyskać bardziej niż cokolwiek innego.

Podniósł ciało Tommy'ego i zaniósł je do studni. Było lżejsze, niż sądził, że będzie, i z łatwością wrzucił je do słonawej wody. Usłyszał, jak plusnęło. Spojrzał na ziemię, gdzie leżał chłopiec, ale nie było tam żadnych śladów krwi ani żadnych śladów, że cokolwiek się wydarzyło. Stał tam, obok studni, oddychał ciężko i próbował pozbierać myśli. Zrobione, pomyślał. Już po wszystkim. To nigdy nie miało miejsca. Nigdy nie spotkał tego chłopca. Słyszał swój oddech i szczekanie psa gdzieś w oddali, a potem usłyszał plusk i coś, co brzmieniem przypominało głos.

To ten chłopiec. Tommy. Wołał. Nie był martwy. Był żywy, w studni, przynajmniej jakaś jego część. Może właśnie tam umierał. Pewnie już prawie umarł. Umrze za sekundę.

Głos był zachrypnięty i słaby, wołający o pomoc z głębokości co najmniej sześciu metrów. Usłyszał jakieś chlup chlup, jak chłopiec bił rękami o wodę.

Paul nie mógł się zmusić do tego, żeby tam zajrzeć albo odpowiedzieć. Ten głos owijał mu się ciasno wokół gardła. Biegał dookoła w poszukiwaniu winorośli, sznura albo czegokolwiek, czym dałoby się go wyciągnąć, ale niczego nie znalazł, żadnego sposobu, żeby wyciągnąć kogoś z takiej głębokości, a tym bardziej kogoś, kto zapewne właśnie umierał na skutek rany postrzałowej. Mógł pobiec po pomoc, ale byli jakieś osiemset metrów od najbliższych zabudowań i zanim pomoc dotarłaby na miejsce, chłopiec prawdopodobnie by już nie żył, a wtedy jak on by się z tego wytłumaczył? Tommy zastrzelił się, a potem sam się wrzucił do studni? Stał tam, próbując wymyślić, co by powiedział, co powinien zrobić, wszystkie te myśli przelatywały mu przez głowę, przez cały czas słuchał tego głosu, czując, jakby wydobywał się z wnętrza jego własnego ciała. Głos wołał: „Pomóż mi, Pauly! Pomóż mi! Wypuść mnie! Wypuść mnie! Wypuść mnie!”, a potem już tylko: „Mamo! Mamo! Mamo!”, a potem w końcu... zapadła cisza.

Już po wszystkim. Minał dłuższy czas, zanim zajrzał do studni i zobaczył tę samą ciemnozieloną, brudną wodę, która zawsze tam była. Słońce nadal świeciło. Podniósł strzelbę swojego ojca, naboje i pobiegł z powrotem przez las i drogą między polami kukurydzy, biegł dalej, obok roweru Tommy'ego, aż dobiegł do swojego domu. Odłożył strzelbę ojca na miejsce do pudła i wsunął je pod łóżko, wypił jeszcze jedno piwo ojca i oglądał telewizję. Już po wszystkim, pomyślał.

Wieczorem policjanci pukali do wszystkich drzwi w okolicy, a jego matka poszła z innymi przeszukiwać pola i lasy. Nazajutrz rano widział twarz Tommy'ego uśmiechającą się do niego z każdego słupa i witryny sklepowej

w centrum miasteczka. Osuszyli staw pływacki po drugiej stronie pól. Ktoś zgłosił, że widział Tommy'ego w Kentucky, ale to był fałszywy trop. Wezwali nauczyciela informatyki ze szkoły podstawowej na przesłuchanie, ale wrócił do pracy. Paul czekał, aż znajdą Tommy'ego w studni, ale nic się nie wydarzyło.

Tylko że to nic nie było niczym. To nic wżerało się w jego wnętrzności jak te pasożyty, o których czytał na lekcji biologii, jak ten robak w Afryce, który wgryza się w palec u nogi, kiedy pływasz, i zanim zdążysz się zorientować, pożera cię w całości. Za każdym razem, kiedy słyszał imię Tommy'ego, widział jego twarz, początkowo codziennie, a potem coraz rzadziej, w miarę jak upływały miesiące i lata, czuł, jak ten robak wżerał się w kolejną część jego ciała. Mózg mu się przewracał tak, że nie mógł skupić się w szkole. Kiedyś, jak był naprawdę naćpany, zobaczył twarz Tommy'ego na plakacie i myślał, że to jego własna twarz się do niego uśmiecha.

Do dzisiaj, kiedy usłyszał słowa Tommy'ego, które wydobywały się z tego małego białego dzieciaka.

Ci ludzie coraz bardziej się zbliżali. Słyszał, jak z szelestem przedzierali się przez zarośla. Powinien uciekać. Leżał nieruchomo i wsłuchiwał się w swój własny równy, spokojny oddech. Wpatrywał się we wszystkie te gwiazdy. Pewnie tak to się odczuwa, kiedy człowiek traci zmysły, pomyślał, ale miał tak jasny umysł, jakiego nie miał od dawna. Kiedyś chciał być dobrym człowiekiem, a przynajmniej nie złym człowiekiem, ale potem zastrzelił Tommy'ego Crawforda i tak bardzo się bał, że pozwolił mu umrzeć w tej studni. Nie chciał tego zrobić, ale właśnie tak zrobił.

Promienie światła latarek padły na ziemię, korzenie drzewa i przesunęły się na jego twarz. Zamrugał oczami od oślepiającego światła. To była policja. Rozpoznałby wszędzie te ich jednostajne, automatyczne głosy.

Zamknął oczy i znowu zobaczył gwiazdy. Całe napięcie w jego głowie opadało. Wypuścił je wraz z oddechem w niebo. Tak długo trzymał w sobie te słowa (to ja, ja to zrobiłem), a teraz mógł je wypuścić. Musiał tylko przemówić.

## Rozdział trzydziesty piąty

*Janie najpierw dostrzegła światło latarki, które nagle wyłoniło się na drodze. Kiedy podjechała do Andersona, spojrzał na nią przez szybę samochodu, nie rozpoznając jej w rozchełstanej koszuli, z obłąkanym wzrokiem. Jego widok ją zaszokował. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że aż tak zależało mu na jej synku. Otworzyła drzwi, zamrugał oczami, a potem wsiadł bez słowa.*

– Mam zamiar jeszcze raz przeszukać dom – powiedziała. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby przestać działać albo myśleć.

– Dobrze. – Skinął głową. Podjechali pod dom w milczeniu.

Jakiś detektyw w brązowym mundurze stał obok samochodu na podjeździe, kiedy Janie się zatrzymała. Szedł tyłem w jej kierunku, krzycząc do telefonu. Janie wysiadła z samochodu i spadły na nią jego słowa.

– Musimy to od razu osuszyć, niech to szlag trafi. Nic mnie nie obchodzi, jak jest głęboko, jeśli on twierdzi, że ciało dziecka tam jest...

Fragmenty zdań rozbrzmiewały echem w głowie Janie, pocięte na kawałki. Pomieszane.

„Osuszyć to...”

„Ciało dziecka...”

Czuła, że odpływa. To nie było rzeczywiste. Nie pozwoli na to, żeby to stało się rzeczywiste. Ucieknie daleko od miejsca, w którym to się działo.

– Wejść do domu. – Usłyszała głos Andersona, ale te słowa nic dla niej nie oznaczały.

– No chodź.

Dobrze było nie rozumieć słów. Jeśli pozwolisz sobie na rozumienie słów, wtedy je poczujesz i nie wiadomo, co się wydarzy.

Anderson wziął ją za rękę i próbował poprowadzić ją do przodu, ale nie miała czucia w stopach. Tym właśnie było ciało w nierzeczywistym świecie. Cieniem. Mężczyzna, który stał obok niej, był cieniem, detektyw był cieniem, postaci, które powoli przesunęły się w jej kierunku przez ogród, dwa wysokie cienie, jeden niski, jak dziecko, jak...

Noah! Serce Janie się zerwało. Rzuciła się do przodu.

Kurczowo obejmował Denise Crawford w pasie i spoglądał na nią. Piękny, brudny Noah, z kłębkami smarków na policzkach. Janie stała teraz przed nim, ale on nie odrywał wzroku od twarzy tej kobiety.

– Noah?

Nie patrzył na nią. Dlaczego Noah na nią nie patrzył? Jak to możliwe? Czuła, jak uginały się pod nią kolana. Upadała, ale coś było za nią, trzymało ją za

ramiona, podniosło ją do góry. To Anderson. Pozwoliła mu się podnieść.

– Noah! To ja! Mamusia!

Wtedy Noah się odwrócił. Ogarnął ją wzrokiem zdradzającym lekkie zdziwienie, z bardzo daleka, tak jak ptak w głębi lasu mógłby spojrzeć w dół na przechodzącą istotę ludzką.

Wszyscy się przyglądali, jak patrzył, próbował zaczerpnąć oddechu, ale nie mógł go złapać.

Oddychaj, Noah, oddychaj.

Nigdy nie było aż tak źle. W samochodzie Janie trzymała go na kolanach, z inhalatorem przyciśniętym do ust. Nie przejmowała się nawet fotelikiem samochodowym.

Błysk niebieskich i czerwonych świateł widoczny przez przednią szybę, wskazujący im drogę. Gdyby Noah był teraz przytomny, uwielbiałby to. Własna eskorta policyjna, a do tego jeszcze syrena i migające światła.

Oddychaj. Jego zwieszona głowa opierała się o nią, jakby był niemowlakiem. Pomimo kolejnego zmartwienia poczuła ulgę, trzymając go znowu w swoich ramionach, kiedy już myślała, że może nigdy nie mieć takiej szansy. Oddychaj.

– Wszystko z nim będzie dobrze, prawda? – zapytał chłopak od Crawfordów.

Nalegał na to, żeby pojechać, i siedział obok niej, bębniąc palcami po kolanach w szale perkusyjnej nerwowości. Janie chciała, żeby matka kazała mu przestać, ale Denise najwyraźniej nie zwracała na to uwagi. Siedziała z przodu na fotelu pasażera, wskazując Andersonowi drogę stłumionym głosem.

– Wydobrzeje – zapewniła Janie, mówiąc w równym stopniu do siebie, co do wszystkich pozostałych. – Mógłby dostać albuterol, który ma silniejsze działanie, ale podadzą mu go w szpitalu.

– Wcześniej to się zdarzało? – zapytał nastolatek.

– Tak. Ma astmę.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę.

– Więc to jest astma?

– Tak.

– Uff, co za ulga. Myślałem, że może przypomniało mu się to wszystko, co wydarzyło się ostatnim razem, i że on, no wie pani... znowu się topił.

Janie nie odzywała się przez chwilę. Trzymała mocno swojego chłopczyka, który z trudem oddychał i nie miał nic wspólnego z tą ani z żadną inną historią. Anderson odezwał się z przedniego siedzenia.

– To tak nie działa. Jednak czasem istnieje związek pomiędzy okolicznościami śmierci a... wadami. Czasem osoby badane, które mają astmę, w poprzednim wcieleniu utonęły albo zostały w jakiś sposób uduszone.

Zamknij się, Jerry, pomyślała Janie.

– Dobrze wiedzieć – wydusił w końcu Charlie.

Anderson rzucił na niego okiem w lusterku wstecznym.

– Rozmawiał z tobą na temat utonięcia?

– Tak. W studni. Był dość zdenerwowany.

– Nie rozumiem – Janie odwróciła się do Charliego. – Powiedział ci, że utopił się w studni? Dlaczego miałby tobie o tym powiedzieć?

– Może dlatego, że uważa mnie za swojego brata?

Spojrzała na niego – nastolatek, ubrany w podkoszulek bez rękawów w barwach Cleveland Indians i szorty, długie, żylaste ciało promieniujące młodością.

– Wierzysz mu?

– Tak naprawdę nie ma wyboru, kiedy się go posłucha, prawda?

Przywarła do Noaha. Opierał się o jej klatkę piersiową, kurczowo ściskając ją rączką za ramię. Wyczuwała każdy z jego oddechów, które z trudem wyciskały się z jego ciała.

– Chyba nie.

– Nie wierzysz mu? – Charlie patrzył na nią.

– Nie. Wierzę – odparła. I była to prawda.

– No, ale nie chce pani wierzyć? – Był bardziej spostrzegawczy, niż się wydawało.

– Chyba... Chciałam, żeby należał wyłącznie do mnie.

Roześmiał się.

– Uważasz to za zabawne?

Miał uśmiech, który rozpromieniał całą jego twarz. Jak uśmiech Noaha. Jak uśmiech Tommy'ego.

– Proszę pani, bez obrazy, ale pani nic nie wie – wyjaśnił. – On nigdy nie należał wyłącznie do pani.



## Rozdział trzydziesty szósty

*Janie sądziła, że ten obraz pozostanie na zawsze w jej pamięci. Noah, który leży na łóżku szpitalnym, blady, ale oddycha, jedną rączką trzyma przy ustach maskę z albuterolem, drugą ściska to, po co sięgnął w pierwszej kolejności, dłoń Denise. Denise siedziała obok niego, trzymając małą rączkę w swojej dłoni.*

Janie usiadła na krześle obok Denise. Myślała o tym, żeby usiąść przy swoim synu na miejscu tej kobiety, ale nie chciała robić przykrości Noahowi. W pewnej chwili Denise nieco uwolniła swoją dłoń z uścisku Noaha i przesunęła się, jakby proponowała Janie jej prawowite miejsce przy boku Noaha, ale chłopiec chwycił ją za nadgarstek, a ich spojrzenia spotkały się nad maską. Przyglądali się sobie nawzajem przez chwilę jak dwa konie, które dostrzegają się po obu stronach pola, a potem Denise lekko wzruszyła ramionami i znowu usiadła na swoim miejscu, kładąc drugą dłoń na jego rączce.

Po jakichś piętnastu minutach Janie nie mogła już tego znieść.

– Noah? Będę tuż za drzwiami. Na chwileczkę. Tuż za drzwiami – zapewniła, a oni oboje odwrócili głowy i spojrzeli na nią tak, jakby nie wiedzieli, że w ogóle była w tym pokoju.

Janie nie chciała go tak zostawiać, ale musiała wyjść. Potrzebowała powietrza. Zaczęła powoli wycofywać się z pokoju.

– Mamo?

Janie i Denise obie odwróciły się w jego stronę. Zdjął maskę.

Spojrzał na Janie.

– Wrócisz?

Nigdy nie sądziła, że nagły błysk strachu w oczach jej własnego dziecka będzie czymś, czym mogła się rozkoszować. Ale tamtego dnia wszystko stanęło na głowie.

– Oczywiście, skarbie. Wrócę za minutkę. Będę tuż za drzwiami.

– Okej. – Rzucił jej senny uśmiech zadowolenia. – Do zobaczenia wkrótce mamusiu-mamo.

– Załóż z powrotem maskę, kochanie.

Założył z powrotem maskę na twarz tą rączką, która nie trzymała się kurczowo Denise. Potem pokazał jej kciuk do góry.

Janie odsunęła zasłonę, ostrożnie zamknęła drzwi – zostawiła na nich dłonie i oparła tam czoło. Jeden oddech, potem drugi. Tak to się robiło. Jeden oddech, potem kolejny.

– Wszystko z nim w porządku, wiesz.

Odwróciła się. Wychudły, starszy mężczyzna siedział na krześle w holu. Był

to Anderson. Kiedy on tak zmizerniał?

– Niedługo go wypiszą – dodał.

– Tak.

Usiadła obok niego, patrząc wielkimi oczami na sufit, na małe ciemne ciała martwych owadów złapanych w pułapkę jasnej kuli światła. Jeden oddech, potem drugi.

– Co za dzień – westchnął Anderson.

– Powinam tam wrócić. Nawet nie znam tej kobiety.

– Noah ją zna.

Cisza.

– Większość z nich z czasem zapomina, wiesz – wyjaśnił Anderson. –

Obecne życie bierze górę.

– Czy to złe mieć nadzieję, że tak będzie?

Sztywne ciało Andersona wydawało się mięknąć. Poklepał ją po dłoni.

– To rozumiałe.

Kiedy zamknęła oczy, jasny owal światła świecił jej pod powiekami. Otworzyła je. Mąciło jej się w głowie.

– Tamten mężczyzna... ten, którego ujęła policja. To on zabił Tommy'ego?

– Możliwe.

– Czy Noah będzie musiał w tym uczestniczyć? W rozprawie?

Anderson potrząsnął głową, w kącikach jego ust pojawił się cierpki uśmiech.

– Poprzednie wcielenie to żaden świadek.

– Chyba masz rację – odparła. – Nadal nie rozumiem, jak oni go znaleźli.

– Przypuszczam... że to miało coś wspólnego z Noahem.

Zapyta później. Dowie się później. Ciało może udźwignąć jednorazowo tylko tyle informacji. Jeden oddech, i następny.

Anderson miał plecy wyprostowane jak strzała, dłonie na kolanach. Uwaga, spokój.

– Nie musisz tutaj czekać, wiesz – powiedziała. – Możesz pojechać do hotelu. Weź taksówkę. Odpocznij trochę.

– W porządku. Odpocznimy... w dniu po dzisiejszym dniu.

– Jutro.

– Właśnie. Jutro.

To słowo zawisło w powietrzu.

– I jutro – wyszeptał.

– „I jutro” – odpowiedziała. – „Tak życie pełnie z dnia w następny dzień”.

Spojrzał na nią, zdziwiony.

– „Aż do ostatniej zgłoski w księdze czasu; A każde »wczoraj« zostaje za nami niby ogarek, co przyświecał głupcom w drodze ku prochom śmierci”<sup>29</sup>.

– Znasz tego swojego Szekspira – powiedziała. Może też miał matkę, która

cytowała poetę.

Nagle poczuła, jakby jej matka była tam razem z nimi. Może i była. Czy ludzie mogli narodzić się na nowo i także być obecni jako duchy? Ale to temat na kolejną godzinę.

Anderson uśmiechnął się z żalem.

– Niektóre słowa pamiętam.

– Każdy czasem zapomina słów. – Przywołała w myślach to, jak zastępował pewne słowa innymi wyrazami. To, jak GPS go skołował. – Ale nie chodzi tylko o to, prawda?

Milczał przez chwilę.

– To zwyrodnieniowe. Afazja. – Uśmiechnął się cierpko. – Tego słowa nie zapominam.

– Och! – Poczuła, jaki to był cios. – Tak mi przykro, Jerry.

– Życie jest ważniejsze niż pamięć. Tak mi mówią.

– Tu i teraz.

– Tak.

– Pamięć może być przekleństwem – powiedziała. Miała na myśli siebie, Noaha.

– Jest, jaka jest.

Cisza.

– Wobec tego może sobie pójdę. – Położył dłonie na kolanach, jakby chciał wstać siłą woli.

– Właściwie... Możesz zostać jeszcze parę minut? – Nie dało się powstrzymać tej potrzeby, żeby nie zadźwięczała w jej głosie.

Jego oczy wydawały się srebrne w jasnym fluorescencyjnym świetle.

– Dobrze.

– Dzięki.

– Przynieść ci coś? – zaproponował. – Filiżankę kawy?

Potrząsnęła głową.

– A może jesteś głodna. Mógłbym pójść do tego... Mógłbym...

– Jerry?

– Tak? – Wyglądał... Jak on wyglądał? Po raz pierwszy, kiedy jej własna rozpacz w końcu zaczęła cichnąć, zobaczyła go takim, jaki był – to, jak ciężko pracował w życiu i z jaką odwagą, jak bardzo był teraz zmęczony i jak głębokie miał poczucie porażki.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co?

– Za to... co zrobiłeś dla Noaha.

Niewyraźnie kiwnął głową. Jego oczy zalśniły na krótko, po czym je zamknął. Usadowił się wygodniej na krześle, wyciągnął nogi i przełożył je na jedną

stronę, żeby nie blokować ruchu w holu. Czują, jak odpływa z niego napięcie, opuszcza jego ciało i unosi się w powietrze. Oparł głowę na ścianie z tyłu, obok jej głowy, ich włosy prawie, ale nie całkiem, musnęły się nawzajem.

Wypuścił łagodnie powietrze.

– Nie ma za co.

*John McConnell, emerytowany policjant z Nowego Jorku, który pracował jako ochroniarz, pewnego wieczoru tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, po pracy, zatrzymał się przy sklepie RTV. Zobaczył dwóch mężczyzn, którzy okradali sklep, i wyciągnął pistolet. Trzeci złodziej zaczął do niego strzelać zza lady. John też próbował do niego strzelić i nawet kiedy upadł, podniósł się i oddał strzał. Został trafiony sześć razy. Jedna z kul trafiła w jego plecy i przeszła lewe płuco, serce i pień płucny, naczynie, które odprowadza krew z prawej komory serca do płuc, żeby pobrać tlen. Został szybko odwieziony do szpitala, ale nie przeżył.*

*John miał bliskie więzi z rodziną i często powtarzał jednej ze swoich córek: „Bez względu na wszystko, zawsze będę się tobą opiekował”. Pięć lat po śmierci Johna Doreen urodziła syna o imieniu William. Chłopiec zaczął mdleć wkrótce po urodzeniu. Lekarze zdiagnozowali u niego atreżję zastawki pnia płucnego, która polega na tym, że pień tętnicy płucnej nie został prawidłowo ukształtowany, więc krew nie mogła być transportowana przez nią do płuc. W dodatku jedna z komór serca chłopca, prawa komora, nie wykształciła się odpowiednio na skutek problemu z pniem płucnym. Williama poddano kilku operacjom chirurgicznym. I chociaż będzie musiał zażywać lekarstwa, całkiem dobrze sobie poradził.*

*William miał wady wrodzone, które były bardzo podobne do śmiertelnych ran odniesionych przez jego dziadka. W dodatku, kiedy urósł na tyle, żeby mówić, zaczął opowiadać o życiu swojego dziadka. Pewnego dnia, kiedy miał trzy latka, jego mama była w domu i próbowała popracować w gabinecie, a William przez cały czas dokazywał. W końcu powiedziała mu: „Usiądź albo dam ci klapsa”. William odpowiedział: „Mamo, kiedy byłaś małą dziewczynką, a ja byłem twoim tatusiem, wiele razy źle się zachowywałaś, a ja nigdy cię nie uderzyłem!” ...*

*William wielokrotnie mówił o tym, że jest swoim dziadkiem, i rozprawiał o swojej śmierci. Powiedział matce, że w trakcie tego incydentu, kiedy zginął, strzelało kilku ludzi, i zadawał mnóstwo pytań na ten temat.*

*Kiedyś powiedział do swojej matki: „Kiedy byłaś małą dziewczynką, a ja byłem twoim tatusiem, jak się wabił mój kot?”*

*Odparła: „Masz na myśli Maniaka?”*

*„Nie, tego drugiego” – odparł. „Tego białego”*

*„Bostona?” – zapytała jego mama.*

*„Tak” – odpowiedział William. „Wołałem na niego Boss, prawda?”*

*Wszystko się zgadzało. Rodzina miała dwa koty, które wabiły się Maniak i Boston, i tylko John nazywał białego kota „Bossem”.*

*dr Jim B. Tucker, Życie przed życiem*

## Rozdział trzydziesty siódmy

*Kości nie kłamią. Tak mawiają archeologowie i mają rację.*

Kości nie wymyślają historii, ponieważ chcą, żeby im uwierzono. Nie powtarzają czegoś, co gdzieś podsłuchały. Nie mają percepcji pozazmysłowej. Są wiarygodne, niosą w swoich szczelinach prawdę o naszej niedoskonałej fizyczności i niepowtarzalności. Pęknięcie kości udowej, dziury w zębach. A więc nie mogły istnieć bardziej niezbite dowody, zgodnie z filozofią myślenia Andersona, niż kości zdecydowanie zidentyfikowane jako należące do Tommy'ego Crawforda, które odkryto w porzuconej studni w lesie, niedaleko domu Cliffordów.

Anderson stał obok Janie, Noaha i rodziny Tommy'ego i zaglądał do dołu w ziemi, do którego spuszczone drogą trumnę z drogimi kwiatami więdnącymi już w upale. Pomyślał, że powinien obserwować reakcje badanych na te uroczystości, ale tego nie robił. Zamiast tego myślał o tym, że kiedy nadejdzie jego czas, nie chce czegoś takiego dla siebie. Woli zostawić swoje poćwiartowane na kawałki ciało na szczycie góry, żeby się rozpadło i wykarmiło sępy, tak jak to robili tybetańscy mnisi – niech po cielesnej formie Jerry'ego Andersona pozostaną jedynie kości na skalnej półce. Myślał o tym, że nie zostało mu już tak wiele czasu, że nigdy nie pozwoli na to, aby jego ciało przeżyło duszę.

Ojciec chłopca, Henry, stał obok dołu, z łopatą w dłoniach. Nabrał ziemię na szpadel i wyrzucił ją wysoko nad trumnę, ziemia jakby zawisała chwilę w powietrzu i spadła, rozsypując się z głuchym odgłosem, a potem nabrał kolejną łopatę bez zatrzymywania się, aż przypominało to jeden długi, nieprzerwany ruch, nabieranie łopatą ziemi i zrzucanie ziemi, i znowu nabieranie, z twarzą zlaną potem.

Wszyscy mu się przyglądali. Noah, przygnębiony, stał między Denise i Janie, trzymając Janie za rękę. Charlie objął ramieniem matkę.

Oczywiście żadna liczba dowodów nie mogła przekonać kogoś, kto nie był otwarty na zmianę przekonania. Ludzie znajdowali takie odpowiedzi, jakie chcieli znaleźć. Zawsze tak robili. I zawsze tak będą robić. Anderson próbował się przed tym ustrzec we własnej pracy, wynajmował naukowców, żeby sprawdzali i ponownie sprawdzali jego dane, oraz kolegów, żeby recenzowali jego artykuły, nakłaniając ich do przestrzegania najwyższych standardów sceptycyzmu, ale pewna tendencyjność była nieunikniona. Jego koledzy byli jego kolegami. Chcieli mu ufać. Tak długo wierzył, że jeśli pozbędzie się w swojej pracy najmniejszego cienia subiektywizmu, to tylko kwestią czasu będzie, że jego dane zostaną uznane. Stanowiło to część bitwy, którą toczył, tylko że teraz był wczesny poranek, powietrze ciepłe, zapach ziemi intensywny i świeży, i poczuł, jak ta walka zaczęła się z niego ulatniać. Pozwólmy wierzyć ludziom w to, co chcą wierzyć.

Weźmy takiego detektywa Luddena – odpowiedzią, która miała największy sens dla detektywa Luddena, była percepcja pozazmysłowa. Andersona nigdy nie przestawało to zadziwiać. Oto racjonalnie myślący profesjonalista z intelektem ostrym jak brzytwa i podejściem człowieka zmęczonego życiem, który chwyta się jakiejś koncepcji superpercepcji pozazmysłowej Noaha jako z definicji bardziej prawdopodobnej niż to, że część świadomości chłopca mogłaby przetrwać w jakiś sposób po jego śmierci. Sprzedawca samosów<sup>30</sup> na ulicach New Delhi, taksówkarz w Bangkoku uśmialiby się jak głupi z takiej naiwności. Ale zdolności paranormalne były zjawiskiem, z którym przynajmniej wydziały policji w Ameryce miały jakieś doświadczenia... Wszyscy słyszeli kiedyś historie o poszlakach, do których w ten sposób docierano. Niektórzy od czasu do czasu sami zatrudniali jasnowidzów. A więc mały Noah Zimmerman to zadziwiająco silne medium, które wyczuwało ostatnie chwile życia Tommy'ego Crawforda. Co komu pasuje, detektywie.

I musiał przyznać, kiedy uspokoił się co do tego aspektu sprawy, że ten detektyw był zaskakująco dzielny. Zanim jeszcze zidentyfikowano szczątki, przesłuchał Noaha. Zrobił dokładne notatki i użył ich, żeby uzupełnić puste miejsca, uzyskać bardziej drobiazgowo przyznanie się do winy, chociaż zabójca niczego nie zataił. Ale detektyw chciał, żeby fakty zostały przedstawione w wyczerpujący i jasny sposób. Anderson to rozumiał, on chciał wiedzieć, co się wydarzyło, a czyż nie tego wszyscy pragnęliśmy?

Wszystko się zgadzało, mniej lub bardziej, z dowodami. Kości, poszarpane kulą żebra.

Ojciec chciał kary śmierci dla zabójcy, ale zdaniem matki to nie miało większego sensu. Prokuratorzy nie brali pod uwagę kary śmierci, ponieważ skazany się przyznał i w chwili popełnienia zbrodni był nastolatkiem. Poza tym ma szansę przemyślenia swojej winy jeszcze w tym życiu. Nie ma sensu przenosić jej do kolejnego wcielenia. Dlatego Anderson zgadzał się z Denise co do bezcelowości kary śmierci, chociaż ona sama nadal odmawiała używania słowa „reinkarnacja”.

Dusza Tommy'ego, tak to określała.

Co komu pasuje, przyjacielu. Co komu pasuje.

Ostatnio zastanawiał się głębiej nad karmą. Nigdy nie skupiał się na tym w swojej pracy – wystarczająco trudno było znaleźć potwierdzenie tego, że świadomość nie umiera, bez mieszania się w tę złożoność etycznych konsekwencji w czasie – ale czasami szukał danych, próbując sprawdzić, czy istniał jakiś związek pomiędzy rodzajem życia, jakie ludzie wiedli, a kolejnymi wcieleniami. Nie znalazł żadnych niezbitych dowodów, chociaż istniał niewielki odsetek osób, żyjących w pokoju i dostatku i pamiętających swoje poprzednie życie, w którym medytowały albo zachowywały się szlachetnie. Jednak ostatnio miał na ten temat swoje własne przemyślenia, że ignorancja, strach i złość – podobnie jak trauma

– być może przechodzą z jednego życia do drugiego, a przezwycięzenie ich może zająć kilka wcieleń. A jeśli złość i strach mogą przetrwać... to wobec tego jest oczywiste, że mogą również przetrwać silniejsze emocje, takie jak miłość. Czy właśnie z tego powodu ludzie odradzają się na nowo we własnych rodzinach? Czy właśnie z tego powodu niektóre dzieci pamiętają swoje relacje z przeszłości? A jeśli tak, to być może to zjawisko, te wspomnienia dzieci, które tak skrupulatnie badał, mimo wszystko nie są sprzeczne z prawami natury. Siła miłości – może właśnie to było fundamentalne prawo natury, które one potwierdzały, a którego dokumentowaniem i analizowaniem zajmował się przez ponad trzydzieści lat, nic o tym nie wiedząc. Potrzęsnał głową. Może mózg mu rozmiękał.

A może nie. Tak wielu pytań nie dopuszczał do siebie przez te wszystkie lata, a teraz kłębiły się wokół niego, dotykały go czymś w rodzaju trwogi, na swojej drodze do jakiegoś innego miejsca.



## Rozdział trzydziesty ósmy

*Denise nigdy się z tym nie pogodzi. Wiedziała o tym.*

Kości Tommy'ego na dnie studni.

Ona i Henry spędzili trochę czasu z tymi kośćmi. Kiedy policja zakończyła ich oględziny, opisywanie i fotografowanie, zakład pogrzebowy dał im czas przed pochówkiem. Przycisnęła je do piersi, przesunęła palcami po gładkich oczodołach, które mieściły jego błyszczące oczy. Były tam i jednocześnie ich nie było. Jakaś jej część chciała tych kości, chciała włożyć kości udowe pod poduszkę, wieczorem, kiedy kładła się spać, nosić ze sobą w torebce jego czaszkę, żeby zawsze mieć go przy sobie. Teraz rozumiała, jak ludzie wariowali, jak robili szalone rzeczy. Ale inna jej część wiedziała, że to nie był Tommy. Nie było go tam.

Kości Tommy'ego znajdowały się tam, gdzie Noah powiedział, że utonął. Przypuszczała, że to był dowód, jeśli ktoś go szukał, ale ona nie szukała. Jakimś sposobem przestało to dla niej mieć znaczenie.

A jednak jak mogło nie mieć znaczenia to, że ten chłopiec nosił głęboko w sobie część Tommy'ego? Fragmenty jego miłości. Miłości Tommy'ego do niej, która przetrwała w Noahu. To miało znaczenie, prawda?

Ale z pewnością wszyscy nosimy w swoim wnętrzu części siebie nawzajem. Więc jakież to miało znaczenie, czy wspomnienia należące do jej chłopca żyły we wnętrzu tego drugiego? Dlaczego my wszyscy ciułamy miłość, gromadzimy wielkie zapasy miłości, podczas gdy ona jest wszędzie wokół nas, przyplływa do nas i odpływa jak powietrze, pod warunkiem że jesteśmy w stanie ją poczuć?

Wiedziała, że większość ludzi nie poszłaby w jej ślady tam, gdzie ona dotarła. Pomyśleliby, jak Henry, że straciła panowanie nad sobą. Jak ktokolwiek mógł zrozumieć to, czego ona sama nie była w stanie pojąć?

Jej serce... coś się z nim stało. Właśnie to by powiedziała, gdyby uznała, że on jest w stanie ją usłyszeć. Wiedziała, że zostało złamane na dobre. Porwane na kawałki bez możliwości naprawienia. Nie liczyła na to, że się otworzy.

Nigdy nie pogodzi się ze stratą Tommy'ego. Wiedziała o tym.

Ani nie mogła być znowu tą osobą, którą kiedyś była. Nie było już w niej żadnego sprzeciwu, niczego, co by ją powstrzymywało, po całym życiu powstrzymywania się. Czowała każdy najmniejszy powiew przenikający ją na wskroś. To było przerażające, ale nie pozostało już nic do zrobienia. Miała teraz pęknięte serce i cały świat mógł się do niego wedrzeć.

Henry odciągnął ją na bok po pogrzebie. Pozostali ludzie stali przy swoich autach w upale, dając tej dwójce chwilę na żal po stracie w samotności. Stali obok wykopanej ziemi i sterty kwiatów, obok tej surrealistycznej, aczkolwiek znajomej

tabliczki, która nawoływała: Uwierzcie. Denise spojrzała spod przymrużonych oczu w słońcu na te wszystkie groby stojące w równych rzędach i na drzewa pochylające się nad nimi. Drzewa i kamienie, ziemia i niebo jak okiem sięgnąć.

Henry zamknął jej dłoń w swojej dłoni i poczuła, jak skóra zadrżała jej z ulgi, kiedy znowu poczuła bliskość jego ciała. Ścisnął jej palce i powiedział:

– Nie przyjdę do domu.

Wszyscy mieli się spotkać w jej domu na przyjęcie po pogrzebie. Wynajęła firmę cateringową. Czowała się zbyt poruszona w tej chwili, żeby poradzić sobie z oporem Henry'ego. Musiał przyjść.

– Tylko na chwileczkę, Henry. Proszę.

Trzymał ją za rękę, ale patrzył wilkiem.

– Nie wytrzymam z tymi ludźmi w jednym pokoju.

Wiedziała, których ludzi miał na myśli.

– Nie będą ci przeszkadzać. To nie ma znaczenia, Henry.

Puścił jej dłoń.

– Co masz na myśli, mówiąc „to nie ma znaczenia”? – Podniósł głos. – I to nie ma znaczenia, że oni są stuknięci, zapewne to też nie ma żadnego znaczenia?

Miała nadzieję, że gdyby dał radę spędzić kilka chwil z Noahem, to obaj by na tym skorzystali – Henry być może zrozumiałby to, co należało zrozumieć, i wzięłby dla siebie to, co by chciał. A wiedziała, że chłód Henry'ego ranił Noaha. W trakcie pogrzebu zauważyła, że chłopiec podniósł na niego rozżalone oczy.

– Rozmowa z nim może ci pomóc. I myślę, że pomogłoby to dziecku...

– Nie mogę uwierzyć, że to ty, Denise, spośród wszystkich ludzi... – Głos Henry'ego był szorstki. Spuścił głowę i chciała dotknąć tej znajomej mieszaniny czerni i siwizny, którą tak dobrze знаła, ale powstrzymała się. Jego oczy, kiedy ponownie podniósł wzrok, były błagalne.

– Wiem, że to trudne, brutalne – zaczął. – Ale nigdy nie sądziłem, że wpadniesz w coś takiego. Może powinienem był się tego domyślić po tym, jak sądziłaś, że Tommy jeszcze do nas wróci. A teraz znalazłaś sobie sposób, żeby nadal w to wierzyć, prawda? W obliczu tego wszystkiego.

– Uważasz, że to wszystko wymysły.

– Uważam, że robisz wszystko, co w twojej mocy, żeby wierzyć w to, że Tommy ciągle żyje. Myślisz, że ja tego nie chcę? Myślisz, że nie szukam go wszędzie, myślisz, że nie dostrzegam twarzy mojego syna w twarzy każdego dziecka w tłumie? Ale musimy trzymać się rzeczywistości.

Rzeczywistość. To słowo zapiekło ją niczym policzek.

– Myślisz, że nie wiem, że Tommy nie żyje? Stoimy nad grobem mojego syna. Wiem, że on nie żyje. Wiem, że nie wróci.

– Doprawdy?

– Przynajmniej nie jako Tommy. Ale... – Szukała po omacku słów. – Jakaś

jego część tutaj jest. Och, Henry. Nie wiem, jak to powiedzieć, a nawet gdybym wiedziała, i tak byś mi nie uwierzył. Ale przysięgam, jeśli spędzisz z nim trochę czasu. Doktor...

Henry prychnął.

– Doktor Anderson mówi, że ten chłopiec potrafi obliczyć punktację w meczach baseballu. Nikt go tego nie nauczył. Ty go nauczyłeś, Henry.

Henry potrząsał głową.

– W innym wypadku jakim sposobem mógłby coś takiego umieć, skoro nikt go tego nie nauczył?

Nie chciała wywołać tej sprzeczki, ale prawdziwy spór nie dotyczył faktów, niezależnie od tego, ile Anderson by ich zgromadził. Fakty były ważne, wiedziała o tym, ale wiedziała również, że tego mężczyzny nie przekona żadna, nawet najdłuższa lista cech charakteru albo wypowiedzi. Nie miała pojęcia, co go przekona.

– Nie wiem – odparł Henry.

Domyślała się, słysząc duże napięcie w jego głosie, że go traciła, że kończyła się jego wytrzymałość w tej rozmowie. Gdyby potrafiła znaleźć właściwe słowa. Czowała boleśnie, że jej małżeństwo, a raczej to, co z niego zostało, ważyło się właśnie na szali.

Henry odwrócił się do niej, rysy jego twarzy zapadły się, jakby żal zwiększył siłę grawitacji.

– Wiem, że mój syn nie żyje. Wiem, bo trzymałem w rękach jego kości. I czuję to w głębi duszy, jeśli w ogóle istnieje, w co szczerze wątpię. Mówiąc szczerze, Denise, jestem tobą rozczarowany. Zawsze byłaś jedną z najbardziej rozsądnych osób, jakie znałem. A teraz zostawiasz mnie z tym samego. Nasz syn nie żyje, a ty zostawiasz mnie z tym samego, żebym poszedł posłuchać jakiegoś stukniętego, małego białego chłopca.

– On nie jest stuknięty. Gdybyś mógł tylko...

– Zabijasz mnie tymi bredniami. Wiesz co? Mordujesz mnie tu, gdzie teraz stoję. Chyba straciłaś swój cholerny rozum.

Spojrzała na tego mężczyznę, który nadal był jej mężem. Cierpiał i nie mogła mu pomóc. Pogarszała jego stan. Położyła mu rękę na ramieniu i poczuła pod palcami napięte mięśnie, ten ból przelewał się z jego ciała do jej ciała, jak woda, która znalazła nowe naczynie.

– Może i tak. – Te myśli nie były jej myślami. To prawda.

Oczy Henry'ego złagodniały. Denise poczuła, jak ulga wzbiera w jej piersi.

– Możemy zorganizować ci jakąś pomoc, Nise. – Objął ją potężną ręką w pasie. Trzymali się nawzajem, lekko się kołysząc. – To wszystko ma sens...

– Wskazał na grób, na cmentarz. – To zrozumiałe. Teraz to widzę. Jeśli trzeba będzie, znajdziemy ci nowego lekarza. Tak naprawdę to nigdy nie lubiłem tego

Fergusona.

Lekki wietrzyk wzbił się w powietrze i zawirował wokół nich. Wsparła się na silnych ramionach swojego męża i pozwoliła sobie paść w ramiona tego znajomego psychicznego komfortu. Tęskniła za tym. Tęskniła za nim. Lilie na grobie Tommy'ego poruszały się w tę i w tę na wietrze, jakby potrzęsały swoimi główkami. Zbyt słodki zapach kwiatów uderzył w jej nozdrza ciężką wonią świeżo wykopanej ziemi. Pod ziemią trumna, kości. Kości Tommy'ego. A jednak nie Tommy'ego. On był wszędzie, połączony ze wszystkim, i z tym wiatrem, i z Noahem. Nie wiedziała, jak to możliwe, ale nie potrafiła udawać, że jest inaczej. Nawet przed Henrym. Uwolniła się z jego uścisku i przykucnęła, przesypując odrobinę ziemi między palcami.

– Przykro mi, Henry. Nie chcę cię z tym zostawiać samego, naprawdę nie chcę. Też za nim tęsknię, w każdej sekundzie dnia. – Nabrała kolejną garść ziemi i pozwoliła jej się przesytać, suchy deszcz pod palcami. Przyszła jej na myśl twarz Tommy'ego. Skupiła się na jego uśmiechu. Nie mogła patrzeć na Henry'ego. – Ale Noah nie jest stuknięty. Ma w sobie cząstkę Tommy'ego. Część wspomnień Tommy'ego i część jego... miłości. Także do ciebie... – zaczęła mówić i odwróciła się, ale Henry, ze swoimi szerokimi, znikającymi w oddali plecami, już od niej odchodził.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

*Każde przyjęcie pogrzebowe było inne, jak przypuszczała Janie. Nie była na zbyt wielu przyjęciach pogrzebowych. Żydzi wyprawiają sziwę<sup>31</sup>, inny rodzaj przyjęcia, aczkolwiek na ten sam temat.*

A niektórzy ludzie, jak Tommy Crawford, mieli czuwanie przy zwłokach. Ta uroczystość odbyła się poprzedniego wieczoru, w cichym, pełnym ludzi pokoju, w domu żałobnym. Ona i Noah wytrzymali tylko kilka chwil w tym pomieszczeniu, wpatrując się w błyszczącą, drewnianą trumnę przykrytą kwiatami. Trumnę, w której spoczywały kości Tommy'ego, zdjęcie dziecka oparto z boku.

Noah gapił się na to zdjęcie. Gładka, brązowa skóra, szelmowski uśmiech.

– To ja! – krzyczał Noah. – To ja!

Musiała szybko go stamtąd wyprowadzić. Głowy odwracały się w ich kierunku, szepcząc. Dostrzegła z boku twarz ojca Tommy'ego patrzącego na nich wilkiem, kiedy wyciągała Noaha z pokoju i ciągnęła go za sobą korytarzem, aż wyszli w noc.

Czuwanie przy zwłokach. Ale dlaczego tak to nazwano? Czuwanie przy zwłokach – jak wzburzone fale za przepływającą łodzią, niestabilność, która następuje po jakimś ważnym wydarzeniu? Tak po prostu czuwanie?

Czy też czuwanie jako konieczność?

Obudź się, Janie.

Nabiła na wykałaczkę kilka kawałków indyka, nałożyła je na talerz i balansując nim na otwartej dłoni, dodała odrobinę sałatki ziemniaczanej, ogórka kiszzonego dla siebie, i trochę żółtego sera i ananasa dla Noaha. Pokój był pełen ludzi, których nie знаła, ubranych w ciemne garnitury i sukienki. Ludzi, którzy znali Tommy'ego. Wszyscy rozmawiali, odnawiając znajomości. Tommy nie żył od wielu lat, świeżość szoku i smutku przetransponowała się, uwewnętrzniała.

Grupa nastolatków zgromadzona wokół stołu z jedzeniem, dziwacznych w swoich garniturach. Też nie wiedzieli, co mają zrobić z talerzami. Trzymali je niepewnie w dłoniach, pakując sobie nieudolnie do ust kopiaste łyżki sałatki ziemniaczanej.

Denise przechodziła obok, wołając: „Dzięki, że przyszliście, dzięki, że przyszliście”. Płonęła. Nie było na to innego określenia. Janie powiedziałyby, że to pewnie żal, jeśli już musiałyby to jakoś nazwać. Ale nie można było od niej oderwać wzroku.

Sala zaczęła zwalniać. Brzęk sztućców, szepty – teraz już ucichły, uspokoiły się. Rzeka odgłosów, która płynęła przez pokój. Noah stał po drugiej stronie pokoju, obok Charliego, z jaszczurką na ramieniu, duża głowa nastolatka

pochylona pod kątem. Ostre światło słoneczne w oknach salonu odbijające się od włosów Noaha. Ciepły dzień, skwar lśniący na ich odprężonych twarzach, blady połysk na powierzchni sałatki ziemniaczanej na talerzu Charliego.

Noah rozmawiający z Charliem, opowiadający Charliemu o czymś, o jeszcze jednej rzeczy, o której ten nigdy nie wiedział. Kropla w oceanie.

Obudź się, Janie.

Znowu przyszedł jej na myśl fragment wiersza Emily Dickinson:

*Jak Błyskawica – gdy się Dziecku*

*Naturę jej naświetli –*

*Tak prawda niech olśniewa z wolna,*

*Abyśmy nie oślepli<sup>32</sup>.*

Gość ciał w tym pokoju. Noah, który stoi w blasku słońca. Nie było gdzie usiąść, pokój usuwał jej się spod nóg, ściany wystrzeliły w górę do nieba...

Przykucnęła na dywanie. Z talerzem na kolanach.

Tak wiele obcych osób – starsi ludzie ściskający się nawzajem, potrząsający głowami. Ponurzy, zawstydzeni nastolatki. Anderson stał pod ścianą i obserwował. Denise. Charlie. Noah.

Była jedyną osobą w tym pokoju, która nie знаła Tommy'ego, z wyjątkiem Andersona.

I oczywiście z wyjątkiem Noaha, którego tak naprawdę... nie można było... w to wliczać.

Pojawił się chichot, który drapał ją w gardło, jak wygłodniała mysz. Wędrował do góry i wydostawał się na zewnątrz. Ukryła twarz w dłoniach.

Ale w zasadzie wszystko było w porządku, ponieważ tak naprawdę się nie śmiała. Płakała. Potwierdzały to łzy na styropianowym talerzyku, kapiące na kostki żółtego sera. To było zupełnie normalne na przyjęciu pogrzebowym. Może nawet dobrze widziane. Miejmy nadzieję, że ci wszyscy ludzie myśleli, że znała Tommy'ego. Może myśleli, że była jego nauczycielką gry na fortepianie. Wyglądała jak nauczycielka gry na fortepianie. Nieprawdaż? Chociaż nie potrafiła zagrać ani jednej nuty. Może powinna się nauczyć. Noah mógłby nauczyć ją tematu przewodniego z *Różowej Pantery*...

Ciekło jej z nosa przez palce, śliskość smarków, słona plama łez.

– Dobrze się czujesz?

Denise stała z talerzami w dłoniach.

Podniosła wzrok.

– Ja...

– Chodź ze mną.

Sypialnia Denise była słoneczna. Zasłony zostały całkowicie odślonięte na boki i Janie musiała zakrywać oczy przed tym oślepiającym blaskiem. Usiadła na łóżku. Miała czkawkę, z oczu płynęły jej łzy. Denise przyniosła jej pudełko

chusteczek.

– Mogłabym dać ci tabletkę, ale może cię ogłuszyć.

– Myślę, że już jestem ogłuszona.

Denise oschle skinęła głową. Zachowywała się teraz jak kompetentna, energiczna pielęgniarka.

– Chcesz ibuprom?

Nie tego potrzebowała, ale weźmie.

– Będzie dobry.

Położyła się na łóżku i próbowała się wyciszyć, kiedy Denise krzątała się po łazience. Potem zerwała się na równe nogi.

– Ojej! Noah. Muszę wracać...

– Charlie go pilnuje. – Wróciła do pokoju z tabletką w jednej dłoni i szklanką wody w drugiej. – I doktor też tam jest.

– Tak, ale...

– Nic mu nie jest. Siadaj.

Usiadła. To światło w pokoju oślepiało. Wzięła tabletkę, której nie potrzebowała, i ją połknęła. To nie ból stanowił przyczynę tego uczucia pustki w głowie. To rzeczywistość. Siedziała na zbyt wymyślnej kapie w kwiatowy deseń w pokoju tej drugiej kobiety... to było rzeczywiste. Światło słoneczne w jej oczach też było rzeczywiste. I jeszcze ta druga kobieta, która też była rzeczywista. Rzeczywistość tej sytuacji miała jeszcze szerszy wymiar... ale co ona miała z tym zrobić? Na samą myśl o tym kręciło jej się w głowie.

– Przepraszam. – To słowo wyrwało się bez zastanowienia.

– Za co? – Z twarzy Denise nie dało się nic odczytać.

– Za to, że wyciągnęłam cię z... przyjęcia. – To słowo boleśnie zawisło między nimi. Janie się skrzywiła. – To znaczy, z czuwania... Nie, nie o to mi chodzi. Mam na myśli... Przebudzenie.

Denise wzięła od niej szklankę.

– Charlie dobrze sobie radzi z dziećmi – kontynuowała, jakby chciała przywrócić ją z powrotem do normalności swoim trajkotaniem. – Od zawsze próbuję go namówić na opiekowanie się dziećmi w okolicy. Żeby zarobił trochę pieniędzy, zamiast wyprowadzać je z mojego portfela na Bóg wie co. Komiksy, niezdrowe jedzenie, gry wideo, przeważnie. A to tylko rzeczy, o których mi wiadomo.

– A niech to. – Janie usiłowała pojąć, co mówiła ta kobieta. – Taki nastolatek to musi być trudne... W tym momencie właśnie próbuję przetrwać przedszkole.

– Charlie jest dobrym dzieciakiem. Ale nie znosi się uczyć. A na dodatek jest dyslektykiem... Więc... – Potrząsnęła głową ze smutkiem.

– Dysleksja... skąd wiadomo, że oni to mają? – Nie zastanawiała się nad tym. Jeszcze jedna rzecz, którą trzeba się martwić.

Denise podała jej chusteczkę i obserwowała, jak Janie wydmuchiwała nos.

– Zazwyczaj około pierwszej klasy – kiedy zaczynają czytać – wtedy zaczynają być widoczne zaburzenia uczenia się.

– Ach. Rozumiem. – Próbowала sobie przypomnieć, czy Noah miał jakieś problemy z rozpoznawaniem liter. Zdaje się, że był w tym niezły. – Czy Tommy też...

– Tylko Charlie. – Jej głos był opryskliwy.

Janie rozmyślała o tym przez chwilę. Był jakiś związek dziedziczny, prawda? Ale czy można odziedziczyć coś po rodzinie swojego poprzedniego wcielenia? Znowu zaczęło jej się kłębić w głowie. Wzięła głęboki oddech. Gdzie kończył się Tommy, a zaczynał Noah? Co mieli z tym wspólnego Denise i Henry? Chciała zapytać o to Denise, ale nie miała odwagi.

– Przypuszczam, że zanim stają się nastolatkami, znasz ich już od podszewki.

Po raz pierwszy Denise ledwo dostrzegalnie uśmiechnęła się.

– Żartujesz? Przez większość czasu nie wiem nawet w połowie o tym, co siedzi w głowie Charliego. On po prostu... zniknął mi z oczu. – Słowa ciężko zawisły w powietrzu. Jej twarz znowu stała się nieobecna. Janie chciała wypełnić przestrzeń między nimi, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

Rozejrzała się po pokoju. Nie było tam na co patrzeć, z wyjątkiem zdjęć – szkolnych zdjęć Charliego i Tommy'ego – na ścianie (rozpoznała to zdjęcie z artykułu w gazecie), pozostałych na stoliku nocnym. Oprawiona w ramki fotka dziecka uczącego się chodzić, które chwiejnym krokiem idzie po podłodze w kierunku pięknej, młodej kobiety ze złotymi kolczykami w kształcie kół i otwartymi ramionami.

– To był dzień, w którym Charlie nauczył się chodzić – powiedziała po prostu Denise. Stała tuż obok, spoglądając jej przez ramię. – Zaczął od jednego czy dwóch kroków, po czym przeszedł płynnie przez cały pokój. Wygląda tak, jakby szedł do mnie, ale tak naprawdę szedł do swojego brata, tuż za moimi plecami. Ubóstwiał tego chłopaka.

Janie spojrzała jeszcze raz na zdjęcie. Nie zdawała sobie sprawy, że ta kobieta na fotografii to Denise. Wzięła do ręki zdjęcie, które stało obok.

Zdjęcie Tommy'ego, który skakał z drewnianej tratwy. To była fotka, ale aparat uchwycił słońce lśniące na wodzie, grubo ciosane drewno tratwy. Tommy został ujęty w powietrzu, z rozrzuconymi nogami. Rozpoznała tę czystą radość na jego twarzy. Znała ten wyraz twarzy. Nie mogła oderwać wzroku.

Denise rzuciła okiem na fotografię.

– To było obok domku nad jeziorem. Jeździliśmy tam każdego lata. – W jej głosie słychać było melancholię. – Tommy uwielbiał to miejsce.

– Wiem – odparła Janie. – Noah o tym opowiadał.



– Opowiadał? Naprawdę?

– Opowiadał nauczycielkom, że to były jego ulubione wakacje – wyjaśniła Janie. Te słowa przez chwilę zawisły w jej umyśle i czekała, aż pojawi się zazdrość. Ale nie poczuła żadnej zazdrości, patrząc na to zdjęcie, które wyglądało na kwintesencję radości Noaha. Poczuła, jak wzbiera w niej coś innego – wdzięczność. On miał tutaj dobre życie z Denise. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że nie mogła oddzielić tego od kochającego, tryskającego energią chłopca, który jej się urodził.

Denise delikatnie wyjęła zdjęcie z jej dłoni i umieściła je z powrotem na nocnym stoliku.

– Płakał i płakał, kiedy musieliśmy wracać do domu – zamyśliła się. – „Kiedy tam wrócimy, mamo? Kiedy wrócimy?”. W samochodzie, przez całą drogę powrotną. Doprowadzał nas wszystkich do białej gorączki.

– Wyobrażam sobie – powiedziała Janie. – Bardzo się przywiązuje. Zawsze taki był.

Ale co oznaczało „zawsze”? Kiedy zaczynało się „zawsze”?

– Nie byliśmy tam od lat. – Oczywiście zaszły łzami. – Może...

Ten pomysł zamigotał przed nimi w pokoju, iluzja jeziora i chłopca o blond włoskach, który do niego wskakuje. Janie odwróciła wzrok od dziecka na zdjęciu. Zbyt dużo do zastanawiania się. To marzenie zbladło, zanim któraś z nich odważyła się je nazwać.

– Wygląda na to, że dość spokojnie do tego wszystkiego podchodzisz – powiedziała Janie.

– Spokojnie. – Denise się zakrztusiła. – Cóż. Nie znamy się, prawda?

– Tak. Nie znamy się.

W salonie słychać było wybuch śmiechu.

– Zdaje się, że muszę tam wracać – wyjaśniła Denise. – W moim domu jest mnóstwo ludzi. I zbyt dobrze się bawią. Mimo wszystko to pogrzeb.

Uśmiech, który unosił do góry kąci jej ust, wyglądał na przymocowany wyłącznie siłą woli. Przyglądała włosy do tyłu w kierunku koka, chociaż nic nie odstawało.

– Dobrze. Ale... Jeszcze jedno...

Kobieta stała tam, czekając. Janie poczuła, jak wszystkie jej pytania buzowały w niej. Nie mogła ich już dłużej powstrzymać.

– A co, jeśli Noah się z tego nie otrząśnie? A jeśli będzie chciał być tutaj przez cały czas, tak jak chciał przebywać nad jeziorem?

Denise zacisnęła usta.

– Twojemu synowi nic nie będzie. Jego mama kocha go jak szalona.

– Mamusia-mama – poprawiła.

– Co?

– Jestem mamusią-mamą. Ty byłaś mamą. Tak cię nazywał.

Denise spojrzała na nią, marszcząc brwi, z rezerwą. Nie powinnam była tego mówić, pomyślała Janie. Ale teraz już było za późno.

– A co z twoim synem? – zapytała.

– Charlie też sobie poradzi – odparła Denise, ale w jej głosie nie było słychać pewności. Brzmiał tak, jakby chciała stamtąd wyjść.

– Miałam na myśli twojego drugiego syna. – Nie był to odpowiedni sposób, żeby o tym powiedzieć. Nie wiedziała, czy w ogóle istniał jakiś odpowiedni sposób. Co o tym wszystkim sądzisz? – tak chciała zapytać. Co to oznacza?

To tak, jakby Janie nadepnęła na złamany palec u nogi. Oczy Denise zapłonęły.

– Tommy odszedł.

– Wiem. Wiem. Ale...

– Nie.

– Ale Noah...

– To jest ktoś inny – powiedziała ostro. Jej oczy błyszczały. – Twój syn.

– Tak. Tak, jest moim synem, ale... sama widziałaś, prawda, powiedziałaś, że widziałaś, że jego wspomnienia... wyglądają na prawdziwe. Były prawdziwe. Prawda? A kości były... – Nie było żadnego sposobu, żeby wyrazić to, co chciała powiedzieć. Potrząsnęła głową.

Denise stała, krzywiąc się w świetle słońca, które łamało się na jej twarzy.

– A więc... – Janie kontynuowała dalej żałośnie, nie mogła teraz przestać.

– Czy to przynosi jakąś ulgę? Czy to pomaga?

Denise nic nie odpowiedziała. Stała w promieniu światła wypełnionym wirującym kurzem. Wyglądała jednocześnie na sparaliżowaną i w kompletnej rozterce – Janie nagle poczuła się zawstydzona tym, że zapytała.

– Nie wiem – odpowiedziała powoli Denise.

– Chodzi o to, że... wyglądasz, jakbyś o czymś wiedziała.

– Naprawdę? – Denise zaczęła się śmiać. – Bo miałam swego rodzaju nadzieję, że ty o czymś wiesz.

A potem roześmiały się obie – tym mocnym, bezradnym śmiechem, który przyprawiał Janie o ból brzucha, parskwały śmiechem z tego kawału, jaki im obu zrobił wszechświat. Ta chwila trwała dłużej, niż Janie przypuszczała, aż obie w końcu zrobiły krok do tyłu, ciężko dysząc. Łzy płynęły z kącików oczu Denise i przesunęła palcami po policzkach.

– Ojej. Pomyślą, że sobie tutaj wyplakuję oczy – powiedziała.

Słowa położyły się cieniem na pokoju.

– Nie powiem im.

– Lepiej nie.

Spojrzały na siebie nawzajem. Odczuwały jedność, a jednak każda z nich

była z tym sama.

– Chyba lepiej już pójdę – powiedziała z ociąganiem Janie. – Zanim Noah zje wszystkie brownie.

Denise otarła oczy chusteczką.

– Och, pozwól mu dobrze się bawić.

– Zapomniałaś, jak wygląda czterolatek, który dorwie się do słodyczy. Zamieniają się w małych szaleńców.

– Nie, nie zapomniałam. – Miała chłodny i oschły wyraz twarzy. Trudno było sobie wyobrazić, że zaledwie chwilę wcześniej płakała ze śmiechu. Janie otworzyła drzwi i pozwoliła, żeby pochłonał ją gwar głosów.

– To dobrze – odparła Janie. Zawsze coś. Janie zatrzymała się w drzwiach i wsłuchiwała się w hałas pokoju, w którym siedział Noah. Z jakiegoś powodu była podenerwowana tym, że miała do niego wrócić.

– Nie wiem, kim on teraz jest – powiedziała. – A może to siebie teraz nie znam.

Pomyślała sobie, że może to niestosowne mówić takie rzeczy, szczególnie do Denise, ale nie wiedziała, komu innemu mogłaby o nich powiedzieć ani co jest stosowne.

Denise otarła twarz nową chusteczką, wrzuciła ją do kosza na papiery i podniosła wzrok.

– Jesteś tutaj – powiedziała Denise cicho. – A Noah jest w moim salonie i czeka na ciebie. Czyż to nie wystarczy?

– To pomaga – dodała nagle.

Janie odwróciła się. Oczy Denise były pełne emocji.

– To pomaga. Nie w tęsknocie za nim, nie w tej kwestii, ale... – zamilkła.

Stały razem w ciszy, powietrze między nimi było ożywione cudem czegoś, czego nie znali.

Noah podniósł wzrok, kiedy Janie wróciła do pokoju. Siedział na sofie. Zawsze te niebieskie oczy przeszywały ją na wskroś, dotykały tej jej cząstki, do której nic innego nawet się nie zbliżało. Usiadła przy nim.

Obserwowali nastolatków, którzy stali wokół stołu w jadalni, nakładając sobie sałatkę ziemniaczaną i szepcząc między sobą, ich ciała poruszały się w niepasujących garniturach.

– Możemy już iść, mamusiu-mamo? – poprosił Noah.

– Nie chcesz spędzić trochę czasu z przyjaciółmi Tommy’ego?

Potrząsnął głową.

– Oni wszyscy są tacy... Starzy.

– Ach.

– To chore – powiedział jeden z nastolatków, wybuchnęli śmiechem i nagle się uciszyli, jakby sobie przypomnieli, gdzie byli.

Żałowała, że nie mogła nic zrobić, żeby złagodzić wyraz napięcia i smutku na twarzy Noaha, ale cóż mogła zrobić? Myślała, że będzie w stanie go naprawić, ale to zawsze było ponad jej siły.

– Wszystko jest inaczej – powiedział.

– Tak, zdaje się, że tak jest.

Skrzywił usta.

– Och, skarbie. Przykro mi. Myślałeś, że wszystko będzie tak samo?

Noah skinął głową.

– Wrócimy niedługo do domu?

– Masz na myśli Brooklyn? Tak.

– Ach.

Zamrugnął oczami, kilka razy rozglądając się po pokoju. Śledziła jego wzrok.

Wcześniej nie ogarnęła wzrokiem całego pokoju. Była zbyt zaszokowana, żeby mu się dobrze przyjrzeć. Było to dość przyjemne wnętrze małego, podmiejskiego, parterowego domu. Ktoś wypełnił je wygodnymi, brązowymi meblami, na których piętrzyły się poduszki w dopełniającym, niebieskim kolorze. Pod schodami stało pianino. Było nieco poobijane na krawędziach, ale drewno się błyszczało. Prostokątne okno panoramiczne wychodziło na pełną zieleni ulicę. Na obudowie kominka z cegły aż roilo się od pamiątek i figurek – zwinięty w kłębek kamienny kot, kilka świec, mały, drewniany aniołek, który trzyma drucianego motylka, puchar w baseballu. Ten dom ze snów Noaha i jej koszmarów to nic takiego nadzwyczajnego. Zwyczajny dom. Czuł się tutaj kochany.

– Nie możemy tutaj zostać, Noah.

– Chcę jechać do domu, ale chcę też tutaj zostać.

Przywołała w pamięci obraz ich mieszkania, jego przytulnej sypialni, tygrysków na biurku, gwiazdek.

– Wiem.

– Dlaczego nie mogę mieć jednego i drugiego?

– Nie wiem. Musimy po prostu dać z siebie wszystko, korzystając z tego, co mamy w tym życiu. Żyjemy tu i teraz. Razem.

Znowu skinął głową, jakby już to wiedział, i wgramolił się na jej kolana. Znowu oparł głowę tyłem o jej podbródek.

– Tak się cieszę, że do ciebie przyszedłem.

Odwróciła go tak, żeby widzieć jego twarz. Sądziła, że znała już wszystkie oblicza Noaha – markotnego i pogrążonego w smutku Noaha, wkurzonego Noaha, niesforne, uczuciowe dziecko, które znała najlepiej – ale to było całkiem coś nowego. Panowała nad tonem głosu.

– Co masz na myśli?

– Po tym, jak opuściłem tamto drugie miejsce.

– Jakie miejsce?

– Miejsce, do którego poszedłem po tym, jak umarłem – powiedział to zwyczajnie. Miał melancholijne i nadzwyczajnie jasne oczy, jakby nieoczekiwanie złapał rybę i właśnie podziwiał srebrną łuskę błyszczącą w słońcu.

– A jakie ono było?

Proste pytanie, a jednak wymagało odpowiedzi, w której mieściło się wiele światów. Wstrzymała oddech.

Potrząsnął głową.

– Mamo, nie da się opisać tego miejsca.

– Byłeś tam przez jakiś czas?

Zastanowił się nad tym.

– Nie wiem, jak długo. Potem zobaczyłem ciebie i przyszedłem tutaj.

– Zobaczyłeś mnie. Gdzie mnie zobaczyłeś?

– Na plaży.

– Zobaczyłeś mnie na plaży?

– Tak. Stałaś tam. Zobaczyłem cię, a potem do ciebie przyszedłem.

Nawet jeśli sądziła, że granice jej umysłu zostały przesunięte najdalej, jak się dało, zawsze istniał kolejny poziom bezkresu.

Przycisnął swoje czoło do jej czoła.

– Tak się cieszę, że tym razem to ty jesteś moją mamą.

– Ja też – zapewniła Janie. To wszystko, czego potrzebowała.

– Hej, mamusiu-mamo – wyszeptał. – Zgadnij, jaki mamy czas?

– Nie wiem, robaczku. Jaki mamy czas?

– Czas na kolejne brownie! – Cofnął głowę, jego oczy były wypełnione zwyczajną, figlarną radością i wiedziała, że na tę chwilę to drugie dziecko odeszło. Wrzucił rybę z powrotem do oceanu.

## Rozdział czterdziesty

*Po tym, jak goście wyszli, Janie i Anderson pomogli Denise i Charliemu posprzątać resztki jedzenia, Janie wytarła stół, a Denise w tym czasie odkurzyła okruszki brownie. Kiedy to miejsce w końcu było posprzątane, uczestnicy ostatniej sprawy Andersona usiedli na sofie obok siebie – Charlie i Denise, Noah i Janie.*

Anderson usiadł w fotelu naprzeciwko nich. Miał poczucie, że ten fotel trzymał jego ciało. Pozwolił się sobie w nim zagłębić.

Zapał zmrok. Cała piątka siedziała w ciszy, obcy ludzie połączeni więzami obcości.

– A więc jutro wyjeżdżacie? – zapytała w końcu Denise.

– Tak. – W głosie Janie słychać było nutkę usprawiedliwienia. – Odlatujemy po południu.

Odbyli wizytę. Zostali przesłuchani przez policję. Uczestniczyli w pogrzebie. Teraz trzeba było powrócić do życia, pracy, obowiązków. Dotyczyło to wszystkich, oprócz niego, pomyślał Anderson. Co ciekawe, ta myśl go nie zmartwiła. Zastanawiał się dlaczego.

– Co teraz robimy? – Janie zapytała Andersona.

Wszyscy popatrzyli na niego.

Zostało jeszcze trochę papierkowej roboty do wykonania. Papierkowa robota kiedyś miała dla niego ogromne znaczenie, ale teraz już je straciła.

Anderson wzruszył ramionami.

– Tak po prostu wyjedziemy? I tyle? Nie będziemy – spojrzała na Denise – utrzymywać kontaktu?

– Możecie się odwiedzać. Jeśli zechcecie. – Uśmiechnął się. – To zależy od was.

– Aha. – Janie rozejrzała się po salonie. – Myślisz, że to dobry pomysł?

– To zależy od was – powtórzył Anderson. Zabrzmiało to nonszalancko, nawet w jego własnych uszach. Doświadczał uczucia, które było mu nieznane. Czy tak właśnie odczuwało się odprężenie?

– Mogłabym was odwiedzić – powiedziała nagle Denise do Janie.

– Mogłabym przyjechać na Brooklyn.

Janie wyglądała tak, jakby poczuła ulgę.

– Ach! Byłoby miło. Prawda, Noah?

– Oczywiście nie od razu – dorzuciła szybko Denise. – To znaczy myślę, że wszyscy potrzebujemy trochę czasu... ale pewnego dnia chciałabym was odwiedzić i zobaczyć, gdzie mieszkacie – wyjaśniła Noahowi. – Zobaczyć twój pokój. Mogłabym?

Skinął głową nieśmiało.

– A więc ustalone – podsumowała Janie.

Anderson obserwował ich. Wszystko było ustalone i nic nie było ustalone, wiedział o tym. Sprawy się zmieniają. Noah się zmieni. Oczywiście Anderson będzie musiał prowadzić obserwacje. A jednak jakoś szczególnie tego nie pragnął. Może kontakty przetrwają, a może nie, albo przekształcą się w jakieś inne formy bycia. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo brakowało mu ciszy. Siedzieli tak przez dłuższy czas, światło słoneczne przybierało głębszy, bardziej intensywny odcień, Noah siedział w ciszy pomiędzy Denise a Janie. Anderson uniósł twarz, żeby zanurzyć się w ostatnich promieniach słońca – jak senne zwierzę.

– Myślę, że teraz musimy wracać do hotelu, kochanie – powiedziała w końcu Janie do Noaha, mobilizując wszystkich. – Robi się późno.

Noah się przeciągnął.

– Chcę wziąć tutaj kąpiel – powiedział sennym głosem.

Janie podskoczyła na swoim miejscu.

– Chcesz wziąć kąpiel?

Wysunął do przodu dolną wargę.

– Chcę się tutaj wykąpać. W różowej wannie. Z nią.

Wskazał na Denise, która lekko wzruszyła ramionami i spojrzała na Janie w oczekiwaniu na wskazówki.

– O!

Anderson obserwował, jak w Janie narastał opór, a potem poczuł, jak odpuściła.

– Dobrze – zgodziła się.

– A ty możesz mi zrobić kąpiel następnym razem, mamusiu-mamo?

Zawahała się tylko przez chwilę, po czym odwzajemniła jego uśmiech.

– Jasne, Noey. Jak chcesz.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

*Noah chciał wziąć kąpiel, więc Denise mu ją przygotowała.*

To było zadanie, ostatnie tego długiego dnia, a potem będzie mogła odpocząć. Dzisiaj pochowała jedno dziecko, to, co zostało z jego ciała, a teraz miała wykopać nowe dziecko.

Nowe dziecko. Na tę chwilę w ten sposób sobie o nim myślała i tak to dla niej wyglądało, kiedy uśmiechnęła się do chłopca i posadziła go na klapie toalety z jednym ze starych komiksów Charliego o Garfieldzie, a potem grzebała w szafce łazienkowej w poszukiwaniu jakiegoś płynu do kąpieli.

Z tyłu szafki stała buteleczka płynu Mr Bubble. Używała go, kiedy chłopcy byli mali, i jeszcze trochę zostało, więc trzymała go – tak jak to ludzie przechowują tego typu rzeczy – chociaż czas, kiedy kąpała swoje dzieci, już dawno minął, ale jakaś jej część myślała, że może będzie w stanie zatrzymać część dzieciństwa Tommy’ego nietkniętą, jakby dało się ją zamknąć w buteleczce, w jasnoróżowym pojemniku.

Podczas gdy prawda była taka, że ona już odeszła. Dokąd odeszła?

Mr Bubble uśmiechnął się do niej obłąkanym uśmiechem.

Odkręciła wodę. Dudniła jej w uszach. Wróciła myślami do Tommy’ego, który z trudem łapał powietrze, wołając ją w ciemnościach wody. Mamo!

Skup się na wodzie. Wszystko będzie dobrze.

Włożyła dłoń pod strumień wody, żeby osadzić się w sobie, i wlała resztki Mr Bubble’a do wody, bańki namnażały się w wannie, tryskając życiem.

– Czy to... bańki? – Noah zeskoczył z toalety i nachylił się nad krawędzią wanny.

– Tak.

– Och! Mogę wejść?

– Jasne.

Zdjął z siebie resztę ubrań, a potem wyglądał, jakby się wahał. Przysiadł na krawędzi wanny.

– Nie jest zbyt zimna, prawda?

– Nie, kochanie. Jest przyjemna i ciepłutka.

– A, tak. Dobrze. – Kiwnął głową sam do siebie, jakby podjął decyzję, potem zanurzył się w wannie i zaczął pacać rękami w bąbelki. – Kiedy byłem Tommym, zawsze robiliśmy bąbelki.

Nigdy nie przestawało ją to zadziwiać, kiedy mówił takie rzeczy.

– Tak. Wy dwaj, chłopcy, zawsze robiliście wielki, bardzo dobrze znany bałagan.



Roześmiał się.

– Tak robiliśmy.

Skup się na wodzie. Wszystko będzie dobrze.

Zamknęła na chwilę oczy i przypomniała sobie Charliego i Tommy'ego, którzy rzucali się na siebie w wannie z bąbelkami, mydlana woda sączyła się na podłogę. Trzymała się kurczowo tego uczucia, dopóki całe pomieszczenie nie zaczęło wibrować siłą jej miłości do nich. Ileż jej tam było.

Woda lała się dalej i przelewała się przez jej palce, zmieniając się chwila po chwili. Kiedy była dzieckiem, widziała film o Helen Keller<sup>33</sup>, jak poczuła na dłoni wodę, która płynęła z pompy w studni, i w końcu połączyła nazwę ze źródłem nazwy – ale Denise teraz zmierzała w innym kierunku, nazwy, imiona przestawały mieć znaczenie. Kim byli Noah i Tommy, kimże ona była? Miała w głowie kompletny mętlik.

– Hej, popatrz! – wołał ją. Kimkolwiek dla niego była, nie była obca. Nie było obcych.

– Popatrz – powiedział Noah. – Popatrz na tę bańkę!

Blask kranu kłuł ją w oczy. Denise spojrzała, ciut za późno.

– Ojej! Pękła. Przepraszam – posmutniał Noah.

– Nie szkodzi.

– Spójrz! Bańka! – Tym razem spojrzała szybko.

– Widzę – powiedziała Denise. – Duża jest.

Była duża. Zajęła przestrzeń między jego kolanami, powiększała się coraz bardziej, kiedy odsuwał nogi, błyszczała jak szalona przez ułamek sekundy swojej egzystencji.

– Spójrz!

Bańka nadal się powiększała. W tej stale zmieniającej się palecie barw ktoś się topił, a ktoś się rodził.

– Och! Pękła.

– Tak.

Nie było już niczego, czego można się było uchwycić. Istniał tylko wszechświat.

Wtedy Noah spuścił wzrok i włożył twarz do wody. Podniósł głowę. Miał bąbelkową brodę i bąbelkowe wąsy, uśmiechał się jak demoniczne dziecko – Święty Mikołaj.

– Zgadnij, kto to? – zapytał.

Denise się uśmiechnęła.

– Nie wiem – odparła. – Kto?

– To ja!

## Rozdział czterdziesty drugi

*Zanim dotarli z lotniska do domu, zrobiło się późno. Charlie siedział obok swojej mamy, kiedy wjeżdżali na podjazd. Kolejny wieczór przy Asheville Road. Te same dobrze znane odgłosy świerszczy i telewizora Johnsonów, w którym leciał mecz Indians<sup>34</sup>. Zakrawało to na obłąd, że wszystko wydawało się takie, jak wcześniej było, chociaż to, co miał w głowie, tak bardzo się zmieniło. Domyślał się, że właśnie na tym polegało życie. Któż to wiedział, co komu siedziało w głowie? A w międzyczasie ludzie umierali i zaczynali całkiem nowe życie, jak świetliki, które pojawiały się w czerwcu, rozbłyskały w jednym miejscu, potem znikwały, potem znowu się pojawiały. Jakby to była jakaś znikowana magiczna sztuczka.*

Charlie godzinami łapał świetliki razem ze swoim bratem, kiedy byli małymi dziećmi. Tommy biegał po ogrodzie ze słoikiem, a Charlie tuż przy jego nodze. Gdy złapali kilka, stawiali słoik na schodach i siadali, słuchając, jak brzęczały, i obserwując, jak iskrzyły, gdy przelatywały. Zawsze wpadały w szal, kiedy nadchodziła pora, żeby je wypuścić. Chcieli trzymać je jako zwierzątka domowe, nawet pomimo tego, że mama wyjaśniła, że w taki sposób zdechną, ponieważ żyją tylko na wolności. Pewnego wieczoru Tommy i Charlie nie mogli już wytrzymać – skłamali i ukryli słoik pod łóżkiem Tommy'ego, a nazajutrz rano obudzili się jako właściciele trzech zdechłych robaczek w słoiku: zasuszonych, brzydkich, z czarnymi skrzydełkami, które wyglądały jak zwyczajne chrząszcze, jakby ktoś przyszedł w nocy i wysączył z nich całą tajemnicę.

Teraz Charlie zastanawiał się, czy ten dzieciak, Noah, kiedykolwiek widział świetliki w mieście. Albo czy je pamiętał. Nawet jeśli nie był Tommym. Nie do końca.

Popatrzył z ukosa na swoją mamę. O czym ona myślała? Wiedział, że zapewne o jego bracie, ale czasami, ostatnio, zaskakiwała go. Pytała go o zdanie na temat różnych rzeczy, na przykład jakie dania powinni podać na przyjęciu albo czy powinni zaprosić tatę na kolację. Skąd nagle taka ciekawość, co ja myślę, miał ochotę zapytać, jeśli miałaś to w dupie przez ostatnie siedem lat? Stanowiło to także problem, ponieważ nie będzie mógł się tak bardzo naćpać. Sztachnął się raz albo dwa razy w garażu, dzień przed pogrzebem, i zauważyła to w jakieś pół sekundy. Może nawet szybciej. Zajrzała mu prosto w źrenice i był uziemiony, zanim zdążył się dowiedzieć, co go tak powaliło.

Denise wpatrywała się przez przednią szybę w ciemność, zastanawiając się nad różnymi odcieniami straty.

Zawsze będzie tęskniła za Tommym – każda najmniejsza jej cząstka zawsze będzie za nim tęskniła. Ale to drugie dziecko, to dziecko, które nie było Tommym,

przyniosło słodki smak ustom, które były wypełnione goryczą. Wiele przeszli, obydwój, i wiedziała, że ta łącząca ich więź zawsze między nimi będzie.

Kiedy żegnali się na lotnisku, długo się jej trzymał, i z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że przez chwilę nie była w stanie się odezwać. W końcu powiedziała:

– Do zobaczenia na Brooklynie.

– Dobrze.

– Pokażesz mi swój pokój?

Kiwnął głową.

– Mam gwiazdki w pokoju.

– Gwiazdki? Naprawdę?

– Takie naklejki, które świecą w ciemności. Na suficie. Wszystkie konstelacje. Moja mama je tam przykleiła.

– Cóż, nie mogę się doczekać, aż je zobaczę.

Zmusiła się do uśmiechu. Nadal trzymała Noaha za ramiona, a on obejmował ją dłońmi w pasie, jakby tańczyli. Nie chciała go puścić. Nie była pewna, czy potrafiła. Wokół niej inne postacie stały się niematerialne, zamazane – widziała Janie spoglądającą na zegarek i doktora Andersona, który łagodnym głosem rozmawiał z Charliem. Potem Charlie położył ciężką dłoń na jej plecach i oznajmił:

– No chodź, mam, oni muszą dostać się do swojej bramki – i wiedziała, że musi to zrobić (puść), i puściła go.

Cała trójka oddaliła się od niej i stanęła na końcu kolejki do strefy kontroli bezpieczeństwa – doktor Anderson, surowy mężczyzna, taki, jakim był jej ojciec, tego samego gatunku – rolnicy i lekarze traktują swoją pracę serio, pod tym całym poprawnym stylem bycia mają w sobie dużo życzliwości. Janie, kolejna matka, która najlepiej, jak potrafiła, radziła sobie z zadaniem, jakie zostało jej powierzone. Ten mały chłopiec z żółtymi włosami, do którego czuła w sercu miłość, nie było sensu temu zaprzeczać (puść go).

Na miłość boską, Denise. Trzymała się w garści, podczas gdy piekielne wiatry nawiewały do jej ust ogniste iskry, z pewnością potrafiła teraz wziąć się w garść. Zmusiła się do tego, żeby obserwować, jak dołączyli do kolejki ludzi, którzy nieśli to, co pozwolono im zabrać w drodze z jednego miejsca do drugiego. U jej boku stał Charlie, wysoki jak mężczyzna, i była wdzięczna za jego podtrzymującą rękę.

Teraz zerknęła na niego w samochodzie. Wyglądał przez okno, generując te swoje myśli Charliego – o czym ten chłopak rozmyślał? Będzie musiała się tego dowiedzieć. Będzie musiała go zapytać. Wystukiwał palcami rytm na szybie.

Może myślał o Henrym. Przez wszystkie te lata to on nalegał, żeby stawiała czoła temu, że Tommy nie żyje i nigdy już nie wróci, a jednak odkrycie kości Tommy'ego całkowicie go rozwalilo. Nigdy nie wierzył w karę śmierci, uważał, że

wymierzano ją niesprawiedliwie i kierowano się uprzedzeniami rasowymi, ale teraz był rozgoryczony tym, że prokurator nie rozważał jej dla mordercy Tommy'ego, który wtedy był jeszcze w młodocianym wieku. Śmierć go dręczyła. Mimo to może zadzwoni do niego i zaprosi na kolację. A jeśli się nie zgodzi, będzie nadal próbowała i może pewnego dnia się na to zdobędzie.

To, co powiedziała Henry'emu nad grobem, było prawdą – tęskniła za Tommym w każdej sekundzie każdego dnia. Tęskniła za nim, a jednocześnie wyczuwała jego obecność, nie w tym drugim dziecku, ale wszędzie dookoła, i nie potrafiła tego oddać ani dostrzec w tym sensu, podobnie jak nie potrafiła oddać Tommy'ego ani zrozumieć, dlaczego tak nagle otworzyła swoje serce dla Noaha albo dlaczego jej miłość do Henry'ego była bólem, którego nie umiała się pozbyć.

– Dobrze się czujesz, mamo?

Obserwował ją. Zawsze ją obserwował, jej Charlie. Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Dobrze się czuję, kochanie. Naprawdę. Potrzebuję po prostu jeszcze minutki.

– W porządku.

Wyłączyła silnik i siedzieli tak po ciemku w aucie, na podjeździe.

## Rozdział czterdziesty trzeci

*Byle przetrwać te pożegnania, pomyślał Anderson, kiedy zagłębił się w ruchliwą chmurę ludzkości oczekującej na swoich bliskich przy miejscu odbioru bagażu. Dookoła rodziny wyciągały szyje z ciekawością albo rzucały się na krewnych z płaczem, uściskami i pękami balonów w dłoniach. Ojcowie podnosili na rękach córki wysoko do góry.*

Kiedyś ludzie ponownie się jednoczyli przy bramkach, ale teraz nadeszła inna era. Teraz ludzie odbierali siebie nawzajem i swój bagaż w tej ponurej, bezkresnej przestrzeni, wołając „moja”. Ta jest moja, ta niebieska. Ty jesteś mój. Młoda piękność w niebieskich, obciętych džinsach przeszukiwała tłum. Starsza tęga kobieta zrobiła krok naprzód i wzięła ją w ramiona.

Byle przetrwać te pożegnania... a potem...

– Wszystko ustalone? – Janie położyła mu dłoń na ramieniu. Teraz znali się lepiej, osiągnęli tę intymność, czy mu się to podobało, czy nie. Martwiła się o niego. Odwrócił wzrok.

– Mam auto na parkingu. – Wskazał ruchem podbródka. – Podwieźć was?

– Weźmiemy taksówkę – odparła, a on skinął głową, w myślach oddychając z ulgą. Wtedy nie będzie musiał nic mówić, z wyjątkiem najbliższych kilku minut. W myślach był już na drodze w swoim aucie i zagłębiał się w cichą noc.

– To nie jest dla ciebie dobre – dodała. – Albo, jeśli wolisz, jest zbyt późno, żeby jechać samochodem, możesz przенocować u nas do rana. Mamy rozkładaną sofę...

– Nic mi nie będzie. – Unikał jej wzroku. Było w nim zbyt dużo ciepła. Nie chciał, żeby się nim opiekowała. Już go tam nie było.

Przykucnął obok Noaha.

– Chciałbym się teraz pożegnać, mój przyjacielu.

– Nie lubię pożegnań – odparł Noah.

– Ja też – przyznał Anderson. – Ale czasem są... dobre. – Miał na myśli inne słowo, ale nieważne.

– Ale niedługo się spotkamy, robaczku – obiecała Janie, próbując ocieplić atmosferę. – Prawda, Jerry?

– Możliwe.

– Możliwe? – głos Janie był wyższy niż zwykle. Anderson skupił się na Noahu. Wyglądało na to, że chłopiec lepiej radzi sobie z tym rozstaniem niż jego mama. Może już do tego przywykł. – Masz na myśli prawdopodobne, tak?

Nie, Janie, pomyślał. Tym razem powiedziałem słowo, które miałem zamiar powiedzieć.

– Myślę, że będziesz tak zajęty dobrą zabawą, że całkiem o mnie zapomnisz – powiedział do Noaha.

– Nie. Nie zapomnę. Zapomnisz o mnie? – Chłopiec wyglądał na zaniepokojonego.

Położył dłoń na głowie Noaha. Poczuł miękkość jego włosów pod palcami.

– Nie zapomnę. Ale czasem dobrze jest zapomnieć – powiedział łagodnie.

Chłopiec zrozumiał to.

– Czy o Tommym też zapomnę?

– A chcesz?

Noah się zastanowił.

– Niektóre rzeczy chcę. Niektórych nie chcę. – Jego dziecinny, wyraźny głos było ledwo słyhać pośród ludzi kręcących się wokół nich bez celu. – Czy mogę wybrać, które chcę zapamiętać?

Będzie tęsknić za tym dzieciakiem.

– Możemy próbować – wyjaśnił Anderson. – Ale nie możemy zapominać o tu i teraz, Noah. O chwili, w której jesteśmy. O życiu, w którym żyjemy. To jest ważniejsze. Nie możemy o tym zapominać.

Noah roześmiał się powątpiewająco.

– Jak można o tym zapomnieć?

– Nie wiem.

Anderson nadal kuczał i zaczęły go boleć kolana. Chłopiec przytknął swoje czoło do jego czoła i najwyraźniej wpatrywał się w niego badawczo. Pachniał lizakiem, który stewardesa dała mu na pokładzie samolotu.

– Nie wiesz mnóstwa rzeczy.

– To prawda. – Spojrzał na Noaha. Ten przypadek był prawie zakończony. Została jeszcze jedna sprawa. Jakie to fascynujące, że nie zapytał o to wcześniej.

– Czy możesz coś dla mnie zrobić? Wiem, że to dziwne, ale czy mogę obejrzeć twoją klatkę piersiową i plecy? Tylko na sekundkę. Zgodzisz się? W porządku? – Teraz zwrócił się do Janie, która przysłuchiwała się ich rozmowie. Kiwnęła głową. Wstał, odciągnął Noaha od tłumu, stanęli obok nieczynnej taśmy bagażowej, niewidoczni dla innych.

Dorośli zapytałby dlaczego, ale Noah po prostu podniósł podkoszulek.

Anderson ostrożnie odwrócił dziecko, oglądając jego bladą klatkę piersiową i plecy. Dwa znamiona, ledwo widoczne – niewyraźny, okrągły ślad na plecach, nieco zaczerwieniony, i zgrubienie na skórze w kształcie postrzępionej gwiazdki z przodu. Ścieżka kuli, odcisnięta wyraźnie na ciele.

Kiedy indziej zrobiłby zdjęcie, ale teraz zwyczajnie pozwolił, żeby podkoszulek opadł. Dowód tam był.

Jakaś liczna rodzina przy następnej taśmie liczyła swoje bagaże. Dwaj chłopcy w piłkarskich podkoszulkach biegali radośnie wokół taśmy. Mając za sobą

pożegnanie, Noah pobiegł i przyłączył się do nich w zaimprovizowanej zabawie w berka.

– Możesz to wykorzystać – powiedziała Janie przyciszonym głosem.

W jej głosie słychać było pewność, której wcześniej nie zauważył. Widziała znamiona na skórze swojego synka.

– W swojej książce. Możesz napisać o Noahu. Możesz użyć jego imienia.

– Mogę? – To było pytanie do samego siebie.

– Przepraszam, że wcześniej w ciebie wątpiałam. Masz moją zgodę – powiedziała oficjalnie – żeby wykorzystać tę historię tak, jak chcesz.

Skłonił głowę w podziękowaniu. Może zostało w nim na tyle życiowych soków, żeby dokończyć ten rozdział, jeśli się pośpieszy. Tyle był winien temu człowiekowi, którym kiedyś był. A ten człowiek, którym był teraz... kim on był?

– Czy sądzisz, że Noah... coraz lepiej się czuje? – Janie zapytała z wahaniem. Zaufanie w jej oczach, kiedy tak na niego patrzyła, jednocześnie go ujęło i przeraziło.

– A ty?

Myślała o tym.

– Może i tak.

Noah i mali piłkarze zwijali się ze śmiechu.

– A jak myślisz, dlaczego Tommy postanowił wrócić do Stanów Zjednoczonych? – zapytała, nie spuszczając z oczu synka. – Dlaczego nie narodził się ponownie w Chinach albo w Indiach, albo w Anglii? Kiedyś powiedziałeś, że ludzie często odradzają się w kolejnym wcieleniu w obrębie tego samego miejsca. Ale dlaczego?

Zastanawiała się nad tym usilnie i Anderson poczuł rodzaj ogłupienia, jakby wszystkie te pytania, które dręczyły go przez tak dużą część życia, znalazły sobie nowe pole, żeby się wyroić.

– Wygląda na to, że istnieje jakiś związek. – Mówił powoli, dobierając ostrożnie każde słowo. – Niektóre dzieci opowiadają o tym, że przebywają przez jakiś czas w okolicy, w której umarły, i wybierają rodziców spośród przypadkowo spotkanych osób. Inne rodzą się w swoich dawnych rodzinach, jako swoje własne wnuki, siostrzenice albo siostrzeńcy. Przypuszczamy, że może mieć to związek z... miłością. – Chciał użyć innego słowa, bardziej klinicznego, ale było poza zasięgiem. – Może powtórne wcielenia kochają swoje kraje, podobnie jak kochają swoje rodziny. – Wzruszył ramionami. – Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób przemieszcza się świadomość. Utknąłem na ustalaniu tego, czy istnieje. – Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. – Posłuchaj – dodał. – To jest...

– Ale ja nie jestem pewna, co mam teraz zrobić. – Dotknęła jego rękawa i ten gest go spłoszył. – Jak ja teraz wrócę i będę wychowywać Noaha?

– Polegaj na swoim intelekcie i na swoich... – znowu to słowo mu umknęło – ...uczuciach. Twoje uczucia są dobre. – Teraz ograniczał się albo do banałów, albo do prostych prawd. W każdym razie to musiało wystarczyć. – Musimy się teraz pożegnać – wyszeptał.

– Ale będziesz musiał przeprowadzić obserwacje kontrolne przypadku Noaha? Prawda?

Nie wiem, pomyślał, ale odpowiedział:

– Jasne.

– Więc mogę czasem napisać do ciebie e-mail? Gdybym miała jeszcze jakieś pytania?

Skinął głową, ale niewyraźnie.

– Dobrze. – Spojrzeli na siebie w rozterce, jak się rozstać. Przytulenie było wykluczone, ale uścisk dłoni wydawał się zbyt oficjalny. W końcu wyciągnęła do niego dłoń z zakłopotaniem, a on uściśnął ją szybko w swojej ogromnej dłoni, a potem pod wpływem impulsu podniósł ją do ust i pocałował. Poczuli ustami miękkość skóry. Był to pocałunek ojca, który na weselu wypuszcza spod swoich skrzydeł córkę. Poczuli ukłucie serca z powodu jakiejś niejasnej straty – albo jej towarzystwa, albo rodzaju kobiecego, z którym już tak dawno nie miał do czynienia.

– Trzymaj się ciepło – powiedział, puszczając jej dłoń. Wziął swoją wysłużoną torbę i wyszedł przez drzwi w ciepłą noc.

Był wolny.

Tym właśnie był.

Wolnością. Samochody i taksówki zwalniały i podjeżdżały, żeby zabrać krewnych i klientów, minął je, idąc w kierunku parkingu i czerpiąc radość z tej chwili, z tego, że poruszał płynnie nogami, sprawnie, jego myśli przeciągały się z wdzięcznością w ciemności.

Troszczył się o dobro Janie i Noaha, ale szybko się od niego oddalali. Praca nad jego ostatnim przypadkiem została zakończona.

Oni wrócili z powrotem na ziemię, a on unosił się... na powierzchni wody.

Walczył ze wszystkim, czego musiał kurczowo trzymać się w swoim życiu, tak to kiedyś rozumiał, a teraz to odeszło w przeszłość i unosiła go lekkość zwycięstwa. Zaangażował całą moc swojego umysłu w próbę zrozumienia tego, co niezgłębione, i może udało mu się wyrwać jeden albo dwa zęby z paszczy nieskończoności, a teraz pozostało mu jedynie opisać swój ostatni przypadek.

Sądził, że w miarę jak będzie zbliżał się do swojej własnej śmierci, te pytania pozostające bez odpowiedzi będą go nieznośnie dręczyć, a teraz ku swojemu zaskoczeniu i radości odkrył, że nie ma potrzeby zadawania pytań. Co ma się stać... i tak się stanie.

Nieźle, co?



Teraz skończy swoją książkę, a potem będzie mógł robić, co mu się będzie podobało. A kiedy pewnego dnia już nie będzie w stanie czytać Barda<sup>35</sup>... będzie powtarzał urywki, które zapamiętał, przypominając sobie głębię i intonację, jeśli nie całe wersy. Mógłby sam do siebie paplać Szekspirem przez cały dzień, pod dębami, jak jakiś wariat.

Albo mógłby wrócić do Azji. Dobrze byłoby znowu poczuć pod stopami azjatycką ziemię. A co go powstrzymywało? Nic. Mógłby teraz pojechać, gdyby chciał. Mógłby polecieć najbliższym lotem.

Tajlandia. Gęste, wilgotne powietrze, chaos ulic.

Dlaczego by nie pojechać? Poczł, jak radosne podniecenie zaczynało w nim pulsować, kiedy o tym pomyślał. Mógłby zobaczyć ogromnego Odpoczywającego Buddę, ze stu ośmioma znakami pomyślności wyrzeźbionymi w macicy perłowej na podeszwach jego stóp. Mógłby zacząć medytować. Zawsze zbyt obawiał się tego, że praktyka duchowa mogłaby zachwiać albo wpłynąć na jego naukowy obiektywizm, ale teraz to przestało mieć znaczenie. A jeśli Tybetańczycy mieli rację, to medytacja prowadzi do śmierci w stanie większego wewnętrznego pokoju, co mogłoby mieć pozytywny wpływ na jego kolejne życie (choć jego własne dane były nieprzekonywające w tej kwestii).

Może nawet zatrzymałby się na plaży. Wyspy Phi Phi zdaje się były warte zobaczenia. Biały piasek niczym jedwab między palcami u stóp, niebieska woda przezroczysta jak szyba. Tu i teraz. Poddanie się temu. Słyszał, że można popłynąć łodzią i zobaczyć dziwne wapienne wychodnie wyłaniające się zza mgły, jak na chińskim obrazie na papierowym zwoju – te sceny namalowanych gór, które pną się do góry, znikając w kłębach chmur na niewidocznym niebie, podczas gdy jeden samotny człowiek gdzieś tam na dole unosi się nieśpiesznie na łódce, tak maleńki, że aż prawie niewidoczny.

Będzie musiał sobie kupić kąpielówki. Nie mógł się już doczekać.

## Rozdział czterdziesty czwarty

*Janie oparła czoło o szybę taksówki, obejmowała ramieniem usypiającego synka, chłonęła znajome widoki. Ogromny teren Eastern Parkway, z apartamentowcami, jezziwami i majestatycznymi drzewami, Met Foods, gdzie robiła zakupy spożywcze, i ciemny pas Prospect Park. Ta niezmiennosc zaskoczyła ją, jakby spodziewała się zastać swoją okolicę zmienioną. Minęli bar, w którym po raz pierwszy spotkała się z Andersonem, gdzie kelnerka miała wytatuowane YOLO na tylnej części ramion.*

*You Only Live Once<sup>36</sup>*. Tak mawiają, jakby życie tak naprawdę miało znaczenie, ponieważ zdarza się tylko raz. A co, jeśli jest inaczej? A jeśli to, co robisz, ma jeszcze większe znaczenie, ponieważ życie ciągle się powtarza, a jego konsekwencje ujawniają się w ciągu stuleci i na wielu kontynentach? A co, jeśli masz szansę za szansą na to, żeby kochać ludzi, których kochałeś, żeby naprawić to, co schrzaniłeś, żeby dobrze to zrozumieć?

Stali teraz przed kamienicą z elewacją z czerwono-brązowego piaskowca. Latarnia gazowa mrugała w nocy jak przyjaciółka, która ucieszyła się na ich widok. Janie zapłaciła kierowcy i wyniosła na rękach swojego ciężkiego, śpiącego chłopca z taksówki, poczuła ukłucie wdzięczności za to, że byli już w domu i że mieszkała na parterze.

W mieszkaniu Janie zaniósła Noaha prosto do sypialni i położyła do łóżka, nie włączając światła. Zwinęła się w kłębek obok niego na wąskim łóżeczku, odwróciła się twarzą do niego i naciągnęła na nich oboje kołdrę. Obudził się i przetaił oczy, ziewając.

– Hej, jesteśmy w domku. – Westchnął i wtulił się w nią. Zarzucił jej stópki na biodro, przyłożył czoło do jej czoła. Położył rączkę na jej ramieniu w ciemności.

– Jaka to część ciała? – zapytał szeptem.

– To moje ramię.

– A to?

– To moja szyja.

– A to twoja czacha, czacha, czacha...

– Tak.

– Mhmmm.

Cisza. Potem rozległ się jakiś odgłos głęboko spod pościeli. Zaspany śmiech.

– Puściłem bąka.

I jakby nigdy nic znowu zasnął.

Janie powoli wstała z łóżka. Po cichu przeszła przez pokój i zatrzymała się w drzwiach. Noah przewrócił się, teraz leżał na plecach i spał pod gwiazdami.

Świeciły nad nim, wszystkie te stworzone przez człowieka konstelacje; mapa, która była jedyną częścią wciąż nieskończonego wszechświata, z którą większość z nas potrafiła sobie poradzić. Kilka lat temu umieściła tam na górze plastikowe kalkomanie i stworzyła dla Noaha jego własny Wielki Wóz, jego własny Pas Oriona, myśląc, że kiedy w życiu zobaczy te gwiazdy, poczuje się jak u siebie w domu. Próbowła przywołać w pamięci siebie taką, jaką wtedy była, ale nie była w stanie przypomnieć sobie niczego poza tym, że mogła pomylić naklejone gwiazdki z tymi prawdziwymi.

Usta Noaha wysunęły się do przodu, jakby właśnie miał jakiś przyjemny sen. Długo stała w drzwiach i przyglądała się, jak spał.

## Epilog

*Nic podczas podróży do Nowego Jorku nie było tym, czego Denise się spodziewała.*

Na przykład fakt, że Henry postanowił z nią pojechać, zbił ją z tropu.

Ostatnio nigdy nie było wiadomo, czego spodziewać się po Henrym. Były takie dni, kiedy budził się, gwizdząc melodie Straight No Chaser, i w niedzielne poranki robił naleśniki z jagodami dla Charliego i dla niej. Kiedy indziej nie spał w nocy, pijąc piwo w salonie, w telewizorze na cały regulator leciał jakiś głupawy program, a kiedy wstawiała, żeby sprawdzić, co z nim, albo prosiła go, żeby przyciszył, warczał na nią, żeby wracała do spania. Nazajutrz rano zawsze z trudem wczesnie wstawiała, zbierała się i przeglądała harmonogram lekcji na cały dzień, ponieważ wiedziała, że wyciągnięcie go z łóżka i upewnienie się, że się ubrał i wyszedł z domu, zajmie dłuższą chwilę. Czasami miała wrażenie, że ma w domu dwóch opryskliwych nastolatków. Zadziwiające, że cała ich trójka kiedykolwiek docierała do szkoły na czas.

– Teraz taki jestem. Chcesz mnie, to dobrze, takiego mnie dostaniesz. Nie chcesz, też dobrze – wyjaśnił, kiedy zaproponował, że znowu wprowadzi się do domu. Miał surowy wyraz twarzy i wzruszył ramionami, kiedy to powiedział, jakby i tak to nie miało dla niego znaczenia, ale przejrzała go na wylot, jakby był jednym z jej dzieci, dostrzegła to jasno jak na dłoni, jak bardzo zależało mu na tym, żeby go znowu przyjął. I jak bardzo jej na tym zależało.

Była szczęśliwa, że wrócił. Wyczuwała w nim ten ciężar po śmierci Tommy'ego, nie spodziewała się, że kiedykolwiek zniknie, ale potrafił delektować się talerzem dobrego jedzenia i odkryła, że znowu uwielbia prostą przyjemność gotowania, dodawanie odrobiny tego i szczypty tamtego, wyjmowanie dymiącego dania z piekarnika, gdy cały dom pachnie wyśmienicie, a potem zjedanie każdego kawałeczka. „Twoje kości znowu zaczynają obrastać mięskiem”, powtarzał Henry, kłując ją palcem w nową, miękką warstwę nad żebrami. I dla Charliego było to dobre. To jasne. Ten chłopak był klaunem, zawsze taki był, a teraz potrafiła dostrzec, ile w tym było pomysłowości. Nic nie sprawiało jej większej frajdy na koniec długiego dnia niż przyglądanie się, jak Henry odrzucał głowę do tyłu i wybuchał tym swoim gromkim śmiechem nad stołem w jadalni po tym, jak Charlie powiedział coś zabawnego. I to nagłe uczucie zadowolenia, które przemykało po twarzy Charliego, kiedy nieśmiało schylał głowę i chłonał to. Czasem po kolacji grali obydwaj w garażu, Charlie na perkusji, a Henry na gitarze basowej, dźwięki wprawiały w drganie ściany i rozchodziły się na zewnątrz po okolicy, zagłuszając nawet psa sąsiadów – wtedy czuła, że wszystko pewnie będzie

dobrze.

Nie rozmawiali o Noahu. Żadne z nich nie chciało tej kłótni. Nie było w niej wygranych i nie miała końca. Kiedy dookoła rozkwitała wiosna, a myśl o odwiedzeniu Noaha nie dawała jej spokoju, początkowo odsuwała ją na bok, obawiając się, że zakłóci tę nową i delikatną równowagę w domu. Zamiast tego wysłała Noahowi prezent, w urodziny Tommy'ego, chociaż nie wspomniała o tym w kartce.

W ciągu tych pierwszych kilku miesięcy parę razy rozmawiała z Noahem przez telefon, ale zwykle była to katastrofa. Nie miała pewności, czy to z powodu młodego wieku chłopca i jego naturalnej niecierpliwości w rozmowach przez telefon, czy też dziwacznych okoliczności. Miał ochotę rozmawiać z nią przez pierwsze pięć sekund, choć często zadzurał matkę, żeby zadzwoniła. Jednak odpowiadał na jej pytania dotyczące przedszkola w nieśmiały, monosylabiczny sposób (po chwilowym ożywieniu, kiedy pytał o Rogogona) i najwyraźniej odczuwał ulgę, gdy kilka chwil później odkładał słuchawkę. Zawsze przez resztę popołudnia dochodziła do siebie po intensywnych uczuciach, które towarzyszyły tym kontaktom. Po jakimś czasie te rozmowy stopniowo się urwały.

Latem postanowiła zobaczyć się z Noahem osobiście. Uważała, że teraz sobie z tym poradzi. Janie na to przystała, chociaż w jej głosie słychać było ostrożność.

– On tak naprawdę teraz rzadko wspomina o Tommym – powiedziała i Denise pomyślała sobie, że na całe szczęście.

Zarezerwowała bilet, zanim powiedziała o tym Henry'emu. Charlie miał pracę w Stop&Shop przy pakowaniu zakupów i kolejną jako ratownik na basenie, więc nie mógł pojechać. Kiedy powiedziała Henry'emu, że jedzie do Nowego Jorku zobaczyć się z Noahem, stał, krzywiąc się na dźwięk tego imienia, i zastanawiała się, czy to nie zbyt duże ryzyko.

– Wobec tego pojedę z tobą – powiedział w końcu, jakby nagle stał się mężem kogoś innego. – Jeśli to będzie w porządku? Mam kilkoro starych przyjaciół, których chcę odwiedzić.

Spędził tam kilka lat, kiedy był młodym i dobrze zapowiadającym się gitarzystą basowym.

Pozwoliła mu jechać. Nie zadawała żadnych pytań. Być może nie chciała wiedzieć, co nim tak naprawdę kierowało, i potrzebowała jego towarzystwa. Nigdy nie była w Nowym Jorku.

Kolejna rzecz, której się nie spodziewała – że będzie się z nim tak dobrze bawić.

Pierwszego wieczoru w mieście poszli do Blue Note i dostali miejsca tuż przy scenie. Pili świecące niebieskie drinki i słuchali starego przyjaciela Henry'ego, Lou, który dawał czadu na saksofonie, a potem poszli jeszcze gdzieś na

miasto z zespołem, zaśmiewali się, pili alkohol i jedli tanie, dobre jedzenie do białego rana, słuchając niewymuszonych dowcipów muzyków i ich historyjek o wizycie w przydrożnym zajeździe czyjejs kuzynki, w którym waliło z kuchni flaczkami, ich opowieści o skąpych liderach zespołów i muzykach, którzy zataczając się, wychodzili z łazienki z nosami upudrowanymi na biało i opuszczonymi spodniami, i o tym, jak Seattle, dziewczyna Lou, poleciała, żeby zobaczyć jego koncert w San Francisco, i jednego wieczoru spotkała obie jego przyjaciółki – z Oakland i Los Angeles.

Po powrocie do hotelu ona i Henry byli siebie spragnieni, jak w dawnych czasach. Siła tego pragnienia ją zaskoczyła. Miło było dowiedzieć się, że to jeszcze możliwe, po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Nie oczekiwała, że Henry nazajutrz pójdzie z nią do mieszkania Janie ani że mieszkanie Janie będzie takie małe i staromodne – wyobrażała sobie duży, nowoczesny loft, jak te nowojorskie apartamenty w telewizji, a nie to staroświeckie miejsce z bogato zdobioną stolarką, jak w domu jej matki.

Był upalny dzień. Kiedy obydwójce wreszcie się dowlekli, Janie spojrzała na nich i zaproponowała:

– Przyniosę wam wodę. Czy macie ochotę na mrożoną kawę?

Denise potrząsnęła głową.

– Żałuję, że nie mogę. Gdybym teraz wypila kawę, nie zmrużyłabym oka do rana.

Kiedy Janie poszła przynieść napoje, Denise weszła do salonu, w którym był Noah.

Miał już prawie sześć lat, ten wrażliwy wiek, kiedy pulchne kształty małego dziecka zaczynają znikać z dziecięcego ciała i można dostrzec w nowej, kanciastej twarzy osobę, którą być może się stanie. Był pochłonięty książką, siedział po turecku na sofie, z jasnymi i nieokiełznanymi włosami na głowie. (Dlaczego ona nie zabierze tego chłopca do fryzjera?). Najwyraźniej ich nie zauważył.

– Noah, zobacz, kto tu jest – zaczęła Janie, kiedy wróciła ze szklankami z wodą, i chłopiec podniósł wzrok.

Denise stała na środku pokoju, ściskając w dłoni prezent, który przyniosła, i czuła, jak zasycha jej w ustach, kiedy Noah napotkał jej wzrok swoimi radosnymi, nierozpoznającymi oczami.

Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jej zależało. Ani trochę się tego nie spodziewała.

– To jest twoja ciocia Denise, nie pamiętasz? – wyjaśniła Janie, robiąc krok do przodu.

– O! Cześć, ciociu Denise. – Uśmiechnął się grzecznie, akceptując ją w tym momencie i jej obecność w jego życiu tak, jak to robią dzieci, nie zadając pytań, skąd się wzięła.

Usiadła i tuliła w dłoniach lodowatą wodę, a gdzieś z dala od niej Henry przedstawił się Noahowi, a dziecko zerwało opakowanie pudełka dwoma szybkimi pociągnięciami. W środku była dawna rękawica baseballowa Tommy'ego.

Wyciągnął ją z okrzykiem: – Hurra, nowa rękawica! – a ona czerpała przyjemność i doznawała bólu, patrząc na jego nieskrywaną, bezproblemową radość.

Poszli do parku. Był jasny dzień, lekki wiaterek zrywał się w powietrzu.

– A więc mam do ciebie jedno pytanie – Henry powiedział do Noaha, kiedy spacerowali. Odwrócił się do chłopca, przybierając swoją najbardziej poważną minę.

– Tak? – Noah z niepokojem podniósł wzrok.

– Mets czy Yankees?

– Jasne, że Mets! – odpowiedział Noah.

Henry się uśmiechnął.

– Właśnie to chciałem usłyszeć! – Przybił chłopcu piątkę. – A co myślisz o Grandym? Sądzisz, że da radę?

Najwyraźniej to wystarczyło. Rozmawiali z ożywieniem o baseballu przez resztę drogi do parku, podczas gdy Janie i Denise szły obok siebie w ciszy. Denise milczała rozczarowana.

– Przepraszam – zaczęła Janie niskim głosem. – Nie wiedziałam, co on robi, kiedy cię zobaczy. Nie wspomina już o tym, ale nie wiedziałam... Chyba teraz on jest tylko Noahem.

Przez chwilę szły w milczeniu.

– A jednak nadal lubi to, co lubi – mówiła dalej. – Jaszczurki i baseball, i też nowe rzeczy. Musisz zobaczyć, co potrafi zbudować z klocków Lego. Jakie piękne budowle.

– Jest podobny do mamy – wykrztusiła w końcu Denise.

Janie się zarumieniła, wzruszyła ramionami.

– Jest szczęśliwy.

Doszli do parku i znaleźli pas otwartej przestrzeni, łąkę. Para starszych ludzi spacerowała pod ramię. Ogromna rodzina chasydów przesuwiała się ścieżką, zaganiając dzieci, żeby nie podchodziły zbyt blisko do stawu na skraju łąki. Ludzie karmili kaczki, płatanina dziobów i okruszków. Jakaś dziewczynka stała na trawie, wirując kołem hula-hoop, jakby pochodziła z innego wymiaru czasu.

Janie i Denise usadowiły się na kocu pod opiekuńczymi ramionami ogromnego drzewa i wyciągnęły pojemniki z kulkami mozzarelli w oleju, humusem, winogronami, marchewkami i chipsami z pity, przycisnęły serwetki termosami, żeby nie odfrunęły. Zabrali ze sobą piłkę do baseballu i rękawicę – kiedy kobiety organizowały piknik, Henry i Noah przeszli na drugą stronę, na otwartą łąkę, i rzucali tam i z powrotem piłką, Henry łapał ją gołą dłonią, jak

dawniej.

Denise przyglądała się im. Noah był szczęśliwy. Denise to widziała. Miło było widzieć, że jest szczęśliwy jak inne dzieci. Wyszło mu na dobre, że o niej zapomniał. Denise o tym wiedziała, chociaż ta wiedza nie zmniejszała ani trochę jej cierpienia. Odczuwała wdzięczność, że natura sama przywróciła równowagę, ale nie mogła się pozbyć uczucia, że zabrano jej coś, co mogło być cenne, gdyby tylko potrafiła znaleźć sposób, żeby tak było.

Przechyliła się do tyłu, opierając się na łokciach pod powiewającymi na wietrze zielonymi liśćmi. Henry rzucał piłką miarowym, swobodnym rytmem, a jego twarz miała równie przyjazny i neutralny wyraz jak twarz Noaha. Uświadomiła sobie to, o czym już wiedziała – Henry nie wierzył bardziej niż kiedyś, ale robił to dla niej. Ponieważ ją kochał. Dźwięk tej miłości dało się słyszeć w mocnym uderzeniu piłki w starą rękawicę Tommy’ego, a dźwięk jej miłości – do Henry’ego, Tommy’ego, Charliego i do Noaha – w szeleście wiatru w liściach nad głową, a wszystkie te odgłosy tworzyły sieć tonów, która łapała ją i zatrzymywała w tej chwili, tu i teraz.

Usiadła z powrotem i przyglądała się, jak Henry i Noah rzucają piłką tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak ojcowie i synowie, jak mężczyźni i chłopcy gdziekolwiek, kiedykolwiek.

– A teraz sprawdźmy, jak ci wyjdzie rzucanie w górę – powiedział Henry i wyrzucił piłkę do góry, prosto w niebo.

Janie napisała do Andersona. Pomyślała, że może chciałby być na bieżąco z tym, co dzieje się z Noahem, na wypadek gdyby wznowili jego książkę. Teraz, kiedy w jej krainie zapanowała normalność w całej swej szalonej świetności, lubiła czasem wspominać, gdzie kiedyś byli. Nie byli z Jerrym przyjaciółmi, ale łączył ich głębszy związek – byli sprzymierzeńcami. Napisała o wizycie Denise i Henry’ego, podając wszystkie istotne informacje – to, jak bardzo Noah się ucieszył, nie rozpoznając żadnego z nich. Wysłała e-mail, potem kolejny, ale nie odpisał.

Miała nadzieję, że u niego wszystko było w porządku. Widziała go tylko raz, kiedy wstąpił, żeby ją odwiedzić i podarować jej egzemplarz swojej książki, kilka miesięcy przed tym, zanim znowu wyjechał z kraju na zawsze. Recenzje jego książki były zróżnicowane. Niektórzy krytycy odnosili się do jego badań, żartobliwie go atakując, jakby to wszystko było jakimś nieporozumieniem w zabawie w głuchy telefon albo hochsztaplerstwem, w każdym razie niczym, co należałoby traktować poważnie. Inni byli zainteresowani jego odkryciami, ale nie wiedzieli, co z nimi począć. Jednak wyglądało na to, że Anderson nie przywiązywał do tego wagi. Był o wiele bardziej wyciszony, bardziej swobodny, jakby pękła jakaś napięta struna. Miał na sobie białą koszulę z kieszeniami, z rodzaju tych, jakie noszą wyspiarze. Wspomniał o tym i właściwie się roześmiał.



– To prawda. Teraz jestem wyspiarzem – przyznał.

Janie nie chciała zapomnieć niczego, co się wydarzyło, ale nic na to nie mogła poradzić. Codzienne życie było zbyt nachalne. Była zajęta pracą, przyjemnością tworzenia harmonijnych przestrzeni, utarczkami z klientami, którzy czepiali się szczegółów. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu i radości Bob – niegdysiejsza, chwilowa esemesowa fascynacja – wszedł do jej życia, z entuzjazmem odpowiadając na wysłaną z pewnym zażenowaniem wiadomość: „Jeśli nadal chcesz się ze mną spotykać, dasz znać?”. Od sześciu miesięcy spotykali się raz albo dwa razy w tygodniu, wystarczająco długo, żeby zaczęła wierzyć, że być może to dzieje się naprawdę, i żeby pomyślała o tym, by (może, pewnego dnia) poznać go z Noahem. I oczywiście był jeszcze Noah, którym musiała się zająć – sprawdzać lekcje, dopilnować, żeby zjadł obiad i wziął kąpiel z bąbelkami (jak wiele przyjemności czerpała teraz ze zwykłego życia!), i nadążać za wszystkimi potrzebami jego stale rozwijającej się jaźni. Był coraz starszy. Czasami, kiedy jeździli razem na rowerach po parku, pozwalała, żeby ją nieco wyprzedzał na ścieżce, i kiedy tak obserwowała jego blond główkę, wąskie plecy i małe, pulchne nóżki, które pedałowwały na rowerze, oddalając się od niej, i znikwały za zakrętem, czuła ukłucie straty i wiedziała, że to tylko zwyczajne macierzyństwo.

Pewnej nocy obudziła się w panice, pewna, że straciła coś cennego, poszła do pokoju Noaha i przyglądała się, jak spał (koszmary nocne, Bogu dzięki, dawno temu się skończyły). Kiedy poczuła się już nasycona tym stanem rzeczy, włączyła komputer i sprawdziła pocztę.

W końcu tam było – nazwisko Jerry’ego Andersona w jej skrzynce. Bez tematu. Szybko otworzyła wiadomość. PLAŻA, napisał. Drukowanymi literami. Nic poza tym. To słowo rozbrzmiewało w ciszy mieszkania, wywołując dreszcz niepokoju i ulgi. „Wszystko w porządku?”, napisała. Ekran rzucał dziwne, jasne światło w ciemności i wyczuła jego obecność, która unosiła się w powietrzu w tej chwili, jakby tam z nią był. „Jerry?”.

Czuję się dobrze. Wyobraziła sobie, jak to mówi, chociaż nic nie odpisał. Miała takie przeczucie, ale nie wiedziała, czy było prawdziwe, czy też wymyślone. Jednak myśl o tym, że wyczuwała jego obecność tam, w tej bezkresnej przestrzeni, przynosiła jej ukojenie.

Nazajutrz Janie jechała odebrać Noaha ze świetlicy, mając jednocześnie milion myśli, kiedy nagle się zatrzymała. Rozejrzała się dookoła.

Stała w wagonie metra, czując pod stopami wibracje. Pociąg wyjechał spod ziemi, jechał do góry i przez most Manhattański; słońce wczesnego wieczoru oświetlało rzekę, statek, który przewoził towar z jednego miejsca na drugie, ludzi w wagonie metra, wydobywając każdy szczegół z wyteżoną, czułą klarownością. Bandaż Band-Aid<sup>37</sup> na kolanie nastolatka naprzeciwko niej. Nastroszone włosy kobiety czytającej obok niego. Usta żującego gumę rastamana, poruszające się

w gęstwinie jego brody.

Wewnątrz wagonu metra reklamy piwa, powierzchni magazynowej, materacy: „Obudź się i zbuduj nowe życie”.

Myślałam się, pomyślała nagle.

To, co przytrafiło się Noahowi, najwyraźniej oddzielało ją od innych ludzi, którzy nie znali tej historii – albo, kiedy próbowała wyjaśnić to swoim najbliższym przyjacielom, „nie mogli uwierzyć w takie rzeczy”. Wobec tego musiała to odłożyć na bok, zatrzymać dla siebie, jakby była to kolejna sprawa, która w subtelny sposób trzymała ją z dala, a tymczasem w rzeczywistości... w rzeczywistości implikacje sugerowały coś zgoła innego.

Jakie były te implikacje?

Tak wiele wcieleń. Tak wielu ludzi kochanych, zaginionych i ponownie odnalezionych. Krewni, o których istnieniu nie wiedzieliście.

Może była spokrewniona z kimś właśnie w tym wagonie metra. Może z tym facetem w garniturze, z iPadem. Albo z tym żującym gumę rastamanem. Albo z blondynem w koszuli w groszki i z paprotką wystającą z torby. Albo z kobietą z włosami na jeża. Może była jej matką. Albo któryś z mężczyzn jej kochankiem. Albo synem, najukochańszym. Albo będzie, następnym razem. Tak wiele wcieleń, że wydaje się logiczne, że oni wszyscy są spokrewnieni. Zapomnieli, to wszystko. To nie była żadna zbikowana, hippisowska piosenka ogniskowa. (No dobra, może i była, ale nie chodziło wyłącznie o to). To było rzeczywiste.

Ale jak to było możliwe?

Nieważne jak. Było. Rozejrzała się po wagonie. Mężczyzna o oliwkowej skórze, obok niej, czytał ogłoszenie w gazecie dla swata. Dzieciak naprzeciwko niej podrzucał deskorolkę na poobijanych kolanach. Najukochańszy, pomyślała. Czowała się podenerwowana.

Cieężko będzie żyć w ten sposób. Patrzeć na innych ludzi w ten sposób. Ale można spróbować, nieprawdaż?

Drzwi pomiędzy wagonami rozsunęły się z hukiem i pojawił się w nich jakiś mężczyzna, bezdomny, wszedł do wagonu, powłócząc usmolonymi, gołymi stopami. Włosy miał zmierzwione w sztywny hełm, a ubrania... nie była w stanie przyglądać się zbyt uważnie jego ubraniom. Poczłapał chwiejnym krokiem przez wagon. Jego zapach był jak pole siłowe, które usuwa wszystko ze swojej drogi. Kiedy metro w końcu się zatrzymało i otworzyły się drzwi, nowi pasażerowie wchodzili jedną nogą i od razu odwracali się, żeby pójść do innego wagonu. Większość ludzi, która już była w wagonie, opuszczała go grupami.

Niektórzy nie ruszali się z miejsc. Postanowili to znieść. Byli zbyt zmęczeni, żeby wstać, albo zbyt rozkojarzeni urządzeniami trzymanymi w dłoniach, a może nie chcieli oddawać swoich miejsc. Przecież niedługo mieli wysiadać. W każdym razie był to wagon, który wybrali, karta, którą wyciągnęli, w tym czasie. Ostrożnie

odwracali od niego wzrok. Obawiali się, że zwrócą jego uwagę.

Była jedyną osobą patrzącą w jego kierunku, więc podszedł do niej. Stał tam, chwiejąc się na nogach, ten zapach sprawił, że łzawiły jej oczy. Nie miał słoika ani niczego. Wyciągnął brudną wewnętrzną część dłoni.

Wyjęła z kieszeni trzy dwudziestopięciocentówki i umieściła je na jego dłoni, a kiedy to robiła, musnęła palcami jego rękę i podniosła wzrok. Miał oczy koloru karmelowego, jasne wokół źrenic i ciemniejsze na obwódkach, a zagłądanie w nie przypominało oglądanie podwójnego zaćmienia. Miał gęste rzęsy, wymazane sadzą. Zamrugął oczami.

– Hej, dzięki, sestro – powiedział.

– Nie ma za co. – Jego twarz wyglądała, jakby się rozjaśniła, jego potrzeby i nadzieje były na niej wyraźnie wypisane, jakby zawsze czekał na to, żeby ona go zauważyła.

\* \* \*

*W ciągu pierwszego roku Paul schudł ponad dziewięć kilogramów. Chodził po więzieniu, powłócząc nogami, jakby był kartką papieru na ziemi, po której deptano ubłoconymi buciorami. Nie mógł spać. Leżał na górze piętrowej pryczy, wdychając zapach moczu z wychodka w kącie i słuchając więziennych odgłosów kapania wody, chrapania i wrzeszczenia. Nie wiedział, czy to inni współwięźniowie krzyczeli przez sen, czy też, podobnie jak on, zostali wepchnięci siłą w objęcia bezsenności przez własne cierpienie. A zza tego wszystkiego nieustannie słychać było echo głosu Tommy'ego Crawforda, który wołał go z dna studni. Dawno temu przestał próbować nie myśleć o Tommym Crawfordzie. To, co zrobił, było w niciach jego więziennego uniformu, w fudze pomiędzy cementowymi blokami i w woni kocich sików, którymi wszystko było przesiąknięte. Czasem nadal żałował, że nie może cofnąć się w czasie i zrobić tego wszystkiego inaczej. Innym razem zastanawiał się, dlaczego życie tak wyglądało – człowiek robił głupie rzeczy i nie można było tego cofnąć, bez względu na to, jak bardzo się chciało. Druga szansa nie istniała. Kiedyś powiedział o tym swojej prawniczce, kobieta zasznurowała usta i spojrzała na niego przez stół jak czyjaś zatroskana matka. Była kobietą po pięćdziesiątce, chudą, z bujnymi włosami w kolorze popielatego blondu związanymi z tyłu gumką i niebieskimi oczami, które zawsze wyglądały tak, jakby przez całą noc nie zmrużyła oka i zamartwiała się nim. Nie miał pojęcia, dlaczego robiła coś takiego, skoro nawet nie łączyły ich żadne więzy, ale był wdzięczny za jej usługi i za to, że pewnego dnia wyjdzie z więzienia, chociaż wtedy będzie miał prawie trzydziestkę na karku.*

Pewnego dnia, po upływie jakiegoś roku, powiedziano mu, że ma gościa.

Pomyślał, że to pewnie jego prawniczka albo mama.

Strażnik zaprowadził go długim korytarzem do pokoju ze stolikami.

Kiedy zobaczył, kto to był, chciał się wycofać z tego pokoju, ale było już za późno. Siedziała tam i czekała na niego. Miała teraz więcej siwych włosów niż wtedy na przesłuchaniu, ale na twarzy nic się nie zmieniła, oczy, które zwróciła w jego stronę, przypominały oczy Tommy'ego Crawforda, kiedy zastanawiał się, czy powinien pójść z nim do lasu, żeby potrenować strzelanie.

Gdyby mógł, schowałby się pod stół.

Podniosła słuchawkę po drugiej stronie mocno porysowanej szyby, więc zrobił to samo.

– Dostałam twój list – zaczęła.

Spojrzał na nią. Nie potrafił znaleźć żadnych słów.

Napisał list o tym, jak bardzo było mu przykro z powodu tego, co spotkało Tommy'ego. Jak lubił Tommy'ego i chciałby, żeby Tommy żył, ale on był martwy. Wszystko, co napisał, było prawdą. Jego prawniczka powiedziała mu, że to może pomóc, kiedy sprawa trafi do sądu, ale kiedy podpisano umowę między obroną i oskarżeniem prowadzącą do uzyskania łagodniejszego wyroku, mimo wszystko wysłał ten list i sądził, że rodzice chłopca nigdy na niego nie odpowiedzą. Dlaczego mieliby odpowiedzieć?

– Napisałeś w liście, że jesteś alkoholikiem. – Miała niski głos. Nie patrzyła mu w oczy przez szybę. – Czy to prawda?

– Mhm – wymamrotał. Potem zmusił się, żeby to powiedzieć. – Tak.

Teraz, po tych wszystkich spotkaniach klubu AA w więzieniu, przywykł do przyznawania się do tego.

– Ale teraz jesteś trzeźwy?

Skinął głową, po czym uświadomił sobie, że nie była w stanie go zobaczyć z głową spuszczoną w ten sposób.

– Tak.

– Czy dlatego to się wydarzyło? Ponieważ byłeś pijany? – Patrzyła na dłonie, które położyła przed sobą na stole.

Przełknął ślinę. Zaschło mu w gardle. Nie było tam wody.

– Nie.

– Wobec tego dlaczego? – Podniosła wzrok. Miała smutne oczy, ale nie było w nich złości.

– To był wypadek – powiedział i zobaczył ten cień sceptycyzmu, ten grymas wykrzywionych ust, który pojawiał się na tyłu twarzach, odkąd przyznał się do winy. – Ale nie z tego powodu – dodał. – To dlatego, że byłem tchórzem i idiotą.

Także spuścił głowę. Spojrzał na ich dłonie, dwie brązowe dłonie o długich palcach, dwie białe dłonie o krótkich palcach z na wpół obgryzionymi paznokciami.

Wydała z siebie jakiś dźwięk po drugiej stronie kabla. Nie potrafił powiedzieć, co to był za dźwięk.

– Przepraszam, że zabiłem pani syna – powiedział do słuchawki. Słowa były zniekształcone, ponieważ miał tak ściśnięte i tak suche gardło. Położył głowę na rękach i miał nadzieję, że strażnicy nie pomyślą sobie, że płakał. Płakał, troszeczkę, ale to było nieistotne.

Czuł, że czekała, aż powie coś jeszcze. Nie był pewien, co to było, a potem już wiedział. Wtulił słuchawkę w swoje ramiona i dokończył:

– Wiem, że nie może mi pani wybaczyć.

Wybaczyć. Kiedyś nie używał tego słowa. Teraz pragnienie wybaczenia stało się jego częścią. Pragnął tego równie mocno jak alkoholu.

Zapadła długa cisza.

– To zabawne – powiedziała w końcu, chociaż w tym całym świecie nie było nic zabawnego, o ile Paulowi było wiadomo. Podniósł wzrok, na jej twarzy malował się spokój.

– Zastanawiam się nad tym – mówiła jak nauczycielka, jak ktoś, kto o czymś wie. – W Biblii jest napisane: „odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone”<sup>38</sup>... a oczywiście buddyści wierzą, że nienawiść prowadzi jedynie do jeszcze większej nienawiści i cierpienia. Jeśli chodzi o mnie... Nie wiem. Wiem, że nie chcę już dłużej trwać w nienawiści. Nie potrafię.

Jej wzrok błędził po jego twarzy, jakby nie mogła się zdecydować, czy jest odrażająca czy też nie. Przyszło mu na myśl, że pragnienie wybaczenia oznaczało, że samemu też trzeba wybaczyć. Wiedział, że nie wybaczył pewnych rzeczy swojemu tacie. Nie mógł sobie wyobrazić, że miałby to zrobić.

– Tommy uczy mnie, każdego dnia – mówiła dalej, a on o mało nie spadł z krzesła. Jak Tommy mógł ją czegokolwiek uczyć? – Zmusza mnie, żebym puściła go wolno – wyjaśniła – żebym poddała się danej chwili. Kryje się tam radość. Jeśli umiesz to zrobić.

Nie mógł uwierzyć, że siedziała tam i opowiadała o tym, że uczy się czegoś od swojego zmarłego syna, że mówiła o radości, jemu. Jemu! Może doprowadził ją do obłędu i jeszcze to będzie miał na sumieniu.

– Jak tutaj jest? – zapytała cicho. – Jest źle?

Nie umiał powiedzieć, czy chciała usłyszeć, że było źle, czy że nie było źle.

– Chyba jest tak, jak na to zasługuję – odpowiedział po prostu.

Nie dyskutowała z tym, ale też nie wyglądała na uszczęśliwioną tym faktem.

– Chciałabym, żebyś do mnie napisał – zaproponowała. – Napiszesz? Chcę wiedzieć, jak tutaj jest i jak sobie dajesz radę. Chcę znać prawdę.

– Dobrze. – Pomyślał, że też chciałby jej o tym opowiedzieć, nawet jeśli zwariowała. Mógłby opowiedzieć jej o wszystkim, przez co tutaj przechodził, a o czym nie chciał, żeby wiedziała jego własna mama.

– A więc umowa stoi? – zapytała. Skinął głową. Wstała. Zawiązała swój płaszcz ciasno paskiem w talii... była chuda, jak coś, co może się złamać w dwie

sekundy, i jednocześnie pomyślał sobie, że zapewne była silniejsza, niż on kiedykolwiek miał nadzieję być. Uniosła dłoń do góry i pomachała mu na pożegnanie, po jej twarzy przemknął uśmiech, pojawił się i zniknął tak szybko, że nie był pewien, czy go sobie nie wyobraził.

Po tych odwiedzinach nieco odzyskał równowagę. Przestał nienawidzić tego uczucia, kiedy uniform drapał go w skórę, i tego, że jedna chwila gonila drugą, bez przestrzeni na wyswobodzenie się, z wyjątkiem więziennej biblioteki i zajęć przygotowujących do matury, na które chodził, oraz wizyt mamy sprawdzającej, jak sobie radził. Pisał listy do pani Crawford, wyznając prawdę. Budził się codziennie rano z mocnego snu bez snów, nieustannie zaskoczony, że nadal żył.

Ludzie w powieściach, które czytał, mieszkali w domostwach z torfu i kamienia, na pagórkowatym terenie spowitym mgłą, hodowali smoki i uczyli się magii. Przekazywali tajemnice z matki na syna.

Anderson poczuł, jak ciepła woda lizała mu stopy.

Powoli się zanurzał, świadom w każdej chwili, że może zawrócić, woda oblewała jego łydki, bolące kolana, uda i klatkę piersiową. Nie był pewien, co zamierzał zrobić, aż do ostatniej chwili, kiedy piaszczyste dno usunęło mu się spod stóp i popłynął, ale nawet wtedy obejrzał się za siebie i zobaczył brzeg tak blisko, i sandały, i książkę, które tam na niego czekały.

Plaża była pusta. Zbyt wczesna pora jak na turystów, a po tej stronie wyspy nie było żadnych rybaków. Wydawało się, że był jedynym człowiekiem na całym świecie, który nie spał. Kilka drzew palmowych rozrzuconych tam i ówdzie, skaliste góry tulące w swoich ramionach wodę, znak przestrzegający przed prądami wodnymi ulokowany na samym środku plaży. Nie potrafił go już odczytać, przynajmniej w żadnym z języków, w których wywieszono informacje, ale wiedział, co oznaczał.

Woda, przezroczystozielona, w miarę jak płynął, przybierała coraz bardziej nasyconą, błękitną barwę. Odpłynął tak daleko, aż jego sandały stały się dwiema kropeczkami na piasku, a książka niewyraźną, niebieską plamą. Rozkoszował się tym, że ciało podejmowało wysiłek, wspomagane przez prąd wody. Słowa przyływały do niego i trzymał się ich kurczowo. Cisza. Ocean. Dość.

Powinien był komuś powiedzieć. Mógł na przykład powiedzieć tej kobiecie, która pisała do niego e-maile. Tej, która miała synka. Myśl o jego ostatnim przypadku była niczym pasmo włosów, które łączyło go z lądem... wszystkim, co pozostało pomiędzy nim a otwartym morzem. Mógłby wrócić i spróbować jeszcze raz napisać do niej e-mail. Chciał napisać „do widzenia” i to słowo wyszło źle, jako jakieś inne słowo. Miał nadzieję, że zrozumiała, co miał na myśli.

Jeśli przestanie o tym myśleć, jeśli pozwoli, żeby niósł go prąd, ta nić z łatwością sama się przerwie.

Skoncentruj się na czymś innym, pomyślał. Zamknął oczy. Słońce tworzyło

ciemne plamki na pulsującym oranżu pod jego powiekami.

Sheila.

Dzień, w którym poznał Sheilę.

Sobota. Wcześniej wyszedł z laboratorium i pojechał pierwszym pociągiem, który zobaczył, do ostatniej stacji i przeszedł pozostały odcinek drogi na plażę pieszo. Siedział na wilgotnym piasku, rozmyślał. Gdzieś tam był cały wszechświat, tak wiele nieodkrytych rzeczy. Dlaczego utknął w tych klatkach razem ze szczurami?

Obok niego siedziały na kocu dwie dziewczyny. Blondynka i ruda. Dwie głupawe dziewczyny, które jadły lody w rożkach z wafla i śmiały się do niego.

Blondynka była tą odważną. Podeszła do niego.

– Jest pan religijny?

– Ani trochę. A dlaczego pani pyta?

Spojrzał na nią. Miała policzki zaróżowione od słońca, a może używała różu. Włosy ściągnięte do tyłu gumką, ale zwisające luźno wokół twarzy jasnymi, łopoczącymi na wietrze pasemkami.

– Pomyślałyśmy sobie, że musi pan być religijny, skoro jest pan tak ubrany. Nie ma pan kąpielówek?

Spojrzał na siebie. Był ubrany jak zwykle w strój doktoranta wyższej uczelni, białą koszulę z bawełny oksford z długim rękawem, czarne spodnie.

– Nie.

– Ach, rozumiem. Jest pan daleko zbyt poważny jak na plażę – powiedziała to lekko, przekornie. Miała silne, białe ciało. Oczy aż bolały od patrzenia na nie. Głupawy kostium kąpielowy w groszki.

Popatrzył na nią z nachmurzoną miną.

– Żartuje sobie pani ze mnie.

– Tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest pan daleko zbyt poważny jak na plażę. – Jej niebieskie oczy były jednocześnie czułe i ironiczne. Nie potrafił doszukać się w tym sensu. Przyprawiała go o zawrót głowy.

Lód skapywał po rożku w gorącym słońcu i ściekał po jej palcach. Miał przedziwną chęć, żeby je oblizać.

Dlaczego nie, groszki?

– Lód się pani roztapia – zauważył.

Oblizła rożek, potem palce, jeden po drugim, śmiejąc się do siebie. Miał ją za chichotkę, ale jej śmiech wydobywał się z głębszych warstw, rozplątywał się w powietrzu, wypełniał przestrzeń. Lody, pomyślał, beztraska rozchodząca się po jego ciele od białych podeszew stóp w górę. Tajemnicą życia są lody. Jej śmiech dzwonił mu w uszach, i nie przestawał dzwonić.

Miał wtedy nadzieję, że nigdy nie przestanie.

Zaczynał być zmęczony. Ten cały interes z pływaniem w miejscu był bardziej wyczerpujący, niż się spodziewał. Miał w sobie więcej oporu, niż sądził, że ma. Po prostu przestał się ruszać, pomyślał. Puść to.

Otworzył oczy. Prąd był wartki. Sandały i książka już zniknęły, zwały się z brzegiem.

Czuł, jak waliło mu serce. Oszacował, jak daleko od plaży odpłynął. Pewnie dałby radę wrócić, jeśliby chciał. A potem co? Powrót do tej małej, coraz bardziej ograniczającej egzystencji złożonej z owoców morza i krótkich spacerów. Nie najgorsze życie. Ale dobiegające końca...

Nie brakowało mu już języka. Polubił namacalność tego nowego stylu życia – słonawy smak kraba, którego jadł, nieśmiałą, zaciekawioną twarz dziewczyny, która go podawała, piasek przesypujący się przez palce stóp w sandałach, kiedy wracał do swojego bungalowu, oddech, który łaskotał go w nozdrza w trakcie medytacji. Tak jakby ziemia zaglądała mu prosto w oczy, trzymając jego twarz w swoich dłoniach. Czuł, jak szeptała do niego w języku bez słów, o którym przez całe życie nie pamiętał, i dopiero teraz sobie o nim przypomniał, i opowiadała mu o rzeczywistości tak bezkresnej, że nie potrafiłby przekazać tego żadnej innej istocie ludzkiej, nawet gdyby posiadał takie zdolności. Ledwo rozpoznawał się w lustrze – brązowa, niefraszobliwa, szorstka twarz, dzikie, nazbyt jasne oczy... Kim był ten mężczyzna? Zaakceptował prostotę tego życia z wdzięcznością, ale wiedział, że wkrótce nie będzie w stanie zrozumieć nawet najbardziej podstawowych czynności. Będzie zmuszony, żeby poddać się jedynej rzeczy, której się obawiał – bezradności.

Brzeg stał się jasną plamą w oddali. Gdzieś tam na piasku leżała jego książka. W ciągu tych ostatnich dni wszędzie ją ze sobą nosił. Początkowo po to, żeby ubiec rozmowę – zanurzając twarz w tych stronach, które napisał i których nie był w stanie odczytać – ale ostatnio ta książka stała się dla niego niczym przyjaciółka. Kiedy budził się w nocy zdeorientowany i przestraszony, włączał światło i przez grube ciała krążących ciem wyszukiwał wzrokiem jej niebieską okładkę na stoliku nocnym. Mówiła do niego bez słów, upewniając go, że jeszcze żyje.

Może znajdzie ją jakaś turystka zbierająca muszelki. Może to zmieni wszystko w jej życiu.

Bolały go nogi. Wpatrywał się w światło słoneczne na oddalającym się paśmie wybrzeża, dopóki nie wyglądało jedynie jak złudzenie wzrokowe, wymaginowana oaza. Była, a potem zniknęła. Oczywiście ciało będzie się opierać swojemu unicestwieniu. Oczywiście. Tak wyglądało życie. Jakże mógłby sądzić inaczej? Była to lekcja, której wciąż od nowa doświadczał – nieważne, jak skrupulatnie wszystko zaplanujesz albo zbadasz, rzeczy niepoznawalne wynurzą



się z głębi i przewrócą wszystko do góry nogami. Ale to właśnie najbardziej go pociągało, nieprawdaż? Ta otchłań tego, czego nie wiemy?

Być może jeszcze zobaczy Sheilę. Jej twarz. Albo jej blask w innej twarzy.

A może nie.

Spojrzał wokół na bezkresne niebo, na ocean, który rozciągał się teraz jak okiem sięgnąć. Woda lśniła w słońcu, oślepiając jego oczy. Każda cząsteczka połyskująca w tym rozpromienionym świetle w groszki. Poczuł, jak jego kończyny się rozluźniają, ciało rozpływa się w obliczu tego piękna.

Błękitne niebo, błękitna woda i nic więcej.

Nieodkryta kraina.

Spójrz na to w ten sposób, Jer, usłyszał słowa Sheili. Teraz poznasz niektóre odpowiedzi. Poczuł ciekawość, która pulsowała w nim na samą myśl o tym, silniejszą niż jego serce.

## Podziękowania

*Inspiracją do napisania tej książki były prace zmarłego doktora Iana Stevenson'a oraz doktora Jima Tuckera z Wydziału Studiów Percepcyjnych Akademii Medycznej Uniwersytetu w Wirginii.*

Jestem szczególnie wdzięczna doktorowi Tuckerowi za konsultacje i zgodę na włączenie fragmentów jego wspaniałej książki popularnonaukowej *Life Before Life: Children's Memories of Previous Lives* (*Życie przed życiem. Wspomnienia dzieci na temat poprzednich wcieleń*) do tej fikcyjnej opowieści. Sposób myślenia Andersona na temat tego, dlaczego dzieci mogą pamiętać swoje poprzednie wcielenia, zawdzięczamy w dużej mierze fascynującej książce doktora Tuckera *Return to Life: Extraordinary Cases of Children Who Remember Past Lives* (*Powrót do życia. Niezwykłe przypadki dzieci, które pamiętają swoje poprzednie życia*).

Tym, którzy chcieliby przeczytać więcej o doktorze Stevensonie, polecam książkę *Old Souls* (*Stare dusze*) Toma Shrodera, pasjonującą opowieść o tym człowieku i jego dziele. *Children Who Remember Previous Lives* (*Dzieci, które pamiętają swoje poprzednie życia*) autorstwa doktora Stevenson'a daje ogólny pogląd na temat jego podejścia do tematu.

Chciałabym również podziękować:

Mojemu wspaniałemu wydawcy, Amy Einhorn, której wizja przeprowadziła tę powieść przez wiele wersji roboczych i uczyniła z niej nieporównanie lepszą książkę. Wspaniałemu zespołowi we Flatiron Books, w tym Liz Keenan, Marlenie Bittner i Caroline Bleeker.

Mojej agentce, Geri Thoma, która przeszła samą siebie, a na której mądrych radach zawsze mogę polegać. Simonowi Lipskarowi i Andrei Morrisonowi z Writer's House za ich pomoc. Jerry'emu Kalajianowi z Intellectual Property Group za pracę nad tym, żeby tchnąć w tę historię nowe życie.

Moim doradcom: Rebecce Dreyfus za nieskończoną cierpliwość, miłość i zaufanie do mnie oraz za dobre pomysły, te duże i te małe. Bryanowi Goluboffowi, który zawsze znajdował czas, żeby pomóc mi rozplątać fabułę. I Mattowi Bialerowi – za nieprawdopodobną szczodrość, która wszystko diametralnie zmieniła.

Bliss Broyard, Ricie Zoey Chin, Kenowi Chen, Meakinowi Armstrongowi, Youmnie Chlala, Saschy Alpler, Nell Mermin i Julii Strohm za pierwsze czytanie tej powieści i wspaniałe rady. Catherine Chung, która pomogła mi skoncentrować się nad tą książką w kluczowym momencie.

Virginia Center for the Creative Arts and Wellspring House za doskonałe

warunki do pracy.

Zmarłemu Jerome'owi Badanesowi, którego wsparcie nadal czuję.

Drogim przyjaciółkom, doradzającym mi i wspierającym mnie w trakcie wielu inkarnacji tej książki, szczególnie Liz Ludden, Sue Epstein, Martha Southgate, Tami Ephross, Lisie Mann, Stephanie Rose, Shari Motro, Rahti Gorfien, Susannah Ludwig, Edie Meidav, Carol Volk i Carli Drysdale.

Moim nauczycielom, a szczególnie nieżyjącemu już Peterowi Matthiesenowi, który rozpałił we mnie iskrę, i Kadamowi Mortenowi Clausenowi, którego zajęcia medytacji i niezwykle nauczanie pomogły mi zachować spokój w czasie wzlotów i upadków podczas pracy nad tą książką i ostatecznie zmieniły moje życie.

Moim rodzicom, Alanowi i Judy Guskinom, którzy zawsze we mnie wierzyli. Moim cudownym siostram, Andrei Guskin i Carrie LaShell. Mojej macosze, Lois LaShell, której wiara w moje zdolności nigdy się nie zachwiała. I mojemu ojczymowi, Martinowi Rosenthalowi, prawdziwemu oryginałowi. Moim niesamowitym teściom Cuomo, Sylvii, George'owi i June oraz rodzeństwu Cuomo – jestem taka dumna z tego, że należę do Waszej rodziny.

Mojemu mężowi, Dougowi Cuomo, za bezgraniczną miłość i wsparcie. I moim dzieciom, Eli i Benowi, za to, że są takie dobre i radosne. Nie potrafię wyrazić słowami, jaka jestem szczęśliwa, że mogę dzielić życie z waszą trójką.

## Przypisy końcowe

W. Shakespeare, *Juliusz Cezar*, przeł. Stanisław Barańczak, Znak, Kraków 2000, s. 22 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)

W. Shakespeare, *Komedie*, przeł. Stanisław Barańczak, *Kupiec wenecki*, Znak, Kraków 2012, s. 546. [\[wróć\]](#)

*steel pan* (albo *steel drums*) – instrument muzyczny i forma muzyki, wywodzące się z wysp Trynidad i Tobago na Karaibach. Instrument ma formę blaszanych bębnow, które posiadają wgłębienia umożliwiające wydobyć różnych dźwięków za pomocą uderzeń pałeczkami. [\[wróć\]](#)

ouija – plansza z wydrukowanymi literami alfabetu, używana podczas seansów spirytystycznych. [\[wróć\]](#)

W. Shakespeare, *Hamlet w: Romeo i Julia, Hamlet, Makbet*, przeł. Stanisław Barańczak, Znak, Kraków 2006, s. 281. [\[wróć\]](#)

xxx – symbol używany w krajach anglojęzycznych w esemesach, który oznacza „całusy”. [\[wróć\]](#)

W. Shakespeare, *Burza*, przeł. Stanisław Barańczak, Znak, Kraków 2009, s. 106. [\[wróć\]](#)

ziti – makaron charakterystyczny dla kuchni włoskiej, podobny do penne i rigatoni. [\[wróć\]](#)

*The Help – Służące*. [\[wróć\]](#)

*In Another Life – W innym życiu*. [\[wróć\]](#)

*You Only Live Once* (ang.) – żyje się tylko raz. [\[wróć\]](#)

ambien – krótko działający lek nasenny wykorzystywany w doraźnym leczeniu bezsenności. [\[wróć\]](#)

tonga (ang., z hindi *tanga*) – lekki dwukołowy pojazd, jednokonny, na dwie lub cztery osoby, używany w Indiach, Bangladeszu i Pakistanie. [\[wróć\]](#)

Baza danych zawierająca listę osób zmarłych po 1962 roku w Stanach Zjednoczonych. [\[wróć\]](#)

raki – mocna anyżowa wódka turecka. [\[wróć\]](#)

stupa – buddyjska budowla sakralna, pełniąca funkcję relikwiarza; tutaj chodzi o słynną Świątynię Szmaragdowego Buddy, która znajduje się na terenie kompleksu budynków Wielkiego Pałacu Królewskiego w Bangkoku. [\[wróć\]](#)

*Żony ze Stepford* (ang. *The Stepford Wives*) – amerykański film z 2004 roku w reżyserii Franka Oza na podstawie powieści Iry Levina, opowiadający o pozornie idyllicznym życiu na przedmieściach Stepford w stanie Connecticut. [\[wróć\]](#)

Szczyt Adama – szczyt położony na terenie Sri Lanki, uważany za miejsce święte przez wyznawców wielu religii, ważne miejsce kultu religijnego i cel licznych pielgrzymek. [\[wróć\]](#)

Taco Bell – amerykańska sieć barów szybkiej obsługi, która specjalizuje się w kuchni meksykańskiej i meksykańsko-teksaskiej. [\[wróć\]](#)

khari boli – dialekt używany w okolicach Delhi, na którego bazie powstał język hindustani, a także dwa standardowe języki literackie – hindi oraz urdu. Obecnie przez użytkowników tych języków khari boli określany jest jako dialekt wiejski. [\[wróć\]](#)

Uttar Pradesh – jeden ze stanów w północnej części Indii na żyznych terenach Niziny Gangesu. [\[wróć\]](#)

ksenoglozja – zdolność człowieka do mówienia w języku, którego nigdy przedtem się nie uczył. [\[wróć\]](#)

W. Szekspir, *Hamlet w: Romeo i Julia, Hamlet, Makbet*, przeł. Stanisław Barańczak, Znak, Kraków 2006, s. 238. [\[wróć\]](#)

4-H, organizacja 4-H – organizacja edukacyjna przeznaczona dla dzieci i młodzieży, która kładzie szczególny nacisk na rozwój umiejętności życiowych i zainteresowań, a także podniesienie poziomu wiedzy. Nazwa organizacji pochodzi od pierwszych liter słów w języku angielskim: Head – głowa, Heart

– serce, Hands – ręce i Health – zdrowie. [\[wróć\]](#)

*America's Most Wanted* – amerykański program telewizyjny emitowany w latach 1988–2012 o najgroźniejszych poszukiwanych przestępcach. [\[wróć\]](#)

Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań – Warszawa 1991, s. 640–641. [\[wróć\]](#)

Amber Alert (znany także jako Child Alert) – system alarmowy, który polega na udostępnianiu zdjęć zaginionych dzieci w środkach masowego przekazu. [\[wróć\]](#)

JCPenney – amerykańska sieć domów towarowych. [\[wróć\]](#)

W. Szekspir, *Makbet*, przeł. Stanisław Barańczak, Znak, Kraków 2000, s. 143. [\[wróć\]](#)

samosy – indyjskie pierożki nadziewane warzywami lub mięsem, smażone w głębokim tłuszczu. [\[wróć\]](#)

sziwa – w judaizmie okres siedmiu dni opłakiwania zmarłego po pogrzebie. [\[wróć\]](#)

*Mów całą prawdę – lecz stopniowo*, przeł. Stanisław Barańczak, w: *Od Chaucera do Larkina*, Znak, Kraków 1993, s. 358. [\[wróć\]](#)

Helen Keller – (1880–1968), amerykańska niewidoma i niesłysząca pisarka, działaczka społeczna i pedagożka. W wieku dziewiętnastu miesięcy przeszła chorobę, w wyniku której straciła wzrok, słuch i częściowo mowę. Później dziewczynka pod opieką utalentowanej nauczycielki Anny Sullivan, która uczyła ją mówić i czytać brajlem, zrobiła ogromne postępy, pokonała chorobę, skończyła studia i nauczyła się kilku języków. [\[wróć\]](#)

Indians – Cleveland Indians, drużyna baseballowa, z siedzibą w Cleveland w stanie Ohio, która gra w American League, jednej z dwóch najważniejszych amerykańskich lig baseballu. [\[wróć\]](#)

Bard (ang.) – *The Bard of Avon*, bard ze Stratfordu, czyli William Szekspir. [\[wróć\]](#)

You Only Live Once – zob. s. 105. [\[wróć\]](#)

Band-Aid – nowoczesny bandaż z sensorami, które monitorują proces leczenia rany, temperaturę ciała, przypominają o odpowiednim dawkowaniu leków. [\[wróć\]](#)

Ewangelia św. Łukasza, 6,37 w: Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań–Warszawa 1991, s. 1189. [\[wróć\]](#)

